

MARCELLO SIMONI

OPACTWO STU GRZECHÓW

JAKĄ TAJEMNICĘ KRYJE CENNA RELIKWIA?



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

MARCELLO SIMONI

OPACTWO
STU
GRZECHÓW

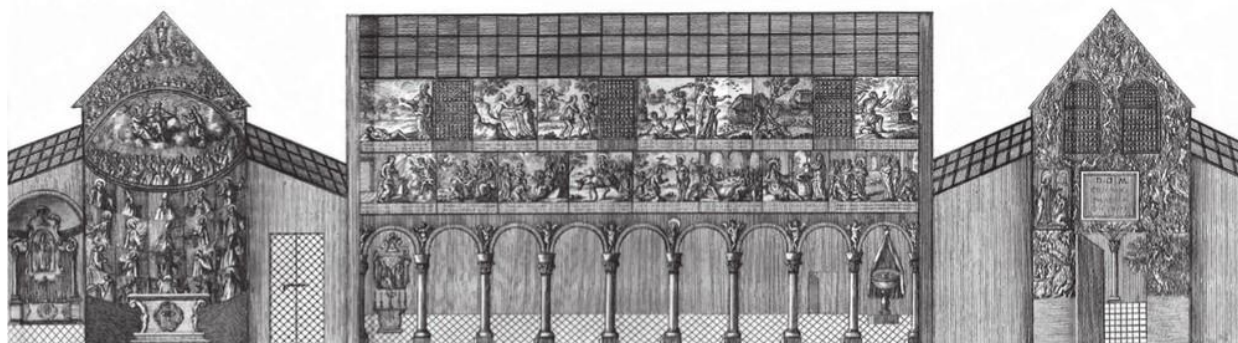
Z języka włoskiego przełożyła
Joanna Kluza



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*Giorgii, która zechciała podążyć za mną
po ścieżkach tej przygody*

**OPACTWO
STU GRZECHÓW
(SIERPIEŃ 1346 – KWIECIEŃ 1347)**



Pycha oddala od Boga,

Zawiść od bliźniego,

Gniew od nas samych.

HUGON OD ŚWIĘTEGO WIKTORA, *De quinque septenis*, II

Pod koniec marca w roku Pańskim 1345 planety Saturn, Jowisz i Mars weszły w koniunkcję między piętnastym a siedemnastym stopniem znaku Wodnika, prowokując wydarzenie astronomiczne, które rozpało serca i umysły ówczesnych uczonych. Niełatwo ustalić, w jakim stopniu ruchy ciał niebieskich wpłynęły na ludzkie losy, w istocie jednak w ciągu następných lat na Europę spadły wojna, głód i zaraza. Cały Zachód stał się teatrem tańca śmierci, który obudził strach przed apokalipsą.

Nawet takie plagi nie uśmierzyły pragnienia prawdy, piękna i wielkich ideałów. Właśnie w tym strasznym czasie w pewnym opactwie wzniesionym niedaleko morza narodził się jeden z najbardziej fascynujących cykli malarskich średniowiecza. Historia ta jest historią mężczyzn i kobiet, którzy uczestniczyli w jego powstaniu.

PROLOG

PUSZCZE FERRARY, NA SKRAJU PRZEDMIEŚCIA ŚWIĘTEGO JERZEGO

12 KWIETNIA 1333 ROKU

Trzej mężczyźni spotkali się po zachodzie słońca w wielkiej tajemnicy. Dwaj z nich przybyli konno razem, podążając wzdłuż rzeki Pad, aż nieomal się zgubili w labiryncie dolin i mokradeł. Zaczekali wśród drzew, czujni na każdy hałas dobiegający z ciemności. Podobieństwo rysów, jasnej skóry i płowych włosów świadczyło o ich bliskim pokrewieństwie. Starszy miał tak głębokie spojrzenie, że można by go dostrzec nawet w ogniu bitwy. Obu osłaniały starannie wyczyszczone zbroje i kolczugi, oznaki wysokiego rodu, podobnie jak rzędy ich wierzchowców.

Trzeci mężczyzna, również na koniu, dołączył do nich nieco później. Odziany był w płaszcz, miał kapelusz kardynalski, ale żelazne rękawice, zaciśnięte na wodzach, pozwalały się domyślać obecności kirysu pod szatami.

– Wasza Królewska Mość, Wasza Wysokość – rzekł, przystanąwszy pod koroną wysokiego wiązu – cóż za zaszczyt.

– W końcu go dostąpiliście – burknął młodzieniec, podobnie jak on posługując się doskonałą francuszczyzną. Nie skończył jeszcze siedemnastu lat, z jego oblicza były żarliwość i porywczosć. – Wystarczyła chwila zwłoki, monsinior, a już byście nas nie zastali.

Znajdujący się obok mężczyzna uciszył go gestem ręki.

– Wybaczcie mojemu synowi, Eminencjo. Mimo licznych cnót brak mu umiejętności powściągnięcia języka.

– Cóż, księżę będzie musiał się nauczyć – odparł kardynał znacząco. – Przynajmniej od dzisiejszej nocy.

– Zatem go znaleźliście? – zapytał zbrojny, ścisząc głos.

– Zmierzał do Ferrary – przytaknął purpurat. – Moi żołnierze pojмали go pod murami, kiedy szykowali się do oblężenia. Łut szczęścia.

– Nie wezwaliście nas tu zatem na darmo – uradował się młodzieniec. – Powiedzcież, Eminencjo, czy już... przemówił?

– Wątpicie w to?

Nie dodawszy nic więcej, kardynał skinął dłonią i ruszył truchtem między drzewa. Przenarł się przez płataninę cieni wśród odgłosów wydawanych przez puchacze i inne nocne zwierzęta, aż dotarł na polanę zajętą przez zbrojnych i maszyny oblężnicze. Pośrodku na trawie leżał zupełnie nagi mężczyzna,

oświetlony przez pochodnie. Cała trójka podeszła bliżej, aby mu się lepiej przyjrzeć. Sądząc po obszernej tonsurze, był to mnich. Spoczywał w nienaturalnej pozycji: rozkrzyżowany, ręce i nogi miał przywiązane linami do czterech koni. Wierzchowce stały nieruchomo, sznury nie były naciągnięte, ale twarz nieszczęśnika nadal wykrzywiał grymas niewysłowionego cierpienia. Łokcie i kolana, podobnie jak łopatki i nadgarstki, miał spuchnięte i posiniaczone od rozciągania ponad ludzką wytrzymałość.

Kardynał zsiadł z konia i zbliżył się do mnicha.

– Ojciec Facio di Malaspina, uciekinier od trzech lat. – Nie zwracał się do niego, ale do towarzyszących mu dwóch mężczyzn w zbrojach. Zdjął kapelusz, odsłaniając gęstą siwą grzywę, i przesunął dłonią po twarzy. Uśmiechał się. – Uciekinier, ponieważ ukrył coś równie rzadkiego, jak cennego. Kiedy go jednak pojmano, nie miał tego przy sobie.

Na te słowa mnichem wstrząsnął gwałtowny dreszcz i wyrwał mu się okrzyk pełen nienawiści.

– Bądźcie przeklęci! – Spróbował się podnieść, lecz ścięgna i mięśnie nie były już w stanie go utrzymać. – Przeklęci wy i wszystkie psy z Awinionu! – syknął. Po czym zamknął powieki wyczerpany.

– Nie rozumiem – wtrącił zbrojny, wymieniając spojrzenia z synem. – Skoro nie miał nic przy sobie...

– Schował to – wyjaśnił kardynał – w pobliskim kościele parafialnym. – Wstał i otrzepał płaszcz z kilku źdźbeł trawy. – Wysłałem zaufanych ludzi, żeby to odzyskali. Oto powód mojego spóźnienia. Już powinni być z powrotem.

Rzeczywiście, wkrótce z gęstych zarośli wyłoniło się pięć zakapturzonych cieni i stanęło w blasku księżyca. Osoby te miały na sobie nabijane ćwiekami brygantyny i szerokie czarne płaszcze. Wyższy przechadzał się pośrodku z niewielką szkatułką przyciśniętą do piersi. Ukląkłszy przed prałatem, wręczył mu ją bez słowa.

Kardynał wpatrywał się przez chwilę w puzderko, niemal zalekniiony, wreszcie nie mogąc pohamować niecierpliwości, otworzył je. Wewnątrz znajdowały się trzy przedmioty.

– *Dominus meus et Deus meus* – wyszeptał drżącym głosem, po czym przeżegnał się i z najwyższym szacunkiem pokazał zawartość obydwu szlachcom. Przyglądał się z uwagą ich osłupiałym minom, czekając, aż się odezwą, a ponieważ milczeli, postanowił nie zważać na wzruszenie i działać. – Ja zatrzymam kielich, a książę będzie sprawował pieczę nad ostrzem włóczni – oznajmił, wążąc słowa. – Co do Waszej Królewskiej Mości – chwycił trzeci przedmiot leżący w szkatułce i obejrzał go w świetle pochodni. Był to niewielki zwój pergaminu.

Na jego widok mężczyzna w zbroi przewyciężył zdumienie i wyrwał mu go

z rąk.

– To należy do mnie – odrzekł wyzywająco – a wraz z tym i tajemnica.

Purpurat najwyraźniej zamierzał zaprotestować, zacisnął jednak usta z rezygnacją.

– Niech tak będzie – powiedział przymilnie. – Będzie wasz, dopóki nie zdecydujemy się wyjawić jego istnienia.

– Wszelako, Eminencjo... – sprzeciwił się mężczyzna, nadal ostrożny. – Wybaczcie zuchwałość, ale gdyby przypadkiem coś wam się złego stało albo gdybym nie był w stanie was odnaleźć, jak mógłbym dowieść autentyczności tego dokumentu?

Kardynał westchnął.

– Macie rację, bez mojego świadectwa można by go wziąć za falsyfikat. Pozwólcie mi się chwilę zastanowić. – Wpatrywał się w zwój w milczeniu, następnie pokiwał głową. Po czym wyswobodziwszy dłoń z żelaznej rękawicy, zdjął złoty pierścień, który miał na serdecznym palcu. – To będzie gwarancją mojego słowa – podał mu go. – Tylko strzeżcie się, nie pokazujcie go nikomu, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila.

– Chwila, w której ponownie się spotkamy – oświadczył mężczyzna, biorąc pierścień – i staniemy przed obliczem papieża.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KAMIEŃ BANICJI



WZGÓRZE CRÉCY

26 SIERPNI 1346 ROKU

Maynard znów miał ów sen. Trzej jeźdźcy w zbrojach mknący we wściekłym galopie. Nie sprawiali wrażenia zwykłych śmiertelników. Wokół ich głów unosiły się płomienne aureole, każda w innym kolorze. Pierwsza biała, druga czerwona, trzecia złota. Przemierzali ciemności, ściskając w dłoniach tajemnicze łupy, a ich grzywy tańczyły na wietrze niczym ogony komet.

Nim otworzył oczy, obraz ten nałożył mu się na świeże wspomnienia, toteż Maynard śledził pęd trzech jeźdźców wśród szeregów walczących mężczyzn w triumfie śmierci i przemocy. Następnie usłyszał świst angielskich strzał, przerażone rżenie swego wierzchowca, trzask... I nagle się obudził.

Leżał twarzą do ziemi, z ustami pełnymi błota, w całkowitych ciemnościach. Deszcz bębnił o jego pancerz z głuchym, uporczywym dudnieniem, zmuszając go do wstania. Wówczas Maynard uzmysłowił sobie, że ma unieruchomione nogi, i ogarnęło go przerażenie. Coś ciężkiego przygwoździło mu plecy. W porywie rozpaczycy wyciągnął lewe ramię – jedyne, którym był w stanie ruszać – szukając podpory. Chociaż nie mógł nic zobaczyć, poczuł, że dłoń w żelaznej rękawicy uczepliła się jakby powrozów. Zacisnął ją mocniej i jał mozolnie pełzać naprzód. Zbroja była mu zawadą, utrudniała ruchy, nie uniemożliwiała wszakże czołgania się w szlamie do chwili, aż uwolnił również prawe ramię.

Pomyślał więc o zdjęciu hełmu. Przytknął palce do karku i przebierał nimi dopóty, dopóki nie poluzował rzemienia, który mocował go do płaszcza, następnie ściągnął go, drapiąc sobie twarz. W szarej poświacie zmierzchu dostrzegł przedmiot, którego się uchwycił: wodze martwego konia.

Nad nim leżał stos ciał tkwiących w metalowych skorupach, pozostałości po tych, których jeszcze tak niedawno nazywał braćmi broni. Ów makabryczny widok ciągnął się, jak okiem sięgnąć, przez całe pole aż do stóp wzgórza. Jeźdźcy, piechurzy i kusznicy, zmieceni niszczycielskim ciosem kosy, spoczywali w ciszy na ziemi poprzecinanej szkarłatnymi strumykami.

Maynard pokonał wstręt, lecz nadal znosił hańbę, widząc zwłoki tak wielu walecznych towarzyszy rozdziobywane przez kruki. W odruchu gniewu szarpnął się do przodu, wy dostał spod sterty przywalających go trupów, po czym przewrócił się na bok, by odetchnąć pełną piersią. Krople deszczu na twarzy dawały mu wrażenie czystości, budziły wspomnienie siostry, Eudeline, która zamknęła się

w klasztorze, aby uciec przed chuciami ich ojca. Eudeline, imię blasku. Zapragnął znów ją zobaczyć, przytulić, tak jakby od tego zależało zbawienie jego i całego świata.

Nagły ból w lewej nodze skupił jego uwagę na kolanie, w którym tkwiła strzała. Wtedy przypomniał sobie, że w czasie szarży został ranny, powalony na ziemię i wchłonięty przez bitewny zgielek. Pochylił się, by obejrzeć ranę, lecz jakiś groźny cień kazał mu odruchowo podnieść prawą dłoń. Chwycił mężczyznę za nadgarstek, w samą porę, by uniknąć ciosu mizerykordii¹. Spostrzegł nad sobą angielskiego piechura. Maynard gwałtownie obrócił tułów, poderwał z ziemi grot włóczni i wbił mu go pod szczękę.

Odzyskał oddech, gdy tamten zwałił się martwy.

„Muszę się stąd wydostać”, pomyślał, wspierając się na prawej nodze. Pośliznął się na błocie. Chociaż był zbyt słaby, by iść, poprzysiągł sobie, że nie zostanie w tym miejscu, choćby nawet miał pełzać jak robak. Wiedział już, jaki obrać kierunek. Skoro armia francuska poniosła klęskę, z pewnością wojska Edwarda III i Czarnego Księcia zajęły północne wioski i zachodnią drogę biegnącą wzdłuż rzeki Maye. Jedynym wyjściem było przemieszczanie się na wschód, aż do dawnego szlaku rzymskiego prowadzącego do Amiens, a potem dalej na południe. Niełatwe zadanie dla człowieka, który nie mógł utrzymać się na nogach. Zawsze to jednak lepsze, niż czekać beczynn timer na śmierć.

Zaczął się czołgać, chwytając się wszystkiego, co wpadło mu w ręce. Rozszarpanych ciał, wbitej w ziemię broni, zasuszonych krzewów... Nadawało się wszystko, co pomagało mu przeć naprzód. Potworne zmęczenie zmusiło go wszakże nieprzewidzianie do zatrzymania się. Maynard oparł się plecami o koło na wpół rozwalonego wozu i odczepił naramienniki oraz nałokcice, aby móc swobodnie poruszać ramionami, a na koniec zbadał dłonią ranę nad kolanem. Strzała utkwiała głęboko, toteż byle dotknięcie wywoływało rozdzierające skurcze. Sam nie zdołał jej wyjąć.

Poczuwszy wystarczający przyływ sił, ruszył dalej. Uznał, że dostatecznie odpoczął, by móc iść, kulejąc, mimo to nie wstał. Angielski piechur, który nań napadł, z pewnością nie był jedynym maruderem kręcącym się w okolicy. Zapewne wśród zabitych krążyło mnóstwo innych szakali. Lepiej już czołgać się w błocie, pod płaszczem mgły, która właśnie unosiła się nad ziemią.

Dotarł już do połowy drogi, ale musiał ponownie się zatrzymać. Miał opuchnięte i obolałe ramiona. Zastanawiał się, czy nie pozbyć się kolejnych części zbroi, aby zmniejszyć ciężar, tylko że niemal wszystkie sprzączki przytwierdzające żelazne płyty na jego ciele były rozmieszczone wzdłuż grzbietu. Położył więc prawą dłoń na plecach, nie oczekując zbyt wiele. Tak jak się spodziewał, zdołał jedynie musnąć łopatki. Wyciągnął się zatem wycieńczony i jał się modlić do Boga o powrót sił.

Nie od Boga jednak otrzymał odpowiedź. Usłyszał jęk agonii.

Maynard zdał sobie sprawę, że oparł się o ciało mężczyzny, który jeszcze żył. Poderwał się gwałtownie i spostrzegł, że tamten leży w dziwacznej pozycji, otoczony trupami. Miał rysy typowe dla mieszkańca Północy, jego twarz okalała płomiennoruda broda i nosił okazały pancerz z cyzelowanych płytek. Z uporem trzymał prawą dłoń na rękojeści miecza, lewą zaś ścisnął grzywę podziurawionego strzałami wierzchowca, jakby chciał go pognać do natarcia. Ów nieszczęsny wojownik został już wszakże pokonany przez najbardziej bezlitosnego wroga. Z rozdartego ciała pod płytkami pancerza wyzierała biel kości i kłębowisko trzewi podobne do strzępów sztandaru. Jego godzina nadeszła, mimo to Maynard nie był w stanie go okraczyć i posuwać się dalej.

Jakby czytając mu w myślach, mężczyzna wypuścił miecz i złapał go za ramię.

– Jan... – wyszeptał.

Przyjrząwszy mu się uważnie, Maynard uzmysłowił sobie, że jego niebieskie oczy poruszają się beładnie, zapatrzone w pustkę.

– Tak macie na imię? – zapytał.

Mężczyzna przytaknął.

– Jan Ślepy – powtórzył pewniejszym głosem. – Przeklęty ten, kto mnie zdradził... – Splunął krwią, a jego ciałem wstrząsnęły skurcze.

Przez chwilę Maynard myślał, że go stracił, tamten jednak otarł podbródek drżącą dłonią i jęknął. Rycerz nie wierzył własnym oczom. Słyszał już to imię, podobnie jak większość wojowników, którzy przybyli do Crécy. Jan Ślepy, powszechnie znany jako Jan I, król Czech, był jednym z najcenniejszych sprzymierzeńców władcy Francji. Uparł się, by ruszyć do ataku, chociaż losy bitwy były już przesądzone, rzucając wyzwanie straszliwym bełtom angielskich łuczników.

– A zatem wyście to...

– A wy, rycerzu? – przerwał mu Jan, czepiając się chciwie życia. – Wyjawcie swe imię...

– Maynard de Rocheblanche – odrzekł rycerz. – Do usług.

– W istocie zamierzam was prosić o przysługę.

Na twarzy Maynarda malował się żal.

– Bóg mi świadkiem, gdybym mógł, zabrałbym was ze sobą. – Wskazał ranę w żebrach. – Obawiam się jednak, że nie jesteście w stanie się ruszyć, szlachetny panie...

– Nie wybawienia pragnę, ale dochowania tajemnicy...

– Jakiej tajemnicy?

Oczy Jana Ślepego spoczęły na Maynardzie, zupełnie jakby odzyskały zdolność widzenia. Następnie mężczyzna wy dobył z wnętrza żelaznej rękawicy

jakiś przedmiot i wręczył mu go.

Rocheblanche wziął go, nie zadając pytań. Był to drobny zwój pergaminu wsunięty w pierścień.

– Zabierzcie go stąd... Ukryjcie... – wyszeptał król Czech. – I nikomu nie pokazujcie. Nigdy, nikomu... Nawet mojemu synowi.

– Panie, raczcie mówić jaśniej...

Jan Ślepy wygiął się w łuk, przeszyty bólem. Walczył ze skurczami, zaciskając zęby, po gęstej brodzie spływała mu krew.

– Zapamiętajcie to dobrze, albowiem zostałem zdradzony przez tego, kto go chciał... – Zakasłał gwałtownie, po czym wykonał gest, jakby zwracał się do śmierci z prośbą, by zaczekała. – Przeklęty, oślepił mnie trucizną... Tuż przed tym, nim ruszyłem do bitwy...

– Mówcie, Wasza Wysokość, wyjawcie mi jego imię.

Nieszczęsny władca był już u kresu sił. Wsparł głowę na posłaniu z trupów, wznosząc oczy ku ołowianemu niebu.

– Przysięgnijcie, rycerzu... – Jego głos stał się niemal niesłyszalny. – Przysięgnijcie, że będziecie mi posłuszni, proszę was... Zanim dusza opuści moje ciało...

Maynard zachwiał się; chętnie uwolniłby się od zobowiązania i wyrzucił zwój pergaminu. Nie potrafił uchwycić dłaczego, ale czuł, że popełnia właśnie straszny błąd, że podejmuje decyzję, której będzie zawsze żałował. Nie zdołał wszakże uchylić się od poczucia obowiązku. Znajdował się przed obliczem umierającego króla, który odwoływał się właśnie do jego honoru. A w równie posępnych chwilach nic nie upodabniało istot ludzkich do aniołów bardziej niż honor.

Toteż gdy Jan Ślepy wydawał ostatnie tchnienie, Maynard de Rocheblanche przysięgał strzec jego tajemnicy.

Deszcz zamienił się w czarną i gęstą ulewę. Maynard był zmuszony oddalić się w pośpiechu od martwego Jana Ślepego i poszukać schronienia pod niewielkim wzniesieniem, aby nie utonąć w błocie. Ciemności pochłonęły pole bitwy z taką prędkością, że stracił wszelkie rozeznanie, lęk przed utratą przytomności i obudzeniem się na ziemi zajętej przez wroga nie pozwalał mu jednak się zatrzymać. Rocheblanche ukrył zwój wraz z pierścieniem pod żelazną płytą osłaniającą tors i ruszył, ślizgając się, ku czemuś, co – miał nadzieję – było jego wybawieniem. Nakazał sobie posuwać się w linii prostej, mając niemal pewność, że podąży na wschód. Spowalniał go przeraźliwy ból w lewej nodze. Utrudnił mu zwłaszcza przeskoczenie fosy, lecz kiedy mu się to udało, Maynard zmierzał dalej po dywanie mokrej trawy, korzystając wreszcie z możliwości schowania się pod drzewami. Znalazłszy się z dala od teatru walk, podążał naprzód dopóty, dopóki nie dotknął rękami kamienia brukowego, wyżłobionego przez wozy. Wówczas uzmysłowił sobie, że dotarł do dawnego rzymskiego szlaku, i zemdlął z wyczerpania.

Na chwilę obudziło go nużące kołysanie. Znajdował się na krytym wozie, a obok siedziała okutana płaszczem postać. Wzrok ponownie zaszedł mu mgłą, po czym spowiała go ciemność.

Odzyskawszy zmysły, usłyszał gdzieś w głowie głos Jana Ślepego. Był dzień, wóz przestał się poruszać. Maynard usiłował się podnieść, przeszywający ból w kolanie wszakże mu na to nie pozwolił. Postanowił więc doczołgać się do krawędzi wozu, aby usiąść i wyjrzeć na zewnątrz. Deszcz przestał padać. Wpatrywały się weń dwie osoby opatulone w płaszcze. Chłopiec i niewiasta. Przycupnęli na skraju drogi przy ogniu. Niewiasta mieszała coś w kociołku.

Zanim Maynard zdążył się odezwać, po jego prawej stronie pojawił się jakiś mężczyzna i podał mu manierkę. Rycerz podziękował skinieniem głowy i wypił jej zawartość. Czuł się osłabiony, oszołomiony. Przytłumiony odrętwieniem ból w lewej nodze stał się znośniejszy.

– Macie szczęście, messer – rzekł mężczyzna. – Gdyby nie sokoli wzrok mojego syna, zostalibyście na deszczu.

– Zawdzięczam wam życie. – Rycerz oddał manierkę i przyjrzał mu się uważniej. Jego wybawca był łysy i krępy, odziany w długi zielony płaszcz z kapturem. Wydawał się zbyt wymuskany jak na chłopca albo prostego rzemieślnika. – Nazywam się Maynard de Rocheblanche i potrafię się odwdziżyć za waszą dobroć.

– Ja jestem Jérôme Bataille, a to – wskazał na niewiastę i chłopca – moja żona, Marie, i syn, Nicolas. Wyruszyliśmy z Brugii, aby dotrzeć do Paryża. Po drodze usłyszeliśmy o starciu wojsk i wieść ta zmusiła nas do podróżowania

również w nocy, aby nie wpaść w wir walki.

– Lepiej byście uczynili, udając się jeszcze dalej na południe, i to prędko – poradził Maynard, posępniejąc. – Ocalałem ze starcia, o którym wspomnieliście, i wiercie mi, wkrótce na te ziemie najadą Anglicy.

Młody Nicolas wpatrywał się weń z podziwem.

– Powiedzcie no, messer, jesteście rycerzem króla Francji?

– Owszem, i jestem zmuszony prosić was o pomoc. – Uderzył pięścią w okrywającą go zbroję. – Musicie mi pomóc zdjąć całe to żelastwo – następnie wskazał na strzałę, która utkwiała mu nad kolaniem – i to także.

Po krótkim wahaniu Jérôme skinął głową i wraz z synem wdrapał się na wóz. Postępując zgodnie ze wskazówkami Maynarda, zabrał się do odczepiania od pendentu estoka i pasa ze sztyletem, po czym rozpiął kolejno płytki pancerza. Najpierw uwolnił ramiona, potem tors. Kiedy przyszła kolej na zdjęcie napierśnika, wywołało to deszcz grudek błota, wśród których znalazł się należący do króla Czech zwój.

Wówczas rycerz powstrzymał go gestem ręki, podniósł pergamin i go oczyścił. Arkusz był brudny, lecz nadal w dobrym stanie. To samo dawało się powiedzieć o otaczającym go pierścieniu. Pierścieniu z czystego złota. Maynard obrócił go w palcach, przyjrzał się koszyczkowi i rozpoznał kościelny herb.



Pośrodku na czerwonym tle widniał srebrny lew. Trudno było ustalić ród. Obecność kapelusza u góry oraz chwastów po bokach wskazywała, że jest to herb kardynalski.

Rocheblanche odłożył pierścień i poprosił swych wybawców, aby uwolnili go także z dolnej części zbroi. Spieszno mu było odsłonić lewą nogę i obejrzeć ranę.

– Powiedzcież, mistrzu Jérôme – zapytał tymczasem – z czego żyjecie?

– Wytwarzam arrasy, messer – odparł mężczyzna, oglądając sprzączki, które zostały mu do odpięcia – i chciałbym, żeby mój syn przejął po mnie to rzemiosło w mieście zamożniejszym niż gród, w którym dorastałem. – Nagle zamilkł i wskazał miejsce, w którym utkwiała strzała. – Do licha, ugodzono was dokładnie w szczelinę między nabiodrnikiem a nagolenicą, co za pech.

– Wielu moich towarzyszy spotkał dużo gorszy los – odparował z goryczą Maynard. – Zachowajcie ostrożność, zdejmując te części – poprosił – noga mocno mnie boli.

– Zdaje się, że jak dotąd się nie skarżyliście – zażartował tkacz arrasów.

Rycerz pozwolił sobie na westchnienie ulgi, gdy tylko wyswobodzono go ze zbroi. Nosił pod nią dublet i nogawice, które były całkowicie przemoczone, on jednak nie zaprzętał sobie tym głowy. Możliwość poruszania się bez ograniczenia, jakim był pancerz, dawała mu poczucie lekkości.

Jérôme pochylił się nad raną.

– Nie mogę zrobić nic więcej, przykro mi – mruknął, naradziwszy się z synem. – Gdybym odważył się wydobyć strzałę, mógłbym wyrządzić jeszcze więcej szkód...

– Nie trwóście się, pokażę wam. – Maynard widział wielokrotnie, jak opatruje się podobne rany, toteż mając do dyspozycji dwóch pomocników, był pewien, że zdoła ją wyleczyć. Wydobył sztylet i rozciął nogawicę aż do kolana, odsłaniając zaczerwienioną i posiniaczoną kończynę. Sam jej widok wzmógł jego cierpienie. Czerwień przechodziła w ciemną barwę, przywodząc myśl o gangrenie. – Róbcie, co powiem – ciągnął, ukrywając niepokój. – Musicie wyjąć strzałę zdecydowanym ruchem, na mój znak, a potem obmyć ranę winem lub octem. Poza tym – podał Nicolasowi sztylet – przyżegnacie tym.

– Nie byłoby lepiej poszukać pomocy? – zapytał z wahaniem tkacz arrasów.

– Maruderzy, którzy uciekli od Edwarda III, pewnie są niezbyt daleko. Musi być wśród nich jakiś cyrulik, który potrafiłby was uzdrowić.

Słowa te tchnęły w rycerza niespodziewaną nadzieję na dołączenie do towarzyszy. Prawdopodobnie król Filip VI wycofał się na południe, ku Fontaine bądź Amiens, aby doprowadzić w bezpieczne miejsce to, co pozostało z jego armii, i przystąpić do kontrnatarcia. Powinien spróbować do niego dołączyć. Tylko że rana nie mogła czekać...

– Gdybym zwlekał jeszcze jeden dzień, naraziłbym się na utratę nogi... Z drugiej strony jestem zbyt słaby, żebym zdołał się sam wyleczyć. – Zmarszczył brwi, przybierając niemal groźną minę. – Dlatego musicie mi pomóc. Teraz.

Wkrótce wszystko było gotowe. Żona Jérôme'a uszykowała czarę z octem i strzępy płótna do owijania, tymczasem Nicolas włożył sztylet do żaru.

Rycerz przywołał ojca i syna.

– Gdybym został ugodzony w udo albo w łydkę – wyjaśnił – poprosiłbym was o wepchnięcie strzały tak, aby wydobyć ją z przeciwnej strony, wtedy wystarczyłoby ją uciąć i wysunąć... Niestety, nie możemy postąpić w ten sposób. Grot dotyka kości, nie ma innego wyjścia, jak ją wyszarpnąć...

Nicolas już miał się wtrącić, lecz zamilkł.

– ...wyszarpnąć z całej siły, bez wahania – ciągnął Maynard. – Będzie bardzo bolało, ciało zostanie rozerwane, nie wolno wam jednak przestać. A następnie obmyjcie ranę.

Jérôme zacisnął palce wokół strzały, niezbyt przekonany.

– No cóż, nie traćmy czasu. – Był zlany potem, drżał, zupełnie jakby miał ją wydobyć z własnej nogi.

– Chwileczkę – powstrzymał go rycerz. – Przedtem muszę was prosić o jeszcze jedną przysługę. Czynię to teraz, w razie gdybym z bólu stracił przytomność.

– Słucham, messer.

– Jeśli po drodze natkniecie się na ślady wojska francuskiego, proszę, byście doprowadzili mnie do moich towarzyszy broni.

Tkacz arrasów spojrzał nań niepewnie.

– Czy nie narażę własnej rodziny?

– Przeciwnie, jak już mówiłem, otrzymacie nagrodę.

– Niech będzie.

– A zatem odwagi – zachęcił Maynard. – Do dzieła!

Upewniwszy się, że Nicolas całkowicie unieruchomił nogę, Jérôme mocniej zacisnął palce i wyszarpnął strzałę.

Maynard poderwał się z szeroko otwartymi oczami i wydał przeraźliwy okrzyk, wyrażający ból i złość, strach i upokorzenie. Okrzyk, który niósł się daleko w noc. Po czym runął na plecy z czołem zroszonym potem, walcząc z cierpieniem, podczas gdy zamoczone w occie pasy płótna zaczęły palić ranę.

– Strzała jest nietknięta – rozległ się głos chłopca.

Jérôme dodał:

– Zmyj krew...

– Tu masz nóż...

– Trzymaj go mocno!

– Teraz! Teraz!

Na koniec dało się słyszeć skwierczenie żaru, żelazo przyżegające ciało.

Maynard ponownie krzyknął.

Okrutny męski śmiech wbił mu się w pamięć niczym daga. I znów ból,

wreszcie obraz ojca leżącego na Eudeline.

Wściekłość przywróciła mu zmysły.

Wyrwawszy się z odrętwienia, Maynard przyjrzał się fragmentom zbroi ułożonym u swego boku, po czym powróciło pewne wspomnienie. Osłoniętych żelazem rycerzy, nacierających na piechurów odzianych w proste kolczugi. Poczł się jak tchórz.

Następnie zdał sobie sprawę, że wóz znów ruszył. Naprzeciw siedział Nicolas.

– Jak się miewacie, messer? – zapytał chłopiec, podsuwając mu czarkę.

Rocheblanche wziął jedzenie, odstawił je jednak, nawet nie kosztując. Noga sprawiała wrażenie bardziej opuchniętej niż wcześniej. Ból także się wzmógł.

– Przeżyję – odrzekł z gestem wdzięczności.

Nicolas podążył za jego wzrokiem, skierowanym ponownie ku zbroi.

– Wyczyściłem ją – oznajmił.

– Dzielny z was młodzieniec. – Rycerz roztarł obolałe ramiona. – Długo byłem nieprzytomny?

– Pół dnia. Opatrzywszy was, czym prędzej ruszyliśmy w drogę.

Maynard skinął głową, nie bardzo wiedząc, co dodać. Powodem skrępowania nie była wyłącznie rana ani ostatnie wydarzenia. Zrodziło się ono w duszy. Wtedy przypomniał sobie, że śnił o ojcu.

– To żytnia polewka, ugotowała ją moja matka – wyjaśnił Nicolas, wskazując czarkę. – Pomoże wam odzyskać siły.

Rycerz już miał odpowiedzieć, ale dobiegł go krzyk Jérôme'a z drugiej strony wozu:

– Obóz wojskowy! Messer, zbudźcie się! Odnaleźliśmy ich!

Obóz niedobitków spod Crécy rozciągał się wokół starego, dobrze widocznego z drogi kościoła. Nie ogradzały go palisada ani fosy, jedyną ochronę stanowiła spora ilość straży.

Maynard zaczekał, aż wóz się zatrzyma, po czym poprosił Nicolasa, aby pomógł mu zejść. Musiał się ucześcić jego ramienia i utrzymać równowagę, wspierając się na prawej nodze, mimo to poczuł się silniejszy na duchu. Nareszcie stał na własnych nogach i mógł spoglądać na wszystkich z pozycji stojącej. Jérôme, śledząc jego ruchy kątem oka, zeskoczył z kozła, nakazał żonie, by czekała z lejcami w garści, i szybko go dogonił. Zatrzymało go dwóch żołnierzy.

– Zamiast nękać tego poczciwego człowieka – wtrącił natychmiast rycerz – chodźcie mi pomóc.

Jeden ze zbrojnych podbiegł do niego i chwycił za kołnierz.

– Kimże jesteście, by odzywać się z taką hardością?

Maynard strząsnął dłoń tamtego lekceważącym gestem.

– Krew i błoto na moim odzieniu powinny mówić same za siebie – odparł z wysoko podniesioną głową. – Jestem rycerzem Jego Królewskiej Mości i panem na Rocheblanche, żądam przyjęcia mnie w tym obozie, abym mógł się przyłączyć do równych sobie *milites*.

– Wybaczcie wahanie – powiedział strażnik – ale w tym oplakanym stanie można by was wziąć za wieśniaka.

– Nicolas – krzyknął zniecierpliwiony rycerz – pokażcie no temu osłu mój miecz, żeby mógł zobaczyć herb rodowy na rękojeści.

Młodzieniec spełnił polecenie. Po chwili żołnierzowi nie pozostało nic innego, jak tylko zgiąć się w ukłonie.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wielmożność – wybąkał – skąd mogłem wiedzieć...

Maynard nawet nie raczył nań spojrzeć. Zwrócił się do tkacza arrasów, wreszcie uwolnionego od kłopotu:

– Mistrzu Jérôme, tu nasze drogi się rozchodzą. Zanim się jednak pożegnamy, chciałbym coś do pisania.

– Mam pióro i inkaust – odrzekł mężczyzna, zdziwiony tym osobliwym żądaniem – ale jedyny pergamin, jakim dysponuję, to skóra bydlęca, na której zapisuję rachunki...

– Nie domagam się aż tyle, wystarczy mi jakakolwiek tkanina.

Coraz bardziej zmieszany tkacz arrasów poszperał w rzeczach na wozie i wrócił z kawałkiem konopnego płótna o wystarczająco gęstym splocie, żeby dało się na nim pisać. Zanurzywszy pióro w inkaucie, Rocheblanche skreślił na nim kilka wierszy, a następnie złożył podpis.

– W ten sposób spłacam dług. – Podał mu płótno. – Mam nadzieję, że to wystarczy.

Mężczyzna przeczytał tekst.

– Nie pojmuję...

Maynard popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Czyż nie mówiliście, że jedziecie do Paryża?

– Owszem, to prawda.

– Cóż, znalezienie gościny w pobliżu Cité kosztowałoby was dużo wysiłku i tyleż samo pieniędzy. Pozwoliłem sobie zatem polecić was memu wielebnemu wujowi, Antoine'owi Tempierowi, przeorowi kościoła Świętego Dionizego. Gdy dotrzecie do Paryża, udajcie się do niego i pokażcie mu to płótno. Możecie być pewni, że znajdzie wam godziwe lokum, gdzie będziecie mogli zamieszkać i poświęcić się swemu rzemiosłu.

– Messer, to zbyt wielka szczodrość... – podziękował wzruszony Jérôme.

– To nic w porównaniu z waszą szczodrością – odrzekł rycerz. – Każdy inny zostawiłby mnie w deszczu przy drodze i pozwolił umrzeć. Wy natomiast zaopiekowaliście się mną i ocaliliście od pewnej śmierci. Zyskaliście mój szacunek i przyjaźń – poklepał go po ramieniu. – Jeśli któregoś dnia nieszczęśliwym zrzędzeniem losu doznacie krzywdy, zawsze możecie na mnie liczyć.

Skinąwszy mu na pożegnanie, Maynard zwrócił się do młodszego strażnika.

– Podajcie mi ramię, żebym mógł iść wyprostowany – rozkazał surowym tonem. Po czym wbił wzrok w zuchwalca, który wcześniej chwycił go za kołnierz. – Wy zaś weźcie z wozu części mojej zbroi i zanieście do kwatery. Zadbajcie, żeby była wygodna, bo inaczej każę was wychłostać!

Kiedy Maynard mógł wreszcie wyciągnąć się na posłaniu, wóz Jérôme'a Bataille'a był już daleko. Rycerz znalazł kwaterę pod namiotem przy kościele, przyzwoite lokum z dala od ciekawskich oczu. Polecił pacholce, aby przyniósł mu balię z wodą, i umył się z jego pomocą, po czym wyjął monetę z sakiewki, którą nadal miał u pasa, i mu ją rzucił.

– Znajdź mi coś do jedzenia i jakieś odzienie w dobrym stanie – polecił.

Chłopiec złapał monetę w locie, skinął głową i skłoniwszy się, opuścił namiot. Po niedługim czasie wrócił, niosąc starannie złożone szaty i glinianą miseczkę.

Czekając, Rocheblanche poświęcił całą uwagę swojej nodze. Oczyszczył ranę wilgotnym gałganem, obmywając skórę wokół śladu po przyżeganiu, aby sobie nieco ulżyć. Opuchlizna zmaląła, ból wszakże nie osłabł. Mimo to Maynard się nie uskarżał, w gruncie rzeczy cieszył się, że wyszedł niemal bez szwanku z piekła Crécy. Zważywszy, że waleczni mężowie padali jak muchy na jego oczach, nasunęło mu się pytanie, czy przeżył dzięki zwykłemu lutowi szczęścia, czy w określonym celu. Pomyślał, że tajemnica króla Czech uchowała się wyłącznie

dzięki niemu. Niepokoiło go to. Jan Ślepy nie poprzestał na powierzeniu mu pieczy nad pewnym przedmiotem. Wyjawiał mu także zdradę, być może zrodzoną w szeregach królewskiego wojska. Maynard zastanawiał się, czy przysięga milczenia pozwala mu na zatajenie tego przed władcą.

W tej właśnie chwili pachołek podał mu dublet z szerokimi rękawami i najlepszej jakości nogawice. Rocheblanche spodziewał się czegoś skromniejszego, toteż spojrzał nań zawiedziony.

– Skąd je wziąłeś?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Ukradłem – przyznał, chichocząc, i postawił czarkę pełną jakiejś wodnistej polewki obok posłania.

Rycerz odział się bez słowa. Chociaż odpoczął, nadal czuł się słaby. Dygotał z gorączki i nie miał żadnej ochoty na jedzenie, zmusił się jednak, by wychłeptać zupę w nadziei na rychłe odzyskanie sił. W końcu wyjął kolejną monetę i pokazał młodzieńcowi.

– Jeśli będziesz umiał odpowiedzieć na moje pytania, dostaniesz i tę – obiecał, obracając ją w palcach. – Jego Królewska Mość znajduje się w tym obozie, prawda?

– Tak, messer. Przebywa w rozwalonym kościele.

– Wiesz, czy już zdążył zwołać naradę wojenną?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie musisz zasięgnąć języka – oświadczył rycerz. – Dowiedz się także, czy Jego Królewska Mość może udzielić posłuchania. Idź!

Odprawił pachołka, a gdy został sam, zajął się następną kwestią. Wziąwszy do ręki niewielki zwój, który powierzył mu Jan Ślepy, zsunął kardynalski pierścień. *Nikomu go nie pokazujcie... Nawet mojemu synowi...* „Tak też uczynię”, pomyślał rycerz, chciał jednak zgłębić tajemnicę zdrady Jana Luksemburskiego.

Zwój pergaminu był niedużych rozmiarów, bez trudu dało się go więc ukryć w dłoni. Zawierał lakoniczny tekst, skreślony po łacinie.

*Missam ut molam ab angelo in mare
est Lapis exilii situs in Monte floris
nostra salute clausus in vetusta crypta
sub caelo historiis mire depicto
a meridie Sancti Savini in villa Cerisii.*

Maynard zmarszczył czoło, nie mogąc zrozumieć. Nie znaczenie słów mu umykało, lecz pojęcia, do których się odnosiły. Wyglądało to jak zagadka, podobna do tych, które skrybowie zostawiają niekiedy na marginesach przepisywanych ksiąg. Usiłował odnaleźć sens, tłumacząc cichym głosem.

*Niczym kamień młyński rzucony do morza przez anioła
jest kamień banicji umieszczony w górze kwiatu*

*dla naszego zbawienia zamknięty w starej krypcie
pod niebem pomalowanym w zachwycające historie
na południe od świętego Sabina w miasteczku Cerisier.*

Jedyna zrozumiała wskazówka znajdowała się w ostatnim wersie, w którym była mowa o słynnym kościele Świętego Sabina w Vienne, wzniesionym niedaleko Poitiers, w pobliżu miejsca dawniej znanego jako miasteczko Cerisier. Poza tym w tekście widniała wzmianka na temat tajemniczego *Lapis exilii*, „kamienia banicji”, ukrytego w krypcie „dla naszego zbawienia”, czyli zbawienia rodzaju ludzkiego. Aluzja do kamienia młyńskiego i anioła, podobnie jak do pomalowanego nieba, stanowiła prawdziwy dylemat. Największa zagadka, która zdaniem Maynarda pozwoliłaby na poprawne odczytanie tekstu, zawierała się wszakże w słowach *in monte floris*. „W górze kwiatu”. Z pewnością chodziło o wzniesienie, szczyt albo wzgórze. Właśnie tam musiała się znajdować *vetusta crypta*, w której zamknięty był kamień banicji. Rycerz nie potrafił sobie wyobrazić, jaki nieodgadniony skarb mógłby się kryć w tym miejscu. Tak czy inaczej, Jan Ślepy kazał mu przysiąc, że go nie wyjawia. Nie może o nim powiedzieć nawet królowi Filipowi VI.

Spostrzegłszy przed wejściem postać mężczyzny, czym prędzej zwinął pergamin i schował wraz z pierścieniem za plecami.

Pachołek powitał go zadowolonym uśmiechem.

– Król udziela posłuchań – oznajmił, gdy tylko pozwolono mu mówić – ale nie zwołał jeszcze narady wojennej.

– A kiedy zamierza to uczynić? – zapytał rycerz.

– Nie wiadomo, messer.

– Jesteś pewien, że dobrze zrozumiałeś?

Chłopiec skinął potakująco głową.

– Zdradził mi to jeden z jego paziów.

Maynard rozważał jego słowa, po czym kiwnął głową.

– Pomóż mi wstać, żywo – wyciągnął rękę do pacholka.

– Messer, na waszym miejscu bym odpoczął. Nie wyglądacie dobrze.

– Później odpoczne. Teraz muszę się rozmówić z Jego Królewską Mością w dosyć delikatnej kwestii.

W zakrystii opuszczonego kościoła wypełnionej przenikającym przez biforium światłem rozmawiało dwóch mężczyzn. Wyższym z nich był król Filip VI Walezjusz. Nadal miał na sobie zbroję i błękitny płaszcz ze złotymi liliami Francji, gestykulował, jakby zaraz miał wpaść w gniew. Stojący przed nim arystokrata, który zachowywał się spokojniej, nosił wytworną ciemną opończę, podkreślającą jego jasną cerę i rude włosy. Maynard próbował sobie przypomnieć, gdzie już go widział, chociaż akurat w tej chwili jego największym zmartwieniem było utrzymanie godnej postawy w obliczu władcy. W tym celu zrezygnował ze wsparcia pacholka, zaopatrując się w kij, aby móc chodzić wyprostowany i nie nadweręzać lewej nogi. Niełatwe zadanie, zwłaszcza że musiał pokonać schody kościoła.

Na widok pogrążonego w rozmowie monarchy pomyślał, żeby się wycofać i spotkać z nim później. Uzmysłowił sobie jednak, że go dostrzeżono.

– Wasza Królewska Mość – rzekł, kłaniając się niezdarnie – proszę o posłuchanie.

– Rocheblanche – Walezjusz skinął nań, by się zbliżył – sądziliśmy, żeście polegli w bitwie.

– Cudem ocalałem, sire.

Monarcha zmierzył go od stóp do głów.

– Co was przywiodło przed nasze oblicze z poranioną nogą?

– Grobowa wieść. Widzę jednak, że jesteście zajęci, nie chciałbym przeszkadzać.

– Bez obaw. – Filip VI wskazał ręką towarzyszącego mu mężczyznę. – To jest szlachetny Karol, hrabia Luksemburga. Syn króla Czech. Możecie mówić swobodnie w jego obecności.

Maynard przyjrzał się uważnie twarzy mężczyzny o płowych włosach i cofnął się bezwiednie. *Nawet mojemu synowi*, przestrzegł Jan Ślepy. Karol Luksemburski był podobny do ojca, brakowało mu wszakże jego dumy i jego regularnych rysów. Miał zbyt duży nos, łysiejące czoło i za mocno wystające kości policzkowe. Czujność Maynarda wzbudziły jego niebieskie wytrzeszczone oczy.

– A więc, Rocheblanche? – przynaglał Walezjusz, zniecierpliwiony jego wahaniem. – Jaką wiadomość nam przynosicie?

Rycerz ciągle wpatrywał się w księcia Karola, zdjęty nieoczekiwanym uczuciem skrępowania.

– Jan I Luksemburski nie żyje – spuścił głowę na znak żałoby.

Filip VI splótł ręce na piersiach.

– Jesteście pewni, messer? O ile nam wiadomo, wpadł w ręce Anglików.

– Niestety, bardziej niż pewny – przytaknął Maynard. – Natknąłem się na

jego udęczone ciało, kiedy wyczołgiwałem się z pola bitwy.

– Był już trupem? – zapytał Karol, nie okazując żadnych uczuć.

Nim rycerz zdążył odpowiedzieć, doznał wrażenia, że księżę przesuwając się poza padający snop światła, zupełnie jakby się chował.

– Jeszcze nie, Wasza Wysokość.

– Przemówił do was?

– Ledwie parę słów – skłamał Maynard – akurat tyle, żeby polecić własną duszę Bogu. – Coś w intonacji, z jaką tamten zadał pytanie, wzmogło jego czujność.

– Doprawdy? – Twarz Karola zniknęła właśnie w cieniu. – Mój szlachetny ojciec był człowiekiem skrywającym wiele tajemnic; to dziwne, że przed śmiercią nie wyjawiał żadnej z nich.

Rocheblanche wzruszył ramionami. Chociaż wyraźnie go korciło, żeby powtórzyć słowa Jana Ślepego, jakieś przecucie kazało mu milczeć. A jeśli w istocie ma przed sobą przywódcę spisku?

Księżę przytknął pięść do podbródka, marszcząc czoło.

– Tymczasem, jak powiadacie, wyzionął ducha, modląc się – ciągnął zadumany. – Jak pospolity człowiek.

– Jak waleczny wojownik – sprostował Maynard, zwracając się do króla Francji, aby przerwać nieledwie podstępłą rozmowę. – Waleczny mąż, z którego wszyscy powinniśmy brać przykład.

– Czyżby to był przytyk do naszego odwrotu? – odparował Walezjusz urażony.

– Miałem na myśli jedynie lekcję odwagi, Wasza Królewska Mość.

– Odwaga nie jest równoznaczna ze strategicznym sprytem – skwitował monarcha. – I jak mniemam, sam Karol Luksemburski jest gotów przyznać, że jego szlachetny rodzic poświęcił się dla głupiej brawury.

– Nie dla głupiej brawury. – Maynard poczerwieniał, słysząc, jak umniejsza się cnoty, w których dorastał. – Lecz aby poprowadzić ludzi do natarcia.

Filip VI pokręcił głową.

– Powiódł ich na rzeź, chociaż kości już zostały rzucone. Wystawił jazdę na atak łuczników Edwarda Trzeciego.

– Wiem o tym doskonale, tylko że...

– A wiecie także, ilu poległo, Rocheblanche? – krzyknął Walezjusz, nie posiadając się z oburzenia. – Ponad cztery tysiące! Cztery tysiące rycerzy takich jak wy! Anglicy zdziesiątkowali naszą szlachtę.

Maynard spuścił wzrok bardziej z szacunku dla poległych towarzyszy niż ze strachu przed monarchą.

– Nie doceniliśmy łuczników, to prawda – przyznał przez zaciśnięte zęby. – Ale następnym razem...

– Nie będzie następnego razu – przerwał mu Filip VI. – Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

Rycerza ogarnęło zdumienie.

– Chyba nie chcecie czekać, aż Edward Trzeci i Czarny Książę ruszą na Paryż!

– Ich celem nie jest Paryż, lecz Calais.

– I pozwolicie, żeby je oblegali?

– Nie mamy wyboru.

Maynard westchnął z głębokim rozczarowaniem. Nie zamierzał krytykować strategii, lecz beztrzęsą, z jaką go uciszono.

– Skoro jest tak, jak powiadacie, sire, oznacza to, że pod Crécy przegraliśmy coś o wiele ważniejszego niż bitwę.

– Rocheblanche! – przywołał go do porządku Walezjusz. – Wasz ojciec nigdy nie pozwoliłby sobie na takie zuchwalstwo w stosunku do nas.

„Mój ojciec był zwierzęciem”, pomyślał rycerz. Nim zdążył odpowiedzieć, pochwylił szybkie spojrzenie Karola, rzucone na pokryty rdzą świecznik, za którym dostrzegł przemyskającą w cieniu czarną postać. Jedna chwila i postać rozplynęła się w mroku. Maynard pomyślał, czy nie powiadomić o tym monarchy, lecz ugryzł się w język.

– Proszę o wybaczenie – oświadczył jednak, udając zakłopotanie. – Nie zamierzałem nikomu uchybić, lecz jedynie wyrazić swoje własne zdanie.

– Nikt was o nie nie pytał. – Filip VI wcale nie zamierzał się uspokoić. – Niech wam się nie wydaje, że tanio się wykpicie, messer.

Właśnie wtedy do rozmowy wtrącił się Karol Luksemburski.

– Sire – rzekł pojednawczym tonem – może wasz rycerz potrzebuje jedynie odpoczynku. – Stał naprzeciwko Maynarda ze słodką miną. – Zwróciliście uwagę na jego bladość? Nie tylko kondycja fizyczna, ale także rana w nodze musiała zakłócić jego zdolność rozumowania.

– Tak czy inaczej, zuchwalstwo należy ukarać – odburknął monarcha.

– Uczyńcie dla mnie wyjątek – nalegał książę. – Ten człowiek przyniósł wieści o moim ojcu. Ponure wieści, niestety, wszelako jestem jego dłużnikiem.

Po chwili milczenia Walezjusz skinął głową.

– Rocheblanche, podziękujcie szlachetnemu Karolowi za jego wspaniałomyślność. – I dodał zniecierpliwiony: – Odprawiamy was z rozkazem powrotu na wasze ziemie, jak tylko wydobrzejecie. Nigdy więcej nie ośmielajcie się uchybić swojemu władcy.

Wsparty na kijku Maynard zgiął się w ukłonie. Podniósłszy wzrok, spostrzegł szyderczy uśmiech Karola Luksemburskiego i zdał sobie sprawę, że tamten wpatruje się weń z chciwą podejrzliwością inkwizytora.

Pojał wówczas, że nie zdołał wywieść go w pole.

I że ma w nim potężnego wroga.

Dotarcie do drzwi kościoła okazało się nie lada wyczynem. Nie z powodu trudności z chodzeniem, lecz za sprawą ciężaru, jaki Maynard poczuł w sercu. Był pewien, że Karol Luksemburski stanął w jego obronie, aby połączyć go ze sobą węzłem wspólwiny. Współwiny łączącej nieprzyjaciół. I chociaż rycerz nie wiedział, w jakim stopniu jest on zamieszany w śmierć Jana Ślepego, czuł, że musi mieć się przed tym człowiekiem na baczności. Podejrzewał, że tamten zwietrzył jego kłamstwo i że w taki czy inny sposób postara się odkryć, co przed nim ukrywa.

Przystanął pośrodku głównej nawy, jakby chciał poprosić o radę Chrystusa na krzyżu, widniejącego na ołtarzu. Przyglądał się, jak jego wyrzeźbiona w drewnie postać lśni w świetle pozbawionego witraży okna. Przybity gwoździami Chrystus był chudy i żylasty, miał ogromne oczy w kształcie migdałów. Rycerz otworzył usta, by odmówić modlitwę, ich widok tak go jednak zafascynował, że nie zdołał wyrazić myśli. Ból w ciele i umyśle. Te oczy nie mówiły o niczym innym. Tak jakby chciały go chronić, otoczyć aurą pokoju. Maynard wpatrywał się w nie, nie poddając się wzruszeniu. Czuł wyrzuty sumienia z powodu wszystkich tych istnień, które pozbawił życia. A potem wystarczył jeden krok w tył, ku łukowi portalu, i czar prysł. Znowu był sam przed olbrzymią tajemnicą.

Znajdował się już w połowie schodów wiodących do kościoła, gdy dostrzegł mężczyznę w zbroi, który podbiegł, aby mu pomóc. Maynard szorstko odmówił, po czym zrobiło mu się przykro i zamierzał przeprosić. Wówczas rozpoznał przyjazną twarz.

– Robert de Vermandois – rzekł – cieszę się, widząc, żeście cali i zdrowi.

– Ja również, Rocheblanche. – Ciemnowłosy i potężnej budowy Robert de Vermandois był pikardyjskim baronem, który popadł w niełaskę, lecz ciągle żywił wojownicze przywiązanie do honoru. – Wczoraj w bitwie bałem się o was.

– Kusilem los, przyznaję.

– Przynajmniej nie okryliście się hańbą – odparł szlachcic z posępną miną. – Walczyłem na zachodniej flance, wśród hord piechurów, kiedy dostałem rozkaz wycięcia w pień naszych własnych najemników, żeby nie dokonali odwrotu.

– Macie na myśli kuszników? – chciał wiedzieć Maynard, który kuśtykając, kierował się do swego namiotu.

Robert ruszył za nim, pokrzykując i wymachując potężnymi dłońmi.

– Owszem, oddziały genueńskie.

Rycerz skinął głową na znak, że pojmuje, powstrzymał się jednak od odpowiedzi. Filip VI kazał rekrutować piętnaście tysięcy genueńskich kuszników jako wsparcie dla jazdy i trudno się dziwić, że ci nieszczęśnicy okazali w boju niezdecydowanie. Dotarłszy pod Crécy po ponad sześciu godzinach marszu, zostali

zmuszeni do natarcia bez możliwości odpoczynku. Vermandois wyrwał go z zadumy:

– Pociemnieliście na twarzy, Rocheblanche. Otrzymaliście złe wieści?

Maynard zbył go zagadkowym uśmiechem.

– Pragnąłem zamienić słowo z Jego Królewską Mością sam na sam – odrzekł tylko – ale nie okazano mi takich względów.

Pikardyjski baron wzruszył ramionami.

– Od kiedy ponieśliśmy klęskę, Walejusz bezustannie naradza się z tym całym Karolem Luksemburskim.

Rycerza zacięła nuta pogardy w jego głosie.

– Znacie go? – zapytał.

– Nie tak jak ojca – odparł Robert. – Karol to człowiek skryty, wiecznie otoczony księżmi i religijny do granic fanatyzmu. Nie wiem o nim nic więcej oprócz tego, że jest tchórzem.

– Co przez to rozumiecie?

– Wiadomo na pewno, że wczoraj wycofał się z bitwy jeszcze przed decydującym starciem.

Maynard przytaknął z uwagą, wieść ta potwierdzała jego podejrzenia. Nawet jeśli nie stanowiła dowodu zdrady, porzucenie ojca na polu bitwy nie świadczyło dobrze o dostojnym Karolu. Nagle był zmuszony przystanąć z powodu ostrego bólu w kolanie, a poprosiwszy barona, by nań zaczekał, uzmysłowił sobie, że minął swój namiot. Dotarł do granic obozu, gdzie kwaterowali niżsi rangą żołnierze i konie.

– Zmusiłem was do dłuższej przechadzki, niż należało – usprawiedliwił się Robert, wskazując stajnie – ale potrzebuję nowego wierzchowca. A skoro w Crécy przeżyło więcej koni niż ludzi, chciałbym zasięgnąć waszej rady.

– Nie tłumaczcie się, przyjacielu. – Nie zważając na ból, Rocheblanche wsparł się na kij i ruszył dalej wyprostowany. – Będę bardzo rad, korzystając ze sposobności, jako że i ja zostałem zmuszony do poruszania się pieszo. – W rzeczywistości czuł, że słabnie coraz bardziej i chce się położyć, nie znosił jednak, kiedy traktowano go jak niedołęznego.

Znalazszy stajennego, wsunęli mu parę monet, aby móc wybrać spośród najlepszych egzemplarzy pozbawionych właścicieli, i zaczęli się rozglądać. Rzec nie polegała wyłącznie na tym, by określić, czy koń jest zdrowy i silny, ale czy ma odpowiedni temperament. W zaciętej bitwie rumak może stracić odwagę i spłoszyć się przy najmniejszym zagrożeniu. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, Maynard starannie ocenił każde zwierzę – ruchy jego żreń, łba i kopyt – aż wybrał noszącego się dumnie karego i dostatecznie potężną klacz do dźwigania ciężkiej zbroi. Wzrok barona Vermandois przyciągnął natomiast wytworny biały koń.

Odebrawszy niezbędne końskie rzędy, oddalili się z wodzami wierzchowców w dłoniach.

– Wejdźcie do mojego namiotu – zaprosił zadowolony z wyboru Pikardyjczyk. – Ten gagatek, mój giermek, zdobył skądś okowitę, a Bóg jeden wie, jak nie znoszę pić w samotności... Rocheblanche, słuchacie mnie?

Z ust Maynarda wydobył się jedynie jakiś nieartykułowany dźwięk. Wzrok zaszedł mu mgłą, dając złudzenie brodenia w oślepiającej bieli. Nagle rycerz nie był w stanie rozróżnić, gdzie stawia stopy, zdjęty więc trwożą, uczepił się wodzy karego, aby zachować równowagę. Coraz bardziej osłabiony, runął jednak na ziemię.

Mokry gałgan ześliznął się z czoła. Czyjaś prędką dłoń podniosła go i położyła z powrotem na miejsce.

– Mówiłem, messer, że źle wyglądacie.

Maynard obudził się z westchnieniem ulgi we własnej kwaterze. Czuł, że ma rozpalone czoło, noga zaś nieprawdopodobnie spuchła. Spróbował się podnieść, lecz pachołek przycisnął mu dłoń do torsu i zmusił do leżenia. Niezdolny sprzeciwić się owemu prostemu gestowi, rycerz zdał sobie sprawę ze swej słabości. Ogarnął go również silny niepokój, którego przyczyny z początku nie był w stanie określić. Później przypomniał sobie jednak, że przyśniła mu się figura Chrystusa ukrzyżowanego ze starego kościoła, szeroko otwarte powieki, ukazujące czarne oczodoły, z których wypełzały ogromne robaki. Dłoń powstrzymała go po raz drugi.

– Pan na Vermandois przyniósł was tutaj bez czucia – wyjaśnił chłopiec. – Trzymał was na rękach jak niewiastę.

Rycerz usiłował coś powiedzieć, ale całkiem zaschło mu w gardle. Uśmiechnął się nieznacznie.

– Wyobrażam sobie... – szepnął – jak przednią miałeś uciechę...

Śmiech pachołka oddalił jego przerażenie, pozwalając, by ponownie otulił go sen. Spokój.

Dochodził do siebie przez tydzień. Musiał leżeć na pościeli, dopóki nie odzyskał sił, jednocześnie dochodziły do niego słuchy, że coraz więcej wojska opuszcza obóz. Pragnienie Filipa VI, by prowadzić działania wojenne, rozwiało się, co skłoniło wysokiej rangi rycerzy do powrotu na własne ziemie. Jego Królewska Mość nadal wszakże tkwił w zniszczonym kościele z garstką wiernych. Poleciwszy pachołkowi, aby dowiedział się o ich imiona, Maynard usłyszał, że znajduje się wśród nich także Karol Luksemburski. Nie udało mu się zdobyć więcej wiadomości na jego temat, poza pogłoską, że pilnie oczekują go w Kolonii. Mimo to księżę zwlekał z wyjazdem.

Tymczasem odwiedziny Roberta Vermandois stały się coraz częstsze. Przed zwinięciem namiotów pikardyjski baron chciał się upewnić, że Maynard

wyzdrowiał. W tym celu oddał go w ręce cyrulika, który dostarczył leczniczych maści, a nawet skromnej ilości laudanum, aby uśmierzyć ból w nodze. Lecz szukał jego towarzystwa przede wszystkim po to, by rozgrywać długie partie szachów, podczas których obaj sączyli okowitę, gawędząc o wszystkim i o niczym. Niebawem rycerz nabrał przekonania, że swoje ozdrowienie zawdzięcza nie tylko medykamentom, ale także obecności owego szorstkiego i dumnego człowieka, pomagającego mu wydobrzeć przede wszystkim na umyśle.

Odkąd opuścił zakrystię, nosił w sobie jakąś gorycz. Obojętność Walezjusza na losy Calais ukazała mu coś więcej niż tylko zwykłe, nieprzyjemne oblicze władcy. W gruncie rzeczy królewskie słowa skrywały smutną prawdę, której wielu nie zdołało wyrazić. Czasy rycerstwa dobiegały końca. Bitwy rycerzy zastępował bardziej rozwinięty rodzaj wojny, w którym ludzkie męstwo liczyło się o wiele mniej niż wybicie wroga. Rocheblanche wspominał o tym Robertowi między jednym ruchem figury a drugim, skarżąc się, że żyją w czasach pozbawionych odwagi i dumy. Wszelako nie był naiwny. Doskonale wiedział, że szlachetne czyny istnieją wyłącznie w recytowanych na turniejach *chansons* i *legendae* o świętych wojownikach. Nie był także zakłamanym. Jego zdaniem strategie Edwarda III zasługiwały na potępienie w takim samym stopniu jak przemoc, której dopuszczali się francuscy *milites*. Aczkolwiek zachował wiarę. Wiarę w ideały, którymi karmił się od dziecka. Wiarę, którą na jego oczach podeptał najpierw ojciec, a potem król.

Lecz jeszcze coś innego nie dawało mu spokoju: tekst widniejący na małym pergaminie. Korzystał z każdej chwili samotności, by go zgłębiać w nadziei, że odgadnie jego ukryte znaczenie. Robił to zwłaszcza po zmierzchu, w blasku świecy, gdy złe przeczucia nie pozwalały mu zasnąć.

W ten sposób pewnej nocy, dokonawszy kolejnej z nieskończenie wielu prób, uzmysłowił sobie, że pierwszy wers zagadki podsuwa mu coś znajomego. Anioł, kamień młyński, morze... Musiał już kiedyś słyszeć te słowa, był o tym przekonany, mimo że nie potrafił przypomnieć sobie ani gdzie, ani kiedy. Zniechęcony odłożył na bok pergamin i przyjrzał się herbowi na złotym pierścieniu. „Czy to możliwe, żeby Karol Luksemburski był zamieszany w owe nieczne sprawy?”, zapytał w duchu. *Jest wiecznie otoczony księżmi*, jak zauważył Robert de Vermandois.

Księżmi i... purpuratami.

– Co robicie, messer?

Maynard uniósł świecę i spostrzegł wynurzającego się z mroku pachółka.

– Nie twoja rzecz – wykrzyknął zły na samego siebie, że pozwolił się przyłapać.

– A ten wspaniały pierścień? – rzekł chłopiec, wskazując połyskujący w ciemnościach przedmiot. – Należy do was? Nigdy podobnego nie widziałem.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – obsztorcował go coraz bardziej

rozsierzony rycerz.

Pachołek skierował się ku wyjściu, udając obrażonego.

– W takim razie nic wam nie powiem o mężczyźnie w czerni.

– Jakim mężczyźnie? – zaciekawiał się Maynard, nakazując mu zawrócić.

– Tym, który dopiero co kręcił się koło waszego namiotu. Ledwie mnie zobaczył, zniknął.

Rocheblanche spochmurniał.

– Potrafiłbyś go opisać?

– Było zbyt ciemno, żeby dojrzeć jego twarz – odrzekł młodzieniec. – Miał na sobie czarny płaszcz z kapturem nasuniętym na czoło. Wpadło mi w oko tylko tyle, że był niskiego wzrostu i w dość młodym wieku, bo nie nosił brody.

– Musimy jechać – oznajmił Vermandois, wymierzywszy kopniaka wylenialemu kotu, który się o niego ocierał.

Maynard skinął potakująco głową. Wstał o świcie, by załadować części zbroi na klacz. Tej nocy źle spał, a teraz korzystał z porannego powietrza, aby się rozbudzić i przegnać niepokój. Odkąd pacholek wspomniał o mężczyźnie w czerni, jego myśli wędrowały bezustannie ku postaci ukrywającej się w półmroku zakrystii, siejąc strach przed zasadzką. Istniał jeszcze wszakże inny powód, dla którego nie potrafił czekać z założonymi rękami. Wprawdzie nadal nie znał znaczenia zagadki *Lapis exilii*, lecz przypomniał sobie w końcu, kiedy słyszał słowa pierwszego wersu pergaminu. Wydarzyło się to pod kamienną arkadą, nad otwartą księgą spoczywającą na pulpicie... W Reims, w klasztorze, w którym przebywała jego siostra, Eudeline.

– Jestem prawie gotów – rzekł do kompana i poklepał go po ramieniu.

– Prędko doszłście do siebie. – Pikardyjczyk przyglądał się z zadowoleniem jego ruchom. – To dobrze, przyjacielu, bo będziemy mogli wyruszyć w drogę z orszakiem Jego Królewskiej Mości.

– Cóż za zaszczyt – stwierdził z przekąsem rycerz, sprawdzając siodło karego. Nadal kulał, ale potrafił już utrzymać się na nogach bez kija.

– Zaszczyt przebywania z kimś, kto ucieka z podkulonym ogonem – warknął Vermandois, po czym podszedł do konia Maynarda i zmierzwił mu grzywę. – Wy także zmierzacie do Paryża?

Zanim Maynard odpowiedział, zacisnął rzemienie mocujące strzemiona.

– Będę się posuwał z orszakiem aż do hrabstwa Beauvais, potem skręcę na wschód.

– Ku Reims, jak mniemam. Wasze ziemie czekają.

– Nie ziemie, lecz bardzo bliska mi osoba.

Pikardyjczyk zmrużył oczy.

– To długa podróż, a wy dopiero co odzyskaliście siły.

– Chyba nie zamierzacie mi matkować – dodał Rocheblanche, pojawiając się w lot jego zamierzenia. – Już dość wam zawdzięczam.

– Po prawdzie, przyjacielu – Robert de Vermandois starał się ukryć zakłopotanie – skorzystałbym z waszego towarzystwa, żeby nacieszyć się odrobiną gościnności. Jak doskonale wiecie, nie posiadam ziem ani rodziny, nie mam więc do czego wracać.

Maynard wpatrywał się ukradkiem w jego twarz, wyobrażając sobie, ile go musiało kosztować to wyznanie. Baron wywodził się z tak starego rodu, że jego korzenie owiane były niemal legendą, lecz kiedy został wdowcem, krewni żony przepuścili cały majątek. Pozbawiony lenna i pieniędzy, twierdził, że zaszył się

w zamku, czekając na wojenne przygody.

– Nie zamyślam zatrzymywać się w mojej siedzibie – uśmiechnął się dobroduszenie. – Mimo to wasza obecność będzie dla mnie zaszczytem.

Co rzekłszy, dokończył przygotowań. Przytroczył do siodła długi miecz, który zabrał z obozu, aby zastąpić nim ten utracony w bitwie, następnie przypiął u pasa estok, o krótszym i cięższym ostrzu. Potem oddalił się w poszukiwaniu pachołka. Ledwie go znał, nie wiedział nawet, jak mu na imię, darzył go wszakże uczuciem wdzięczności i zamierzał ocalić od nędzy. Chętnie wzięłby go ze sobą, aby uczynić stajennym albo nawet giermkim. Przeszukawszy jednak na próżno cały obóz, musiał zrezygnować, gdyż chłopak jakby zapadł się pod ziemię.

Pogodzony z wyjazdem bez pachołka, Maynard w pośpiechu dopełnił ostatnich przygotowań. Jednocześnie oczyma duszy ujrzał własny dom, nieliczne ziemie odziedziczone po ojcu i siostrze, jedynym członku rodziny, jaki mu pozostał. Nie widział jej od ponad roku i już sama myśl o niej rozwiewała wszystkie troski.

Zgodnie z postanowieniem wyruszyli z orszakiem królewskim, wśród wysokiej rangi rycerstwa i duchowieństwa. Maynard chętnie by zrezygnował z tego przywileju, gdyby nie to, że dobrze wyposażona świta zniechęcała najbardziej zuchwałych zwiadowców Edwarda III do zasadzek.

Najczęściej ludzie z eskorty przemierzali się konno, obarczając zadaniem dźwigania broni i zbroi muły oraz inne zwierzęta juczne. Nie brakowało wozów, na których jechały przede wszystkim ważne osobistości.

Podążyli prostą drogą na południe, mijając wioski, które pustoszały coraz bardziej z obawy przed nadejściem Anglików. Dosiadający karego Maynard obserwował czujnie leniwy chód klaczy i poznawał drażliwe usposobienie Roberta, który nie przepuścił żadnej sposobności do zrzędzenia. Pod pozorną szorstkością Pikardyjczyka kryło się zniechęcenie arystokraty, patrzącego na koniec świata, dla którego zawsze żył, a przynajmniej tak mu się wydawało. Maynard w pełni podzielał te uczucia, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie wpadł w podobne tarapaty. W przeciwieństwie do swojego towarzysza nadal miał coś, o co warto było się bić. Miłość do Eudeline i pakt honorowy zawarty z Janem Ślepym.

Posuwali się na południe bez większych przeszkód aż do następnego poranka, kiedy to Maynard spostrzegł obok ogromny kryty wóz. Zanim zdążył mu się dobrze przyjrzeć, zza jednej z płacht wynurzyła się twarz Karola Luksemburskiego. Książę nie odezwał się ani słowem. Wpatrywał się tylko w rycerza, po czym skinął mu dłonią, uśmiechając się wrogo. Rocheblanche odwzajemnił i gest, i uśmiech, nie okazując lęku. Zachował wszakże czujność, dopóki płachta nie opadła, a wóz nie oddalił się z trzaskiem lejcy.

– Nie wiem dlaczego – przemówił Vermandois, niemal zazdrosny, że nie

zasłużył na podobne względy – ale byłbym gotów przysiąc, że między wami a księciem unoszą się złe fluidy.

Maynard machnął lekceważąco ręką.

– Tak wam się tylko zdawało, messer – odrzekł i jechał dalej spokojnym truchtem.

– Pewnie jest tak, jak mówicie, Rocheblanche – nie dawał za wygraną Pikardyjczyk – ale mam nadzieję, że w chwili, gdy moje wrażenie zamieni się w rzeczywistość, znajdziecie u swego boku jakiegoś walecznego kompana, który przybędzie wam z odsieczą.

Rycerz nie odpowiedział i milczał dopóty, dopóki nie uzmysłowił sobie, że powinni skręcić na wschód. Opuścili zatem orszak Walezjusza i ruszyli drogą, która miała ich zaprowadzić do domu. I jak zawsze, gdy jechał owym szlakiem, poczuł, że ogarnia go głęboki zachwyty. Była to droga królewska. Droga wiodąca prosto do Reims, gdzie w mistycznej katedrze odbywała się sakra władców Francji, których namaszczano olejem Świętego Remigiusza.

Obudził się nagle, lecz się nie poruszył. Usłyszał jakiś hałas.

Otworzywszy oczy, stwierdził, że leży przy zgaszonym ognisku. Poczul nogami chłód ziemi, jego szaty przesiąkły nocną wilgocią. Po dwóch dniach podróży rozbili obóz pod gołym niebem, aby odzyskać siły, i zapadli w sen. Reims było już niedaleko.

Znów ten sam dźwięk, tym razem bliżej. Maynard spojrział ostrożnie i przypomniał sobie, że zasnął ze sztyletem w zaciśniętej pięści. Jeszcze nie świtało, ale wygwieżdżony firmament rozświetlał polanę i okalające ją gęste zarośla srebrzystym blaskiem. Niezwykle wyraźnie dostrzegł zatem pochyloną nad sobą czarną postać.

Zdjęty trwogą poderwał się, nadwerężając lewą nogę, skutkiem czego upadł na trawę. W reakcji na to czarna postać skuliła się, następnie wystrzeliła raptownie do przodu. Pochwyciwszy kątem oka błysk krótkiego ostrza, Maynard przeturlał się na bok, ledwie unikając ciosu. Odpowiedział na atak, unosząc sztylet. Usłyszał, jak ociera się ze zgrzytem o ostrze broni przeciwnika.

Niespodziewany okrzyk bitewny przypomniał mu o jego towarzyszu podróży. Obejrzał się i dostrzegł, jak Vermandois wymachuje toporem przed mężczyzną uzbrojonym w miecz. Powrócił do walki. Zbliżył się do napastnika i osłonił, wystawiając sztylet i przerzucając ciężar ciała na prawą nogę. Nie wiedział, kim są dwaj nocni goście, był jednak pewien, że nie należą do zwykłych hien. Nie była to wszakże odpowiednia chwila na zadawanie pytań. Kiedy więc z ciemności nadeszło kolejne pchnięcie, nie pozwolił się zaskoczyć. Wykonał obrót tułowiem, aby uchylić się przed sztychem, następnie przerwał obronę przeciwnika i z całej siły dźgnął go łokciem. Otulona płaszczem postać zwinęła się z bólu i rąbnęła o pień drzewa.

Rocheblanche już miał zadać decydujący cios, gdy jego uwagę przykuły krzyki Roberta. Odwróciwszy się, zdążył zobaczyć, jak drży ugodzony płazem w głowę. Vermandois zachwiał się, ale nie runął na ziemię, lecz zrobił nieoczekiwany wypad z boku, trafiając przeciwnika w kolana i zwalając go z nóg.

Uznawszy, że zagrożenie minęło, Maynard rzucił się na swego rywala, który jeszcze nie otrząsnął się po uderzeniu w drzewo. Wykręcił nadgarstek, aby przebić mu gardło, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Blask księżycy, który wkradł się pod czarny kaptur, wyjawiał coś, co kazało mu się cofnąć.

Twarz niewiasty.

Maynard zapomniał o ferworze walki, ulegając z jednej strony czarowi białogłowy, z drugiej zaś ciekawości tego, co nią powodowało, by na niego napaść.

– Dlaczego na mnie nastajecie? – zapytał groźnie.

Wargi niewiasty rozciągnęły się w bezlitosnym, szyderyczym uśmiechu.

– Wasz pacholek przemówił. – Jej głos był ochrypły, lodowaty niczym zimowy wiatr. – Wszystko wiemy... Wiemy, że to wy go macie!

Wpatrywał się w nią osłupiały, usiłując pojąć znaczenie jej słów.

– Pergamin z pierścieniem! – wyjaśniła niewiasta, niemal zawiedziona jego naiwnością. – Pergamin, którego tak zazdrośnie strzeżecie.

Przez głowę Maynarda przemknęło wspomnienie pacholka, który zaskoczył go w namiocie z pergaminem w dłoni. Być może ów epizod nie był przypadkowy. Albo może chłopiec zwierzył się komuś, a wiadomość dotarła do niepowołanych uszu... Uszu osoby związanej z Karolem Luksemburskim! Chociaż nie zdawał sobie sprawy z tego, co naprawdę się stało, teraz widok twarzy księcia wyłaniającej się z wozu nabrał określonego znaczenia. „Mam was na oku”, dał do zrozumienia tym swoim węzowym uśmiechem. „Odkryłem oszustwo”.

– Chłopiec – wykrzyknął znienacka rycerz. – Coście mu zrobili?

– Przywiązał się do was. – Nieznajoma uśmiechnęła się, anielska i okrutna. – Zamiast nadal was śledzić, wybrał śmierć. – Korzystając z wahania przeciwnika, kopnęła go w lewe kolano.

Rocheblanche zwałił się z nóg, lecz zanim runął na ziemię, uczeplił się płaszczą niewiasty, pociągając ją za sobą.

– A więc to wy byliście w zakrystii kościoła! – Chwycił ją za nadgarstek, żeby nie wyklęła mu oka. – Przyznajcie się! Jesteście na usługach księcia Karola?

– A jeśli nawet? – wysyczała, górując nad nim swym zwinnym ciałem. – Oddajcie mi pergamin, bo was zabiję!

– Nigdy! – Maynard zdołał ugodzić ją w brzuch, napotkał jednak opór w postaci nabijanej ćwiekami brygantyny.

Niewiasta cofnęła się o krok. Przez chwilę wydawało się, że chce nadal walczyć, po czym na widok mężczyzny rozciągniętego na ziemi przed baronem Vermandois zastygła, rozwścieczona i zarazem pełna wahania. Pikardyjczyk szedł

ku niej niepewnym krokiem, dzierżąc topór.

Nieznajoma w czarnym płaszczu posłała ostatnie spojrzenie Maynardowi, jakby chciała rzucić mu wyzwanie albo go uwieść. Po czym zniknęła w gęstych zaroślach.

Rycerza koczyło, by podążyć za nią, ledwie jednak ujrzał przed sobą Roberta, pojął, że nie jest z nim dobrze.

– Przyjacielu... – wyszeptał, widząc, jak tamten osuwa się na trawę. Pochylił się, przekonany, że już po nim. Uzmysłowił sobie jednak, że nadal oddycha, toteż położył jego głowę na swoich kolanach. W czasie walki Pikardyjczyk otrzymał bardzo mocny cios. Jego głowa była skąpana we krwi, nad prawą skronią widniała paskudna rana.

Maynard oderwał strzep płótna, aby ją owinąć i zatamować krwotok, chociaż zdawał sobie sprawę, że taki zabieg nie wystarczy.

– Nie opuszczę was – szepnął mu do ucha, chyba bardziej dla uspokojenia samego siebie. W odpowiedzi usłyszał nieprzytomny pomruk.

Brzask zaczynał opromieniać zarośla okalające polanę. Rycerz nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z zaskoczenia po zasadzce i pomyśleć w spokoju, mimo to narzucił sobie pośpiech. Osiodłał wierzchowce i umieścił umierającego kompana na białym koniu, przywiązując go do łęku i strzemion, aby mieć pewność, że nie zgubi go w czasie podróży. Wiedział już, dokąd go zawiezie, liczył, że nie minie pół dnia, a odda go w doświadczone ręce. Niemniej zanim dosiadł karego, zamierzał przyjrzeć się rzezimieszkowi, który poległ w starciu.

Mężczyzna leżał na wznak z torsem przebitym toporem. Miał na sobie czarny płaszcz i nabijaną ćwiekami brygantynę, podobnie jak towarzysząca mu niewiasta. Uwagę Maynarda od razu przykuła klamra u jego pasa. Z ogromnym zdumieniem spostrzegł, że przedstawia tarczę herbową z wizerunkiem srebrnego lwa na czerwonym tle.

Wpatrywał się uważnie w herb, aby zyskać pewność, że się nie myli. Z niepokojem musiał przyjąć do wiadomości to, co widział. Był identyczny z tym na kardynalskim pierścieniu.

Wtedy dla Maynarda de Rocheblanche'a wszystko stało się jasne. Intryga, w którą został wplątany, zataczała o wiele szersze kręgi i była bardziej złożona, niż mógł sobie wyobrazić. Zapewne Karol Luksemburski nie był jedynym możnowładcą zamieszany w śmierć Jana Ślepego i chyba też nie najbardziej niebezpiecznym. Rycerz przeczuwał, że nie może sobie w przyszłości pozwolić na nieostrożność. Odnosił wrażenie, że z góry obserwuje go czyjeś ogromne oko. Oko jakiejś bezlitosnej istoty, która wszędzie go odnajdzie.

Po raz ostatni omiół spojrzeniem las, w którym zniknęła niewiasta. Następnie, próbując rozwiać niepokój, spiął konia i pognął na wschód drogą wijącą się w blasku nowego dnia.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

8 WRZEŚNIA

Palce zakonnicy prześliznęły się po głowie leżącego bez czucia mężczyzny, naciskając lekko na brzegi krwiaka znajdującego się tuż nad skronią. Siostra Eudeline wpatrywała się weń z niepokojem, lękając się reakcji, jednocześnie myśląc o drugim mężczyźnie, który czekał na zewnątrz *valetudinarium*².

– Zajmij się moim towarzyszem broni – powiedział – później porozmawiamy.

Eudeline zgodziła się, chociaż jego zachowanie ją uraziło. Oto brat powrócił po niemal dwóch latach nieobecności i nawet nie raczył uścisnąć jej ręki ani obdarzyć miłym słowem. A Bóg jeden wiedział, jak bardzo tego potrzebowała. Klauzura przyniosła jej spokój i mądrość, lecz odebrała radosne chwile spędzone w towarzystwie Maynarda oraz ich matki. Wspomnienia te nigdy jej nie opuszczały, nawet po godzinach modłów, kiedy wszystko wokół zadymionego blasku świec znikało. Eudeline nie opuściłaby klasztornych murów za żadne skarby świata, albowiem znalazła w nich wybawienie. Nie tylko dla własnej duszy, ale także dla rozumu.

Zakonnica infirmerka przestała dotykać krwiaka opuszkami palców.

– Wielebna matko, sądzę, że opuchlizna jest skutkiem złamania.

– Poważna rana? – zapytała Eudeline, wracając do rzeczywistości.

Podeszła do Roberta de Vermandois, który leżał wyciągnięty na długim drewnianym stole, pogrążony w męczących majakach.

Zamiast odpowiedzi mniszka pokazała jej fioletową opuchliznę na głowie.

– Obawiam się, że kawałek kości się odłamał i uciska mózg. – Wahała się przez chwilę, po czym położyła dłoń na dwóch księgach znajdujących się na stole obok, jakby dla potwierdzenia swej tezy.

Eudeline dobrze знаła owe kodeksy, teksty z zakresu *pratica chirurgiae* autorstwa Rogera Frugardiego i Henriego de Mondeville'a. Przed wieloma laty sama do nich zaglądała, aby nauczyć się kilku pojęć z dziedziny sztuki medycznej, napawały ją one jednak wstrętem. Gdy spostrzegła, że są otwarte na ilustracjach ludzkiej czaszki, przebiegł ją dreszcz.

– Myślicie, że trzeba...

– Jeśli mam rację, będę musiała przeciąć skórę i kość – oznajmiła zdecydowanym tonem zakonnica. – Będzie mi potrzebna pomoc, może siostra

Marie...

- Siostra Marie jest stara, nie ma pewnej ręki – pokręciła głową Eudeline.
- W takim razie kto...

Matka przełożona zastanawiała się usilnie, kto mógłby stanąć na wysokości zadania, nikt taki jednak nie przyszedł jej na myśl. W większości kongregacja Świętej Balsamii gościła młode zakonnice, zbyt niepewne i zbyt wrażliwe, aby asystować przy zabiegu, który zapowiadał się krwawo. Pozostały więc starsze mniszki, zazdrosne o umiejętności infirmerki, o ile nie otwarcie wrogie jej metodom leczenia.

Po krótkim wahaniu pojęła, że nie ma wyboru.

- Ja wam pomogę – oświadczyła. – Wytlumaczcie mi, co mam robić.

Maynarda dopadły wyrzuty sumienia.

Zawiódł ją, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, nie był w stanie nawet uprzejmie się z nią przywitać. Choćby jednak nie wiadomo jak się starał, na widok siostry w zakonnym habicie serce mu się ścisnęło. Po tak długiej tułaczce niemal zapomniał to uczucie, lecz wystarczyła chwila, żeby zaznał go na nowo. Wstąpienie do klasztoru było dla niej koniecznością, jedynym możliwym wyjściem. Teraz wszakże nie istniał żaden powód, żeby nadal się ukrywała. Eudeline przetrwała piekło i zasłużyła na prawo do życia w spokoju, bez lęku. On zaś uczyniłby wszystko, byleby znów była wolna. Byleby znów się uśmiechała.

„Przywołam ją do rozumu”, postanowił w duchu, przechadzając się przed wejściem do *valetudinarium*. Najpierw jednak należało ocalić życie Roberta de Vermandois. Decyzja, aby oddać go pod opiekę zakonnice od Świętej Balsamii, nie została podyktowana li tylko pragnieniem ujrzenia siostry. Słyszał, że w miejscu tym żyje najlepsza uzdrowicielka z Reims, a teraz gorąco pragnął, żeby pogłoski te okazały się prawdą. Ranę kompana należało leczyć ostrożnie, toteż Maynard postanowił trzymać się z dala, aby nie przytłaczać własnym stanem ducha Eudeline, gdy będzie się opiekowała Robertem. Tymczasem krążył pod arkadami ambulakru, rozmyślając nad zasadzką z minionej nocy.

Popełnił błąd w ocenie. Rzezimieszki, które zjawily się, aby go zabić, nie były na usługach Karola Luksemburskiego, ale jakiegoś wysoko postawionego prałata: kardynała mającego związek z pierścieniem, powierzonym mu przez Jana Ślepego. Rocheblanche nie potrafił ustalić dalszych powiązań między osobami zamieszkanymi w intrygę, zaczął więc snuć rozważania o sojuszu księcia z tajemniczym purpuratem. Sojuszu, w którym nie dało się dostrzec prawa silniejszego, chociaż z pewnością zawartego po to, by rozwiązać zagadkę *Lapis exilii*. Pozostawała ona dla Maynarda nadal niewyjaśniona, nie wspominając już o nazwie kolejnego miejsca przeznaczenia.

Zastanowił się właśnie ponownie nad pierwszym wersem z pergaminu. *Niczym kamień młyński rzucony do morza przez anioła...* Nad słowami, które

słyszał już właśnie w tym klasztorze, był tego pewien. Znów przypomniał mu się pulpit, na którym leżał zdobiony miniaturami kodeks. Potem drżący głos siostry.

Lęk przed rozmową z nią wzmógł się ze zdwojoną siłą.

Infirmerka przecięła brzegi krwiaka, następnie odłożyła nóż na ceramiczny talerz i odczekała, aż Eudeline zbierze wyciekłą krew do miednicy. Ciecz była czarniawa, grudkowata. Ledwie krwotok ustał, niewiasta uniosła fałd naciętej skóry i oczyściła odkryty kawałek czaszki gazą namoczoną w occie. Wielebna matka śledziła jej ruchy z mieszaniną grozy i podziwu. Przyjrzała się też wyrazowi twarzy nieprzytomnego mężczyzny. Zmarszczki na czole, zniekształcone przez rzemienie, malowały na jego obliczu dziwaczny grymas.

– Uważajcie na to, co robię – rzekła zakonnica, nie przestając przemywać rany – ponieważ później to będzie wasze zadanie.

Obserwująca jej ruchy Eudeline spostrzegła, że odsłonięty fragment czaszki jest doskonale widoczny, podobnie jak złamana kość. Małeńka drobinka w kształcie trójkąta oderwała się i utkwiała w szarej substancji. Mniszka starała się ją chwycić metalowymi szczypcami, po kilku próbach musiała jednak zrezygnować.

– Widzicie? – wyjaśniła, ocierając czoło wierzchem dłoni. – Mimo że ten odprysk może przedziurawić mózg, nie mogę go ruszyć, posługując się wyłącznie szczypcami. Ześliznął się zbyt nisko.

– Jak zatem zamierzacie go wyjąć?

Przed odpowiedzią zakonnica ponownie obejrzała uważnie złamanie, po czym przytaknęła cicho.

– Będę musiała zrobić nacięcie i usunąć kawałek kości obok, aby stworzyć wystarczającą przestrzeń.

Właśnie tego obawiała się Eudeline.

– Dla tego biedaka to będzie tortura... – zauważyła.

Mniszka pokręciła głową, głaszcząc chorego po czole.

– Podałam mu miksturę z laudanum i mandragory, wystarczająco silną, żeby leżał bez czucia aż do nocy. Aczkolwiek nie wykluczam, że może się rzucać. Musicie go mocno trzymać i jednocześnie zadbać o wycieranie flegmy, która może wyciekać z mózgu. – Popatrzyła jej prosto w oczy. – Sądzicie, że temu sprostacie?

Wprawdzie wielebna matka zdawała sobie sprawę, że ten drobny fortel ma na celu dodanie jej odwagi, lecz i tak poczuła się dotknięta do żywego. Jej myśli powędrowały ku Matce Boskiej i Świętej Balsamii, wraz z modlitwą, aby natchnęły ją otwartością umysłu; w końcu Eudeline podniosła wyzywająco wzrok.

– A wy, siostro?

– Nie będę was okłamywać – odparła niewiasta – po raz pierwszy zabieram się do tego rodzaju zabiegu. Niemniej jednak asystowałam pewnemu medykowi, który był bardzo biegły w tej materii.

– Macie pewność, że nauka nie poszła w las?

– To był mój ojciec – odrzekła mniszka ze smutnym uśmiechem, następnie oddaliła się od cierpiącego, poszperała na półce i wróciła z trepanem na koło zamachowe. Przypominał świdry ogniowe, ale był lepiej wykończony i wyposażony w cienkie metalowe wiertło. Zanim go użyła, ponownie zbadała złamanie, po czym przyłożyła wiertło do kości, ściskając mocno policzek lewą ręką, korzystkę zaś prawą.

– Zapamiętajcie – oznajmiła po raz ostatni – trzymajcie go nieruchomo i bacźcie na wycieki flegmy.

Pierwszy otwór był najbardziej uciążliwy. Eudeline musiała przytrzymać głowę mężczyzny, drżącą pod wpływem działania trepanu. Jednocześnie miała w pogotowiu gazę, aby wycierać ewentualne wycieki substancji humoralnych.

Zakonnica pracowała dalej niewzruszona, wierząc siedem otworów na brzegach złamania, aż nakreśliła w ten sposób obszar w kształcie półksiężyca. Wtedy odłożyła narzędzie, wzięła mały nóż i za pomocą niewielkiego młoteczka jęła przecinać z najwyższą ostrożnością kostne mostki, przedzielające sąsiednie otwory. W tej samej chwili Vermandois się poruszył, co groziło wybudzeniem. Eudeline trzymała go mocno, szepcząc mu łagodnie do ucha, aby go ukoić.

Gdy tylko chory się uspokoił, infirmerka zaczęła z powrotem uderzać w nóż, dopóki nie oddzieliła całego półkola od sklepienia czaszki. Wówczas otarła czoło, sprawdzając własne dzieło.

– Puśćcie głowę pacjenta – powiedziała głosem, w którym czał się lęk – i podajcie mi szczypce.

Eudeline spełniła polecenie i przyglądała się, jak tamta unosi odciętą kość czubkiem noża, po czym chwyta ją szczypcami i nią porusza. Jej gesty były rozważne i staranne, nie zdradzały najmniejszej niepewności. Po raz kolejny ogarnął ją niepowstrzymany podziw, jakby zapomniála, że przecież jest jej matką przełożoną.

Wycięta część trafiła do małego naczynia, a zakonnica skupiła swoją uwagę na fragmencie, który nadal tkwił w miękkich tkankach szarej substancji. Eudeline obserwowała z trwogą ruchy szczypiec, myśląc o owym zimnym metalowym narzędziu, które wbija się w jeszcze pulsujące ciało, niemal profanując dzieło Boga. Wreszcie ujrzała, jak wychodzi, szczęki ściskały malusieńką, białawą drzazgę mokrą od krwi i śluzu.

Infirmerka westchnęła z zadowoleniem.

– Teraz pozostało go tylko uzdrowić – i pomimo zmęczenia posłała jej uśmiech wdzięczności.

Życie wystawia nas na próby, lecz nawet człowiek, który niecierpliwie czeka, by podjąć wyzwanie, nie zawsze potrafi stanąć na wysokości zadania. Maynard przekonał się o tym, ledwie znalazł się z siostrą sam na sam. Ujrzał, jak opuszcza *valetudinarium* o zmierzchu, gdy rozległy się dzwony na nieszpory, i nie umiał wyrazić żadnej z myśli, które go dotąd dręczyły. Potem przypomniał sobie o Robercie de Vermandois.

Troska musiała się malować na jego twarzy, gdyż Eudeline odezwała się pierwsza.

– Niebezpieczeństwo minęło – oznajmiła, idąc mu naprzeciw.

Mimo jej słów rycerz nie potrafił poczuć ulgi. Wpatrywał się uparcie w zimną postać, która się przed nim zatrzymała. Nadal miała dziecięcą buzię, zdradzała wszakże niezwykłą u dwudziestoletniej niewiasty stanowczość. Na chwilę poczuł głęboki szacunek, jakby to on był młodszy z rodzeństwa, po czym uchwycił się uczuć, które kazały mu jej szukać.

– Jestem ci wdzięczny.

– Nie mnie dziękuj, lecz mądrości naszej infirmerki.

Maynard dostrzegł skrywaną niechęć, mimo to przytaknął.

– Kiedy zdoła dojść do siebie?

Twarz Eudeline wykrzywiła się w grymasie politowania.

– Na razie nie wiem nawet, czy odzyska przytomność.

– Ale przecież dopiero co powiedziałaś...

Zakonnica pokręciła głową.

– Twój towarzysz broni przeżył, ale nie potrafię określić, za jaką cenę. Dlatego radzę ci przygotować się na najgorsze. Być może człowiek, którego znałeś, nigdy nie wróci.

Rycerz spuścił wzrok.

– Ileż twardości, siostró.

– Nie taki był mój zamiar – odparła matka przełożona.

– Z trudem rozpoznaję osobę, którą przywiodłem w bezpieczne miejsce, za te odrzwia.

– Niewiele zostało z dziewczęcia, które znałeś.

Maynard wyciągnął rękę, aby ścisnąć jej dłoń.

– A jednak za welonem, który nosisz, dostrzegam nadal młodą niewiastę.

– Niewiastę, która wybrała śmierć ciała. – Mniszka cofnęła dłoń.

– Eudeline...

– *Siostró* Eudeline – poprawiła go, unosząc dumnie głowę. – Teraz jestem zakonnica, matką przełożoną. A moje powołanie...

– Jakie powołanie? – przerwał jej, nie potrafiąc opanować rozgoryczenia. –

Na Boga, siostrzyczko, przecież ty się chowasz przed światem!

– Nie bluźnij!

– On nie żyje, Eudeline – ciągnął Maynard. – Nie żyje! Nie może cię już dłużej dręczyć. Nigdy więcej! – Wypowiadał te słowa tysiąc razy, zawsze jednak napawały go niedającym się powstrzymać poczuciem wyzwolenia. Nie znał wprawdzie dokładnego miejsca pochówku, lecz kości ojca spoczywały gdzieś na andaluzyjskim wybrzeżu, właśnie zajęтым przez chrześcijan, uczestników rekonkwisty. Zakrawało to na żart, albowiem o Gasparze de Rocheblanche’u dałoby się powiedzieć wszystko z wyjątkiem tego, że był paladynem oddanym świętej wojnie. Niemniej zbliżająca się starość i strach przed piekłem zmusiły go zapewne do odkupienia grzesznego życia. Nie doczekawszy się zaś ogłoszenia przez papieża kolejnej krucjaty na Wschód, jesienią 1342 roku pognął na oblężenie Algeciras i padł pod złotą tarczą jakiegoś saraceńskiego rycerza. Kiedy Maynard wyruszył w podróż, aby go odszukać, dotarł do miasta zniszczonego przez wojnę. Tak długo pytał o ojca, aż natknął się na to, co z niego pozostało...

Łzy, które wylał tamtego dnia, nadal paliły go w twarz, znak nienawiści, która miała trwać wiecznie.

W oczach Eudeline nie było wszakże nienawiści. Był lęk.

– Naprawdę myślisz, że to koniec? – Niewiasta przytknęła dłonie do piersi i zacisnęła je z grymasem obrzydzenia. – Przecież wiesz, co on mi uczynił! Wiesz, do jakiego stopnia... – Zamilkła, siłą powstrzymując płacz. W jej oczach zalśnił zimny błysk. – Albo może nie, może nie pojmujesz.

Rycerz spojrział na nią z oburzeniem.

– Obrażasz mnie, mówiąc tak.

– Sądzisz, że to odpowiednia pora na myślenie o dumie? – zapytała z wyrzutem, ocierając policzki. – Ten klasztor to jedyna oaza pokoju, gdzie mogę udawać, że nic się nie stało. Jedyne schronienie, gdzie czuję się bezpieczna i szanowana.

Maynard uzmysłowił sobie, że ją zranił, chociaż nie on był winien jej tak wielkiego rozgoryczenia. Wyczuwał w reakcji siostry głęboki, zakorzeniony w duszy żal. Otworzył ramiona, by okazać, jak bardzo mu przykro, po czym ukląkł niezdarnie.

– Proszę, nie zrozum mnie opacznie. Wiem, że cię zaniedbałem, ale wierz mi, pragnę jedynie twego szczęścia i wątpię, żebyś je tu kiedykolwiek znalazła.

– Znów się mylisz – odrzekła lodowato Eudeline. – Jestem tutaj szczęśliwa. Nie tak, jak kiedyś marzyłam, przyznaję, niemniej jednak doceniam zalety życia w kontemplacji. – Jej wzrok powędrował ku jednemu z biforiów, zupełnie jakby chciała się wzbąć w powietrze. – A poza tym jakżebym mogła powrócić tam, do świata, skoro w każdym mężczyźnie ciągle widzę *jego*?

Nadal wsparty na jednym kolanie, brat zdołał chwycić ją za rękę.

– Zapomnij o nim, on nie żyje.

Wielebna matka po raz pierwszy się uśmiechnęła. Smutnym uśmiechem, który przypominał okno wychodzące na targane ponurymi wichrami morze.

– Nie umarł, on ciągle żyje we mnie – odparła niemal ze słodyczą. – Przykro mi, że cię uraziłam, lecz nie możesz w pełni zrozumieć mojej bolesti. W tamtym czasie udałeś się do Paryża na pasowanie na rycerza, nie możesz sobie wyobrazić, jaka rozpacz panowała w naszym domostwie. Kiedy wróciłeś, zło już się stało. Nasza matka zamordowana, ja pohańbiona...

Maynarda ogarnął dziki sprzeciw niczym płomień buchający z żaru.

– A ja... Przywiozłem cię tutaj, żeby cię chronić przed jego niegodziwością...

Eudeline pogładziła go po włosach.

– Ta niegodziwość została, mój najmilejszy.

Zamierzał coś odpowiedzieć, lecz ona nakazała mu milczenie, zagłębiając palce w jego potargane kosmyki, aby powstrzymać gniew.

– Co z twoją nogą? – przemówiła w końcu. – Zauważyłam, że utykasz.

– Nic poważnego – skwitował z lekceważeniem rycerz. Przez chwilę wydawało mu się, że ma przed sobą tamtą Eudeline, którą tak bardzo kochał. Potem przypomniał sobie o drugiej przyczynie, jaka sprowadziła go w to miejsce, toteż odsunąwszy jej dłoń, wstał. – Posłuchaj, Eudeline, muszę z tobą porozmawiać o innych rzeczach. Ważnych rzeczach.

– Nie teraz. – Wielebna matka spojrzała w górę, wskazując gestem dzwony, które wzywały zakonnice, aby się zgromadziły. – Nieszpory.

Kiedy zdołali powrócić do rozmowy, zdążył już zapaść zmrok.

W oczekiwaniu, aż nabożeństwo dobiegnie końca, Maynard odwiedził Roberta. Widok owego śmiałego wojownika, który leżał teraz z owiniętą głową, bez czucia, poruszył go do tego stopnia, że omal się nie rozpląkał. Potem pomyślał, że gdyby Vermandois to zobaczył, wyśmiałby go, nazywając babą.

Eudeline odszukała go. Najwyraźniej modlitwa ją pokrzepiła, z jej oblicza zniknął bowiem wszelki ślad cierpienia i rezygnacji. Zanim się odezwała, zerknęła ze współczuciem na chorego i zachęciła brata, aby opuścili *valetudinarium*.

– Wspominałeś o jakiejś nader ważnej kwestii – rzekła, gdy tylko znaleźli się w mrocznym ambulakrze wiodącym do klasztoru.

Rocheblanche skinął potakująco głową. Długo się zastanawiał, jak poruszyć z nią temat Jana Ślepego i zagadki *Lapis exilii*, nie chcąc jej wszakże narzucać własnych podejrzeń. Doszedł do wniosku, iż przedstawi sprawę w jak najprostszy sposób. Dlatego wręczył jej pergamin wsunięty w pierścień.

Wielebna matka posłała mu pytające spojrzenie, po czym zaciekawiona skupiła się na obu przedmiotach, zbliżywszy je do przymocowanej w ścianie pochodni. Najpierw zbadała pierścień, obróciła go w palcach i oddała z powrotem.

– Nie wiem, do kogo należy. – Następnie przyszła kolej na pergamin. Przeczytała uważnie łaciński tekst, mrużąc do siebie, i ponownie wpatrzyła się w Maynarda. – Cóż, gdzie go znalazłeś?

– Zanim ci to wyjawię – odparł – chciałbym się dowiedzieć, co o tym sądzisz.

Eudeline zmierzyła go wzrokiem, nic nie mówiąc. Zgodna siostra ustąpiła miejsca matce przełożonej, niezadowolonej, że nie spełniono jej polecenia.

– Tekst jest niejasny – oznajmiła, przeczytawszy po raz drugi zagadkę. – O ile dobrze zrozumiałam, jest w nim mowa o jakimś przedmiocie, o którym nigdy nie słyszałam: kamieniu banicji. Przypuszczam, że chodzi o relikwię albo cymelium o dużym znaczeniu. Tak czy inaczej, wygląda na to, że został ukryty w jakiejś krypcie, pod górą zwaną „górami kwiatu”. – Gdy znów spojrzała na brata, w jej oczach czaiła się paląca ciekawość. – Po pobieżnej lekturze nie mogę powiedzieć nic więcej. Może gdyby poprosić o radę...

– Nie wolno ci z nikim o tym rozmawiać – przerwał jej rycerz. – To tajemnica. Nader niebezpieczna tajemnica.

Zakonnica milczała przez chwilę, pewnie czekając na dalsze wyjaśnienia, i wzruszyła ramionami.

– W takim razie jedynym zrozumiałym dla mnie ustępem jest wzmianka o kościele Świętego Sabina w Vienne.

– Ja także doszedłem do tego wniosku – przyznał Maynard. – Niemniej jednak jestem zdania, że możesz mi pomóc rozwiązać przynajmniej inną część tej zagadki. – Przysunąwszy się bliżej, wskazał pierwszy wers pergaminu. – Zawiera znane słowa – wyjaśnił. – Jeśli się nie mylę, chyba słyszałem je właśnie z twoich ust, chociaż raz, w tym klasztorze.

Eudeline wyteńczyła wzrok, jakby spostrzegła coś, co z początku jej umknęło.

– Kamień młyński rzucony do morza przez anioła...

– Tak, siostrze.

– Nie mylisz się. – W blasku drżącego płomienia głos matki przełożonej zniżył się do szeptu. – To odniesienie do Apokalipsy apostoła Jana.

Podążając za Eudeline przez klasztorne korytarze, Maynard usiłował okiełznać wyobraźnię. Wzmianka o Apokalipsie wywołała niepokojącą gonitwę myśli, do tego stopnia, iż jął się obawiać, że sen o trzech jeźdźcach nie był niczym innym jak ponurą przepowiednią. Postanowił wszakże nie wspominać o tym siostrze. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Zamierzał, zanim opowie jej o Janie Ślepym, o hipotezach na temat spisku i o zasadzce z poprzedniej nocy, wyjaśnić tajemnicę, której przysiągł dochować. Towarzyszył jej więc bez słowa, przemierzając krużganek i wewnętrzne pomieszczenia budowli, która zdawała się nie mieć końca.

Kościół Świętej Balsamii był przeogromny. Wprawdzie wzniesiony ledwie przed wiekiem, prędko rozkwitł, wchłaniając nowe budynki, łącznie z domem gościnnym i *valetudinarium*. Spora część środków na jego budowę pochodziła właśnie od rodu Rocheblanche'ów, co umożliwiło Eudeline uzyskać znaczenie w zgromadzeniu zakonnym i po śmierci starej przeoryszy objąć stanowisko matki przełożonej. Młoda niewiasta zasiadła na tronie opackim nie tylko dzięki szlachetnemu urodzeniu. Wbrew zasadom nakazującym osiągnięcie do pełnienia tej funkcji wieku co najmniej trzydziestu lat udowodniła, że posiada niezbędne w dowodzeniu bystrość umysłu i stanowczość, które zapewniły jej jednogłośnie wybór. Brata, który został powiadomiony już po wyborze, ogarnęło zdumienie. Tamtej deszczowej nocy, kiedy zawiózł ją do klasztoru, z pewnością nie spodziewał się, że w Eudeline kiełkuje pragnienie poświęcenia życia Panu, tym bardziej ambicja przewodzenia wspólnocie zakonnicy. Święta Balsamia miała stanowić dla niej wyłącznie tymczasowe schronienie, dopóki Maynardowi nie uda się załatwić porachunków z ojcem. Jednakże wszystko wymknęło mu się z rąk, hańba zaś zmusiła siostrę do ukrycia się w więzieniu, rozciągającym się daleko poza mury klasztoru. Więzieniu zdolnym na zawsze schwytać w pułapkę zranioną duszę.

Przemierzyli w półmroku kawałek korytarza, aż dotarli do drewnianych drzwi. Wielebna matka wydobyła pęk kluczy i otworzyła zamek.

– Księga, której szukasz, znajduje się tutaj – oznajmiła – razem z wieloma innymi.

Maynard ruszył za nią i ledwie przekroczył próg, przypomniał sobie, że gościł już w tym miejscu. Było to ciasne pomieszczenie, którego ściany wieńczyło wysokie sklepienie. Znajdowały się tu tylko *armarium*, trzyramienny świecznik i tkwiący pośrodku pulpit.

Eudeline zapaliła świece, zniknęła niepostrzeżenie w półmroku i wyłoniła się z powrotem z ciężkim woluminem.

– To ewangeliarz – wyjaśniła, kładąc księgę na pulpicie. – Zawiera teksty

wszystkich czterech Ewangelii, z Apokalipsą apostoła Jana włącznie. Teraz pamiętasz? Pochodzi ze skryptorium opactwa w Fuldzie, pokazałam ci go ostatnim razem, kiedy przyjechałeś mnie odwiedzić.

Maynard potwierdził niewyraźnym gestem. Księga wydawała mu się znajoma, chociaż nie zachował jej dokładnego wspomnienia. Przyglądał się, jak szczupłe palce siostry poruszają się po stronicach pergaminu, dopóki nie spostrzegł, że podniosła wzrok.

– Do tej pory się nie odzywałam – rzekła wielebna matka zmartwionym głosem – ale nie jestem łatwowierna. Zjawiasz się w klasztorze z rannym kompanem, prosisz o pomoc i domagasz się mojego milczenia. Bracie, przed czym uciekasz?

Maynard zbył ją wzruszeniem ramion.

– Gdyby ktoś zadawał pytania, odpowiedz tylko, że ja i Robert ocaleliśmy z zaciętej bitwy.

Matka przełożona zmarszczyła czoło.

– Wiedziałam wcześniej, że brałeś udział w poważnym starciu po stronie króla, nadmieniałeś mi o tym w listach. Pogłoski docierające do klasztoru kazały mi się o ciebie martwić...

– To było piekło, kochana siostrzo. Próbowaliśmy powstrzymać napór Anglików i w konsekwencji ponieśliśmy klęskę pod Crécy.

– Zatem Edward Trzeci posuwa się naprzód – stwierdziła z goryczą Eudeline.

– Posuwa się naprzód, ale nie ku naszym ziemiom. Chce Bretanii i Flandrii.

– A Jego Królewska Mość?

Maynard spuścił wzrok.

– Wycofuje się ze wstydem do Paryża.

Nastąpiła chwila milczenia, która wystarczyła, by słowa uleciały. Później rozległ się wyższy o oktawę, nabrzmiały zwątpieniem głos matki przełożonej:

– A przecież twój kompan nie został ranny pod Crécy, mam rację? Wszak nie przeżyłby tak długiej podróży w takich warunkach.

Brat był zmuszony przytaknąć.

– To się stało minionej nocy, wpadliśmy w zasadzkę.

– Ścigali was Anglicy?

– Nie, nie oni. Jakichś dwóch zbirów.

Coraz bardziej zaniepokojona Eudeline zacisnęła dłonie na krawędziach pulpitu.

Maynard pokazał jej mały zwój pergaminu.

– Chcieli tego, tylko że ja przysięgłem tego strzec.

– Właśnie w imię tej przysięgi nie mówisz mi wszystkiego? Cóż, wiedz, że jeśli domagasz się mojej pomocy, będziesz musiał mi powiedzieć coś więcej.

– Uczynię to, daję ci moje słowo. Lecz najpierw spróbujmy znaleźć związek między pierwszym wersem zagadki a ustępem z Apokalipsy, który, jak twierdzisz, pamiętasz. Zezwolisz mi na to?

– Niech będzie.

Siostra zaczęła ponownie kartkować ewangelia, zatrzymując się od czasu do czasu w poszukiwaniu wskazówek, które ułatwiłyby jej zorientowanie się w lekturze. Tekst był zwarty, rozmieszczony w dwóch kolumnach ozdobionych złotymi inicjałami.

Poszukiwanie się przeciągało. Kiedy matka przełożona wreszcie dała znak, że coś znalazła, mruknęła pod nosem *miserere* i się przeżegnała.

– Dobrze pamiętałam, bracie – westchnęła. – Słowa, któreś słyszał z moich ust, pochodzą z jednego z najstraszliwszych ustępów Apokalipsy: o upadku Babilonu, miasta grzechu i zepsucia. Zgodnie z tą przepowiednią wszyscy królowie i kupcy na ziemi będą jęczeć nad jego katuszami, a żeglarze dostrzegą z morza, jak płonie.

– Jesteś pewna tego, co mówisz? – zapytał Maynard. – Nie wydaje mi się, żebym zauważył jakiegokolwiek odniesienie do zagadki z pergaminu...

Wówczas Eudeline przewróciła stronę i pokazała mu wspaniałą miniaturę przedstawiającą anioła, który podnosi wielki, okrągły kamień.

– Słowa, których szukasz – oznajmiła – następują zaraz po tym.

I przeczytała:

*Et sustulit unus angelus fortis lapidem quasi molarem magnum et misit in mare dicens: Impetu sic mittetur Babylon magna illa civitas et ultra iam non inuenietur*³.

Rycerz, który w Paryżu nauczył się nie tylko sztuki wojennej, ale także łaciny, przetłumaczył: „I potężny jeden anioł dźwignął kamień, jak wielki kamień młyński, i rzucił w morze, mówiąc: Tak za [jednym] zamachem Babilon, wielka stolica, zostanie rzucona, i już jej nie odnajdą”⁴. Powtórzył w myślach zdanie, usiłując pojąć jego związek z *Lapis exilii*. Na próżno.

– Istotnie, właśnie te zdania niegdyś wypowiedziałaś, przyznaję, lecz usłyszawszy je ponownie, wątpię, by mogły dotyczyć zagadki, o której ci wspomniałem.

– Ja natomiast żywię przekonanie, że jest inaczej – oświadczyła Eudeline. – Odniesienie do anioła rzucającego w morze kamień młyński jest tak niezwykle, że nie może pochodzić z innego źródła.

– A zatem?

Przed wyjaśnieniem matka przełożona zerknęła po raz ostatni na tekst ewangelia.

– Nie jestem całkowicie pewna, chociaż według mnie cytat z Apokalipsy pozwala zrozumieć prawdziwą naturę *Lapis exilii*. Nie w sposób jednoznaczny, ale

przez odniesienie, poprzez grę słów.

– Masz na myśli zagadkę w zagadce?

– Owszem, klucz do odczytania, może wskazówkę.

Maynard wpatrywał się w miniaturę przedstawiającą anioła, który podnosi okrągły kamień, zamiast jednak zmiarkować cokolwiek, ogarnęło go zniechęcenie.

– Niestety, zbyt mglista wskazówka.

– Gdybyśmy mogli się zwrócić do jakiegoś mędrca... – podsunęła matka przełożona.

– Przecież cię uprzedzałem – zawołał surowym głosem. – Nikt inny nie może się dowiedzieć.

– Według ciebie jestem aż tak nierozgarnięta, że nie potrafię wybrać zaufanej osoby?

– Nie zrozum mnie źle, siostrzyczko – uspokajał ją Maynard. – Doskonale wiem, jak bardzo umiesz być ostrożna. Lecz ciągle mam zbyt mało wiadomości o tej sprawie i już raz popełniłem błąd, ufając, komu nie trzeba.

– W takim razie rozwiązanie zagadki spadnie wyłącznie na nas...

– Wyłącznie na mnie – sprostował. – Musisz mi obiecać, że będziesz się trzymała od tego z daleka, nie chcę cię narazić na żadne niebezpieczeństwo.

Zakonnica spojrzała na niego z ukosa, nadal opierając się o pulpit.

– Mówisz tak, jakbyś już podjął decyzję.

Maynard potwierdził jej przypuszczenia stanowczym gestem.

– Wyruszę do Vienne najprędzej jak się da, udam się do kościoła Świętego Sabina i zabiorę się do poszukiwania góry kwiatu, czymkolwiek to jest. I możesz być pewna, że nie spocznę, dopóki nie odnajdę krypty *Lapis exilii*.

– To może być niebezpieczne, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Złożyłem przysięgę, siostro.

– Przysięgłeś strzec tajemnicy, nie ją złamać.

Rycerz poczuł się dotknięty do żywego. Eudeline miała rację, doskonale o tym wiedział, nie mógł jej wszakże wyjawić własnych motywów. Sam zresztą nie potrafił ich pojąć. Pewne było jedynie to, że odczuwał potrzebę wyruszenia w tę podróż.

– Jak mogę strzec czegoś, czego nie znam? – próbował się usprawiedliwiać.

W odpowiedzi przeorysza okazała mu niemal matczyną wyrozumiałość:

– Podejrzewam, że twoje oczekiwania są o wiele bardziej naglące, bracie.

– Otóż to – wybuchnął i jął się przechadzać po pomieszczeniu. – Tylko że nie mogę ci ich teraz wyjawić.

Eudeline przygryzła wargę, rezygnując z wypowiedzenia słów, które mogły się okazać zbyt pochopne.

– Ja cię nie zatrzymam. Domagam się jednak prawdy w kwestii pergaminu. Przynależ mi to.

– Uczynię to, nie obawiaj się. – Rycerz przystanął przed nią i przyjrzał jej się z dobrotliwym uśmiechem. – Pod warunkiem, że ty zaopiekujesz się Robertem i naszymi lennami.

– Cóż, posłucham cię, bracie.

AWINION, PAŁAC KARDYNALSKI

1 PAŹDZIERNIKA

Kardynał wsparł głowę na brzegu szerokiej balii, rozkoszując się gorącą wodą i wpatrując we freski na sklepieniu, niknące za zasłoną pary wodnej. Dzwony od Świętego Agrykoli ledwie umilkły, siejąc w jego duszy lekki niepokój. Dobięwszy sześćdziesięciu sześciu lat, nie znosił wszystkiego, co przypominało mu o upływie czasu, choćby były to tylko dzwony wzywające na poranną mszę. Z pewnością nie brakło mu wigoru. Nadal posiadał młodzieńczą witalność, która pozwalała mu na długie przejażdżki konne i zaspokajanie cielesnych chuci. Nie stracił nawet lotności umysłu. Z kolei doświadczenie sprawiło, że stał się bardziej przenikliwy i bezlitosny. Nic jednak nie było w stanie uśmierzyć najbardziej tajemnego lęku.

Lęku, że zestarzeje się w cieniu, zapomniany przez wszystkich.

Zwykły człowiek nigdy by nie zrozumiał podobnej obawy. Skądinąd on miał w sobie bardzo niewiele zwykłych cech. Bycie synem Ojca Świętego zapewniło mu szybkie pięcie się w górę, przywilej purpury, misję legata i krucjatę przeciw włoskim gibelinom. Istniał niegdyś chwalebny czas, w którym jedno jego słowo potrafiło zachwiać równowagą między signoriami a możnowładcami. Czas bitew i anatem. Lecz sromotna klęska zmusiła go do wycofania się do Awinionu. Akurat wtedy, gdy Jan XXII wyzionął ducha, rozgoryczony jego porażką.

Od tamtej pory kardynała przydzielono z powrotem do kurii i mimo że znosił nieustanne upokorzenia, nie tracił nadziei. Dopóki los się wreszcie nie odwrócił.

Od tamtej nocy w ferraryjskiej puszczy upłynęło trzynaście lat, a on ciągle przeklinał ją na nowo. Nigdy nie powinien był zawierać układu z Janem Ślepym ani dzielić się z nim i jego synem najcenniejszym skarbem chrześcijaństwa, chociaż z pewnością nie mógł wówczas przypuszczać, że czekają go takie przeciwności losu. Teraz, kiedy Jan Luksemburski poległ w bitwie, nic go już nie powstrzyma. Odzyska grot włóczni i zwój pergaminu, który wskazuje kryjówkę *Lapis exilii*. A gdy już odnajdzie tę bezcenną relikwię, świat legnie u jego stóp.

Przedsięwzięcie zapowiadało się wszakże trudniej, niż się spodziewał. Wiadomość od szpiega była jasna. Za sprawą nieprzewidzianego splotu wydarzeń zwój wpadł w ręce niewłaściwego człowieka: rycerza, prawdopodobnie nieświadomego brzemienia, które na siebie wziął, chociaż wystarczająco zuchwałego, by przeżyć nocną zasadzkę. W tej chwili kardynał wiedział tylko tyle,

że ma do czynienia z potomkiem rodu Rocheblanche'ów, spadkobiercy garstki posiadłości z okolic Reims.

Z zadumy wyrwał go odgłos kroków, jednocześnie z oparów wyłoniła się czyjaś postać. Prałat wynurzył się nieco z gorącej wody i zaciekawiony wyciągnął nogi na całą długość balii. Była to młoda niewiasta. Nosiła skromne szaty i miała odkrytą głowę, kasztanowe loki spływały jej kaskadą na plecy. Przyprowadził ją szambelan, który stanął w progu, czekając na rozkazy.

– Co tam? – zapytał kardynał.

Niewiasta postąpiła naprzód.

– Nie przypominacie sobie, Eminencjo? – zaświergotała, wymijając sługę. – Przrzekliście, że udzielicie mi posłuchania.

Kardynał zmrużył oczy, wpatrując się już osłabłym wzrokiem w twarz niewiasty. Malowała się na niej lubieżność.

– Ach, teraz was sobie przypominam – posłał jej znaczący uśmiech. – Prosiłście o przyjęcie do opactwa Castelnau, chcecie zostać klaryską.

Przytaknęła, dygając i pokazując obfite piersi. Sprawiała wrażenie pewnej własnej urody, zarazem jednak zdradzała jakąś niewinność. Właśnie owa niewinność wzmogła apetyt prałata.

– Ale nie pamiętam waszego imienia – dodał kardynał.

– Aleydis, do usług.

Skinął, by podeszła bliżej.

– Przystąpienie do nowicjatu wymaga wpłacenia okazałego posagu. Zdajecie sobie z tego sprawę?

– Pochodzę z ubogiej rodziny – odparła niewiasta, tłumacząc się. – Nie mam nic do zaoferowania oprócz własnej pobożności.

Kardynał wcale w to nie wątpił. Wielu dziewczętom klasztor jawił się jako jedyna droga do ocalenia przed nędzą. Gdyby jednak Kościół otworzył drzwi przed każdym potrzebującym, monastery i klasztory szturmowałyby hordy łachmaniarzy. Nie po to wszakże udzielił posłuchania tej dzierlatce, by roztrząsać podobne subtelności.

– Pobożność, powiadacie... – drążył porozumiewawczym tonem. – Czy aby jest szczerą?

Kolejne dygnięcie, któremu towarzyszył przebiegły grymas.

– Poddaję się waszej ocenie, Eminencjo.

– Pozwólcie mi się zatem upewnić – oznajmił kardynał i odprawił gestem szambelana. – Teraz.

Ledwie znalazła się obok niego, uzmysłowił sobie, jaka jest młoda. Czternaście, najwyżej szesnaście lat. Podał jej do pocałowania dłoń, na której był pierścień z herbem z lwem, następnie pogładził ją po twarzy i wsunął palce w wycięcie sukni. Aleydis przeszył dreszcz, nie stawiała wszakże oporu.

Wyczuwając jej rozterkę, poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie.

– Wejdz do wody.

Niewiasta zawahała się, jakby rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu wzruszyła ramionami, rozpięła suknię i zanurzyła się z zakłopotaniem w balii.

„Prawdziwa nowicjuszka”, pomyślał Jego Eminencja.

– Zdaj się na mnie. – Chwycił ją za biodra i posadził na sobie okrakiem. Ponownie wyczuł lekki opór. Wówczas owładnięty nagłym pragnieniem, odwrócił ją zniecka przodem do brzegu balii i pofolgował pożądaniu. Aleydis wydała cichy, zdumiony okrzyk, następnie drugi, głośniejszy.

Kardynał ścisnął ją za kark, zmuszając, by się nie wierciła. „Ciagle jestem w pełni sił”, pomyślał, wykonując coraz gwałtowniejsze ruchy. „Mam jeszcze czas, żeby zrobić wszystko to, co chcę. Czas, żeby spełnić moją misję”.

Wtem wyczuł czyjąś obecność, toteż zastygłszy dla złapania tchu, najpierw przyjrzał się uważnie zaczerwienionej twarzy przyszej klaryski, a potem skierował wzrok ku uchylonym drzwiom. W progu zobaczył otoczoną półmrokiem postać. Domyślając się, kto to, kardynał porzucił myśl o godnej postawie.

– Wejdz, Marcus – powiedział zasapany.

Mężczyzna był wysoki, potężnie zbudowany i nosił ciemne szaty.

– Wasza Łaskawość – skinął po wojskowemu głową – przynoszę wieści o Rocheblanche’u.

Prątał oblał się szkarłatem.

– Schwytaliście go?

– Jeszcze nie.

– Mam zatem nadzieję, że to przydatne wiadomości.

– Być może tak, Wasza Łaskawość. Nie jest ostatni z rodu, jak sądziliśmy.

– Ma żyjących krewnych?

Zanim Marcus odpowiedział, posłał mu okrutny uśmiech.

– Siostrę.

Kardynał odwzajemnił uśmiech.

Aleydis poczuła, jak dłoń kardynała zaciska się na jej karku z rosnącą pożądliwością.

ZACHODNIA FRANCJA

POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA

Wiedział, że depcze mu po piętach.

Maynard bił się z nią zaledwie raz, był jednak pewien, że niewiasta nigdy nie zrezygnuje z odebrania mu pergaminu. Wyobrażał sobie, że czai się w gęstych zaroślach leśnych, gotowa szpiegować go w oczekiwaniu na kolejną sposobność do ataku. Właśnie z tego powodu zadbał o to, by jak najszybciej opuścić mury klasztoru Świętej Balsamii. Chciał trzymać ją z dala od Eudeline. Teraz wszakże znajdował się na jej łasce. Jeśli zamierzał udać się do kościoła Świętego Sabina i rozwiązać zagadkę *Lapis exilii*, musiał zachować czujność.

Dotarłszy do Paryża, zrezygnował z dalszej podróży najszybszym szlakiem wiodącym na zachód, ku Tours. Jego intencją było udać się do Vienne o wiele bardziej zatłoczoną drogą, tak aby wtopić się w karawany wędrowców, w tłum korzystających z domów gościnnych czy naprędce rozbijanych obozowisk. Za cenę zmarnowania kilku dodatkowych dni skręcił więc na południe, w kierunku Vézelay, i podążył szlakiem pielgrzymów i kupców biegnącym aż do Lyonu. Gdy tylko znalazł się u stóp burgundzkich wzniesień, popędził karego na zachód, wśród krętych, zieleniących się pagórków. Przemieszczał się lekko, bez zbroi i tylko na jednym wierzchowcu. Aby przemykać niepostrzeżenie, nabrał zwyczaju otulania się czarnym płaszczem z kapturem, tak aby ukrywać twarz i broń.

Nie łudził się, że zatrze za sobą ślady, miał jednak nadzieję, że przynajmniej zmyli pościg albo zmusi swoją prześladowczynię do popełnienia jakichś błędów. Mimo zagrożenia pozostawał pod jej urokiem i nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Jakaś jego część pragnęła znów ją zobaczyć, zmierzyć się z nią i stawić czoło jej sile. Jednocześnie obawiał się tego spotkania, zwłaszcza gdy wyobrażał sobie, że zabija białogłowę.

W ciągu prawie dwóch tygodni wędrówki nie dostrzegł jej obecności. Krążył po lasach i wioskach, zawsze baczny, nie wyczuwając żadnego zagrożenia. „Dziwne”, powiedział sobie. Albo niewiasta zrezygnowała ze szpiegowania go, albo była nader cierpliwa i równie przebiegła w ukrywaniu się.

Maynard skłaniał się ku drugiemu przypuszczeniu i żył w oczekiwaniu na to, że znajdzie się z nią twarzą w twarz, pragnąc, aby nastąpiło to jak najprędzej. Nie chciał doprowadzić jej do *Lapis exilii*, chociaż zaczynał podejrzewać, że właśnie to jest zamiarem jego nieprzyjaciółki. Dotarłszy więc w pobliże Vienne, postanowił

zastawić na nią pułapkę.

Zamiast udać się do kościoła Świętego Sabina, jak podpowiadała zagadka, skierował się ku starej drodze łączącej miasta Poitiers i Bouges. Skręcił w nią i pojechał na południowy wschód, szukając miejsca stosownego dla swoich planów. Minął gospodę i małe skupisko chat, następnie zatrzymał się przed kościołem parafialnym, wznoszącym się na skraju drogi. Rozejrzawszy się po okolicy, uznał, że doskonale się nadaje, aby zwabić wroga na otwartą przestrzeń.

Zostawił karego w zagrodzie i poprosił mnichów o gościnę, podając się za pielgrzyma, który potrzebuje skupienia i modlitwy. Przekazał skromną sumkę na opłacenie miesięcznego pobytu i zajął celę przyległą do niewielkiego wirydarza. Wspólnota liczyła zaledwie czterech *fratres*, wszyscy byli w podeszłym wieku, zamknięci w sobie. Wprawdzie zapewniało mu to absolutny spokój, powodowało zarazem, że wyczekiwanie stało się nieznośne.

Po tygodniu Rocheblanche doszedł niemal do kresu wytrzymałości, dla zabicia czasu zaczął więc uczęszczać na msze o wschodzie słońca, w południe i na nieszpory. Brakowało mu nie tyle cierpliwości, ile siły, by zmierzyć się z własnymi myślami. Bezustannie roztrząsał ostatnie spotkanie z Eudeline. *Ja cię nie zatrzymam*. Zraniła go, pozwalając mu również zataić przed sobą prawdę. Prawdę związaną z poważnym grzechem.

Maynard dźwigał to brzemie już od czterech lat, odkąd wrócił z Algeciras, i od tamtej pory nie wyznał nikomu przewiny, którą się splamił. Z początku wierzył, że zdoła ją odkupić, biorąc udział w wojnie z Anglikami, lecz po klęsce pod Crécy poczuł się jak głupiec. Cierpienia i rozczarowania uzmysłowiły mu, że bohaterskie czyny nie wystarczą, by uciszyć wyrzuty sumienia. Musi się poświęcić wyższemu celowi, teraz to wiedział. Sposobność po temu pojawiła się w najtragiczniejszej chwili jego życia, gdy leżał w błocie obok ciała Jana Ślepego. Być może poszukiwania *Lapis exilii* przyniosą mu oświecenie i spokój wewnętrzny.

W oczekiwaniu, aż to nastąpi, przechadzał się w cieniu wirydarza, aby uciec przed lękami czuwania. Noce w odludnej parafii wydawały się tak długie i ciche, że odbierały mu sen, zmuszając do szukania ukojenia w ciepłym jesiennym powietrzu. W tej chwili wszakże nie potrafił zaznać spokoju. Po raz kolejny dręczył go zły sen, dzika szarża trzech jeźdźców, toteż zdjęty osobliwą trwogą, błąkał się teraz pod gwiazdami po otoczonym kolumnami kwadracie.

Jej widok niemal go nie zdziwił.

Niewiasta stała pod arkadą krużganka, za mnichem, który zastygł w bezruchu pod groźbą sztyletu. Miała na sobie te same szaty, które nosiła przy ich ostatnim spotkaniu, tym razem jednak nic nie zasłaniało jej twarzy i widać było długie, kruczoczarne włosy.

Maynard wstrzymał dreszcz ekscytacji i dobył estoka.

– Nareszcie mnie odnaleźliście.

Przez twarz przemknął jej bezlitosny uśmiech.

– Pewnie myśleliście, że zdołacie mi uciec?

– Przeciwnie, czekałem na was.

Niewiasta cofnęła się, jakby odpowiedź ją wystraszyła.

– Oddajcie mi to, czego chcę, bo inaczej... – przycisnęła ostrze do szyi zakładnika.

– Ośmielacie się grozić słudze Bożemu?

Co rzekłszy, rycerz podszedł do zatkniętej przy kolumnie pochodni, chwycił ją wolną ręką i w okamgnieniu roztrzaskał o ceglany łuk nad głową nieprzyjaciółki.

Snop iskier wystrzelił w górę, a po nim rozległ się trzepot skrzydeł. Niewiasta instynktownie skuliła się pod dziesiątkami gołębi, które poderwały się w ciemnościach do lotu. Gdy zorientowała się, że z niej zadrwiono, mnich zdążył się wyswobodzić, stojący zaś o krok od niej Rocheblanche szykował się właśnie do ciosu. Wtedy uskokowała w bok i wyjęła dagę.

Rycerz usiłował przebić się przez jej obronę kombinacją pchnięć i cięć, musiał jednak zmniejszyć odległość, aby wycofać się na środek wirydarza. Zdjął płaszcz, owinął go wokół lewego ramienia i jął wymachiwać połą, aby zmylić przeciwniczkę. Jednocześnie uderzył sztychem, pozwalając jej zrobić krok w tył.

– Messer – zakpiła – zamierzacie mnie atakować czy ze mną tańczyć?

Rycerz warknął, ugodzony do żywego. „Gdyby mój rywal był mężczyzną, nie pieściłbym się z nim”, pomyślał, nie spuszczać wzroku z jej ślicznej buzi.

Niewiasta najwyraźniej wyczuła jego rozterki, bo nie przestawała się natrzęsać:

– Jeżeli oddacie mi pergamin, pozwolę sobie skraść całusa – roześmiała się rubaszenie – a potem was przebiję.

– Zmilczcie! – Maynard zadał cios. – I wyjawcie raczej, kto was przysła.

– Piękne żądanie – odparła przy szczęku ostrzy – jak na kogoś, kto waha się zadać cios wrogowi.

„Wrogowi nie, szkopuł w tym, że jesteście niewiastą!”, rzekł w duchu, odparowując pchnięcie i niebezpieczne cięcie.

– Odpowiedzcie! – Znalazłszy się przy niej jednym susem, zmusił ją, by skrzyżowali klingi. – Kto się kryje pod herbem lwa?

Nie mogąc go odepchnąć, rywanka wygięła się do tyłu.

– Jedyne człowiek, którego się obawiam!

Rycerz cisnął niewiastę na kolumnę, wytrzymując jej spojrzenie.

– Zrezygnujcie ze służby dla niego, a ja was przed nim obronię.

Nieznamoma wybuchnęła na te słowa śmiechem tak zimnym jak blask księżyca.

– Łatwowierny biedaku! – Skoczywszy niczym kotka, zdołała się

wyswobodzić. Opuściła gardę, ugięła kolana i spróbowała ugodzić go sztyletem z zaskoczenia.

Maynard odparował cios, a że nie mógł się zatrzymać, wbił jej kawałek żelaza między żebra.

Niewiasta splunęła krwią, osunęła się na ziemię i na koniec usiadła pod kolumną. W ostatnim odruchu dumy odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego zdumiona i jakby rozradowana.

– On was przewyższa – szepnęła z uśmiechem wykrzywionym bólem. – Wszedł do naszego życia i dopóki nie oddacie mu upragnionego przedmiotu...

Rycerz na próżno czekał, aż dokończy zdanie. Wpatrywał się w nią do świtu, z ręką na sercu, podczas gdy kościelny dzwon bił żałobnie.

Nigdy nie widział piękniejszej niewiasty.

REIMS, BRAMA MARSOWA

21 PAŹDZIERNIKA

Olbrzymia karoca jechała bez przerwy od dwóch dni. Po postoju na Cité kardynał rozkazał pędzić do Reims. Chciał dotrzeć tam jak najrychlej, żeby zdobyć więcej wiadomości o rodzie Rocheblanche'ów. Ciekawiły go szczególnie słuchy o siostrze Eudeline, o prędkim otrzymaniu tytułu matki przełożonej i przedwczesnym zniknięciu dostojnego, acz rozwiązłego ojca. Prałat zastanawiał się, czy mają związek z pogłoskami, które dotarły do jego uszu, aczkolwiek podobne zgorszenia nie były dla niego niczym nowym. Choć nie znosił zgadzać się z Petrarcą, nie mógł zaprzeczyć, że pochodzi z miejsca, w którym królują rozpusta i zepsucie. W tym znaczeniu Awinion dorównywał Rzymowi i już zasłużył na miano nowego Babilonu.

Rzecz jasna, purpurat nie porzucił ukochanego pałacu dlatego, że dał wiarę byle gadaniu o kazirodczym związku. Chciał posiąść *Lapis exilii*, a do tego potrzebował pergaminu, który wskazywał jego kryjówkę. Musiał koniecznie wytropić Maynarda de Rocheblanche'a. Być może wyprawa do Reims była zbyt drastycznym środkiem, skoro wypuścił już za tym człowiekiem swoje najlepsze ogary. Powaga misji skłoniła go jednak, by spróbować absolutnie wszystkiego.

Ponadto należało zadać sobie pytanie, czy Maynard nadal jest w posiadaniu pergaminu. Może ukrył go w jakimś bezpiecznym miejscu albo wyjawiał jego treść komuś zaufanemu... Nigdy nie wiadomo. Jego pobyt w klasztorze Świętej Balsamii był bez mała podejrzany i pozwalał przypuszczać, że Eudeline zna jakieś szczegóły tej zawiłej materii.

– Będziesz musiała zdobyć jej zaufanie – oznajmił znienacka, ubierając myśli w słowa. – Stać się jej powiernicą.

Siedząca obok niego młoda niewiasta drgnęła i podniosła głowę wspartą na jego ramieniu.

– Wybaczcie, Eminencjo – odgarnęła z twarzy kosmyk loków – zdrzemnęłam się...

– Matka przełożona od Świętej Balsamii... – rzekł purpurat. – Musisz wkraść się w jej łaski.

Aleydis stłumiła ziewnięcie.

– Uczynię to, nie obawiajcie się.

– To ty powinnaś się obawiać, jeśli powinie ci się noga.

Zaniepokojona zmianą tonu niewiasta odparła przeproszająco:

– Nie zmarnuję sposobności, jaką mi stwarzacie. – Chociaż obsługiwała kardynała dopiero od miesiąca, dobrze go poznała w zaciszu alkowy. Jako osoba bardzo spostrzegawcza, aby móc mu jak najlepiej dogodzić, zwróciła uwagę na najistotniejsze cechy jego charakteru: próżność, ambicję i niemal brutalną lubieżność. – Dzięki wam zostanę zakonnica i uniknę nędzy.

– Ale nie będziesz klaryską – wyjaśnił. – Klasztor Świętej Balsamii zamieszkuje wspólnota benedyktynek. Wiesz, jaka jest różnica?

– Oczywiście. Pierwsze przestrzegają reguły Świętej Klary, wzorowanej na regule Świętego Franciszka. Drugie natomiast reguły Świętego Benedykta.

– Krótko mówiąc – wyjaśnił prałat – różnią się tym, że jedne kładą większy nacisk na ubóstwo, a drugie na mądrość. – Zaczekał, aż przytaknie, i dodał: – Jednakże martwi mnie twoja wyniosła natura.

– Potrafię się powściągnąć, Wasza Łaskawość.

– Będziesz musiała zachować pokorę i posłuszeństwo. I będziesz musiała nauczyć się słuchać i nie odpowiadać. Tylko w ten sposób zdobędziesz zaufanie przeoryszy.

– Słuchać i nie odpowiadać – powtórzyła młoda niewiasta, zerkając przez okienko karocy. – Nie zawiodę was, przekonacie się.

Rozdrażniony tak wielką pychą kardynał zachmurzył się. Jeszcze nie zdążył polecić Aleydis wspólnocie Świętej Balsamii, a już zaczynał żałować swojej decyzji. A przecież kiedy kiełkowała w nim myśl, żeby wprowadzić do klasztoru nowicjuszkę, jej kandydatura wydała mu się czymś naturalnym. Młoda i przebiegła, charakteryzowała się niewinnym wyglądem, który mógłby jej się przydać do szpiegowania Eudeline bez wzbudzania podejrzeń. Teraz jednak bał się, że nadmierna pewność siebie może ją zdradzić. Położył jej dłonie na kolanach i spojrzał uważnie w oczy.

– Spodziewam się, że w pełni rozumiesz, jak ważne jest zadanie, które ci powierzam. – Ścisnął ją i przysunął do siebie. – Sam spróbowałbym wkraść się do tego klasztoru, gdyby nie niebezpieczeństwo, że mnie rozpoznają, i zakaz wstępu mężczyznom do niektórych pomieszczeń. – „Innym rozwiązaniem byłoby porwanie matki przełożonej i poddanie jej torturom”, pomyślał. Na razie wszakże wolał nie stosować przemocy. – Pojmujesz, dlaczego jesteś taka cenna? Musisz być moimi oczami i uszami, a potem wszystko mi powtórzyć. Ja zamieszkam w Reims, w opactwie Świętego Remigiusza, i będę czekał na twoje meldunki.

– Wyraziliście się aż nazbyt jasno, Eminencjo – uspokoiła go niewiasta.

Dłonie kardynała powędrowały do jej ud i rozchyliły je.

– Nie zapominaj więc o najważniejszej zasadzie.

Aleydis poddała się jego ruchom.

– Jakiej?

– Strzeż się, żeby nie zdradzić nigdy, nikomu i pod żadnym pozorem mojego imienia. – Prałat utorował sobie drogę wśród fałd jej sukni. – Albo przysięgam na Boga, urządzę ci piekło.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

Siostra Eudeline zwykła wstawać przed świtem i poświęcać czas między godziną czytań a jutrznią na kwestie zarządzania rodzinnym dziedzictwem. Zapisywała wszystko w pergaminowej księdze głównej, zwracając szczególną uwagę na dochody z lenn i wydatki, jakie należało ponosić, aby ziemie przynosiły zyski. Oddawała się temu zajęciu od śmierci ojca, odkąd jej wielbny wuj Antoine Tempier obwieścił, że jest przytłoczony zbyt wieloma obowiązkami, by wziąć na siebie to zadanie. Skądinąd Eudeline niedawno wstąpiła do klasztoru i chcąc uciec przed potwornością własnych wspomnień, szukała zapomnienia w nieprzerwanej i zmuudnej pracy. Z radością wzięła więc na siebie i to brzemień.

Z początku nie wiedziała, jak się rozeznac w stertach aktów własności, zezwoleń, dokumentów dotyczących latyfundiów, pańszczyzny i rozmaitego rodzaju jurysdykcji. Wydawało jej się, że przedsięwzięcie to przekracza jej zdolność pojmowania. Potem jednak, dzięki pomocy dawnej przeoryszy, nauczyła się porządkować sprawy każdej posiadłości w kategoriach jej zasięgu terytorialnego, wartości i ostatecznych terminów zobowiązań. Po kilku miesiącach nabrała wprawy, stając się panią licznych włości, z których sporej części nigdy nie widziała. I odkryła przyjemność w sprawowaniu władzy.

Wszelako pomimo sprytu nadal była zakonnica. Nie mogła opuszczać klasztoru, aby osobiście doglądać własnych interesów, musiała więc zaufać *missi*, którzy nadzorowali w jej imieniu posiadłości, warunki życia służby, zbiory i żywy inwentarz. Naradzała się z nimi co miesiąc, wysłuchiwała meldunków, nakazując dbałość o wszystko. Sama zawiadywała wszakże rachunkami i płatnościami. Nikomu nie dawała dostępu do pieniędzy, strzeżonych w tajemnej izbie, do której tylko ona miała prawo wchodzić.

Tego dnia nie czekały na nią żadne szczególne obowiązki do wypełnienia. Siedząc przy lampce oliwnej, dbała wyłącznie o zapisanie dochodów z winnicy położonej wzdłuż rzeki Vesle i spostrzegła, że zmniejszyły się niemal o połowę w stosunku do ubiegłego roku. „Nie dziwota”, pomyślała. Podobnie rzecz się miała w całym królestwie. Zimy stawały się coraz sroższe, szkodząc zbiorom i siejąc strach przed głodem, takim jak ten, który panował w latach 1338 i 1343. Niektórzy upatrywali jego przyczyn w koniunkcji trzech planet, która nastąpiła w ostatnim roku.

Wielebna matka nie bardzo w to wierzyła. Wiedziała, że ciała niebieskie są posłuszne woli Boga, chociaż wątpiła, żeby ludzie byli w stanie odczytać jego znaki. Dlatego jej zdaniem pozostawało tylko się modlić.

Zamknawszy księgę główną, podniosła się z westchnieniem znad pulpitu. Miała przed sobą dzień pełen zwykłych zajęć, a przed przystąpieniem do nich chciała odwiedzić kompana Maynarda. Doniesiono jej, że zdradza oznaki poprawy stanu zdrowia, choć ten nadal był ciężki. Prawdziwy cud, zważywszy na zabieg, któremu go poddano.

Opuściła *domus particularis* z lampką oliwną w dłoni i przemierzyła krótki odcinek pod gołym niebem, otuliwszy się przed zimnem wełnianym pledem. Niebo przesłaniał tak gęsty arras utkany z chmur, że zakrywał nawet księżyc.

Minąwszy ogród i apsydę, Eudeline dotarła w końcu do ambulakru, który prowadził do *valetudinarium*. Nie znalazłszy infirmerki, sama podeszła do posłania Roberta de Vermandois. Korzystając z tego, że spał, jęła mu się przyglądać.

Jej oczom ukazał się człowiek, w którym od czasu, kiedy go ostatni raz widziała, dokonana się głęboka zmiana. Był ciągle blady, miał owiniętą głowę, niemniej wyglądał jakoś inaczej. Brwi, teraz rozciągnięte, nadawały jego twarzy wyraz łagodności, podkreślony przez rozchylone wargi, których nie wykrzywiał już grymas cierpienia. Eudeline nigdy by się nie spodziewała ujrzeć takiej harmonii rysów u kogoś, kto na pierwszy rzut oka wydał jej się szorstki i nieokrzesany. Przeciwnie, teraz miała przed sobą człowieka o szlachetnym obliczu, być może zdolnego do uprzejmego uśmiechu i dodania niewieście otuchy. Ogarnęło ją nie tylko zdumienie, ale także zadowolenie. Nagle uczucie to zniknęło na widok czegoś niespodziewanego.

Robert uniósł powieki.

Wielebna matka zatonęła w źrenicach jego spokojnych, zielonych oczu, nie pojmując, dlaczego krew w żyłach pulsuje jej mocniej. Owładnęła nią jakaś dziwna euforia, wywołując lekki rumieniec na twarzy. „Bądź ostrożna”, przestrzegła się w duchu. Uzmysłowiwszy sobie to, co się z nią właśnie działo, oparła się temu z całą mocą i skamieniała.

Drgnęła na dźwięk kroków za plecami.

– Co się stało? – zapytała, odwróciwszy się.

Z cienia wyłoniła się jedna z zakonnice. Zamiast odpowiedzieć, przyjrzała jej się z zakłopotaniem.

„Czyżbym była aż tak roztrzęsiona?”, przemknęło przez myśl siostrze Eudeline.

– No mówcież – ponagliła, przybierając dumną postawę.

– Właśnie przyszła wiadomość – odrzekła mniszka. – Uprasza się o wasze czcigodne stawiennictwo w opactwie Świętego Remigiusza.

– Z jakiejż to przyczyny?

– Z powodu przybycia nowicjuszki.

Na twarzy wielebnej matki pojawił się grymas rozdrażnienia. Nikt jej o tym nie powiadomił. Skinęła na zakonnicę, żeby szła za nią, zanim się jednak oddaliła,

odwróciła się, by popatrzeć po raz ostatni na chorego.

Vermandois miał zamknięte oczy, był pogrążony we śnie. Lecz jego spojrzenie zdążyło już zapaść jej w pamięć.

Siostra Eudeline zawsze niechętnie opuszczała klasztorne mury, wychodząc *do świata*. Nie znosiła tłumu, który stwarzał tak wielki chaos, że aż kręciło jej się w głowie. Nie cierpiała głosów, zwłaszcza ordynarnych i podniesionych. Ponadto nienawidziła mężczyzn, wszystkich mężczyzn, gdyż w twarzy każdego z nich dostrzegała zawsze coś ze swojego ojca. Jedyne wyjątkiem stanowił jej brat, dopóki nie przyszła kolej na Roberta de Vermandois. Przelotne wzruszenie w jego obecności mocno ją wzburzyło.

Podążyła szybkim krokiem do opactwa Świętego Remigiusza, starając się nie powalać habitu pokrywającymi ulice nieczystościami. Nie pojmowała, jak ludzie mogą żyć z podobną ilością brudu wokół siebie, chociaż zdawała sobie sprawę, że znaczna część Reims ma takie warunki. Jedyne kwitnący obszar skupiał się wokół katedry. Na pozostałym panowało zepsucie.

Przedmieście Świętego Remigiusza nie stanowiło wyjątku. Dawniej wsławiło się tym, że mieszkało tam ze sto rodzin – wśród nich kucharze, piekarze i rzemieślnicy – usługujących opactwu. Przemierzając jednak teraz jego wschodni plac, matka przełożona uzmysłowiła sobie, że bardzo niewiele z tego przetrwało, dotyczyło to nawet słynnego jarmarku, odbywającego się w październiku. Pozostały nieliczne kramy i parę nędznych straganów, przycupniętych przy ruinach starych murów, za którymi ostało się jedno z najbardziej bogatych opactw Francji.

Wtem do rzeczywistości przywołał ją ryk: oto pędził wprost na nią wóz ciągniony przez woły. Słyszając wrzaski woźnicy, odsunęła się czym prędzej, aby jej nie przejechał, lecz wpadła na jakiegoś przechodnia, straciła równowagę i upadła na ziemię. Zaniemówiwszy z przerażenia, widziała zbliżające się coraz bardziej błoto i kopyta. Oczyma duszy ujrzała siebie zmiażdżoną, wdeptaną w nieczystości, gdy nagle poczuła, że ktoś ją podnosi.

Doznawszy niespodziewanej ulgi, zakonnica patrzyła na oddalający się wóz i nie mogąc uwierzyć, że wyszła z tego cało, odwróciła się, by podziękować dobremu samarytaninowi, który udzielił jej pomocy. Z najwyższym zdumieniem zobaczyła przed sobą mężczyznę o egzotycznych rysach. Był odziany w długą, szkarłatną szatę, miał ciemną skórę i oczy pomalowane kajalem. Skłoniwszy się nieznacznie, przemknął niczym kot i rozpląnął się w tłumie.

Eudeline zastygła w bezruchu, oszołomiona tym niezwykle spotkaniem. Po chwili postanowiła ruszyć się wreszcie.

Znalazłszy się przed opactwem Świętego Remigiusza, skierowała kroki ku schodom portalu. Gdy dotarła do narteksu, zatrzymała się przed nawą główną. Sto dwadzieścia kroków długości i ponad dwadzieścia sążni wysokości. Za każdym razem, kiedy na nią spoglądała, ulegała jej czarowi, przypominając sobie, jak

wchodziła tu po raz pierwszy z matką jako mała dziewczynka. Podobnie jak wówczas zbliżyła się do niewielkiej figury Świętego Remigiusza, aby odmówić modlitwę.

– Daj mi siłę – szepnęła przed wypowiedzeniem „amen” – daj mi odwagę.

Następnie rozejrzała się wokół i zauważyła idące ku niej dwie osoby: potężnego mężczyznę, otulonego jednym z tych szerokich płaszczy, jakie nosiły niektóre zbiry, aby ukryć broń, i młodą niewiastę, odzianą ze skromną wytwornością.

Mężczyzna lekko skłonił głowę.

– Wielebna przeorysza od Świętej Balsamii, jak przypuszczam.

Eudeline przytaknęła i odwzajemniła pozdrowienie.

– Mogę wiedzieć, przed którym obliczem stoję? – zapytała obojętnie.

– Mam na imię Marcus i tyle musi wam wystarczyć, jako że mój pan uprzejmie prosi o pozostanie anonimowym.

Matka przełożona przyjrzała mu się uważnie, odnosząc niemiłe wrażenie.

– Messer, żartujecie sobie ze mnie? Nie możecie wzywać mnie jak byle kuchtę i narzucać cudzej woli.

– Nie było moim zamiarem wam uwłaczać, przewielebna – odrzekł słodko Marcus. – Jeśli to uczyniłem, to dlatego, że chciałem prędko przejść do celu tego spotkania.

Eudeline skrzyżowała ramiona.

– Słucham – westchnęła.

– Zgodnie z treścią przekazanej wam wiadomości jestem tu po to, by oddać w wasze ręce dziewczę, które cechuje godna podziwu pobożność. – Wskazał młodą niewiastę u swego boku. – Biedną sierotę. Mój pan czuje się zaszczycony, mogąc powierzyć ją waszej opiece.

Na te słowa wielebna matka spojrzała na niewiastę. Była bardzo powabna i wyraźnie skrepowana. Wzrok Eudeline złagodniał.

– Jak wam na imię?

– Aleydis – odparła tamta z ukłonem.

– Opowiedzcie mi o swoim powołaniu – zachęciła. – Co was skłoniło do tego kroku?

Aleydis wzruszyła ramionami.

– Odkąd zostałam sama na świecie, nie pragnę niczego innego, jak przywdziać habit. – Zamilkła na chwilę, przygryzając dolną wargę. – W ciągu tych lat modlitwa stała się dla mnie jedyną pociechą. Chcę dalej iść tą drogą, żeby być bliżej Boga.

– Przykro mi, że straciliście rodzinę – ciągnęła Eudeline – ale nawet gdybym chciała przyjąć was do mego klasztoru, musicie wiedzieć, że mam obowiązek zażądać od was posagu.

– Nie obawiajcie się – wtrącił Marcus. – Mój pan jest gotów wpłacić znaczną kwotę, w wysokości tysiąca złotych florenów.

Matka przełożona wpatrywała się weń zdumiona. Tysiąc złotych florenów stanowiło równowartość rocznych przychodów średniej wielkości klasztoru. Wiedziała już, jak mogłaby je spożytkować, gdyby nimi dysponowała. Należało powiększyć dormitorium i naprawić dach. Mimo wszystko nie przypadła jej do gustu myśl o otrzymywaniu pieniędzy od obcych.

– Pokażna suma – przyznała. – Niemniej jednak chciałabym wiedzieć, skąd pochodzi.

Mężczyzna wykonał nieokreślony gest.

– Skoro zamierzacie moralizować...

– Owszem, mam taki zamiar – upierała się Eudeline. – Etyka chrześcijańska nakazuje nie przyjmować pieniędzy pochodzących z lichwy, wymuszeń i kradzieży.

– Nic podobnego nie ma miejsca, zapewniam was. Kwota, o której mowa, pochodzi z zysków z przyznanej przez Kościół emfiteuzy. Rozumiecie zatem naturę takiego bogactwa i osoby, która je posiada. Mój pan nie chce się chełpić własną dobroczynnością, postanowił więc pozostać w cieniu, nawet gdyby miano go nazwać nieokrzesanym.

– W równym stopniu nieokrzesanym i niezwykłym – dodała matka przełożona, zerkając na Aleydis. Pomyślała, że może od niej dowie się czegoś więcej, lecz nie była to odpowiednia chwila na pytania.

– Zdaje się, że będę musiała zrezygnować z dalszych pytań – westchnęła.

Marcus skinął potakująco głową.

– Jeszcze jeden, ostatni warunek – zastrzegł. – Panna Aleydis będzie musiała odwiedzać to opactwo raz w tygodniu, aby spotkać się ze swoim spowiednikiem.

– Nie widzę powodu, messer – sprzeciwiła się Eudeline. – W naszym klasztorze też mamy spowiednika.

Mężczyzna uniósł ramiona w górę na znak bezsilności.

– Ja tylko przedstawiam żądania mojego pana, wielebna matko. Nie mogę ich zmieniać.

Przeorysza wpatrywała się weń podejrzliwie, rozważając wszystkie za i przeciw takiego układu. Nowicjuszka i tysiąc florenów przyniosłyby korzyść Świętej Balsamii, mimo że cała ta tajemnica wcale jej się nie podobała.

– Cóż, zgadzam się – westchnęła z rezygnacją. – Ale wyłącznie na czas trwania nowicjatu. Jeśli wasza protegowana przetrzyma ten okres, nie będzie już mogła opuszczać klasztoru. Nawet po to, żeby się wyspowiadać.

– Niechaj będzie – oznajmił Marcus.

Powierzając jej Aleydis, uśmiechnął się pobłaźliwie. Jak przystało na rajfura.

– Wiedźcie, że nie przyjmimy was zbyt łatwo. – Siostra Eudeline zignorowała spłoszone spojrzenie Aleydis, skupiając uwagę na kałużach błota, którymi upstrzona była droga. Miała powalany habit, a spoglądając na zachmurzone niebo, nabrała obaw, że wróci do klasztoru przemoczona do suchej nitki. Mimo to rozdrażnienie ustąpiło miejsca troskliwości. Nie wiedziała, co łączy tę młodą niewiastę z jej tajemniczym opiekunem i z kłamcą Marcusem, dostrzegając w niej wszakże dobroć. Bardzo wczesnie została sierotą i najwyraźniej cierpiała nędzę. Już choćby z tego powodu zasługiwała na poprawę warunków życia. Chociaż przeorysza pragnęła powiedzieć jej coś miłego, miała obowiązek jej nie ośmielać.

– Nie pojmuję, przewielebna matko – odparła Aleydis.

– „...badajcie duchy, czy są z Boga” – rzekła Eudeline, cytując Pierwszy List Świętego Jana. – I nie nazywajcie mnie „przewielebną” matką, proszę. „Matka” aż nadto wystarczy.

– Zamierzacie zatem poddać mnie próbie?

Przeorysza przytaknęła. Nie był to jej wymysł, lecz wymóg reguły Świętego Benedykta.

– Musicie wiedzieć, że bardzo niewielu jest wybranych do życia zakonnego, chociaż wielu do niego dąży.

– Sądziłam, że wystarczy oddać posag – odparła rozczarowana młoda niewiasta.

– Nie mówcie głupstw – zbesztła ją Eudeline. – Majątek jest potrzebny do utrzymania klasztoru i jego wspólnoty, jako że zakonnicom nie wolno żebrać. Ale jak Bóg na niebie, bogactwo nie określa powołania, a ja nie będę rozporządzać waszymi złotymi florenami, dopóki nie złożycie ślubów.

– Skoro domagacie się prawdy, jak zdołaliście zostać matką przełożoną w tak młodym wieku?

Wielebna matka odwróciła się gwałtownie, czerwieniąc z gniewu i zakłopotania.

– To już prawdziwe zuchwalstwo – wybuchnęła. – I mówicie to wy, choć właściwie nic o was nie wiadomo?

Aleydis przystanąła na środku drogi.

– Wybaczcie, matko. – Spuściła głowę. – Mam nadzieję, że nie okazałam wam aż tak wielkiego braku szacunku, abyście zwątpili w mój nowicjat.

– Jeszcze nie jesteście nowicjuską – odparła Eudeline.

Na twarzy dziewczęcia ukazało się zmieszanie.

– To znaczy, że nie przyjmiecie mnie do klasztoru?

Wielebna matka wpatrywała się w nią w milczeniu, usiłując przezwyciężyć

złość. Nie zwykła reagować gwałtownie, nawet dotknięta do żywego. Wydarzenia ostatnich dni musiały nadwerżyć jej siłę charakteru o wiele mocniej, niż się spodziewała. Westchnęła głęboko.

– Na razie zamieszkacie w domu gościnnym – wyjaśniła, odzyskawszy panowanie nad sobą – ale obiecuję, że nie będziecie siedzieć beczynnie.

Ostatni odcinek pokonały niemal biegiem, uciekając przed nagłą ulewą.

Aleydis dotarła wraz z matką przełożoną do bramy klasztornej, gdzie musiały zaczekać na furtiankę, niewiastę w bardzo podeszłym wieku, która zaprowadziła dziewczynę do drewnianej budowli wznoszącej się na obrzeżach zabudowań. Składała się z jednej izby, w której znajdowało się jakieś dziesięć sienników, a pośrodku stał stół. Naprzeciwko wejścia, pod pocerniałą od dymu ścianą, widniało wygasłe palenisko.

Po chwili do drzwi zapukał posługacz i położył na stole odzienie z szarego płótna, kilka łożowych świec i dzban wody, następnie umieścił w palenisku parę polan.

Czekając, aż zapłonie ogień, stara zakonnica oznajmiła:

– Będziecie dostawać dwa posiłki dziennie, ale nie otrzymacie prawa wstępu do refektarza. Będziecie jadać tutaj, w samotności. Ponadto będziecie mieć obowiązek uczestniczenia we wszystkich nabożeństwach. Będziecie siadać w ostatnich ławkach i do nikogo nie będziecie się odzywać. – Jej pomarszczone wargi rozciągnęły się w słabym uśmiechu. – Zachowajcie cierpliwość, bądźcie posłuszni, a otrzymacie nagrodę. Nie mogę powiedzieć nic więcej poza tym, że wielbna matka odwiedzi was, aby przydzielić wam obowiązki.

Aleydis pragnęła zadać jej mnóstwo pytań, lecz tylko skinęła głową.

Furtianka uśmiechnęła się po raz drugi, po czym poleciła posługaczowi opuścić izbę i razem oddalili się w deszczu.

Zostawszy sama, młoda niewiasta podeszła do ognia i osuszyła włosy kawałkiem płótna. Była wyczerpana podróżą i zawiedziona przyjęciem; nie wyobrażała sobie, w jaki sposób zdoła wykonać pierwsze zadanie. Kardynał nigdy nie mówił, że zostanie zamknięta w tak ponurym pomieszczeniu, czekając, aż uznają, że się nadaje. Nie mówił także, jak trudno będzie przystąpić do nowicjatu. Ograniczył się jedynie do udzielenia kilku rad na temat tego, jak powinna się zachowywać, grożąc karą w razie niepowodzenia. W gruncie rzeczy nie powiedział nic, co mogłoby się okazać przydatne.

Aleydis skuliła się na posłaniu przy ogniu i zamknęła oczy, próbując dodać sobie otuchy. „Do diabła”, pomyślała. Nieważne, jak długo tu pozostanie ani jakim próbom będzie musiała się poddać. Z pewnością to nie może być gorsze od życia, jakie dotąd wiodła. Urodziła się i dorastała w o wiele okropniejszej norze niż ta, w której właśnie się znajdowała, zmuszona bezustannie uciekać przed natarczywością ojca i szturchańcami matki. Znosiła głód, brud i chłód tak srogich

zim, że na samo wspomnienie o nich przechodził ją dreszcz. Cóż znaczą w porównaniu z tym jakieś głupie reguły Świętego Benedykta!

Zresztą, cóż mogła wiedzieć przeorysza? Aleydis była zła na siebie, ale nie mogła się powstrzymać. *Jak zdolaliście zostać matką przełożoną w tak młodym wieku?* Wystarczyło jedno spojrzenie, by pojąć, że siostra Eudeline wywodzi się z wysokiego rodu. Z tymi swoimi bielusięnkimi rączkami i anielską buzią wywyższała się, mówiąc o pokorze, chociaż prawdopodobnie nigdy nie musiała cerować odzienia. „Nie”, poprzysięgła sobie w duchu. „Nie złamię mnie”.

Zacisnęła pięści, przykryta ciepłą słomą, myśląc o obiecanej przez kardynała nagrodzie. *Wykonujcie moje rozkazy, a uczynię was przeoryszą.* Już nigdy nie powróci do nędzy, za żadną cenę. Nigdy więcej. Kończyny zaczęły jej drętwieć z powodu zmęczenia i powoli zapadała w sen.

Kiedy się obudziła, wielebna matka znajdowała się przy niej. Trzymała w dłoniach czarkę parującej polewki.

– Wasz posiłek – rzekła, stawiając naczynie na stole. – Jedzcie, póki gorąca.

Młoda niewiasta podniosła się z posłania i strzepnęła źdźbła słomy, które przywarły do odzienia.

– Wybaczcie, matko. Obawiam się, że zasnąłam w trakcie modlitwy.

Siostra Eudeline skinęła głową.

– Zastanawiałam się, jakie obowiązki wam przydzielić.

– Słuchanie waszych rozkazów mnie uszczęśliwi.

– Będziecie je wypełniać pomiędzy nabożeństwami, dostosowując się do klasztorного życia, ale nie ja będę wam wydawać polecenia. Moją wolą jest, abyście od tej pory wykonywali rozkazy infirmerki.

– Nie chcę się sprzeciwiać... – pozwoliła sobie wtrącić Aleydis, spodziewając się, że będzie musiała się opiekować chorymi. – Obawiam się, że się nie nadaję...

Eudeline uciszyła ją gestem ręki.

– Gorliwość, miłosierdzie, wytrwałość. Nikt nie będzie od was wymagał niczego więcej. Musicie przywyknąć do budzenia się przed wschodem słońca i odsuwania na dalszy plan własnych potrzeb. W upływie czasu pomogą wam się rozeznac codzienne msze i bicie naszego dzwonu.

W ciągu kolejnych dni Aleydis podporządkowała się klasztornej regule, wypełniając każde zadanie powierzone jej przez infirmerkę. Wbrew oczekiwaniom nie kazano jej zajmować się żadnym chorym. Musiała natomiast wykonywać najpodlejsze i najbardziej męczące czynności, zwykle należące do posługaczy. Miejscami, w których spędzała większość czasu zgięta w pół, były *hortus* albo *herbaria*⁵, gdzie wrywała chwasty, przycinała rośliny i wzruszała ziemię sierpem. Musiała także utrzymywać czystość w *valetudinarium*, porządkować księgi, narzędzia medyczne, a nawet suszone zioła lecznicze, które umieszczano

w szklanych słojach i przechowywano w czymś w rodzaju piwnicy, zwanej *annarium pigmentariorum*. Usilnie starała się zjawiać na mszach punktualnie, a po niesporach udawała się do domu gościnnego, padała wyczerpana na posłanie i czekała na kompletę. Nikt jej za nic nie podziękował ani nie wyraził uznania.

Przedtem nie zdawała sobie sprawy, że posłuszeństwo i milczenie wymagają aż takiego poświęcenia. Ciężył jej brak rozmów z kimkolwiek, podobnie jak to, że czuła się wiecznie obserwowana i osądzana. Poza tym przebywając w towarzystwie innych zakonnicy, za każdym razem lękała się, że postąpi niewłaściwie, że wyda się głupia, a nawet że jej chód okaże się nieodpowiedni. Mimo to nakazała sobie nie poddawać się i czekać, aż jej cierpliwość zostanie nagrodzona.

Stało się tak czwartego dnia, kiedy myła posadzkę w *valetudinarium* gałganem namoczonym w occie. Infirmierka zostawiła ją samą i poszła wykonać jakieś zadanie na zewnątrz. Niespodziewanie zjawiała się wielebna matka.

Aleydis nie przerwała zmywania, klęcząc w kącie, niemal niewidoczna. Dumając nad tym, po co przyszła przeorysza, szpiegowała ją ukradkiem. Matka przełożona przemierzyła *valetudinarium* i przysiadła koło leżącego tam mężczyzny. Miał obwiązaną głowę i był pogrążony we śnie.

Młoda niewiasta nie знаła imienia chorego, wystarczył wszakże jeden rzut oka na jego potężną postać i bitewne szaty umieszczone u stóp posłania, aby nabrała podejrzeń. Należało się zastanowić nad powodem, dla którego w klasztorze znajduje się ranny żołnierz. Prawdopodobnie był to ten rodzaj wiadomości, które mogły zaciekawić kardynała.

Jednakże to, co nastąpiło potem, zaintrygowało ją jeszcze bardziej.

Siostra Eudeline nie uczyniła niczego szczególnego. Po prostu wpatrywała się intensywnie w chorego. Tylko że twarz zakonnicy nie zdradzała miłosierdzia, a tym bardziej litości w stosunku do cierpiącego. Wprawdzie Aleydis nie mogła mieć pewności, lecz ogarnęło ją przeczucie, że jest świadkiem czegoś bardziej osobistego.

Wrażenie to trwało ledwie chwilę. Po czym matka przełożona wstała i odwróciwszy się nieoczekiwanie, zauważyła jej obecność. Podeszła do niej.

Młoda niewiasta wykonała przepaszający gest, spodziewając się wymówek. Tymczasem w oczach przeoryszy dostrzegła jedynie niepokój. Niepokój, który nie miał prawa się narodzić w cichym i odosobnionym życiu zakonnicy.

Ulegając owemu spojrzeniu, Aleydis nadal klęczała na posadzce z gałganem w ręce. Nie wiedziała, czego się spodziewać.

– Pokażcie dłonie – poleciła Eudeline.

Tamta zawahała się, niepewna, czy dobrze usłyszała. Gdy przeorysza ponagliła ją niecierpliwym gestem, spełniła wstydliwie polecenie. Z powodu prac wykonywanych w ciągu ostatnich czterech dni jej palce były opuchnięte i podrapane.

Matka przełożona musnęła je, wpatrując się w nie z uwagą. Następnie przyjrzała się jej dziełu, omiatając wzrokiem posadzkę. Na koniec nieoczekiwanie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Wasz pobyt w domu gościnnym dobiegł końca – oznajmiła. – Przyjmuję was do nowicjatu.

LENNA VIENNE**KONIEC PAŹDZIERNIKA**

Ocalony z zasadzki Maynard rozpoczął dalszą wędrówkę do kościoła Świętego Sabina. Ogarnęły go wyrzuty sumienia, że zabił swą prześladowczynię, i zarazem przemożna ulga na myśl o tym, że nikt nie depcze mu już po piętach. Nad każdym uczuciem dominowała wszakże euforia, że rozwiązanie zagadki jest już blisko.

Dotarłszy do Vienne, przedarł się przez okolone murami przedmieście i popędził karego ku wysokiej dzwonnicy, górującej nad rzędem skromnych domków. Nie wiedział jeszcze, od czego zacząć poszukiwania, skoro pergamin zawierał wzmiankę o Świętym Sabinie wyłącznie jako etapie na drodze do „góry kwiatu”, czyli miejsca ukrycia *Lapis exilii*. Dla większego bezpieczeństwa powstrzymał wierzchowca i odczytał rzeczony zdanie:

Est Lapis exilii situs in Monte floris...

A meridie Sancti Savini in villa Cerisii.

„Na południe od Świętego Sabina”, powtórzył w myślach. Aby dotrzeć do celu, powinien udać się na południe, tekst nie dawał wszakże żadnej wskazówki w sprawie odległości, jaką należało pokonać. Jednocześnie Maynard przeczuwał, że znajduje się już niedaleko miejsca przeznaczenia, i żywił nadzieję, że ludzie, których tam spotka, zdołają mu pomóc się rozeznać. Mimo to zbliżając się truchtem do kościoła Świętego Sabina, spróbował zasięgnąć języka.

Zagadnął najpierw jakiegoś cieślę, potem handlarza skór, a na koniec pielgrzyma. Każdy z nich, zapytany o tajemniczy *Mons floris*, odparł, że nigdy o nim nie słyszał.

Pożegnawszy się, zawiedziony rycerz zsiadł z konia przed fasadą kościoła. Wciąż się nie poddawał. Zakonnicy, bardziej uczeni od zwykłego motłochu, z pewnością będą umieli odpowiedzieć na jego pytania.

Pierwszy frater, na jakiego się natknął, furtian, przyznał, że nie wie, gdzie leży „góra kwiatu”.

– Wejdźcie do kościoła – dodał jednak pojednawczo – nasz przeor jest wybitnym znawcą tych ziem. Być może z Bożą pomocą potrafi wskazać wam właściwą drogę.

Rocheblanche oddał konia stajennemu i przekroczył wraz z mnichem próg kościoła Świętego Sabina.

Nigdy dotąd nie był w tym kościele, zawsze jednak pragnął zobaczyć przepiękne freski, z których słynął w całym chrześcijańskim świecie. I rzeczywiście, ledwie oswoił się z półmrokiem, ujrzał widok zapierający mu dech w piersiach. Całą nawę, w tym także chór i kaplice boczne, pokrywały jaskrawe malowidła. W większości były to ilustracje do *Biblia pauperum*, zawierające epizody ze Starego i Nowego Testamentu; widniały tam jednak również sceny, których rycerz zrazu nie umiał rozpoznać.

Podążał za furtianem ku ołtarzowi, nie przestając się rozglądać. Nie zdawał sobie niemal sprawy, że zmierza naprzeciw staremu prałatowi, który właśnie opuszczał przestrzeń ograniczoną przez lektorium. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, Maynard się skłonił.

– Jestem pielgrzymem z Burgundii – skłamał – i szukam góry zwanej *Mons floris*. Nie wiem, gdzie się wznosi, ale ze wskazówek, jakie mi dano, wynika, że powinna się znajdować na południu, niedaleko stąd.

Przeor zwlekał z odpowiedzią, wsparty o drzwi lektorium.

– Ten, kto udzielał wam wskazówek, messer, jest w błędzie albo was okłamał – oznajmił wreszcie. – Chyba że się zgubiliście.

– Sądzę, że trafiłem we właściwe miejsce. – Fałszywy pielgrzym przypomniał sobie słowa zagadki. – Jeśli te mury wzniesiono ku czci Świętego Sabina i stoją one na ziemi znanej dawniej jako *villa Cerisii*, góra, o której mówię, powinna być blisko.

– A jednak – upierał się starzec – na południe od Świętego Sabina nie wznosi się żadna góra kwiatu, zapewniam was. Możecie znaleźć wyłącznie... – Zamilkł na chwilę i zmarszczył brwi. – Powiedzcie no, messer, jesteście pewni, że tego szukacie?

Maynard dostrzegł w jego oczach niepokojący błysk.

– Co przez to rozumiecie?

– Widzicie – zastanawiał się usilnie przeor – nazwa ta właśnie wyłoniła się z mej pamięci. Nie przypomniałem sobie o niej wcześniej, gdyż zmyliliście mnie swoimi słowami, napomknąwszy o górze.

– Proszę o wybaczenie. Nazwa pozwalała przypuszczać, że *Mons floris* to wzniesienie. A według was co by to mogło być?

– *Mons floris*... Mont-Fleur... – rozważał starzec, mruczając pod nosem. – Nie myślę się, to absolutnie musi brzmieć właśnie tak! Nie szukacie góry, lecz klasztoru.

Rycerz drgnął.

– Jesteście pewni? – zapytał, choć już wiedział, że przeor ma rację. Jeżeli *Mons floris* to rzeczywiście klasztor, wzmiankowana w zagadce krypta nabierała dokładnego znaczenia.

– Całkowicie – przytaknął prałat. – Klasztor w Mont-Fleur wznosi się wśród wzgórz, z dala od dróg i ścieżek. Wędrowcy go omijają, albowiem jest dość ubogi

i otaczają go gęste zarośla. Podążając jednak na południe, nie możecie na niego nie trafić: dzielą was od niego dwa dni konno.

Tak też się stało.

Zostawiwszy za sobą Vienne, Rocheblanche ruszył na południe i jechał przez cały dzień i noc, aż natknął się na sprawiającą wrażenie nie do przebycia makię. Otulony płaszczem dla ochrony przed chłodem, zapuścił się między drzewa z łuczywem w dłoni, starając się uspokoić karego. Tajemnicze odgłosy dobiegające z zarośli wzbudziły jego czujność już o zmroku, choć go nie przeraziły. Komuś, kto zajrzał śmierci w oczy, poczucie bezpieczeństwa potrafił zapewnić już miecz u boku. Dręczyły go troski zupełnie innego rodzaju.

Wprawdzie nie wyobrażał sobie, co zastanie na końcu drogi, wszelako żywił ostatnią nadzieję, że w klasztorze w Mont-Fleur może się dla niego otworzyć nowy rozdział życia. Nie dbał o to, czy będzie lepszy, czy też gorszy. Istotne było uwolnienie się od upiorów przeszłości, od cierpienia i od żądz zemsty. Następnie poszybował myślami ku Eudeline i przyrzekł sobie, że napisze do niej, gdy tylko rozwiąże zagadkę *Lapis exilii*. Nie potrafił znieść milczenia, jakie zapanowało między nimi, i pragnął to naprawić. Najpierw jednak musiał pojąć, jakiemu przeznaczeniu wychodzi naprzeciw.

Spędzając noc w tej zapomnianej przez Boga makii, jał się zastanawiać nad rzucającym do morza olbrzymi kamień apokaliptycznym aniołem – był ogromny, rozpościł majestatyczne skrzydła na tle chłostanego wiatrem nieba. Odkąd rycerz usłyszał prorocstwo Świętego Jana, nie potrafił się pozbyć potwornej wątpliwości: może Jan Ślepy ukrywał *Lapis exilii*, gdyż obawiał się, że odnalezienie go rozpęta burzę i ponure prorocstwo się ziści. W takim razie sam zamierzał właśnie popełnić straszliwą pomyłkę. A jeśli został wybrany, aby urzeczywistnić wolę Bożą?

Ciszę rozdarło wycie.

Znalazłszy się w ciemnościach, Rocheblanche uzmysłowił sobie nagle, że miecz wcale nie wystarczy do zapewnienia mu bezpieczeństwa. Nawet jeśli zajrzał kiedyś śmierci w oczy. Nawet jeśli był odważny aż w nadmiarze. Nie lękał się zasadzki ani bólu rozdzieranego przez lśniące kły ciała. Lękał się natomiast myśli, że wszystko może się skończyć w chwili, kiedy jest o krok od poznania prawdy, a ponadto kiedy nosi jeszcze w sercu brzemię winy.

Spiał konia i puścił się galopem między powykęcane pnie wzdłuż ledwie widocznej ścieżki. „To diabeł”, przemknęło mu przez głowę, gdy dostrzegł wyskakujące z krzaków wydłużone postaci. „Diabeł, który przyszedł mnie pojmać!”

Kopyta karego pokonywały drogę z szaloną prędkością. Ściskając w dłoniach wodze, Maynard pochylił się do przodu i prosił Boga, żeby nie zawadzić o niewidoczną w nocy gałąź. W blasku płomienia, który ledwie

wystarczał, by rozświetlić mrok, ukazał się dywan suchych liści i ubita ziemia, spod której wystawały ogromne korzenie drzew.

Rycerz pędził naprzód wśród oszałamiającego natłoku obrazów i dźwięków, nieustannie wymachując łuczywem, by odstraszyć zwinne ciała majaczące w ciemnościach. Tymczasem ścieżka rozszerzyła się, pozwalając mu dostrzec w oddali, za gęstwiną zarośli, światło.

Ponownie spał konia, słysząc w uszach warczenie wilków. Poczuł, że coś muska mu prawą piętę, nawet się jednak nie obejrzał. Światło stawało się coraz mocniejsze, ścieżka zamieniła się w drogę. Jakies sto kroków przed nim znajdowała się otwarta przestrzeń, być może mury.

Nagle był zmuszony przechylić się na bok, aby uniknąć niebezpiecznie wystającej gałęzi, wówczas jego oczom ukazała się wygłodniała sfora, ujadająca mu za plecami. Czym prędzej uniósł się w strzemionach, skupiony na jedynej drodze ucieczki.

Zanim jeszcze dotarł do wielkiego ognia, zdał sobie sprawę, że bestie zrezygnowały z pościgu. Nabrawszy otuchy, Rocheblanche pomknął dalej, aż stanął przed ogniskiem straży. Dopiero wtedy dojrzał imponującą czarną sylwetę budowli, rysującą się nad nim w samym sercu makii.

Ledwie żywy podziękował niebiosom, że pozwoliły mu bezpiecznie dotrzeć do klasztoru w Mont-Fleur.

Mont-Fleur wcale nie sprawiał wrażenia ubogiego klasztoru. Okalały go mury przypominające bastion. Za nimi wystrzeliwała w górę otoczona wieżami budowla, która przywodziła na myśl raczej donżon niż dzwonnice. Jedyne wejście, ogromną bramę, zagradała krata z drewna i żelaza. Czekać, aż ją podniosą, Maynard poprosił o pozwolenie pozostania przy ogniu, aby mógł przepędzić chłód i przeraźliwe wspomnienie wilków. Strażnicy przyjęli go życzliwie, ofiarowując pled i grzane wino. Żaden z nich nie był wszakże ciekaw, skąd przybywa ani czego szuka na tym odludziu. Rycerz okazał podobną powściągliwość, usiłując się pokrzepić.

O pierwszym brzasku wreszcie mógł przekroczyć mury. Jego poszukiwania w końcu dobiegały kresu, nie wiedział jednak, czy powinien się cieszyć, czy martwić. Z jednej strony pragnął zawrócić i zapomnieć o tej historii, z drugiej zaś ciekawość nigdy by mu na to nie pozwoliła. Maynard był nie tylko zafascynowany *Lapis exilii*, lecz pragnął także odkryć przyczynę spisku przeciwko królowi Czech. Na razie wiedział tylko tyle, że w cieniu czają się ludzie żądni poznać tajemnicę Mont-Fleur. Ludzie władzy. Kimkolwiek byli, nie mógł postąpić inaczej – musiał tropić ich zamysły, a w razie konieczności przeciwstawić się ich nadużyciom.

Wystarczyło, że przekroczył mury, by zrozumiał, że nie znajduje się w klasztorze takim jak inne. Opactwa i kościoły parafialne zwykle obejmowały swymi murami ludzkie osiedla, zapewniając im bezpieczeństwo w zamian za korzyści materialne. Mont-Fleur przypominał raczej erem zamieszkały wyłącznie przez mnichów. Ciasny dziedziniec okalający klasztor mieścił jedynie stajnie, uprawy i zagrody dla zwierząt. I jak Rocheblanche zdążył zauważyć, wartownicy, na których się wcześniej natknął, nie byli prawdziwymi zbrojnymi, lecz zwykłymi konwersami, wiernymi zakonowi.

Podążał dalej piechotą, trzymając wierzchowca za wodze, aż dotarł do fasady budowli. Solidna i wiekowa, w ciągu minionych stuleci musiała być wielokrotnie odnawiana, chociaż luneta nad portalem wyglądała na dostatecznie starą, by można było uważać ją za oryginalną. Przedstawiała monstrualne usta gorgonejonu, przeżuwające potępionych z piekieł. „Dziwne, że schronienie mające zapewniać pokój wita wyznawców tak przerażającym godłem”, powiedział sobie w duchu rycerz.

Przywiązawszy karego do ogrodzenia, pod wpływem ogarniającego go oczarowania przekroczył próg klasztoru. Nawa była przeogromna. Mimo że wzniesiona zgodnie z przestarzałymi kanonami architektury, ozdabiały ją malowidła wytworniejsze i bardziej zawile niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widział. W porównaniu z nimi dzieło wykonane przez mistrza od Świętego Sabina sprawiało wrażenie namalowanego przez niedoświadczonego pomocnika. Tutejsze

freski przedstawiały ciąg scen biblijnych podzielonych na czworokąty i uporządkowanych na trzech poziomach: najwyższy poświęcony był Staremu Testamentowi – od stworzenia Adama po królestwo Dawida – a środkowy Nowemu, łącznie z życiem i zmartwychwstaniem Jezusa. Zatem nic szczególnego, pomijając niezrównany talent, z jakim wykonano fresk. Wyjątkowość uwidaczniała się w scenach z najniższego poziomu, ukazujących wyłącznie Apokalipsę Jana. Rocheblanche wpatrywał się osłupiały w jarmarczną procesję potworów, aniołów, demonów i osobliwych istot, które sunęły nieprzerwanie od otwarcia siedmiu pieczęci aż do żniwa.

Czując zarazem zachwyt i ciekawość, by się dowiedzieć, kto też jest autorem tak wspaniałego dzieła, doznał olśnienia, które przywołało z pamięci środkowy ustęp wypisany na pergaminie Jana Ślepego:

Est Lapis exilii situs in Monte floris

Nostra salute clausus in vetusta crypta

Sub caelo historiis mire depicto

Nareszcie był w stanie go pojąć! Jeśli zgodnie z dwoma pierwszymi wersami *Lapis exilii* znajdował się w klasztorze Mont-Fleur, zamknięty w starej krypcie, trzeci – *pod niebem pomalowanym w zachwycające historie* – wskazywał bez cienia wątpliwości na nawę klasztoru, ozdobioną *historiami* ze Starego i Nowego Testamentu.

„Jestem we właściwym miejscu”, doszedł do wniosku. Po raz kolejny jednak ogarnął go niepokój. Nie potrafił nie wychwycić wśród owych słów zawołanego ostrzeżenia. Tak jakby pisząc *nasze zbawienie* – co oznaczało zbawienie rodzaju ludzkiego – autor zagadki chciał napomknąć o zasadzce związanej z *Lapis exilii*...

Nie wiedząc, co o tym sądzić, Maynard poszukał wyjaśnienia we freskach. Omiótł spojrzeniem ściany w poszukiwaniu anioła z kamieniem młyńskim, wymienionego w pierwszym wersie pergaminu. Zanim zdołał go znaleźć, zatrzymał wzrok na trzech jeźdźcach, dosiadających trzech różnobarwnych rumaków. Ich głowy otaczały aureole. Pierwsza była biała, druga barwy ognia, trzecia złota. Zupełnie jakby zapadł w zły sen.

Oparł się z niedowierzaniem o kolumnę. Jeźdźcy przypominali tych, którzy mu się przyśnili. Wieźli nawet te same trofea! Koronę, miecz i wagę. Przyjrzał im się ponownie, jeszcze baczniej. Na fresku poprzedzali przyjazd czwartego, chuderlawego i zatrwożonego, dosiadającego zielonawego konia.

– Symbole – usłyszał za swoimi plecami jakiś głos.

Rycerz odwrócił się raptownie, walcząc z przerażeniem. Dostrzegł poruszającego się między ławkami żyłastego starca z długą siwą brodą. Włosy tego samego koloru spływały mu na plecy. Szedł powoli, wsparty na kosturze.

– Zapowiedzi prawdy – odparł Maynard, zastanawiając się, kim jest.

Stary mnich zachichotał.

– Prawda została nam pokazana jako odbicie w wielu zwierciadłach. Trudno ją odróżnić.

– Słowa godne doktora Kościoła.

Starzec wzruszył ramionami.

– Napisał to w dość odległych czasach Makrobiusz. – Nie przestał iść, dopóki nie znalazł się obok Maynarda. – Lecz co do widocznej rzeczywistości, chętnie bym się dowiedział, kto przede mną stoi.

– Pokorny pielgrzym, ojcze.

– Dawno już żadnego nie widziałem. Ostatni zjawił się tu piętnaście lat temu i nie pozostawił po sobie miłego wspomnienia.

Rocheblanche spuścił wzrok na znak szacunku, wyczuwając, że ma do czynienia z kimś niezwykłym. Nie tylko z powodu wzrostu, znacznie przewyższającego przeciętny, czy władczy i zarazem uprzejmy sposób bycia. Onieśmiała go jego mądry i przekonujący ton.

– Mam nadzieję, że widok człowieka szukającego oświecenia może wam sprawić mniej przykrości – odrzekł.

Zakonnik przyjrzał mu się z ciekawością.

– Jak was zowią, messer?

– Maynard de Rocheblanche – odparł rycerz, gdyż nie był w stanie skłamać.

– O wiele więcej niż zwykły pielgrzym – ciągnął starzec – sądząc po ostrogach i pasie, który wyziera spod waszego długiego płaszcza.

– Mogę poznać imię tak bystrego obserwatora? – uśmiechnął się szlachcic.

– Jestem opat Manessier, z Bożej łaski strażnik i przewodnik po tym miejscu.

Maynard obdarzył go wyszukany ukłonem.

– Proszę o gościnę w waszym klasztorze, wielbny ojcze.

– Z jakiego powodu?

– Dopiero co o tym wspomniałem, właśnie szukam oświecenia.

Starzec gestem nakazał mu wstać.

– Zbyt wiele światła może oślepić, messer.

– Ale ja jestem gotów – nalegał rycerz. – Przybyłem tutaj według wskazówek i wiem o waszej krypcie. Wiem, że skrywa ogromną tajemnicę. Chcę się dowiedzieć, proszę. Musicie mi pomóc...

Skonfundowany tak ogromną żarliwością gościa, ojciec Manessier nabrał czujności i cofnął się o krok.

– Można wiedzieć, co dokładnie macie na myśli?

Zanim Rocheblanche odpowiedział, wydobył mały zwój pergaminu, który nosił w sakiewce.

– To – wręczył mu go. – *Lapis exilii*.

Ledwie wymówił te słowa, zdał sobie sprawę, że popełnił niewybaczalny błąd.

Opat otworzył szeroko oczy i wbił wzrok w kostur.

– Straże! – zagrzemiał tubalnym głosem. – Do mnie, żywo!

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

29 PAŹDZIERNIKA

Zgodnie z umową Marcus zjawił się pod koniec pierwszego tygodnia.

Zatrzymał gniadosza przed klasztorem i cierpliwie wyglądał nadejścia nowicjuszek. Nie było potrzeby fatygować furtianki. Siostra Eudeline czekała już na niego za bramą w towarzystwie Aleydis. Gdy znalazły się na zewnątrz, przystała przed nim, wspierając dłoń na ramieniu młodej niewiasty.

Z wysokości siodła zbrojny posłał matce przełożonej nazbyt służalczy uśmiech, jakby chciał się z niej naigrawać, wreszcie odpiął wiszącą u łęku sakwę i jej ją wręczył.

– Tysiąc złotych florenów posagu – wyjaśnił. – Zgodnie z umową z moim panem.

Matka przełożona skinęła głową z kamienną twarzą.

– Zadbam, abyście otrzymali dokument potwierdzający wstąpienie Aleydis do naszego klasztoru.

– Sam go odbiorę na kolejnym spotkaniu. – Usta Marcusa rozciągnęły się w słodkim uśmiechu. – A teraz, jeśli pozwolicie... – Wyciągnął dłoń ku młodej niewieście.

Eudeline powstrzymała ją.

– Nadal nie widzę powodu, żeby nowicjuszka oddalała się na zwykłą spowiedź...

– Takie były *ustalenia*, moja pani.

Wielebna matka zgodziła się niechętnie. Nie mogła znieść myśli, że powierza swoją podopieczną, choćby na krótko, tak obłudnemu osobnikowi. Doskonale wiedziała, że ma przed sobą stróża dziewczyny, serce podpowiadało jej wszakże, by zachowała czujność. Z żalem więc patrzyła, jak Aleydis podchodzi do wierzchowca, a mężczyzna pomaga jej usiąść przed sobą.

Eudeline dostrzegła w tych gestach lubieżność, od której żołądek wywrócił jej się na drugą stronę, wywołując silne mdłości. Podejrzewając, że Marcus zachował się tak z rozmysłem, aby ją sprowokować, udała, że nie dostrzegła tego, i udzieliła Aleydis ostatniej przestrogi.

Zanim gniadosz oddalił się truchtem, odwróciła wzrok i wycofała się do klasztoru.

Kardynał był niespokojny. Aleydis zauważyła to, gdy tylko znaleźli się sami.

Siedział na marmurowej ławce pod biforium w najobszerniejszej sali opactwa Świętego Remigiusza. Pomieszczenie zostało oddzielone od kościoła i celowo wyłączone z użytkowania zakonników, dopóki prałat będzie go potrzebował.

– Moja droga – skinął, by usiadła obok niego. – A zatem jesteś nowicjuską.

– Dzięki wam, Eminencjo – oznajmiła. – Ale nie było to łatwe.

– Zakonnice poddały cię próbie?

– Przyjęły mnie szorstko, okazując brak gościnności, aż nie poznały mych intencji.

Purpurat pokiwał głową.

– A młoda przeorysza?

Aleydis sposepniała, wyczuwając nutę złośliwości. Siostra Eudeline była niewiastą o wielkim uroku, od razu to dostrzegła. I z pewnością nie uszły jej uwagi chciwe spojrzenia Marcusa. Bez wątpienia zbrojny musiał ją opisać, nie szczędząc szczegółów.

– Nie miałam jeszcze sposobności pogwałcić jej tajemnic – odrzekła tylko.

Kardynał spochmurniał.

– Sprawiasz mi zawód.

– Z wyjątkiem jednej.

– Jakież to?

– Codziennie odwiedza chorego, który leży w *valetudinarium* – wyjawiała młoda niewiasta. – Żołnierza, być może rycerza, sądząc po leżących przy posłaniu szatach. Jego obecność w żeńskim klasztorze wydaje mi się nader dziwna.

– Pewnie to kompan Rocheblanche’a... – rozważał prałat, mrużąc oczy. – Czegoś się o nim dowiedziała?

– Niczego, mój panie.

Oblicze kardynała wykrzywiła złość.

– To znaczy, że nie wypytywałaś o niego? Nie przeszukałaś jego odzienia?

Nowicjuszka cofnęła się.

– Zakazano mi...

Siarczysty policzek został wymierzony z taką siłą, że runęła na ziemię. Aleydis jęła się czołgać, zmieszana i oślepiona bólem. Nigdy dotąd jej się to nie przydarzyło. Nigdy jeszcze jej nie uderzył. Podpełzła do niego, próbując wytłumaczyć drżącymi wargami.

Kardynał jednak chwycił ją za włosy, podniósł do góry i zawłókł na drugi koniec sali.

– Głupia wywłoko! – wysyczał. – Myślisz, że wydałem tysiąc florenów dla twojej przyjemności? Albo że może sprawia mi przyjemność czekanie na ciebie w wielkiej tajemnicy w tych murach? – Rzucił ją bezceremonialnie na stół, tak aby jej plecy były na widoku. – Teraz zobaczysz!

– Wasza Eminencjo... – pisnęła płacząco Aleydis. – Przysięgam, że nie mogłam... Obiecuję, że...

– Cisza – przerwał jej, wymachując dyscypliną, jakiej nauczyciele używają do karania uczniów.

Aleydis próbowała się wyswobodzić, lecz kardynał unieruchomił ją i zadął jej suknię, obnażając grzbiet. Podskoczyła po pierwszym smagnięciu, chociaż prawie nie wywołało bólu. Kiedy poczuła pieczenie, spadły kolejne razy, aż wreszcie zaczęła krzyczeć.

– Dość!

Prałat, z rozciągniętymi w plugawym uśmiechu ustami, nie przestawał, głuchy na jej błagania. Kiedy w końcu się zaspokoił, cisnął dyscyplinę, pochylił się i zaczął szeptać jej do ucha.

– Niech to będzie dla ciebie nauką – ostrzegł ją, zmuszając, by rozsunęła nogi. – A skoro na razie do niczego mi się nie przydałaś, dogodzisz mi w inny sposób.

KLASZTOR W MONT-FLEUR

Dwaj mężczyźni unieruchomili go, tymczasem trzeci rozbroił, dobywając estoka i sztyletu. Maynard nie wrywał się. Odczekał, aż skończą go przeszukiwać, następnie pozwolił się odprowadzić pod strażą do przyległej do klasztoru budowli. Nie sprzeciwił się nawet wtedy, gdy po dotarciu do izby o łukowym sklepieniu posadzono go na krześle z poręczami z twardego drewna i związano ręce i nogi.

Gdy został sam, niemal się zaśmiał. W innych okolicznościach zareagowałby bez wahania i utorował sobie drogę mieczem. Niekiedy jednak umiejętność pomiarkowania się na widok zagrożenia jest oznaką wielkiej śmiałości. Nauczył się tego najpierw od matki, później od swego mistrza fechtunku, Bastiena des Baux, podczas najpiękniejszych lat swego życia, kiedy ćwiczył się w sztuce pojedynku w oczekiwaniu na chwalebne czyny. Które zresztą nie nadeszły. Świat wojny oraz intryg mocno go rozczerował, stawiając wobec rzeczywistości, która pasowała wybornie do takich nikczemników jak jego pan ojciec. Czuł wyłącznie wściekłość i zniechęcenie, dopóki na dnie owej ciemnej otchłani nie spotkał Jana Ślepego. Wówczas Rocheblanche odnalazł wreszcie cel: odkryć prawdę, przeciwstawić się niegodziwcom.

Bądź nieustraszony, uczono go już od dziecka. Cóż, jeśli uwięzienie w klasztorze zdoła mu pomóc w rozwianiu mroków tajemnicy, z pewnością się nie cofnie.

Do rzeczywistości przywrócił go ojciec Manessier, wchodząc do izby. Zamknąwszy drzwi, stanął przed nim i oparł się o uginający się od dokumentów stół, na który padało światło z wąskiego okna. Bruzdy na jego czole przecinała pionowa zmarszczka pomiędzy srebrzystymi brwiami. Surowym, niemal groźnym gestem podsunął mu pod nos niewielki zwój pergaminu.

– Kto wam to dał?
 – Człowiek u progu śmierci – odrzekł więzień – na polu bitwy.
 – Będziecie musieli się wyrażać jaśniej – ostrzegł stary opat.
 – Nie pojmuję dlaczego. – Maynard daremnie usiłował poluzować więzy, przytwierdzające jego nadgarstki do poręczy krzesła. – Gdybyście tylko zechcieli łaskawie wytłumaczyć mi, co się dzieje...

Ojciec Manessier wpatrywał się weń wzburzony.

– Jesteście w posiadaniu takiego dokumentu i uparcie udajecie, że nic wam więcej nie wiadomo?

– Nie zwykłem niczego zatajać.

– Przypuśćmy nawet, że jesteście szczerzy, po co więc jechaliście aż tutaj,

nie wiedząc, co znajdziecie?

Rycerz posłał mu gorzki uśmiech.

– To zawiła kwestia.

– Bardziej, niż wam się wydaje – odparł zagadkowo opat. – A teraz opowiedzcie mi o tym człowieku, o ile istnieje naprawdę.

– Przykro mi, przysiągłem dochować tajemnicy.

Ojciec Manessier westchnął, z wyraźnym wysiłkiem próbując zachować spokój.

– Tajemnica, której uparcie bronicie, ma swe źródło tutaj, rozumiecie? – W jego głosie brzmiała nuta strachu. – Zagadkę, którą tak lekkomyślnie mi pokazaliście, napisano właśnie w tych murach i pozostawała w nich bezpieczna przez ponad wiek. Dopóki jej nie skradziono piętnaście lat temu.

Maynard przypomniał sobie strzęp ich poprzedniej rozmowy.

– Uczynił to pielgrzym, o którym napomknęliście?

– Jesteście z nim w zмовie? – dopytywał się opat.

– Nie wiem, co macie na myśli.

– Czyżby?

Rycerz nie wiedział, jak wyjaśnić nieporozumienie. Z trudem pojmował istotę tego przesłuchania i nie potrafił dowieść swojej dobrej woli.

– Człowiek, który powierzył mi ów dokument, był wysoko urodzonym szlachcicem – spróbował wytłumaczyć. – Nie wiem, od kogo go dostał.

– Gdyby nawet była to prawda – Manessier po raz pierwszy przyjrzał mu się z ciekawością – nie wyjawiał wam nic na ten temat?

– Wyzionął ducha, nim zdołał to uczynić.

Opat zastanawiał się w milczeniu, po czym zbliżył się do więźnia i wsparł na jego przedramionach.

– Po co przemilczać imię człowieka, który już nie żyje?

Rocheblanche spojrzał w jego mądre, szare oczy. Dostrzegł w nich niepokój, niepewność, może nawet strach.

– Honorowy układ nakazuje mi milczenie.

– Honor... Często to tylko duma.

– Dla mnie oznacza odkupienie.

– Mówcie jaśniej.

Maynardowi nie było łatwo wyrazić słowami własne wzburzenie, teraz jednak nie mógł się już wycofać.

– Odkupienie za akty bezprawia dokonane przez mego ojca, a przede wszystkim za ciężki grzech, który sam popełniłem. – Spuścił głowę, uzmysłowiwszy sobie, jak naiwne było to, co powiedział. – Przybywając tutaj, łudziłem się, że mogę to odpokutować.

– Zaspokojenie *curiositas* nie pomoże wam w odprawieniu pokuty –

przestrzegł Manessier.

– Nie ciekawość mnie rozpałała – bronił się rycerz. – Przynajmniej nie wyłącznie. Moim pragnieniem jest wymierzenie sprawiedliwości przez szacunek dla pewnego człowieka.

Opat pogładził się po brodzie, słuchając coraz uważniej.

– Jak przypuszczam, macie na myśli szlachcica, któremu przyrzekliście milczenie.

– Owszem. Zdradzono go z powodu tajemnicy *Lapis exilii*, bez względu na to, czym on jest.

Nagle twarz Manessiera zrobiła się blada jak płótno.

– Czy ja dobrze zrozumiałem? Ktoś jeszcze zna tę tajemnicę?

– Wprawdzie nie zdaję sobie sprawy z tego, ile wiedzą, ale próbowano mnie zabić – przytaknął Maynard.

Opat jął się przechadzać w tę i z powrotem drobnymi, nerwowymi krokami.

– Zatem mogli was śledzić... Boże broń!

– Nie lękajcie się, zachowałem ostrożność.

Zakonnik nie potrafił wszakże ochłonąć.

– Kto to może być... – mruczał bezustannie. – Kto to może być...

– Pierścień – rzekł rycerz w nadziei, że przekona go o swojej dobrej wierze.

– Weźcie pierścień, który mam w sakiewce.

Starzec popatrzył pytającym wzrokiem. Następnie wyjął z trzosu Maynarda małe cacko z emaliowanego złota.

– Rozpoznajecie go? – zapytał z ufnością więzień. – Dostałem go pod opiekę wraz z pergaminem. Widnieje na nim herb zbirów, którzy usiłowali mnie zgładzić.

– Herb kardynalski – wydedukował ojciec Manessier, oglądając oprawę w świetle wpadającym przez małe okno. – Lecz niestety, nieznany.

Rocheblanche'owi wyrwało się przekleństwo.

– Prędzej czy później dowiem się, do kogo należy!

Coraz bardziej zaciekawiony opat odłożył pierścień na stół.

– Dlaczego zadajecie sobie tyle trudu?

Rycerz powrócił myślami ku Janowi Ślepemu, próbując odnaleźć owo nieokreślone, palące uczucie, które ogarnęło go na widok monarchy, aż z jego ust wypłynęło zdanie: „Mielz voeill murir que hunte nus seit retraite”⁶. Nie umiałby lepiej opisać tego, co czuł.

– Teraz pojmujecie? – podniósł głowę z nową żarliwością. – Ten człowiek poległ w bitwie jako prawdziwie waleczny wojownik. Choćby był to ostatni bohaterski czyn w jego życiu, zasługuje na wiele więcej niż moja lojalność.

Manessier niemal wpadł w zachwyt.

– Słowa kogoś, kto poświęca własne życie określonemu celowi.

– Nazwijcie to powołaniem. – Maynard skrzywił się wyzywająco. –

Rzadkim powołaniem, przyznaję. Mimo to odpowiedziałem na jego wezwanie.

– Choć to chwalebne z waszej strony, muszę koniecznie poznać powód, dla którego powierzono wam ów drobny zwój pergaminu.

„Nie ma w tym żadnej tajemnicy”, pomyślał rycerz. Być może się mylił, ale dostrzegł zmianę w zachowaniu swego dozorca. Postanowił więc okazać posłuszeństwo.

– Moim zadaniem jest strzec go w ukryciu przed całym światem.

Zamiast odpowiedzieć, ojciec Manessier podszedł do stołu i sięgnął po długi sztylet.

– W istocie tak musi być.

– Zatem tajemnica Mont-Fleur jest aż taka straszna? – zapytał więzień, śledząc z rosnącym niepokojem posunięcia ostrza.

– Zanim otrzymacie odpowiedź, będziecie musieli wyznać mi wasz grzech.

I równie szybkim, jak niespodziewanym ruchem starzec przeciął więzy, którymi przytwierdzono Maynarda do krzesła.

– Bóg mi świadkiem, że zawierzyłem wam z pewnością nie z powodu dziwaczych odpowiedzi, których mi udzieliliście – rzekł ojciec Manessier, przemierzając klasztorną nawę. Teraz mówił donośnym, niemal szyderczym głosem. Posuwając się powoli, wsparty na kosturze, omiatał wzrokiem wspaniałe postaci na freskach. – Uczyniłem to raczej ze względu na wasz temperament, a także na poświęcenie celowi, któryście sobie wyznaczyli.

– Człowiek bez ideałów jest istotą nader nędzną – skwitował Maynard, ostrożnie podążając za zakonnikiem. Zaledwie chwilę wcześniej uznał, że już po nim. Teraz jednak, chociaż nie wiedział, co go czeka, zżerała go ciekawość tego, co miało nastąpić.

Opat przytaknął z roztargnieniem, wskazując z dumą malowidła.

– Dzieło to zostało stworzone ponad trzy wieki temu – wyjaśnił – przez utalentowanego mistrza, o którym niestety zapomniano. – Przystanął przed freskami z najniższego poziomu. – A oto jeźdźcy, którzy najwyraźniej tak was przerazili.

– Nie mówcie, że przywieźliście mnie tutaj tylko po to, aby mi ich pokazać.

– Z całą uczciwością uznałem, że to najwłaściwsze miejsce, aby skłonić was do opowiedzenia o waszych grzechach. – Starzec położył mu dłoń na ramieniu i wskazał obraz końcem kostura. – Jeźdźcy Apokalipsy! – obwieścił wielkim głosem, na którego dźwięk gromadka gawędzących przy apsydzie mnichów aż podskoczyła.

– Nikt tak naprawdę nie rozumie znaczenia trzech pierwszych, zwłaszcza tego z białą aureolą. Jego korona i biały rumak być może każą się domyślać powrotu do niewinności, a nawet do Chrystusa. Drugi, z mieczem i na koniu barwy ognia, ucieleśnia z kolei okrutną potęgę rzezi. I wreszcie trzeci, ze złotą aureolą i na czarnym rumaku, dzierży groźną wagę, co każe myśleć o głodzie albo tajemnych prześladowaniach.

– Myślę, że widziałem ich we śnie – wyznał z lekkim niepokojem Rocheblanche.

– Sny to mroczni posłańcy – odparł Manessier – ale nie zawsze skrywają pułapki. – Ścisnął jego ramię, jakby chciał go pocieszyć. – Nawet jeśli mowa o zwiastunach apokalipsy.

Maynard wpatrywał się weń niezdecydowany.

– Czyżbyście nie dostrzegali zagrożenia?

Wargi zakonnika rozchyliły się w zagadkowym uśmiechu.

– Niedawno Pan natchnął mnie w tym względzie.

– Z radością zapoznałbym się z waszymi teoriami.

– Nie, dopóki nie wypowiedacie się z waszego grzechu.

Tak wielka bezpośredniość wprowadziła rycerza w zakłopotanie. Przez chwilę sądził, że padł ofiarą kolejnego nieporozumienia, zważywszy, że rozmowa z opatem okazała się zbyt krótka, aby wzbudzić w nim prawdziwe zaufanie. Istniała jeszcze druga możliwość, mianowicie taka, że stary Manessier oszalał, ponieważ długo przebywał z dala od świata. Jakieś niejasne wrażenie podpowiadało mu jednak, że pominął istotny szczegół.

– Skąd to zaciekawienie moimi osobistymi nieszczęściami? – nagle zażądał wyjaśnienia.

– Wszystko wam wyjawię, bez obawy, lecz najpierw muszę się przekonać, czy nie popełniłem pomyłki. – Zakonnik cofnął rękę i splótł dłonie na piersiach. – Dlatego też zdradźcie mi łaskawie, kim jesteście.

Wzrok Rocheblanche'a powędrował ku freskowi, gubiąc się w istnym gąszczu symboli i obrazów.

– Jestem człowiekiem, który nie potrafił wybaczyć własnemu ojcu – oznajmił instynktownie. Opat pociemniał na twarzy, po czym skinął, by mówić dalej. Wówczas Maynard powtórzył nazwę własnego rodu i z rezygnacją opowiedział o swoim ojcu, Gasparze. Opisał go poprzez wspomnienie, jakie zachował z dzieciństwa: był to nieznanący umiaru grubianin z upodobaniem poniżający bliźniego. Maynard zawsze nim gardził, aczkolwiek okazywał mu szacunek, nie wierzył jednak, że byłby zdolny wyrządzić krzywdę własnej rodzinie. Opuścił Reims, aby dokończyć naukę sztuki rycerskiej. Miał wtedy dwadzieścia lat i nie wyobrażał sobie, że piekło może się ukazać śmiertelnikom w sposób tak przewrotny i okrutny. Nie przypuszczał nawet, że więzy krwi mogą się zamienić w rzekę smoły. Pod wpływem tej myśli poczuł, jak w najgłębszych zakamarkach trzewi wzbiera mu żółć. – Kiedy wróciłem do Reims, znalazłem siostrę skuloną w najciemniejszym kącie naszego rodzinnego domu. Podszedłem, by ją uspokoić, nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, ale ona cofnęła się niczym przerażone zwierzę, krzycząc, że *on* zadał jej gwałt... Niechaj Bóg mi wybaczy, że z początku nie zrozumiałem, lecz mój umysł nie chciał przyjąć tego do wiadomości. To nie mogła być prawda. Nie chciałem, żeby to była prawda... Poprosiłem, żeby wyjaśniła, żeby się uspokoiła, zraniony tym, że bezustannie unika moich uścisków, aż wreszcie zrezygnowany musiałem pogodzić się z rzeczywistością. Została pohańbiona przez naszego ojca. – Patrzył, jak Manessier powoli spuszcza głowę, przytłoczony ponurym brzemieniem. – Słuchałem jej wstrząśnięty, podczas gdy ona wypowiadała te straszne słowa, owładnięta trwogą i poniżona! A potem... A potem nasza matka – otarł twarz, nagle rozdygotany. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak zuchwała i dumna, z tym, co zawsze mu wpajała, rzuca się córce na ratunek. – Ten nędzny pies przebił ją sztyletem.

Zamilkł zagubiony w labiryncie wspomnień. Jego gniew cichł, przeradzając się w gorzycz i ból.

– Zbiegł. – Rozejrzał się wokół rozżalony, jakby nadal go szukał wśród sylwetek mnichów przemykających ukradkiem między kolumnami. – Nie dbałem o to, czy z powodu wyrzutów sumienia, czy ze strachu przed moją zemstą. Odkryłem, że popędził ku hiszpańskiej ziemi, ruszyłem więc za nim, owładnięty gorącym pragnieniem, by przelać jego krew... Znalazłem to, co z niego zostało, w pokonanym w oblężeniu mauretańskim mieście Algeciras.

– Chcecie przez to powiedzieć, że zastaliście go... martwego? – rozległ się pełen wahania głos Manessiera.

Rocheblanche pokręcił głową. Nigdy nie wyjawiał nikomu, nawet Eudeline, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia. Zbyt silne poczucie winy, zbyt silna złość zaciemniały wspomnienie zalanego słońcem i przysypanego kurzem placu, na którym wśród rumowiska leżały dziesiątki konających. Znalazł go tam, przed opuszczonym meczetem: ciało poszarpane od ran, pokryte chmarami much. – On rozpoznał mnie pierwszy – wyznał. – Zawołał mnie po imieniu, błagając o przebaczenie. Nie było potrzeby o nic pytać. Powiedział, że żałuje tego, co zrobił, że posłuchał podszeptu diabła... A potem poprosił, bym ocalił mu życie. – Oczyma duszy ujrzał siebie, jak wpatruje się w zaciśnięty w dłoni sztylet, rozdarty między żądzą zemsty i pragnieniem, by ojciec cierpiał bez końca. Zabij go, powtarzał sobie tysiąc razy. Zabij go, zanim śmierć go zabierze. Lecz przyjemność patrzenia na jego udękę była zbyt wielka, zbyt upajająca, żeby w ogóle myśleć o jej skróceniu. – Zostawiłem go tam, żeby wyzionął ducha.

Skończywszy swoją mowę, Maynard wbił wzrok w trzech jeźdźców namalowanych na ścianie. Następnie spojrzął na czwartego posłańca, chuderlawego mężczyznę na zielonawym koniu. Jego imię brzmiało Śmierć, a za nim było piekło.

Opat czekał cierpliwie, aż z jego twarzy zniknie wyraz rozgoryczenia i dzikości.

– Źródło waszego gniewu – powiedział w końcu – tkwi w braku chęci pogodzenia się z tym, że jesteście dobrym człowiekiem. Źródło waszego grzechu zaś tkwi w braku chęci przyznania się do tego, żeście już wybaczyli ojcu. – Uciszył go, zanim tamten zdążył zaprotestować. – Moim zdaniem męczy was nie niedokonana zemsta, ale tragedia, jaką los zgotował waszym krewnym.

Rycerz wzruszył ramionami, udając, że słowa te go nie poruszyły.

– Cóż możecie wiedzieć o tak głębokich ranach? – Niemal uśmiechnął się na myśl o powodach, jakie go tu przywiodły. – Ponadto dotrzymałem danego słowa. – Popatrzył na zakonnika. – Teraz kolej na was, aby to uczynić.

– Macie słuszość. – Manessier wsparł się na kosturze i przytrzymał ławki. – Chociaż na rozwiązanie zagadki będzie miało wpływ nie to, co wam wyjawię, ale to, jaki będziecie skłonni zrobić z tego użytek.

– Otworzyłem przed wami serce, wielbny ojcze. Uważam, że zasłużyłem na

bardziej zrozumiałe słowa.

– I je poznacie. – Zanim opat zaczął mówić dalej, odprawił surowym spojrzeniem zakonnika, który zbliżał się właśnie, aby posłuchać. Ledwie zostali sami, uderzył kosturem o posadzkę. – Jak się już zdążyliście domyślić, *Lapis exilii* spoczywa w krypcie pod naszymi stopami. Jest to tak święty i cenny skarb, że każdy człowiek wiary, dowiedziawszy się o jego istnieniu, poświęciłby wszystko, byleby móc na niego patrzeć. Czy zdajecie sobie sprawę, co by się stało, gdyby obwieścić to całej ludzkości?

– Mogę to sobie wyobrazić – oznajmił Rocheblanche, rozdrażniony tą zwłoką. – Jednakże moje pytanie brzmi: czy pozwolicie mi wejść do tej krypty?

– Może kiedyś – rozczarował go Manessier. – Wpierw musicie na to zasłużyć.

– Ale przecież udało mi się dotrzeć aż tutaj bez niczyjej pomocy...

– Rozwiązując banalną szaradę – zadrwił starzec. – Oczekuję od was czegoś zupełnie innego. A to z tej przyczyny, że jesteście odpowiedzią na moje modlitwy.

Rycerz spojrział na niego osłupiały.

– Postradaliście rozum.

– Naprawdę tak sądzicie? – wysyczał pogardliwie, niemal wyzywająco zakonnik. Natychmiast zmienił strategię i łagodniejąc, powtórzył półgłosem: – Naprawdę tak sądzicie? – Nie czekając na odpowiedź, nieznacznie skłonił się z pokorą i wyciągnął ramiona, aby chwycić go za rękę. – Zechciejcie mi wybaczyć... Stanowicie pierwszą sposobność, jaka nadarza mi się od lat, aby naprawić pewien poważny błąd.

Maynard cofnął się gwałtownie, raczej zmieszany.

– Ja już mam misję do spełnienia. Wyczerpującą misję, o ile wolno mi tak powiedzieć. Muszę odkryć przyczyny spisku i ukarać winnych.

– Jeśli macie na myśli człowieka, który powierzył wam pergamin, wiedźcie, że jedno nie wyklucza drugiego. Przeciwnie, skieruję was na dobrą drogę.

Rycerz, który za nic nie chciał dać się przekonać, zerknął spod oka na Manessiera i dostrzegł w jego spojrzeniu żelazny upór i zarazem skrywane błaganie. Ciągle nie potrafił pojąć, czego od niego oczekuje.

– Nie zaszkodzi posłuchać – rzekł wszakże pojednawczym tonem. – Kiedy dowiem się, w czym rzecz, postanowię, czy wam pomóc, czy nie.

– Niechaj będzie – zgodził się starzec, choć sprawiał wrażenie niezadowolonego. – Pamiętajcie, co wam mówiłem o kradzieży, jaką mieliśmy w klasztorze?

– Macie na myśli tamtego pielgrzyma sprzed ponad piętnastu lat... O ile się nie mylę, ukradł pergamin, który trafił w moje ręce.

– Dla ścisłości, był to zakonnik – wyjawiał Manessier. – Poprosił o schronienie w Mont-Fleur i został przez miesiąc, zdobywając moje zaufanie,

dzięki oszustwu zdołał odnaleźć kryptę z *Lapis exilii* i skraść szkatułkę zawierającą trzy przedmioty: dwie bezcenne relikwie i właśnie niewielki zwój z zagadką. Byłem wtedy świeżo upieczonym opatem.

Maynard natychmiast zauważył związek tego, o czym opowiadał opat, z historią, w którą został wplątany. Złodziej miał coś wspólnego z Janem Ślepym albo z kimś, kto go zdradził.

– Gdybym wpadł na ślad tego zakonnika – zastanawiał się głośno – mógłbym się dowiedzieć, co zaszło...

– Właśnie o taką przysługę zamierzam was prosić – podchwycił opat.

– Tak czy inaczej, nie pojmuję, jaka byłaby z tego korzyść.

– Odnalezienie tego człowieka pozwoli wam odzyskać dwie relikwie, które sobie przywłaszczył. Muszą za wszelką cenę wrócić do Mont-Fleur. Na samą myśl, że znajdują się w posiadaniu łotrów, przeklinam po tysiącokroć własną niegdysiejszą łatwowierność.

– Skoro tak bardzo wam na nich zależy, dlaczego czekaliście aż do tej pory? Dlaczego nie posłaliście kogoś innego, zanim się tu zjawilem?

– Sądzicie, że nie próbowałem? – Manessier rozłożył ręce przygnębiony. – Rozejrzyjcie się! Konieczność zachowania *Lapis exilii* w tajemnicy zmusza mnie do liczenia wyłącznie na *fratres* i konwersów, ludzi pobożnych i dobrej woli, ale niezdolnych do wypełnienia podobnego zadania. W przeciwieństwie do was, messer. Nosicie broń, przeżyliście wojnę i znacie już tajemnicę Mont-Fleur... Niech wam się nie wydaje, że jestem głupcem; doskonale wiem, że pod tym płaszczem nie kryje się pospolity człowiek.

– Ejże, nie przesadzacie aby, ojcze? Odnalezienie prostego mnicha nie wydaje mi się takim znów trudnym wyczynem... Oczywiście zakładając, że on nadal żyje.

– Jest bardziej niebezpieczny, niż przypuszczacie – ostrzegł opat. – Zowie się Facio di Malaspina. I nie wątpcie, z pewnością nadal żyje.

– Skąd wiecie?

– W zeszłym roku podczas kapituły generalnej zakonu benedyktynów jego imię wymieniło kilku zakonników przybyłych z Emilii. Ich zdaniem ukrywa się gdzieś wzdłuż brzegów rzeki Pad, chociaż dokładnie nie wiadomo gdzie.

– To dobra wskazówka – stwierdził Maynard, a w jego umyśle rodziły się już zarysy planu, który doprowadzi go od Facia di Malaspiny aż do samych twórców spisku, którego obawiał się Jan Ślepy. „Wkrótce kardynalski herb z lwem przestanie być tajemnicą”, pomyślał. Pozostała wszakże jedna kwestia do wyjaśnienia. – Zanim zaofiaruję wam swoje usługi, będziecie musieli udzielić mi wyjaśnień na temat dwóch relikwii skradzionych z tego klasztoru.

Słowa te najwyraźniej pokrzepiły ojca Manessiera.

– Na razie niech wam wystarczy wiedza, że są to kielich i grot włóczni.

W oczach człowieka nieokrzesanego pospolite przedmioty, które muszą *absolutnie* powrócić na swoje miejsce. Reszty dowiecie się we właściwym czasie, kiedy wyjawię wam tajemnicę *Lapis exilii*.

– Będę postępował według waszych wskazówek, ojcze. Powiedzcie mi jednak jeszcze... Dlaczego mi ufacie?

– Bo to wy przyszliście do mnie.

Zanim Maynard opuścił Mont-Fleur, Manessier opowiedział mu legendę *Lapis exilii*. Owa stuletnia historia, przekazywana z ust do ust przez kolejnych opatów, głosiła, że bezcenne cymelium przywiózł do klasztoru pewien handlarz relikwiami, który przybył z Hiszpanii. Zwał się Ignatius. Otóż postanowił on ukryć je w tym odludnym miejscu wraz z kielichem i grotem włóczni, aby ochronić je przed chciwością i żądzą władzy rodzaju ludzkiego.

Rycerz słuchał urzeczony. Nigdy by nie przypuszczał, że zagadka pergaminu, zamiast zawieść go ku oświeceniu, okaże się początkiem kolejnej próby. W gruncie rzeczy jednak właśnie tego pragnął. Dzięki misji powierzanej mu przez Manessiera być może zdoła nadać sens swojemu życiu i dowieść męstwa. Może nie na polu bitwy, ale w świecie.

Natchniony nową nadzieją, odzyskał broń i uzgodniwszy drogę, jaką powinien podążyć, ruszył ku wyjściu z klasztoru na spotkanie makii, wilków i tysiąca innych pułapek.

Nie zdążył jeszcze minąć portalu, gdy usłyszał swoje imię.

– Jestem wam winien odpowiedź. – Pośrodku nawy stał wyprostowany stary opat i wskazywał jeźdźców Apokalipsy. – Oczywiście jeżeli nadal ciekawi was, co myślę na ten temat.

Rocheblanche zawrócił.

– Cóż, ciekawi mnie.

– Wiedźcie zatem – zaczął zakonnik – że już od młodości z upodobaniem patrzę w gwiazdy, a dokładnie rok temu obserwowałem koniunkcję trzech wielkich ciał niebieskich, Jowisza, Marsa i Saturna, w znaku Wodnika. To wystarczyło Panu Bogu, aby oświecić mój biedny umysł. W istocie bowiem w owych trzech planetach rozpoznałem natychmiast pierwszych trzech jeźdźców Apokalipsy. Trzech wysłanników, galopujących po niebie, oznakowanych kolorami swoich rumaków: białym, barwy ognia i czarnym. Nadążacie za mną, messer? Tylko że ja poszedłem dalej! Rozpoznałem nawet ich symbole, rozumiecie? Koronę związaną z majestatem świetlistego Jowisza, miecz krwawego Marsa i wreszcie wagę ciemnego Saturna, uważanego przez starożytnych za boga rolnictwa i zasiewów. – Jego oczy rozszerzyły się, jakby dojrzały coś poprzez mgły przepowiedni. – Oni już tu są, drogi przyjacielu! Rozpoznajecie ich teraz? Złe rządy, wojna i głód. Górują nad nami, galopując pod postacią rozpalonych gwiazd ponad naszymi nieszczęsnymi losami.

Maynard słuchał go w uniesieniu, dopóki owego splotu lęku i zdumienia nie przerwała pewna myśl.

– Brakuje zatem czwartego jeźdźca. Śmierci.

– Tylko jeśli Bóg zechce – odrzekł ojciec Manessier, czyniąc znak krzyża. –
I jeśli zechce człowiek.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

30 PAŹDZIERNIKA PO BRZASKU

Fragmenty obrazów, głosy tańczyły w odrętwieniu, które ogarniało jego kończyny aż po same końce. Mężczyzna spróbował sięgnąć prawą dłonią do głowy, aby uśmierzyć nagłe ukłucie bólu, natychmiast jednak drgnął. Dłoń nadal spoczywała nieruchomo pod pledem. Zdjęty trwogą usiłował poruszyć drugą, lecz bez skutku: jego lodowate i bezwładne ciało leżało wyciągnięte na posłaniu.

Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że ma otwarte oczy. Ujrzał belkowany strop, wieńczący ceglane mury. Wśród barw dominowała szarość mroku. Zmuszał się, by przywołać z pamięci ostatnie wydarzenia, aby zrozumieć, gdzie się znajduje, lecz mu się nie udawało. Miał jedynie niewyraźne, nieuzasadnione poczucie zagrożenia i rozdzierający ból w czaszce.

Rozbudzony, dostrzegł jakiś ruch w nogach posłania. Instynktownie chciał zapytać, kto tam jest, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zrozpaczony znów spróbował się poruszyć, zdołał wszakże tylko podnieść odrobinę głowę, co wystarczyło, by widzieć dalej niż własne stopy. Z ogromnym trudem dostrzegł jakąś postać pochyloną nad stosikiem ubrań. Ponownie otworzył usta, aby zwrócić na siebie uwagę, ale wydostał się z nich jedynie jęk.

Postać poderwała się z miejsca. Była to młoda niewiasta o kręconych włosach. Na jej widok pojawiło się wspomnienie innej niewieściej twarzy. Bardziej surowej, o świdrujących czarnych oczach. Twarzy okolonej białą podwiką i welonem sięgającym brwi. Usiłował przypomnieć sobie, do kogo należy, lecz na próżno.

– Nic nie mówcie... – błagała niewiasta. – Nie mówcie, że mnie widzieliście...

Mężczyzna powoli przytaknął, podczas gdy głowę ścisnął mu niczym obcęgami coraz przenikliwszy ból. Kładąc ją z powrotem na wezglowiu, ujrzał, jak niewiasta się oddala i znika w obramowaniu oślepiającego światła.

Zarządzanie klasztorem wymagało ogromnej ilości czasu i energii. Zadanie siostry Eudeline nie ograniczało się do pilnowania dyscypliny wśród zakonnic i zaspokajania ich duchowych czy materialnych potrzeb. Musiała również dbać o kwestie gospodarcze wspólnoty oraz doglądać, czy dziesięcina jest opłacana regularnie i zgodnie z przyjętymi ustaleniami. I chociaż z mocy prawa dobrami Świętej Balsamii zawiadywał *procurator*, mężczyzna, nieufna przeorysza nie

uchylała się od nieustannego sprawdzania go i od cotygodniowego zasięgania porad kapituły starych mniszek, aby przedyskutować pewne kwestie. Podejmowanie istotnych decyzji i opatrywanie rozmaitych aktów pieczęcią zakonu należało wszakże jedynie do Eudeline.

Pod koniec roku na jej pulpicie rosły sterty wszelkiego rodzaju dokumentów – ksiąg i zwojów pergaminu. Mogła liczyć wyłącznie na pomoc koadiutorki, mniszki do towarzystwa, do której licznych obowiązków należało oddzielanie najpilniejszych pism od tych mniej pilnych. Miała na imię Claire i choć należała do najbystrzejszych w zakonie, należało prowadzić ją cierpliwie z powodu jej skłonności do fantazjowania i łatwego rozpraszania się. Matka przełożona robiła dobrą minę do złej gry, wiedząc, że nie może dysponować lepszymi współpracownikami.

Właśnie udzielała jej kilku poleceń na początek ciężko zapowiadającego się dnia, kiedy wyłoniła się przed nią infirmerka.

– Cóż tam? – zapytała wielebna matka, przerwawszy w połowie zdania.

– Robert de Vermandois – odparła zakonnica. – Odzyskał przytomność.

Eudeline powierzyła siostrze Claire obowiązki na czas poranka. Następnie wraz z infirmerką pognąła klasztornymi korytarzami do *valetudinarium*.

– To cud – powtórzyła po raz trzeci, unosząc poły habitu, aby nie przeszkadzał jej w chodzeniu. – Czy aby jesteście pewni, że tym razem...

– Obudził się już dawno temu, zdążyłam go więc nakarmić – oznajmiła tamta, wyczuwając jej niepewność. – Do tej pory nigdy nie wykazywał oznak, że jest przytomny. Teraz wręcz przemówił.

Siostra Eudeline rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

– Co powiedział?

– Sami posłyszycie.

Robert czekał na posłaniu jak zwykle nieruchomo. Jeszcze zanim przeorysza podeszła bliżej, zdała sobie sprawę, że coś się w nim zmieniło. Po czym zmieszana się na chwilę i – co od dawna jej się nie zdarzało – zapragnęła się przekonać, czy uznał ją za piękną albo przynajmniej miłą dla oka.

Gdy znalazła się koło niego, milczała, dopóki infirmerka nie sprawdziła, czy ma rozszerzone źrenice i czy opatrunek na głowie dobrze się trzyma.

– Jak się czujecie? – zapytała.

Mężczyzna zamrugał i westchnął.

– Po prawdzie raczej źle... – szepnął słabo. – Nie mogę się poruszyć ani przypomnieć sobie...

Siostra Eudeline poczuła ukłucie w piersiach.

– Chcecie powiedzieć, że...

– Nie wiem, kim jestem, pani. – Vermandois był wyraźnie wzburzony, mimo to mówił z rezygnacją, jakby długo medytował nad własnym położeniem. – Jeśli

zlitujecie się nade mną i wyjawicie mi moje imię oraz powód, dla którego znalazłem się tu w takim stanie, będę wam wdzięczny.

Matka przełożona cofnęła się gwałtownie, nie potrafiąc zapanować nad przerażeniem. Kiedy tylko usłyszała, że nastąpiła poprawa, łudziła się, że Robert odzyskał jasność umysłu i powrócił do zdrowia, tymczasem miała przed sobą człowieka o całkowicie pomieszanych zmysłach, spoglądającego na nią błagalnie swymi zielonymi oczami. Oczami, które ją oczarowały. Myśl ta sprawiła, że poczuła się śmieszna, toteż usiłowała wziąć się w garść. Nie powinna snuć głupich fantazji, ale zatroszczyć się o to, jak ocalić dotkniętego bezwładem nieszczęśnika, który nic nie pamięta.

– To naturalne, że tak się czuje – wtrąciła infirmerka, próbując uspokoić nastroje. – Rana, którą przeżył, nie była błahostką. Istnieje prawdopodobieństwo, że pamięć powoli wróci wraz ze zdolnością poruszania się.

– Naprawdę jesteście tego pewni? – zapytała wielebna matka.

Zakonnica wzruszyła ramionami.

– Niczego nie jestem pewna, ale jeśli wy potraficie postawić dokładniejszą diagnozę...

Chociaż kusiło ją, by ukarać ją za te zuchwałe słowa, przeorysza wzniosła się ponad urażoną dumę i z całą łagodnością, na jaką zdołała się zdobyć, przemówiła do chorego:

– Zowiecie się Robert de Vermandois i jesteście towarzyszem broni mojego szlachetnego brata, Maynarda.

Mężczyzna zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

– Zostaliście ranni w głowę – ciągnęła Eudeline, pragnąc z całego serca służyć mu pomocą. – Przywieziono was do klasztoru, aby...

– Aaa! – wykrzyknął z twarzą nagle wykrzywioną bólem. – Głowa... Moja głowa!

Wielebna matka, wstrząśnięta, popatrzyła na infirmerkę.

– Co mu się stało?

– Atak – odrzekła zakonnica. – Rana...

– Nie możecie nic zrobić, żeby uśmierzyć ból?

– Podałabym mu laudanum, gdyby nasze zapasy nie były takie skromne...

– No więc? – wybuchnęła siostra Eudeline, podczas gdy jęki mężczyzny raniły jej uszy. – Odnowimy je, możecie być pewni.

– W takim razie wedle rozkazu, matko przełożona – zgodziła się infirmerka.

– Nie skąpcie niczego, żeby uzdrowić tego człowieka – nakazała przeorysza, spoglądając na drzwi. Nagle zapragnęła wyjść z tego pomieszczenia. Czowała narastające błyskawicznie skrępowanie.

– Zaczekajcie, pani... – przywołał ją Vermandois. – Wasza twarz... – wybełkotał, podczas gdy z ust pociekła mu strużka śliny. – Ja was znam... Czyż to

nie jest prawda? Pamiętam was u mojego wezgłowia...

Siostra Eudeline spodziewała się wszystkiego, tylko nie takich słów. Poczerwieniała z zakłopotania i zdjeta niepokojem, uciekła, zachowując resztki godności. Przekroczywszy próg, ruszyła ze spuszczoną głową przez długi ambulakr wiodący na dziedziniec, prosząc Boga, by pozwolił jej odzyskać rozum. Nie potrafiła pojąć źródła odczuwanego tak wielkiego zamętu. Wprawdzie spoglądając na oblicze Roberta, uznała, że ma przyjemny wygląd, jednak nadal pozostawał kimś obcym. A przecież coś ją ku niemu przyciągało, choć po gwałcie zadany przez własnego ojca nie zdarzyło jej się to w stosunku do żadnego mężczyzny.

„Głupia niewiasta!”, pomyślała, wzburzona wspomnieniem owego straszego dnia.

Rozsierzona na samą siebie i oślepiąca przez łzy, szła dalej, pocieszając się tym, że przynajmniej może wypłakać własny lęk z dala od ciekawskich oczu.

Wtedy wpadła na Aleydis.

– Coś was trapi, wielbna matko? – zapytała nowicjuszka.

Pragnąc ukryć swe uczucia, Eudeline czym prędzej otarła twarz, przybrała dostojną minę i pomyślała, że odwróci uwagę od własnego stanu za pomocą wymówki. Nie było wszakże takiej potrzeby. Przyjrzawszy się bowiem obliczu dziewczyny, dostrzegła w nim coś niepokojącego.

– Skąd macie ten siniec na twarzy? – rzekła, zapomniawszy o Robercie Vermandois.

Aleydis zasłoniła ciemną plamę na policzku.

– To był wypadek – wyjaśniła zawstydzona. – Nic poważnego.

Matka przełożona pokiwała głową.

– Okłady z rozmarynu – poradziła, po czym skinęła jej na pożegnanie i ruszyła w swoją stronę.

Gdyby nie to, że chciała jak najprędzej się oddalić, zapewne dostrzegłaby niezwykle wybrzuszenie habitu nowicjuszki.

Gdy została sama, Aleydis schowała się w cieniu wnęki i bacząc, by nikt jej nie zauważył, wyciągnęła spod habitu małą sakwę, którą znalazła wśród osobistych rzeczy Roberta de Vermandois. Mogła się spodziewać, że tylko w niej będzie w stanie znaleźć jakieś wskazówki dla kardynała. Przerazona na myśl, że znów ma przed nim stanąć z pustymi rękami, skradła ją bez wahania, wśliznąwszy się potajemnie do *valetudinarium* w czasie przerwy między porannymi nabożeństwami.

Zachowała dostateczną ostrożność, aby nie dać się zaskoczyć, nie spodziewała się jednak nieoczekiwanego przebudzenia chorego i spotkania z przeoryszą. Na szczęście wielbna matka nie podejrzewała żadnego wykroczenia z jej strony. Natomiast sama nowicjuszka była wielce zaskoczona zachowaniem matki przełożonej. Nigdy dotąd nie widziała jej tak wzburzonej i z twarzą zalaną

łzami, nabrała więc przekonania, że ukrywa jakieś mroczne lęki, a być może palące tajemnice.

Niemniej jednak chwilowo musiała się zająć czymś innym. Nazajutrz Marcus zjawi się przed klasztorem, a wówczas lepiej, żeby miała w zanadrzu przydatne wiadomości.

Otworzyła sakwę i jęła ją przetrząsać. Kardynał wyraził się jasno: szuka wskazówek na temat brata Eudeline i tajemniczego przedmiotu zwanego *Lapis exilii*. Aleydis nie mogła mieć pewności, lecz widziała i słyszała dosyć, by się domyślić, że chory jest rycerzem i prawdopodobnie towarzyszem broni Maynarda de Rocheblanche'a. W przeciwnym razie trudno by było wytłumaczyć jego obecność w klasztorze. Miała nadzieję, że znajdzie w sakwie coś, co pozwoli jej to potwierdzić.

Z początku doznała zawodu. Natrafiła na starą szachownicę i bierki z kości słoniowej, osełkę, krzesiwo, nóż i pierścień z pieczęcią, który jak mniemała, należał do rodu Vermandois.

Wreszcie jej palce dotknęły powierzchni pergaminu.

Wyjawszy go drżącymi dłońmi, zorientowała się, że trzyma pasek długi na palec. Widniało na nim kilka słów.

Przyjacielu, zostawiam Was w rękach mojej wielebnej siostry. Ja muszę się oddalić, szpiegują mnie. Czeka mnie pewna ważna misja. Proszę Boga, abym zastał Was z powrotem w dobrym zdrowiu. M.

Ledwie parę zdań, wystarczających wszakże aż nadto, by wynagrodzić jej wysiłki.

Nowicjuszka wsunęła pergamin do kieszeni habitu i wrzuciła sakwę z resztą zawartości do starej studni na końcu ogrodu warzywnego, skąd nikt nie czerpał już wody. Potem pobiegła na tercję, czując ulgę na myśl, że nazajutrz kardynał już jej nie zbije.

WZDŁUŻ BIEGU RODANU

Maynard pozwolił karemu odpocząć nad ukrytym wśród drzew stawem, sam zaś, zeskoczywszy na ziemię, przejrzał się w wodzie. Zobaczył zupełnie innego mężczyznę od tego, który przeżył bitwę pod Crécy. Długie włosy i nieogolony zarost nadawały mu wygląd pustelnika. Zdażył też zmienić strój: aby nie rzucać się w oczy, poprosił ojca Manessiera o habit, który włożył pod płaszcz zamiast szat rycerskich.

Sztuczka okazała się zbawienna, albowiem poprzedniego dnia, w czasie postoju w pewnym miasteczku, zauważył dwóch odzianych na czarno zbrojnych. Nie mógł mieć pewności, ale szpiegując ich, odniósł wrażenie, że na klamrach ich pasów widnieje herb z lwem. Czego szukali akurat tutaj?

On was przewyższa, rzekła tamta niewiasta przed śmiercią. Wspomnienie to kazało mu się zastanowić nad złotym pierścieniem, który chował w sakiewce. Nawet opat z Mont-Fleur nie umiał mu powiedzieć, do kogo należy, chociaż Maynard obawiał się, że wyjaśnienie tej kwestii i tak okaże się zbędne. Przewidywał, że tajemniczy kardynał nigdy nie przestanie go ścigać. Musi ciągle przed nim uciekać, dopóki nie wpadnie na ślad ojca Facia di Malaspiny. Może dopiero wtedy dowie się czegoś na temat spisku, który doprowadził do śmierci Jana Ślepego.

W każdym razie zakonny habit ustrzegł go przed spojrzeniami zbrojnych w czerni, dlatego też Maynard postanowił jeszcze bardziej uwiarygodnić swe przebranie.

Ciągle wpatrzony we własne odbicie w wodzie, dobył sztyletu i jął obcinać sobie włosy nad uszami i na czole, nadając im kształt grzywki. Uznawszy, że względnie dobrze się spisał, całkowicie ściął kilka pukli i dokładnie ogolił skórę, aby przypominała mnisią tonsurę. Pomacał się po głowie, chcąc ocenić rezultat, i wreszcie zadowolony dosiadł konia.

Jeśli będzie starannie ukrywał pod płaszczem miecz i sztylet, wezmą go za wędrownego mnicha.

Na myśl, co też by powiedziała Eudeline, widząc, że tak się wystroił, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Gdy tylko dotrze do kolejnej gospody, napisze do niej, aby powiadomić o poczynionych postępach, nie wdając się jednak w szczegóły. Bezwzględnie musi ją chronić przed ciekawością, której błysk dostrzegł w jej oczach. Przed tą samą ciekawością, która zresztą dręczyła i jego, odkąd opuścił Mont-Fleur.

Wtem jego uwagę przykuł niewieści krzyk, każąc mu spać wierzchowca

i popędzić pod osłoną drzew, dopóki nie znalazł się na skraju leżącego odłogiem pola. W świetle późnego popołudnia zobaczył trzech mężczyzn napastujących właśnie jakąś dziewczę.

Maynard zeskoczył z konia i wrzasnął:

– Co się tu dzieje?

Jeden z trójki odwrócił się gwałtownie z groźną miną.

– To nie twoja rzecz, braciszku!

Nie zbity ani trochę z tropu, Rocheblanche zbliżył się szybkim krokiem, a wtedy spostrzegł, że nie są to prości wieśniacy. Nosili kolczugi i różnego rodzaju broń. „Najemnicy”, pomyślał.

– Puśćcie ją! – krzyknął, ale w odpowiedzi usłyszał tylko barbarzyński śmiech.

Nieszczęsnica wykorzystała tę wymianę zdań, żeby się wyswobodzić, i zwinnie poturlała się po trawie. Była powalana błotem, miała poszarpane odzienie. Jeden z trzech oprawców chwycił ją za włosy i jął szeptać na ucho sprośne słowa.

Maynard poczuł narastającą wściekłość, jednocześnie powróciło wspomnienie skulonej w ciemnościach, zżeranej przez strach i upokorzonej Eudeline.

Natarł na pierwszego zbira, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, powalił na ziemię kopniakiem w zębra, następnie drugiemu zadał cios barkiem i dopadł do dziewczyny. Tymczasem trzeci już na niego czekał z mieczem w dłoni.

Rycerz dobył swojego z rozdzierającym rykiem i sieknął tak mocno, że przeciwnik runął na kolana. Nie zdążył dokończyć dzieła, gdy ktoś złapał go za ramiona, wówczas potężnym uderzeniem głowy rozwalił nos mężczyźnie, którego miał za plecami.

Odwrócił się w samą porę, by stawić czoło pierwszemu napastnikowi, który właśnie się podniósł i pędził na niego z włócznią. Maynard zrobił unik i ugodził go w czoło głowicą miecza, a wówczas tamten osunął się na ziemię z roztrzaskaną czaszką.

Rocheblanche uspokoił oddech, przyjrzał się trzem pokonanym najemnikom, potem podszedł do tego najbliższej dziewczęcia. Mężczyzna nadal klęczał skamieniały, bełkotał coś błagalnym tonem, Maynard nie był jednak w stanie zignorować plugawego grymasu, który wykrzywił mu twarz. Tego samego grymasu, który po tysiącokroć widział na obliczu ojca. Zapragnął czym prędzej go zetrzeć i zdzielił rzeźmieszka płazem w policzek, każąc mu wypluć strużkę krwi i kilka zębów.

Następnie pochylił się nad dziewczynką. Miała włosy koloru pszenicy i jeszcze dziecięcą buzię. Chuda i odziana w łachmany, mogła mieć najwyżej trzynaście lat. Uderzyły go jej oczy. Były w dwóch różnych kolorach: jedno

niebieskie, drugie zielone.

– Nie bójcie się – rzekł, ocierając płynące jej po twarzy łzy. – Zaraz odprowadzę was do rodziny.

Cofnęła się odruchowo.

– Nie mam rodziny, ja... Nie mam już nikogo.

Rycerz przyjrzał się jej ze współczuciem.

– Jak wam na imię?

– Isabeau – odparła nieufnie.

– Cóż, powtarzam wam, nie musicie się mnie obawiać.

– Tamci trzej mężczyźni też tak mówili...

– Tamci mężczyźni już was nie skrzywdzą – uspokoił ją. – Co do mnie, nigdy bym się nie ośmielił...

– Naprawdę jesteście mnichem? – wpadła mu w słowo, raczej z podejrzliwością niż ze strachem. Zupełnie jakby już zapomniała o niedawnym lęku. – Mój ojciec mawiał, że mnisi nie noszą broni.

Wówczas rycerz uzmysłowił sobie, że nadal dzierży w ręku miecz.

– Mój zakon mi na to zezwala – skłamał, chowając broń do pochwy. – Pozwala mi także nieść pomoc biedakom, jeśli trzeba.

Co powiedziawszy, otworzył sakiewkę i wysypał na dłoń parę monet.

Dziewczynka nie chciała ich przyjąć.

– Nie jestem nędzarką – oznajmiła pogardliwie. – Należę do wędrownej trupy. Jestem kuglarką, podobnie jak moi rodzice.

Maynard był mocno poruszony, mimo to nalegał.

– Żadną miarą nie chciałem was urazić – wyjaśnił, podsuwając jej ponownie pieniądze. – Pragnę wam tylko pomóc.

– Jeżeli naprawdę tego pragniecie, zabierzcie mnie ze sobą.

Popatrzył na nią oszołomiony i nagle dostrzegł w jej oczach jakiś rzadki i cenny blask. Coś, co kilka razy widział na polu bitwy, a czego z pewnością nie spodziewałby się odnaleźć w chudym jak patyk dziewczęciu, które ledwie wyrwało się z rąk trzech mężczyzn żądnych przemocy i pozbawionych skrupułów. Nie mylił się jednak: w jej źrenicach lśniła odwaga. Pokręcił jednak głową.

– Przykro mi, nie mogę.

– Mogłabym dbać o waszego konia – podsunęła Isabeau pewniejszym głosem. – Gotować wam...

Pociemniały na twarzy Rocheblanche podszedł do karego i wziął do ręki wodze.

– Będę się zmagać z przeciwnościami losu.

Lecz zanim zdążył wsunąć stopę w strzemień, dziewczynka podbiegła ku niemu i chwyciła jego dłoń.

– Ja również zmagam się z przeciwnościami losu – powiedziała – już od

urodzenia.

Słyszając te słowa, nie potrafił się dłużej opierać.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

30 LISTOPADA

Klasztorny dziedziniec przykryły pierwsze płatki śniegu. Siostra Eudeline szła samotnie skrajem ogrodu warzywnego i wsłuchując się w delikatne skrzypienie pod stopami, usiłowała uśmierzyć niepokój. Po raz drugi z rzędu zbyt ostra zima poważnie spustoszyła zbiory. Głód pukał do drzwi, pod kościołami gromadzili się żebracy, błagając o jadło i schronienie. Wielebna matka nie umiała temu zaradzić. Klasztor Świętej Balsamii wznosił się na bardzo ubogim przedmieściu, a jego zapasy ledwie starczały na wykarmienie wspólnoty. Wprawdzie słynął z tego, że prędko rozkwitł, daleko mu było wszakże do bogactwa biskupstwa, a nawet skromnej zasobności opactwa Świętego Remigiusza.

Siostra Eudeline wiedziała jednak doskonale, że największych trosk przysparzają jej sprawy osobiste. Infirmerka stale powiadamiała ją o postępach Roberta de Vermandois. W ciągu tygodni, które nastąpiły po jego przebudzeniu, odzyskał władzę w ramionach i górnej części ciała, ale jeszcze nie w nogach. Nie wróciła mu także pamięć. Powtarzał, że nic nie pamięta, i z każdym dniem ogarniało go coraz większe przygnębienie.

Siostra Eudeline już go nie odwiedzała. Na samą myśl, że miałyby znaleźć się z nim twarzą w twarz, przeżywała na nowo zakłopotanie i lęk, które kazały jej uciec we łzach z *valetudinarium*. Zresztą trzymanie się od niego z daleka wcale jej nie służyło. Była coraz bardziej nerwowa i drażliwa, niezdolna słuchać cierpliwie innych zakonnic.

Nie potrafiła nazwać swojego stanu, miała jedynie nadzieję, że prędko minie.

Szła po śnieżnym dywanie, przyglądając się rudzikowi wśród liści nagiego drzewa, dopóki mróz nie przeniknął przez jej płaszcz i nie zmusił do schronienia się w *domus particularis*. Wkrótce znalazła się w półmroku klasztoru, parę kroków od pulpitu. Siostra Claire siedziała przy stole obok i uzupełniała kartulariusz w blasku świecy.

Gdy tylko Eudeline usiadła, natychmiast wszelkie rozterki serca minęły. Obłożona księgami i kałamarzami z inkaustem, znów poczuła się sobą, królową we własnym zamku. W dodatku wszystkie najpilniejsze dokumenty zostały już sporządzone. Mogła więc się zająć tymi mniej istotnymi i mniej zawiłymi, piętrzącymi się na stercie po lewej stronie pulpitu. Właśnie wtedy, szperając w rozmaitych aktach, dostrzegła róg jakiegoś pisma wystającego ze stosu.

Wyciągnęła je z ciekawością. Rzuciwszy na nie okiem, zerwała się na równe nogi czerwona z wściekłości.

– Sostro Claire, jak mogliście sobie na to pozwolić?

Zakonnica aż podskoczyła, wypuszczając z rąk pergamin.

– Wielebna matko, nie pojmuję...

– Ten list! Od czterech dni leży wśród mniej ważnych dokumentów.

Dlaczegoście go tu umieścili?

– Sądziłam, że...

– Czytaliście imię nadawcy?

– Pewnie mi umknęło...

Eudeline pomachała piórem przed jej oczami niczym bronią.

– Na górze jest imię mojego brata! Zdajecie sobie z tego sprawę? Jak śmieliście to przede mną ukryć?

Siostra Claire spuściła głowę.

– Proszę o wybaczenie, nie wiem, jak mogłam popełnić taki błąd...

– Za to ja wiem, jak to zrobiliście! – wyszczała przeorysza, nie dając się przebłagać. – Rozkojarzona z was niezguła, która nigdy na nic nie zwraca uwagi – pokazała jej drzwi. – Zejdźcie mi z oczu, zanim...

Zakonnica wpatrywała się w nią przez chwilę, przerażona tym niedopowiedzeniem. Po czym zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

Wielebna matka tkwiła na środku pomieszczenia, czekając, aż złość jej minie, a gdy tylko doszła do siebie, poczuła się jak monstrum. „Przebrałam miarę”, pomyślała. W ciągu ostatnich dni pojawiło się tak wiele dokumentów, że każdy mógł się pomylić, nawet ona. Doskonale jednak wiedziała, co wywołało tę jej reakcję. Przeklęła własną słabość ducha.

Usiadła z powrotem przy pulpicie, złamała pieczęć i otworzyła pismo, nie mogąc się doczekać wieści od brata. Nie było wiadomo, gdzie ani kiedy list został napisany.

Ukochana siostrzyczko,

kreślę te słowa, siedząc przed łańcuchem górskim, za nim zaś czeka prawda o tajemniczym spisku, o którym opowiadałem Ci podczas naszego ostatniego spotkania. Wiedz, że odnalazłem już miejsce wskazane w zagadce, chociaż na razie nie mogę jeszcze dosięgnąć wzrokiem Lapis exilii. Najpierw będę musiał dowieść męstwa i wypełnić bardzo ważną misję w nadziei, że uczyni mnie to lepszym człowiekiem. Człowiekiem, który pewnego dnia zdobędzie się na odwagę, aby wyznać Ci coś, czegom nigdy nie wyjawiał.

Nie obawiaj się o mój los, jestem zdrowy i nie lękam się wędrówki. Od tygodnia podróżuję z pewną osobliwą towarzyszką, bardzo młodą, ale już samą na świecie. Tak samo byłoby z nami, gdyby nie połączyła nas wzajemna miłość.

Niech Cię Bóg błogosławi,

Maynard

CZĘŚĆ DRUGA

REGUŁA OPATA



OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

20 MARCA 1347 ROKU

Ze wzrokiem wbitym w apsydę opat przyglądał się uważnie Chrystusowi Pantokratorowi otoczonemu mandorłą, Ojcu i Synowi pośrodku sfery niebieskiej i po raz kolejny poczuł gorycz. Choć od ponad dziesięciu lat próbował ożywić swoją wiarę, nie potrafił uniknąć porównywania jej z tym wiekowym i mocno wyblakłym freskiem. Z pewnością nie brakowało mu piękna kształtów, oblicze Pana ciągle spoczywało z godnością na sklepieniu, każąc myśleć o boskim majestacie. Z jaskrawych kolorów niewiele wszakże zostało, podobnie jak z mistycznego zachwyty, którego ojciec Andrea doświadczał w młodości podczas modlitwy. Przetrwało tylko blade wspomnienie chwil przeżytych w nieprzeniknionym milczeniu ascezy. To samo dawało się powiedzieć o cyklu malarskim pokrywającym wysokie ściany nawy głównej, pasmie historii biblijnych, w których nie sposób już było dostrzec podobieństwa proroków, a nawet krajobrazów Palestyny i Egiptu, zatartych z powodu coraz bardziej łuszczącej się farby.

Niszczącemu działaniu czasu oparły się wyłącznie freski w obu nawach bocznych, które wyłaniały się spod łuków kolumnady, ukazując żywoty apostołów Piotra i Pawła. Iskierka dawnej chwały, przypominająca ojcu Andrei żarliwego zakonnika, którym był za młodu. Za mało jednak jak na klasztor, który aż do ubiegłego stulecia wyróżniał się spośród tysiąca innych. Za mało, by uczcić pamięć wielkich opatów, jacy następowali po sobie w tych murach.

Oto dlaczego ojcu Andrei cknęło się do czasów świetności. Czasów, kiedy to mnisi nie śpiewali pieśni podczas mszy przed szarymi plamami, które teraz, niczym złowieszcze mgły, uniemożliwiały oczom napawanie się świętymi obrazami. Czasów, kiedy to wchodząc do *monasterium* w Pomposie, wykrzykiwali zwykle: *Beati oculi qui vident*.

Błogosławione oczy, które widzą.

Odwrócił się niemal z pogardą, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że mężczyzna za jego plecami nie odezwał się jeszcze ani słowem. Nadal przechadzał się po wyłożonej mozaiką posadzce z zadartą głową, gładząc się po gęstej, kruczoczarnej brodzie.

– I cóż? – zapytał opat, nie mogąc się doczekać jego osądu.

Mężczyzna wzruszył ramionami, rozciągając wargi w pełnym

powątpiewania uśmiechu.

– Cóż, doradzę renowację – odparł ochryłym głosem, nie odrywając wzroku od fresków pokrywających nawę główną. Zwał się Sigismondo de' Bruni i od ponad dwudziestu lat wykonywał profesję mistrza malarskiego. Niski i krępy, ze szczególną lekkością poruszał szczupłymi rękami i nogami. Andrea nie spotkał go nigdy wcześniej, lecz usłyszawszy peany na jego cześć z ust pewnego prałata z Romanii, zdecydował się go zawezwać.

– Czyżby to oznaczało, że nie możecie uratować starego fresku w nawie?

– Pewnie, że mogę – wyjaśnił rzemieślnik – ale powtarzam: odradzam. Pomalowanie na suchym tynku zniszczonych ścian i naniesienie poprawek na tych najlepiej zachowanych nie będzie was kosztować wiele mniej niż gruntowniejsze prace.

Opat uniósł brew.

– Zaofiarowalibyście się zatem pomalować wszystko od nowa na mokrym tynku?

– Z waszym przyzwoleniem, owszem.

– Nie brałem pod uwagę aż tak gruntownej zmiany, przyznaję. Na samą myśl, że miałbym porzucić piękno tych malowideł...

– Nie umniejszając niczego, wielbny ojcze – sprzeciwił się malarz – mamy tu do czynienia z dawnym stylem. Ośmieliłbym się wręcz powiedzieć przestarzałym.

– Doskonale o tym wiem – stwierdził Andrea, żadną miarą nie chcąc uchodzić za prostodusznego. – Ale formy obrazu nie ocenia się li tylko po pozorach. Cykl malarski, na który właśnie patrzycie, przedstawia historię zbawienia rodzaju ludzkiego od stworzenia Adama aż po zmartwychwstanie Chrystusa. Czyżbyście naprawdę byli zdolni wykonać podobny zupełnie od nowa?

– Nawet gdybyście uznali to za pychę, powiem: tak. – Mistrz Sigismondo okazywał pewność siebie graniczącą z zuchwalstwem, mimo że nadal zachowywał się usłużnie niczym obwoźny handlarz. – Nie zrozumcie mnie źle – dodał czym prędzej – potrafię docenić pociągnięcia pędzlem mistrza malarskiego, który w swojej epoce zapewne posiadał talent, ale szczerze mówiąc, jestem przekonany, że będziecie zadowoleni z moich usług. Wykonywałem o wiele trudniejsze prace niż ta i wiercie mi, w dzisiejszych czasach zaszły takie postępy, że dawne dzieła nie mogą się równać z obecnymi. – Dla podkreślenia swoich słów wskazał południową ścianę i górną część fresku. – Widzicie na przykład, jak została namalowana arka Noego? Jest płaska, pozbawiona głębi – następnie wycelował palec w dolną część – zupełnie jak krajobraz w scenie Zwiastowania. To samo dotyczy twarzy, fałd na szatach, cieni...

Ojciec Andrea potakiwał nieustannie, choć wcale nie dał się oczarować. Pochodził z Fano, miasta obfitującego w kościoły i gmachy, przebywał wszakże

głównie w Padwie, Rimini i Ferrarze, gdzie nauczył się rozpoznawać doskonale malarstwo. Doskonałość, którą pasjonował się już jako nowicjusz, zachwycając się obrazami przedstawionymi w księgach, na arrasach, a nawet na naczyniach z majoliki. Wiedział wprawdzie, że freski z jego opactwa wykonane są w archaicznym stylu, lecz pokochał je tak bardzo, że nigdy nie brał pod uwagę możliwości zastąpienia ich nowymi.

– Muszę się nad tym zastanowić – wykrzyknął, przerywając potok słów wypływających z ust rzemieślnika.

Sigismondo de' Bruni spojrział nań z miną psa, który nie zamierza porzucić kości.

– Pojmuję wasze stanowisko – rzekł, kierując wzrok ku strefie nad ołtarzem.
– Czekając na odpowiedź, mógłbym się zająć ozdobieniem apsydy – podsunął. – W ten sposób sami ocenicie, czy jestem godzien prowadzić dalsze prace w nawie, czy też nie.

Opat wpatrywał się w Chrystusa Pantokratora, scenę, która z pewnością ucierpiała najbardziej. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, ogarniała go mieszanina wstydu i żalu. Po raz kolejny doznał poczucia winy i zarazem pragnienia powrotu do czasów duchowej surowości. „Trzeba w jakiś sposób zapoczątkować odnowę”, pomyślał.

– Pomysł mi się podoba – odparł instynktownie, zakładając ręce za plecy. – Apsyda powinna zostać odnowiona, nie mogę dłużej pozwalać, by popadała w taką ruinę. Ale baczcie – dodał – prace nie ograniczają się do lunety z Chrystusem w chwale. Zwróciliście uwagę na sceny poniżej?

Zadowolony z obrotu, jaki zaczęła przybierać rozmowa, mistrz malarski skupił wzrok na dolnej ścianie apsydy, potwornie oszpeconej przez upływ czasu i wilgoć.

– Dostrzegam to, co pozostało z pięciu postaci otoczonych aureolami, zbyt wyblakłych, aby dało się je rozpoznać. Być może procesji świętych.

– To Święty Eustachy, Święty Wincenty, Święty Apolinary, Święty Witalis i Święty Sebastian – objaśnił ojciec Andrea, cytując z pamięci imiona owych cieni, które już zatraciły kształty. – Męczennicy czczeni w Pomposie, przedstawieni przed wiekami w stylu bizantyjskim.

– W całości do pomalowania na nowo – skwitował Sigismondo.

– Mam ilustrowane *legendarium*, które mogłoby wam pomóc w tym zamiarze.

Mistrz pokiwał głową.

– Doszliśmy zatem do porozumienia?

– Jak na razie tylko poruszyliśmy kwestię – rozwiął jego nadzieje opat. – Pozostaje ustalić, jak wykonacie swoją pracę, poza tym nie padło jeszcze ani jedno słowo na temat waszej zapłaty.

– Macie rację – oświadczył rzemieślnik. – Ustalimy wszystko nad szkicami, które zamierzam sporządzić jeszcze dziś w nocy.

Opat przystał na ten pomysł, zanim jednak zdążył się wypowiedzieć, do głównej nawy wbiegł pacholek.

– Wielebny ojcie – zawołał przybysz – musicie udać się czym prędzej do kapitularza!

– Co się stało? – dopytywał Andrea, natychmiast wychodząc mu naprzeciw.

– Ojciec Facio! Facio di Malaspina! – odrzekł zdyszany pacholek. – Zwołał kapitułę bez waszego pozwolenia.

Słyszając to, opat poczuł ściskanie w żołądku. Nie znosił tego zakonnika nie z powodu jego nędznych ułomności, lecz za sprawą nieustannych knowań, których celem było sianie niezgody w opactwie. Nie wiedząc jeszcze, co tym razem ukartował, już prosił Boga o cierpliwość, aby mógł mu stawić czoło w obecności całej rodziny zakonnej.

Sigismondo de' Bruni patrzył, jak opat oddala się pod arkadami południowej nawy, po czym znika w wąskich drzwiach bocznych. „Zapewne czekają go nader poważne wydarzenia”, pomyślał z nadzieją, że nie przeszkodzą mu one w malowaniu na mokrym tynku. W przeciwnym razie uznałby to za karę za kłamstwo na temat swojego doświadczenia. Nie mówiąc już o tym, że choć celowo się do tego nie przyznał, uważał malowidła Pomposy po prostu za cudowne i – wprawdzie bardzo stare – bez porównania przewyższające wszelkie dzieła, jakie kiedykolwiek stworzył za pomocą pędzla.

Modlił się do Najświętszej Pani o wybaczenie swego postępków, nie miał jednak wyboru. Kąsek był zbyt łakomy, by mógł z niego zrezygnować. Potrzebował pieniędzy, a przede wszystkim wytchnienia dla rodziny po długim okresie trudów i tułaczki.

Mimo to czuł ogromny lęk przed przedsięwzięciem ponad swoje siły. W najlepszym razie okazałoby się ono największym zamysłem, jaki kiedykolwiek powziął. Aby stworzyć sobie wystarczająco dokładne wyobrażenie możliwego zlecenia, jął się przechadzać wzdłuż nawy z miną znawcy, oceniając rozmiar ścian do pomalowania. Wielkość prac szacował na jakieś piętnaście *pontate*⁷. Prawdę mówiąc, niewiele. W gruncie rzeczy wcale nie był tak do końca nieuczciwy w stosunku do opata. W przeszłości malował już sceny biblijne na mokrym tynku, chociaż nie na aż tak dużych powierzchniach.

Wiedział też, że to mogła być znakomita sposobność do zdobycia uznania, bo jeśli dobrze się spisze, jego dzieło z pewnością zwróci uwagę wyżej postawionych i zamożniejszych zleceniodawców niż ci, z którymi zwykle miał do czynienia. I może po kilku latach zdoła nawet otworzyć pracownię jak się należy, o czym marzył już od młodych lat.

Modląc się, by wszystko poszło jak najlepiej, omiótł wzrokiem ściany,

ozdobione z najwyższym kunsztem, i udał się w kierunku portalu.

Wyszedłszy na zewnątrz, odpędził kłębiące się myśli i odwrócił się, aby podziwiać opactwo w całej okazałości. Gdy tu przybył, tak bardzo nie mógł się doczekać rozmowy z opatem, że nie poświęcił budowli uwagi, na jaką zasługiwała. Teraz natomiast miał mnóstwo czasu, aby przyjrzeć się jej w bladym świetle wieczoru. Była to majestatyczna bryła, o solidnych ceglanych murach, z wyjątkiem marmurowych kolumn i ozdobnej terakoty. Wszędzie widać było prostotę i surowość – duchowe fundamenty dawnych mnichów, którzy przed rokiem tysiącnym schronili się tutaj, aby przestrzegać reguły Świętego Benedykta.

Wystająca nad przedsionkiem i ozdobiona potrójną arkadą fasada zwrócona była na zachód. Na lunecie portalu widniał fresk przedstawiający Marię Dziewicę na tronie. Nad nią wyłaniała się wysunięta ku przodowi część nawy głównej zwieńczona dachem.

Po północnej stronie stała olbrzymia dzwonnica o podstawie kwadratu – dziewięć kondygnacji zwieńczonych szpiczastym stożkiem. W miarę wspinaczki przybywało ostrołukowych okien, które zamieniały się w czterodzielne okna arkadowe. Zachwycony mistrz ocenił, że ma powyżej dwunastu pretów⁸.

Na koniec obrócił się w prawo, aby przyjrzeć się części kompleksu rozciągającej się po wschodniej stronie: skupisku budynków zgromadzonych wokół klasztoru. W murach tych, poprzedzielanych z rzadka oknami, od setek lat toczyło się milczące życie zakonników.

Dopiero wtedy pojął w pełni znaczenie słów, które ledwie usłyszał z ust opata Andrei. *Formy obrazu nie ocenia się li tylko po pozorach*. Nie technika budowlana ani tym bardziej styl zdobniczy uczyniły z tego przybytku budowlę wyrażającą klasztorne ideały. Uczyniła to jego forma, czyli fundament myśli, która go zrodziła. Inspiracja jego twórców.

Sigismondo musiałby poznać właśnie tę cenną naukę, jeśli zamierzał stworzyć dzieło malarskie godne tak wielkiej czci.

Coraz głębiej pogrążony w zadumie, podszedł do krytego wozu, stojącego nieopodal, przy ścieżce na obrzeżach dziedzińca opactwa.

Wewnątrz czekali na niego jego żona i jedyny syn.

– Żartujesz sobie ze mnie – zaśmiała się Sapia. – Nie jestem aż taka piękna.

Gualtiero kreślił na desce rysy matki, nie zwracając uwagi na jej słowa. Posługiwał się w tym celu wierzbowym węglem o zaostrzonym końcu, a kurzym piórem ścierał to, co źle narysował. Co pewien czas przerywał, cofał się o krok i studiował umieszczony na sztaludze szkic, myśląc z żalem, że prawdziwe piękno jest zbyt ulotne, aby można było je uwiecznić. Skądinąd żywił przekonanie, że jakaś część owego wewnętrznego płomienia ciągle żyje w dziełach sztuki, o ile tworzy się je z talentem i uczuciem. Młodzieniec wątpił, by był aż tak uzdolniony, nadawanie kształtu obrazom sprawiało jednak, że czuł się spełniony, niemal

szczęśliwy.

Właśnie w tym stanie ducha zwrócił się do matki, chciał bowiem wychwycić ostatnie szczegóły jej podbródka i brwi.

– Nie uśmiechajcie się zbyt szeroko – upomniął ją żartobliwie – jeśli nie chcecie, żebym popełnił błędy.

Sapia wyprostowała się na skraju posłania i wsparła głowę o drewnianą ścianę. Przestała się śmiać – teraz na jej twarzy malowała się duma.

Gdy Gualtiero to spostrzegł, ogarnęło go prawie zakłopotanie. Rozpoczął tę grę, aby rozwiać zmęczenie długą podróżą, w tej chwili wszakże zdał sobie sprawę, że wykonał dobrą robotę. Odłożywszy węgiel, wziął rysik o srebrnym ostrzu, aby nakreślić wstępny szkic portretu. Musiał zachować dużą ostrożność i podnosić do góry lampkę oliwną, w pomieszczeniu bowiem było mało światła. Panujący jeszcze o tej porze roku chłód kazał mu pozostać w wozie, w mroku, w otoczeniu ostrej woni materiałów malarskich.

Nie był to jednakże zwyczajny wóz. Stanowił jego dom, miejsce, w którym się urodził i dorastał, spędzał w nim wraz z rodzicami niekończące się zimy i gorące lata, ucząc się powoli podstaw zawodu. Był on także pracownią jego ojca, Sigismonda, składnicą wszelkiego rodzaju narzędzi i przechowalnią fascynujących tajemnic.

Gualtiero doskonale znał to pomieszczenie, toteż z wprawą, niemal bezwiednie sięgnął na półkę po prawej stronie po kilka naczynek z farbami. Ustawił je na stołku przed sztalugą, a na koniec wyjął z kielicha pędzel z włosia wiewiórki.

Zaczął od nałożenia cielistej barwy, tempery na bazie bieli i cynobru, którą pokrył całą powierzchnię twarzy, z wyjątkiem oczu. Następnie dodał pół uncji ziemi zielonej i synopii, aby uzyskać czerwony odcień, który posłużył mu zarówno do nakreślenia nosa i warg, jak i do wycieniowania czoła i policzków. Jego pociągnięcia były szybkie i zdecydowane, zatrzymywał się na krótko przy szczegółach, po czym malował dalej lekkimi ruchami, nadając stopniowej głębi owalnej twarzy o anielskim uśmiechu.

Sapia przyglądała mu się bez słowa, chociaż już samo jej spojrzenie wystarczyło, by poczuł lekkie wzruszenie.

„Jestem zdolniejszy od ojca”, powtarzał sobie tymczasem, patrząc z dumą na swoje dzieło. Często zdarzało mu się tak myśleć, zwłaszcza przy pracy, aczkolwiek dobrze wiedział, że nie ma nawet połowy doświadczenia Sigismonda. Tak czy inaczej, nie było co zaprzeczać. Posiadał o wiele większe umiejętności w nadawaniu wyrazistości twarzom i naturalności ludzkim postaciom. Ponadto żywił pragnienie unowocześnienia tradycji. Ambicję, która w ciągu minionych lat niejednokrotnie doprowadzała do sporów z ojcem.

Umył pędzel, wyrzucając z pamięci wspomnienie ostatniej kłótni, następnie

umoczył jego koniec w naczynku z ochrą, aby oddać na portrecie jasny kolor matczynych włosów. Potem musiał je pociągnąć bladą czerwienią, gdyż chciał nadać kształt płowym warkoczom upiętym nad uszami. Na koniec zabrał się do oczu: musnął tęczówki mgiełką bieli, a źrenice orzechem, dodając odrobinę czerni i ziemi zielonej.

Ostatnie dotknięcie brwi pędzlem przywiodło zachwyconą Sapię do kłaśnięcia w dłonie.

Po chwili Sigismondo wsunął swą kudłatą głowę pod plandekę.

– I cóż, ojczy? – zagadnął Gualtiero, odkładając pędzel.

Mężczyzna popatrzył z dezaprobatą na naczynka z farbami ustawione rzędem na stołku. „Marnotrawstwo materiału”, zdawało się mówić jego spojrzenie. Mimo to jego brwi się uniosły, a czoło wygładziło.

– Być może otrzymamy poważne zlecenie – oznajmił.

– Nawę opactwa? – zapytała z uśmiechem Sapia.

– Najpierw apsydę, potem postanowi się co do reszty.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę – wyznał młodzieniec. W jego głosie pobrzmiwała drażliwość, albowiem ojciec zakazał mu udziału w spotkaniu z opatem. Na nic zdały się protesty. Sigismondo miał własne sposoby załatwiania spraw; uparcie zawierał umowy i podejmował decyzje, nie radząc się syna, gdyż ciągle traktował go jak niedouczonego pacholka.

Mistrz malarski pozbiierał naczynka z farbami, odstawił je na półkę i nie zaszczycił portretu ani jednym spojrzeniem, rozsiadł się na stołku.

– Uczynisz to jutro.

Gualtiero zerknął na matkę i nie potrafiąc powstrzymać zniechęcenia, wybuchnął:

– To znaczy, że nawet nie mogę rzucić okiem?

– Opat musi mi dopiero dać odpowiedź – wyjaśnił Sigismondo z ponurą miną. – Nie chciałbym go drażnić.

– Mógłbym wejść i się pomodlić – podsunął młodzieniec – a jednocześnie się rozejrzeć, tylko żeby wyrobić sobie pogląd.

– Lepiej byś uczynił, gdybyś mi przygotował papier bawełniany – burknął ojciec, któremu zaczęło brakować cierpliwości. Nie znosił, gdy sprzeciwiano mu się publicznie, a jeszcze bardziej na osobności, przy żonie. – Jazda, ruszaj się – podniósł głos. – Potrzebuję go natychmiast, żeby naszkicować temat sklepienia apsydy.

Domyśliwszy się, że owo polecenie to tylko pretekst, aby go uciszyć, Gualtiero spojrzął ponownie na Sapię, która przysłuchiwała się całej scenie w pełnym rezygnacji milczeniu, i parsknął śmiechem.

– Papier bawełniany już jest gotowy, ile dusza zapragnie, wygładzony kością i oczyszczony. – Korciło go, by zakończyć zdanie okrzykiem sprzeciwu, nie zdołał

jednak powstrzymać ciekawości. – Jaki temat?

Zanim Sigismondo odpowiedział, rzucił okiem na portret, a następnie na żonę. Zmrużył powieki, spod których błysnął ognik jakby zawiści.

– Chrystus siedzący na tronie – odparł opryskliwie, tak jakby chciał dodać: „To nie twoja sprawa”.

Młodzieniec nie dał się zbić z tropu.

– A wokół niego?

– Nic, z wyjątkiem okalającej go mandorli.

– Czy sklepienie nie wyda się zbyt nagie?

– Czyżbyś zamierzał uczyć mnie rzemiosła? – Mistrz malarski uderzył pięścią w kolano. – Pantokrator powinien być ukazany sam, w całym majestacie. – Uczynił groźny gest, jakby miał się poderwać z miejsca, pochwyciwszy wszakże błagalny wzrok Sapii, powstrzymał się. – A poza tym – ciągnął, nadal zwracając się do syna – jak możesz się wypowiadać o czymś, czego nawet nie widziałeś?

Gualtiero pokręcił głową, znużony traktowaniem go jak głuptasa. Wcale nie miał zamiaru krytykować ojca. Poruszył tę kwestię wyłącznie po to, by wymienić z nim poglądy i pokazać mu, że jest już gotów do dyskusji na ten temat. Najwyraźniej jednak jego punkt widzenia nie obchodził rodziciela. Chłopiec rozchylił zasłony, szykując się do opuszczenia wozu.

– I zaraz to naprawię.

– Stój! – Sigismondo podniósł się raptownie i chwycił go za ramię. – Posłuchaj mnie...

– Nie jestem ciekaw, co macie mi do powiedzenia! – wysyczał młodzieniec, uwalniając się jednym szarpnięciem.

Po czym z goryczą w sercu wyszedł w marcową szarugę.

Opuściwszy boczną nawę, ojciec Andrea minął szybkim krokiem wirydarz i ruszył ku okazałej budowli, zaczynającej się przy strefie apsydy i rozciągającej na wysokość ponad siedmiu prętów, by połączyć się z refektarzem. Rzucił okiem na górne piętro, gdzie mieściło się w dużej części niewykorzystane dormitorium, i gorzko westchnął. „Dawno minęły czasy, gdy w Pomposie mieszkała wspólnota stu zakonników”, stwierdził w duchu, ale w tej chwili za bardzo się spieszył, by opłakiwać dawną świetność. Na niższych kondygnacjach, za szerokim portalem z ostrołukowym sklepieniem, czekał nań kapitułarz.

Zanim przekroczył próg, pomyślał o Faciu di Malaspinie. Kiedyś jego imię wymawiano z szacunkiem. Dokładnie dwadzieścia lat wcześniej, kiedy to papież ogłosił krucjatę przeciwko markizom Este, którzy rządili pobliską Ferrarą. Powiadano, że właśnie wtedy Facio skorzystał z zamętu panującego na okolicznych ziemiach, aby obwieścić się opatem Pomposy i zdobywać kolejne przywileje, pozwalając jednocześnie zbirom Estów rozgrabić dobra opactwa. Wszystko to zapisano w annałach, włącznie z kopią bulli papieskiej, w której znalazła się wzmianka o *nequissimi homini*, rabującym mnichów i klasztor.

Nie minęło wiele czasu, a Facio znalazł się wśród głównych winowajców owych ponurych wydarzeń. Wprawdzie odwołano go ze stanowiska, lecz oszczędzono ekskomuniki. W tym samym czasie, gdy Estowie zażegnali spór z papieżem, po długiej nieobecności zjawiał się ponownie w Pomposie. Świeżo mianowany opatem Andrea nie mógł przepędzić tego oślizłego węża, obawiał się bowiem jego potężnych przyjaciół i wpływu, jaki wywierał na współbraci.

Teraz zaś odczuwał wstyd, że nie zdołał się przeciwstawić za pomocą odpowiednich środków.

Wkrótce miał zebrać owoce popełnionych przez siebie błędów.

Pełen skruchy otworzył drzwi kapitułarza i wszedł do środka. Pod ścianami, które zdobiły zachwycające freski, w drewnianych stallach siedzieli w milczeniu zakonnicy. Przybyli niemal wszyscy, jak zauważył opat, chociaż miał wzrok wbity w ułomną postać stojącą pośrodku sali.

Wytrzeszczywszy oczy, Facio di Malaspina potarł powalaną tłuszczem brodę wierzchem dłoni. Zgarbiony i bardzo chudy, splótł na piersiach wyjątkowo długie ramiona, przypominające odnóża jakiegoś owada. Nogi, na których z ledwością potrafił się utrzymywać, również miał ugięte w dziwaczny sposób; ni to stał na nich wyprostowany, ni to klęczał. Krążyły słuchy, że taki jego stan spowodowały zadane mu w przeszłości tortury, nikt jednak nie znał prawdy. Może wydarzyło się to po oskarżeniu o popieranie rodu Estów, jak przypuszczał opat, znając straszne historie o lochach biskupa Ferrary. Skądinąd ułomności te nie wzbudzały w nim najmniejszego współczucia. Przeciwnie, zdaniem Andrei wygląd Facia

odzwierciedlał jego nikczemną naturę.

Celowo ignorując przeciwnika, zwrócił się do siedzących w stallach zakonników:

– Co się tu dzieje? – zagrzemiał. – Przecież nie zwołałem żadnego zebrania.

Odpowiedziała mu pełna zakłopotania cisza. Po chwili Facio skłonił głowę ze słodką miną i powiedział:

– Zebranie kapituły należy do obowiązków zakonników, wielbny ojcze.

– Bez wątpienia – odparł z wyrzutem Andrea. – Tylko że jest ważne wyłącznie wtedy, gdy przewodniczy mu opat.

Ułomny zakonnik zachichotał.

– Cóż, teraz, skoro jesteście wśród nas...

– Myślicie, że możecie mnie omotać? – Opat spojrział na niego z niesmakiem. – W porządku dziennym nie przewidziano żadnej dyskusji.

W odpowiedzi Facio rozłożył swe długie ramiona modliszki.

– Słyszeliście, czcigodni bracia? – wykrzyknął, krzywiąc się pogardliwie. – Jest dokładnie tak, jak mówiłem! Decyzje zapadają za naszymi plecami, bez pytania nas o radę.

– Strzeżcie się – rzekł poczerwieniały na twarzy Andrea – jesteście bliscy rzucenia kalumnii!

Zakonnik przeszył go oszalałym wzrokiem.

– Może zaprzeczycie, że daliście posłuchanie pewnemu mistrzowi malarskiemu w kwestii odrestaurowania malowideł opactwa?

– I cóż z tego? – odparł opat, usiłując dociec, w jakim kierunku zmierza jego przeciwnik. – To żadna tajemnica. Moje zamiary są doskonale znane.

– Chcielibyście zatem trwonić pieniądze na błahą zachciankę! Pozwolić sobie na zbędne wydatki, chociaż nasz klasztor zmaga się z trudnościami.

Ojciec Andrea spostrzegł z goryczą, że niektórzy zakonnicy przytakują nieśmiało owym słowom przygany, aczkolwiek nie zdziwiło go to. Aż za dobrze znał zamiary Facia. Ten wąż zwykł używać każdego pretekstu, byleby zyskać aprobatę, ale jego wyłącznym celem było odzyskanie funkcji opata Pomposy. A jedyny sposób osiągnięcia tego polegał na ukazaniu w złym świetle osoby sprawującej teraz władzę zamiast niego.

– Zbędne wydatki, powiadacie? – wyśmiał go opat, dumnie stawiając mu czoło. – Przyznałbym wam rację, gdybyśmy mieli do czynienia z przybytkiem, którego jedynym celem jest gromadzenie zysków, lecz zapominacie, że znajdujemy się w klasztorze. – Odwrócił się ku współbraciom, jakby chciał ich wszystkich zbesztać. – Naszym pierwszym obowiązkiem jest oddawać chwałę Panu! Nie mówimy tu więc o błahych zachciankach, lecz o pierwszym kroku, aby zbliżyć się do dawnego splendoru.

– Próżność! Pycha! – oskarżył go Facio, zupełnie jakby szykował się do

wygłoszenia kazania. – Kiedy Święty Antoni schronił się podczas modlitwy na pustyni, z pewnością nie dbał o ozdobienie freskami ścian swojej grotty. A może się myłę?

– Prawdziwą pychą byłoby porównywanie się ze Świętym Antonim – odparował opat, nieprzerwanie wpatrzony w audytorium. – My jesteśmy tylko nędznymi grzesznikami, zapamiętajcie to sobie na zawsze! Naszą wiarą może pokierować wyłącznie przykład ludzi wielkich. – W nadziei na to, że poruszy czyjeś serce, wskazał korowód świętych i proroków namalowanych na ścianach sali. Było to wspaniałe dzieło szkoły z Romanii; jego kulminację stanowiła scena Ukrzyżowania, z aniołami zbierającymi krew z ran Chrystusa. – Oto szlachetne zadanie świętych obrazów! Tych samych, które właśnie mamy przed sobą, a które zostały wykonane na polecenie uczonego opata Enrica kilkadziesiąt lat temu. Jakim prawem chcecie mi zabronić kontynuacji jego dorobku?

– Za czasów Enrica na Pomposie nie ciążyły długi – oznajmił Facio, ponownie skupiając na sobie uwagę. – Za to dzisiaj, jak wiadomo każdemu obecnemu na tej sali, musimy zwrócić Stolicy Apostolskiej kwotę równą trzem tysiącom sześciuset florenów w złocie.

Po tej rewelacji po zebranych przeszedł narastający szmer. Ojciec Andrea uciszył go gestem ręki.

– Oddamy tę kwotę, jak tylko będzie to możliwe – oświadczył stanowczo. – Tymczasem wątpię, żeby purpuraci z Awinionu marli z głodu. Nie ma dnia, żebym nie słyszał o kolejnych pałacach kardynalskich wznoszonych przy Skale Panów⁹. – W końcu dostrzegł, że współbracia jęli potakiwać.

Facio nadal pluł jadem.

– Pozostaje kwestia umowy, jaką zawarliście z rzemieślnikiem, nie pytając o zdanie kapituły – wytknął opatowi.

– Żadna umowa nie została zawarta – wyjaśnił Andrea. – Było to wstępne spotkanie, podczas którego poprosiłem pewnego mistrza malarskiego, aby ocenił stan naszych fresków. Nie padło ani jedno słowo na temat wynagrodzenia. Ale nawet gdybym miał zdecydować, czy powierzyć mu renowację, uczyniłbym to dopiero po naradzie z zakonnikami. – Wycelował groźnie palec w kierunku przeciwnika. – Co do was, ojcze, jak śmieliście sprzeciwić się mojej władzy, zwołując to zgromadzenie?

– Chyba nie sądzicie, że to był mój pomysł? – bronił się kaleka, spoglądając wyzywająco z bezczelnym uśmiechem. – *Poproszono* mnie o to. To czcigodni współbracia zachęcili mnie do dyskusji o pewnych sprawach, które zakłócały ich spokój. Jak mógłbym odmówić?

Andrea cofnął się o krok i rozejrzał dokoła, po raz pierwszy czując, że otaczają go wrogowie. Czyżby aż do tego stopnia podważano jego autorytet? „Nie”, powiedział sobie. Za ten stan rzeczy nie są odpowiedzialni jego zakonnicy.

Znał ich wystarczająco dobrze, żeby nie dać się oszukać. Musieli zostać omotani, nie istniało inne wytłumaczenie. Nie miał wszakże dowodów i nie mógł ukarać prawdziwego winowajcy.

Zdusiwszy w zarodku rodzący się gniew, zmusił się, by rozumować jak ojciec troszczący się o edukację swoich dzieci.

– Skoro wszyscy jesteście odpowiedzialni – obwieścił przez zaciśnięte zęby – poniesiecie karę wszyscy bez wyjątku. Trzy dni postu.

Nie zważając na falę protestów ze strony otaczających go zakonników, odwrócił się gwałtownie i opuścił salę kapituły pełen oburzenia.

Tamtego dnia przysiągł sobie, że wiele rzeczy ulegnie zmianie.

Aż do tej pory ojciec Andrea nigdy nie odczuwał owej bezsilnej złości, która powodowała ucisk w żołądku i koniecznie pragnęła się przerodzić w krzyk. Opuściwszy kapitularz, musiał ją powstrzymać, aby nie okazać bezradności.

„Ten niegodziwiec zwyciężył”, pomyślał. Wprawdzie udało mu się go uciszyć, wiedział jednak, że Facio będzie nadal podlegał zakonnikom, doprowadzając go do wściekłości. Opat pojmował powagę okoliczności, miał wszakże zbyt wielkie poczucie winy, by trzeźwo rozumować. Zupełnie jakby zanikająca wiara kładła się cieniem na cały klasztor, pociągając za sobą stopniowe rozprzężenie obyczajów i przestrzegania reguły Świętego Benedykta. Zakonnicy trwali w pobożności, pod tym względem nie można było im nic zarzucić, chociaż ich hart ducha osłabł i stali się miękcy niczym glina. Z pewnością Facio wpłynął na nich bez trudu, mimo że wcześniej okrył się hańbą. Skądinąd powiedział prawdę.

Opatwo istotnie tonęło w długach.

I chociaż Andrea nie chciał upatrywać przyczyny upadku duchowego w niedostatku, nie mógł nie dostrzegać jego wpływu. Przejmując obowiązki opata, łudził się, że przeprowadzi reformę, która uczyni Pomposę upragnionym celem pielgrzymów i nowicjuszy. Tymczasem musiał radzić sobie z pogłębiającym się chaosem, coraz niższymi dochodami, wyjątkowo srogimi zimami i niezdrowym klimatem, wywołującym gorączkę i choroby.

Od lat czuł na sobie zbyt ciężkie jarzmo. Nie dlatego, że brakowało mu energii czy oddania, lecz z powodu wybujałych marzeń, których nie potrafił od siebie odsunąć. Żywił przekonanie, że miłość do Boga powinna się wyrażać w poszukiwaniu piękna poprzez śpiew, naukę i święte obrazy. Niechaj Facio nazywa to pychą, wielebny ojciec i tak wiedział, że jego intencje są szlachetne. I nawet jeśli jego wiara się chwieje, będzie walczył, aby ich bronić. Nie bacząc na długi i rozłamy.

Chcąc uciec przed tą nawałnicą myśli, przekroczył próg klasztoru w poszukiwaniu spokoju. Wszedł ze spuszczoną głową, pragnąc zaznać w chłodzie nawy owego poczucia skupienia, które niegdyś otulało go niczym anielskie skrzydła. Odnalazł jedynie puste pomieszczenie czekające na kompletę.

Po chwili do jego uszu dobiegł jakiś szept.

Zaciekawiony, skierował wzrok w głąb nawy. Przed apsydą przechadzał się ze splecionymi dłońmi, odziany w płaszcz mężczyzna, nie odrywając oczu od fresków. Mówił sam do siebie i od czasu do czasu kiwał głową, zupełnie jakby prowadził z kimś dyskusję. Opat spoglądał nań w milczeniu – jego uwagi nie uszło oczarowanie, z jakim tamten wpatrywał się w Chrystusa Pantokratora – aż nagle mężczyzna odsunął na bok antepedium i bezceremonialnie wdrapał się na ołtarz.

– Stać! – zawołał opat. – Jak śmiecie?

Tamten drgnął. Zeskoczywszy z ołtarza, puścił się biegiem przez apsydę w poszukiwaniu drogi ucieczki. Spróbował otworzyć drzwi do zakrystii, lecz były zamknięte na klucz, podobnie jak drzwi do krypty.

Nie wiedząc, z kim ma do czynienia, opat wziął z niszy ciężki świecznik i ruszył mu naprzeciw. Wówczas nieznajomy popędził boczną nawą w stronę portalu, przemykając wśród cieni.

Wielebny ojciec zdołał zastąpić mu drogę.

– Stójcie! – rozkazał, gdy znaleźli się naprzeciwko siebie. Jako że tamten nie posłuchał, opat chwycił oburącz świecznik i zakręcił nim młynka, narażając się na utratę równowagi. Uciekinier uniknął ciosu, zanim jednak zdążył się wymknąć, zawadził o ławkę i runął na posadzkę.

Zdumiony i coraz bardziej wzburzony, Andrea podszedł chwiejnym krokiem i złapał nieznajomego za odzienie, aby ujrzyć jego twarz. Wtedy uzmysłowił sobie, że intruz nie ma na sobie płaszcza, tylko narzutę z surowego płótna, i że to chłopiec o czarnych, rozwichrzonych włosach.

– Można wiedzieć, coście tu robili? – zapytał, zamierzając się groźnie świecznikiem.

– Proszę o wybaczenie... – wydukał młodzieniec, składając błagalnie ręce. – Wdrapałem się na ołtarz tylko po to, żeby się lepiej przyjrzeć...

– Przyjrzeć czemu?

– Freskom.

Groźba na twarzy opata ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

– Zechciejcie łaskawie wyjawić, kim jesteście.

Chłopiec podniósł się i poprawił odzienie.

– Na imię mi Gualtiero – skłonił się. – Jestem synem mistrza Sigismonda de' Bruniego.

– Malarza. – Andrea postawił na posadzce świecznik i oparł się o kolumnę, nagle znużony. – Bardzo mnie wystraszyliście...

– Wy mnie też. – Młodzieniec ponownie uczynił przeproszający gest. – Myślałem, że jestem sam, a kiedy usłyszałem wasz krzyk...

Wielebny ojciec uniósł brwi, dając mu do zrozumienia, że to już jest bez znaczenia.

– Sigismondo nie mówił, że ma syna – oznajmił z zyczliwą miną.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – prychnął Gualtiero. – Pomagam mu jako uczeń, chociaż potrafię już tyle co on.

– A co tutaj robiliście?

– Moim pragnieniem było obejrzeć apsydę.

– Ojciec wam jej nie opisał?

Zanim chłopiec odpowiedział, przyjrzał się uważnie zakonnikowi, zapewne zastanawiając się, przed kim stoi.

– Nie dość dokładnie – odparł, wzruszając ramionami. – Poza tym przemilczał freski w nawie głównej. Przepiękne, chociaż zniszczone. – Wpatrywał się w otulone mrokiem ściany, przystając przed nielicznymi malowidłami wylaniającymi się w blasku świec. Czynił to w szczególny sposób, z ostrożnością myśliwego, który nie chce spłoszyć ofiary. – Niemal słyhać ich szept – wyznał.

To wystarczyło, żeby Andrea rozpoznał w nim owo palące uczucie, które potrafiło niegdyś wyrwać go ze świata i pogrążyć w kontemplacji. I oto znów jest, ma je przed sobą w zdumionym obliczu młodzieńca, który zdawał się podziwiać freski nie oczami, ale umysłem. Opat uprzytomnił sobie to tak mocno, że aż słyszał jego myśli. Po czym płomień zgasł i wszystko było jak przedtem. Wróciły ciemność i pustka.

– *Beati oculi qui vident...* – mruknął z żalem.

Gualtiero spojrzał nań, nie pojmując.

Opat skinął lekceważąco głową i doznał jakby olśnienia. A jeśli to spotkanie nie jest przypadkowe? W końcu od lat już nie czuł takiego zapachu. Może Pan przysłał mu tego chłopca, aby pokazać drogę, jaką winien podążać. Poddawszy się wzruszeniu, instynktownie zapytał, patrząc na apsydę:

– Co sądzicie?

Młodzieniec zadumał się.

– Widzę ogrom pustej przestrzeni – wyznał, wskazując obszerne połacie namalowanego nieba otaczające mandorłę z Chrystusem. – Przejrzystość, którą gdyby to ode mnie zależało, spożytkowałbym lepiej.

– Zatem odmalowanie na nowo Pantokratora by nie wystarczyło?

– Moim skromnym zdaniem nie. Jednakże nie mogę decydować...

Ojciec Andrea chwycił go za ramię.

– Ale gdyby to zależało od was? – nalegał.

Gualtiero popatrzył nań z rozdrażnieniem. „Kim jesteście?”, mówiło jego spojrzenie. Przeniósł wzrok na apsydę, gdzie panował już tylko mrok, i jął wymachiwać rękami, kreśląc obrazy w powietrzu.

– Dodałbym zgromadzenie świętych. Ogromne zgromadzenie świętych, może nawet przed Matką Boską...

Podczas gdy chłopiec roztaczał swoją wizję, opat przytakiwał, domagając się więcej szczegółów i zachęcając, by puścił wodze fantazji. Jednocześnie sam dobrze się bawił, nie zdradzając, kim jest.

Obaj długo gawędzili, rozprawiając o kształtach, kolorach i świętych objawieniach, dopóki dzwony na kompletę nie wyrwały wielebnego Andrei z czegoś, co wydało mu się snem na jawie. Odprawivszy chłopca, podziękował Bogu.

REIMS, KWATERA PRZY OPACTWIE ŚWIĘTEGO REMIGIUSZA

20 MARCA O ZMROKU

Kardynał pogładził Aleydis po nagich plecach i zanurzył kciuk w zagłębieniu nad pośladkami, dokładnie tam, gdzie zaczynała się krwistoczerwona pręga biegnąca aż do biodra. Niewiasta jęknęła, nie próbowała się jednak odsunąć. „Może jest zbyt przerażona, żeby się wyswobodzić”, pomyślał. „Albo może ból zaczął jej sprawiać przyjemność”. Znow był zmuszony ją ukarać. Tym razem nie za pomocą dyscypliny, lecz biczem z wołowej skóry.

Przekraczanie granic zwykłej kary stało się jego zwyczajem. Purpurat czuł taką potrzebę. Zbyt długo przebywał poza swoim pałacem, zmuszony codziennie toczyć walkę z nudą i niezadowoleniem. Ludzie, których wysłał w pościg za Maynardem de Rocheblanche'em, zginęli albo wrócili, zgubiwszy jego ślad. Rozwiali wszelkie nadzieje na rychłe odnalezienie *Lapis exilii*.

Podjmując to przedsięwzięcie, nie sądził, że będzie musiał aż tak długo czekać. Teraz jego powodzenie zależało już tylko od Aleydis. I chociaż sprawozdania dziewczyny z miesiąca na miesiąc stawały się coraz dokładniejsze, ciągle nie wystarczały, by odkryć, dokąd udał się Rocheblanche. Aleydis niezmiennie opierała się podstawowym zasadom zasięgania języka: aby zdobyć cenne wiadomości, nie wystarczy szpiegować, trzeba wystawiać się na niebezpieczeństwo, omotywać ludzi i wkładać się w ich życie. Już przy pierwszym spotkaniu kardynał dostrzegł w niej naturalną skłonność do tego rodzaju działania i pomimo porażek ciągle uważał, że się nie pomylił. „Nie, to nie ona dokonała wyboru”, doszedł do wniosku. „To jakaś nieznana siła ją powstrzymała i odsunęła od powierzonego zadania. Pomimo kar i zachęt”.

Prałat mógłby postarać się wywrzeć na Aleydis większy wpływ, gdyby jego cierpliwość się nie wyczerpała. Postępowanie dziewczyny doprowadzało go do wściekłości. Żądał natychmiastowych wyników. Gdzie indziej czekały go pilne sprawy, dlatego przedłużający się pobyt w Reims stawał się dla niego coraz bardziej nienawistny.

– Jeżeli nadal będziesz się tak źle spisywać, odbiorę ci wszystko – ostrzegł ją znienacka, niemal z uprzejmością. – I ani się obejrzysz, jak znow będziesz w nędzy.

Aleydis przewróciła się w pościeli i wpatrzyła się weń potulna, jakby chciała

go uwieść i zarazem wzbudzić w nim litość.

– Przykro mi, że was rozczarowuję, Wasza Łaskawość. Robię, co tylko mogę w ramach tego, co mi wolno.

Jej reakcja niemal wzruszyła kardynała. Nareszcie, oto fałszywa i zakłamana dziewczka, co do której miał tak wiele oczekiwań.

– Ja natomiast wiem na pewno, że się powstrzymujesz – zaoponował, przesuając dłoń wzdłuż jej pleców, aż ścisnął ją za loki na karku. – Zastanawiam się, czy to z powodu zasad moralnych, które zaszczepiają ci w klasztorze – szarpnął ją lekko – czy z powodu życzliwości, jaką darzysz swoją kochaną przeoryszę.

Aleydis uniosła głowę z nienaturalnym piskiem.

– Ja nie...

– Podziwiasz ją, niepotrzebnie zaprzeczasz – uciszył ją, rozdrażniony i jednocześnie podniecony tą grą. – Za każdym razem, gdy wspominasz o Eudeline de Rocheblanche, oczy ci błyszczą. Skądinąd to zrozumiałe, widzisz w niej wzór do naśladowania... Nigdy jednak nie zapominaj, skąd pochodzi twój obecny dobrobyt. Gdyby to zależało od powabnej Eudeline, nadal gniłabyś na przedmieściach Awinionu. Tysiąc florenów, pamiętasz? Oto ile dla niej znaczysz.

– Niemniej wielobna matka mówi, że jestem bystra – wyrwało się dziewczynie. – Mówi, że będę znakomitą pomocnicą...

– Myślisz, że jesteś wyjątkowa? – dłoń purpurata zacisnęła się na jej karku niczym szpon. – Są tysiące takich jak ty, pokornych i zdolnych dziewczątek, których przeznaczeniem jest zestarzeć się w klasztorze. Godności przeznaczone są wyłącznie dla szlachcianek i tylko one mogą uchodzić za prawdziwe panie. Pamiętasz, co ci obiecałem? Nie zawieź mnie, a dotrzymam przyrzeczenia.

Na te słowa oczy Aleydis rozbłysły.

– Jak mogę was zadowolić?

– Przecież wiesz. Zdobądź zaufanie siostry Eudeline i zakradnij się do jej kwatery. Tam z pewnością znajdziesz dowody, których szukam. Wystarczyłby list, taki jak ten, który zabrałaś z sakwy Roberta de Vermandois, ale zawierający więcej szczegółów.

– Do komnat matki przełożonej prawie nie ma dostępu. Gdybym spróbowała, naraziłabym się na...

– To twoja matka przełożona się narazi – odparł z okrutnym uśmiechem purpurat. – Posiadam dostateczną władzę, by uznano jej brata za zbiegłego heretyka, a ją za współniczkę, która go chroni. Eudeline utraciłaby tytuł przeoryszy. – Odsunął kosmyk loków i przyjrzał się twarzy dziewczyny. – I dzięki mnie ty zajmiesz jej miejsce jako matka przełożona klasztoru Świętej Balsamii.

Na chwilę w oczach niewiasty pojawił się cień wahania, potem rozjaśnił je błysk dumy.

– Być może wiem, jak to zrobić, Wasza Łaskawość.

– Cóż, nie zawieźdź mnie.

Kardynał podniósł się z posłania i otulił nagie ciało lnianym okryciem. Nie znosił pokazywać przywiedłej skóry, zwłaszcza młodej niewieście. Nalał do pucharu wina z glinianego dzbana i opuścił alkowę, przypomniawszy sobie o pewnej pilnej wiadomości, która czekała na odpowiedź. Poszukał jej odruchowo, omiatając wzrokiem dębowy stół, aż jego uwagę przykuła leżąca na krawędzi pulpitu mała szkatułka. Na myśl o tym, co zawiera, natychmiast doznał uczucia ulgi.

– A teraz idź sobie – polecił chłodnym tonem. – Marcus odwiezie cię do Świętej Balsamii.

Nie bacząc na odziewającą się Aleydis, sączył wino w oczekiwaniu, aż zostanie sam. Usłyszał jej kroki oddalające się ku drzwiom, domyślił się pożegnalnego ukłonu, następnie dobiegło go skrzywienie zawiasów, a wkrótce potem rzenie konia.

Dopiero wtedy, płonąć z niecierpliwości, podszedł do dębowego stołu i otworzył szkatułkę. Nie robił tego od miesięcy, lecz narastający gwałtownie niepokój wymusił ów czyn. Czuł potrzebę, aby na nowo podnieść się na duchu.

Ledwie go zobaczył, ogarnęła go prawdziwa błogość.

Wahał się, czy go dotknąć, lękając się, że popełni świętokradztwo. Jego dłonie tak niedawno zadały gwałt ciału dziewczki, były nieczyste. Cofnął je z nabożnością, ograniczając się do patrzenia. Urzeczony delikatnymi refleksami migoczącymi od trzonu po krawędź, poddał się mistycznemu doznaniu. Więcej, boskiemu doznaniu. Czarna barwa kielicha, przypominająca etruską wazę, podobnie jak obszerny kształt, bliższy raczej kształtowi greckiego *kylix* niż prawdziwego kielicha, zawsze wprawiała go w zakłopotanie. W żadnym zresztą świętym tekście nie występował opis kielicha. Ani w czterech Ewangeliach kanonicznych, ani w Ewangelii Nikodema czy w *Vindicta Salvatoris*. Co zaś do innych źródeł, należało się wystrzegać zarówno Chrétiena de Troyes i Roberta de Borona, jak i *Złotej legendy* Jakuba z Voragine. Wzmiankę o nim zawierał jedynie tajemniczy *Codex Millenarius*.

Z drugiej wszakże strony kardynał nie potrzebował żadnego dowodu ani dokumentu na piśmie.

Wystarczyło, że na niego popatrzył, a już zyskiwał pewność, że jest prawdziwy.

Szkopuł w tym, że kielich to za mało. Jeśli Jego Eminencja zamierzał dotrzeć do celu, musiał zdobyć grot włóczni i odnaleźć kryjówkę *Lapis exilii*.

Owo kłębisko myśli na nowo skierowało jego uwagę na leżący na stole list. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na kielich, przeżegnał się i zamknął szkatułkę, następnie skupił się na zwoju pergaminu z przełamaną już pieczęcią. Było to przesłanie od księcia Karola Luksemburskiego, którego teraz trafniej byłoby

tytułować „Jego Królewską Mością”.

Potomek Jana Ślepego został koronowany na króla Czech zaraz po śmierci ojca, chociaż jego władza okazała się tak krucha, że zasłużył na określenie *Pfaffenkönig*, „Króla klechów”. Poparcie garstki prałatów, w tym elektora Moguncji i samego papieża, nie zapewniło mu dostatecznego poważania, aby narzucić swą wolę elektorom Rzeszy skupionym wokół heretyckiego cesarza Ludwika Bawarskiego.

Słowa listu szlachetnego Karola budziły politowanie. Król błagał o pomoc i radę. Przez wszystkie te lata kardynał nigdy mu ich nie odmawiał. Nigdy nie spuszczał go z oka, udając, że go chroni. I z pewnością nie dlatego, że popierał jego sprawę. W rzeczywistości nie zamierzał tracić z oczu cennej relikwii, którą powierzył mu pod murami Ferrary. Tym razem jednak chciał zażądać jej z powrotem w zamian za wsparcie.

Nie mógł dopuścić, żeby zaginął także grot włóczni, tak jak to się stało z zagadką *Lapis exilii*, oddaną pod opiekę Janowi Ślepemu.

Aleydis odrzuciła pomoc Marcusa i sama dosiadła konia. Ledwie znalazła się w siodle, wyrwał jej się okrzyk bólu, który nie uszedł uwagi mężczyzny.

– Zdaje się, że Jego Eminencja wykazał się większym wigorem niż zwykle.

Nie bacząc na jego słowa, niewiasta pozwoliła zbirowi na pełen zadowolenia rechot. Znoszenie podobnych zaczepek było niczym w porównaniu z zachowywaniem zimnej krwi przed obliczem kardynała. Dawno minęły czasy, gdy sądziła, że zdoła go ujarzmić, roztaczając swoje wdzięki. Teraz wiedziała, że człowiek ten czerpie rozkosz nie tyle z uciech cielesnych, ile z podporządkowania sobie bliźnich. Wiedza ta nie pomagała jej wszakże znosić prześladowań, na jakie była narażona. Za każdym razem, gdy stawała przed nim z pustymi rękami, spotykała ją boleśniejsza i bardziej poniżająca kara. Trwało to niezmiennie od ponad czterech miesięcy.

Aż do tej pory Aleydis cierpiała w milczeniu, traktując akty przemocy jako skromną cenę za wydobycie się z nędzy, ponadto widoki na zostanie przeoryszą skutecznie uśmierzały ból. Teraz jednak zaczęła się bać. Na myśl o tym, co może się wydarzyć przy następnym spotkaniu z kardynałem, oczy zaszyły jej łzami.

Poza tym jęło ją ogarniać zwątpienie w siebie samą. Za każdym razem, gdy była zmuszona kłamać albo wymyślać wymówki, czuła ciężar wyrzutów sumienia, przygniatający ją jak nigdy dotąd. Nie potrafiła pojąć tej przemiany. Urodziła się i dorastała w rynsztoku, przywykła do okradania i oszukiwania nawet własnej matki, byleby przeżyć. Nigdy nie miała żadnych skrupułów, nigdy też nie nękały jej myśli, że splamiła się jakimkolwiek przewinieniem. Tymczasem wystarczyło parę miesięcy pobożności, posłuszeństwa i modlitwy, aby się zmieniła, tak jakby życie przed nowicjatem nigdy nie istniało.

Kardynał nie mylił się również w innej kwestii. Wprawdzie z początku uznał

ją za powierzchowną i butną niewiastę, ale zauważył, że Aleydis zaczęła obdarzać siostrę Eudeline swego rodzaju czcią. Podziwiała jej pełne wigoru usposobienie, prostolinijność i bezpośredniość. Gdyby kiedykolwiek Bóg dał jej wybór, pragnęłaby być do niej podobna.

Nie miała jednak wyjścia. Musiała odsunąć na bok skrupuły w stosunku do matki przełożonej i wypełniać swą misję. Musiała absolutnie zadowolić kardynała, jeśli nie chciała pogрузić się w nędzy. Nigdy już nie potrafiłaby powrócić do tamtego życia. Nie po tym, jak nauczyła się zachowywać z godnością. Nie po tym, jak odkryła, co to znaczy być traktowaną z szacunkiem.

Kiedy nikczemnik Marcus podążał obok przez ciemne ulice Reims, niewiasta jęła układać własny plan.

Nie okłamała Jego Eminencji. Dawno już dostrzegła słabe ogniwo łańcucha. Jeśli go zerwie, zdoła dotrzeć do siostry Eudeline.

Za cenę oszukania i zranienia innych osób.

Za cenę oszkalowania własnej przeoryszy.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

21 MARCA

Nazajutrz o brzasku Gualtiero uzyskał od Sigismonda pozwolenie, by uczestniczył z nim w rozmowie z opatem. Podejrzewał, że maczała w tym palce matka, która ujęła się za nim po sprzeczce poprzedniego wieczoru. Nie byłby to zresztą wcale pierwszy raz. Sapia doskonale wiedziała o jego namiętności do sztuki, podobnie jak o cierpieniu, jakie budziło w nim wykluczanie z istotnych decyzji. Niewiasta nie zdradziła się wszakże przed nim ani słowem, uśmiechnęła się tylko porozumiewawczo, gdy wysiadał z wozu.

Młodzieniec przemierzył z ojcem pas mokrej trawy dzielący ich od opactwa i zanurzył się w przepelnionej słonym zapachem mgłę, prawdopodobnie pochodzącej od morza lub od pobliskich bagien. Po rozmowie, jaką przeprowadził ze spotkanym w opactwie zakonikiem, poczuł się spokojniejszy. Pochlebiała mu jego ciekawość, chociaż nie do końca pojął powód aż takiej dociekliwości.

Z kolei Sigismondo sprawiał wrażenie pewnego siebie. Niemal całą noc pracował przy blasku świecy, szkicując freski, którymi zamierzał wypełnić apsydę. Niósł je zwinięte pod pachą, starannie ukryte przed wzrokiem syna. Gualtiero spoglądał na nie z mieszaniną zaciekawienia i rozdrażnienia. Gdyby tylko ojciec zapytał go o zdanie, byłby to dla niego miły dowód zaufania.

– Kiedy staniemy przed wielebnym ojcem – ostrzegł mężczyzna, zbliżając się do portalu – trzymaj się zawsze o krok za mną i nigdy, pod żadnym pozorem, mi nie przerywaj.

Młodzieniec przytaknął z westchnieniem, podążając za ojcem, aż dotarli przed wznoszącą się na trzech łukach fasadę, następnie przed portal wiodący do nawy głównej.

Opat Andrea czekał na nich z pastorałem w dłoni. Zaprosił ich do środka skinieniem głowy.

Sigismondo okazał mu szacunek głębokim ukłonem. Tymczasem Gualtiero rozdziawił usta, wpatrując się weń z niedowierzaniem. Oto bowiem człowiek, z którym rozmawiał poprzedniego wieczoru! W przyływie zakłopotania powrócił myślami do kwestii poruszanych w ich pogawędce, mając nadzieję, że nie powiedział nic niestosownego. Gdyby tylko wiedział! „Byłem głupcem”, stwierdził w duchu. Swoją drogą, skąd mógłby wiedzieć, że nie stoi przed zwykłym fratrem?

Niewzruszony jego reakcją wielebny ojciec poprosił mistrza malarskiego,

aby pokazał mu szkice.

Sigismondo podszedł bliżej i rozwinął arkusze.

– Podziwiajcie, Wasza Łaskawość – rzekł z dumą. – Wprowadziłem kilka poprawek do wizerunku Pantokratora. Będzie większy, mandorla zyska piękny ował. Ponadto w dolnej części umieściłem korowód świętych, podobny do tego, któryście mi pokazali. Wszystko jest tak, jak żądaliście, lecz z wyraźniejszymi cieniami i światłocieniami, aby nadać malowidłom głębi.

Ojciec Andrea pospiesznie rzucił okiem na rysunek, po czym zerknął na Gaultiera.

Rozsierdzony takim zachowaniem mistrz wbił wzrok w jego nieodgadnioną twarz.

– I cóż, przewielebny ojcze? – zapytał, trzymając starannie rozłożone szkice.
– Czekam na wasz osąd...

– Zachwycające rysunki, przyznaję – oznajmił z powagą opat. – Jednakże wasz syn zaofiarował coś bardziej... inspirującego.

Słyszając te słowa, chłopiec nie wiedział, czy się radować, czy lękać reakcji ojca. Po chwili Sigismondo oblał się tak mocnym szkarłatem, że zakonnik posłał mu zakłopotane spojrzenie.

– Mój syn? – wybuchnął rzemieślnik i zmiął arkusze. – Ale jak... Kiedy...

– Wczoraj wieczorem podczas naszej rozmowy – wyjaśnił Andrea, nie dając się zbić z tropu – zaofiarował się namalować korowód świętych po bokach Pantokratora, aby wypełnić przestrzeń lunety. A także dodać anioły albo chór błogosławionych w górnej części.

Gaultierowi serce podskoczyło do gardła, był bowiem bardziej niż pewien, że z niczym się nie zaofiarował. Jeśli poprzedniego dnia wspomniał o pomalowaniu apsydy, to tylko dlatego, że zachęcono go do fantazjowania. Czym prędzej wystąpił naprzód, aby wyjaśnić nieporozumienie, lecz ojciec obejrzał się właśnie i spiorunował go wzrokiem. Jego twarz zastygła w masce zawiści.

Sigismondo zwrócił się do opata:

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, Wasza Łaskawość, ale może nie wzięliście w pełni pod rozwagę moich szkiców – powiedział z naciskiem, ledwie powstrzymując gniew. – Jeżeli tylko wyobrazicie je sobie we właściwych barwach, dobrze dobranych odcieniach skóry albo ultramarynie... Jestem przekonany, że...

– Zapewniam was, że dokładnie rozumiem, mistrzu de' Bruni – uspokoił go zakonnik. – *Chcę*, żebyście pokryli freskami tę apsydę, ale malowidłami, które z taką żarliwością opisał mi wasz syn. Co do tego nie ustąpię, podbiły mnie.

Rzemieślnik musiał się zgodzić.

– A co zamierzacie przedstawić na ścianie pod lunetą? – odezwał się przez zaciśnięte zęby. – Jak przypuszczam, chyba nie kolejny korowód świętych. To by się powtarzało.

– Gualtiero podsunął pomysł czterech ewangelistów pochylonych nad pulpitemi, natchnionych przez Ducha Świętego.

– Pojmuję – warknął Sigismondo.

– Nie macie powodu do gniewu – upomniał go wielebny ojciec. – Wasz syn jest bardzo uzdolniony, potrafił obudzić we mnie dawno zapomniane idee.

Mistrz malarski stłumił uśmiech.

– Rad jestem.

– Czekam zatem na kolejne szkice – oznajmił Andrea, wiodąc ich w stronę portalu.

– Jutro będą gotowe – zapewnił Sigismondo, zwijając niezdarnie własne rysunki.

– Spodziewam się. – Opat posłał Gualtierowi ufne spojrzenie. – Chciałbym je pokazać jak najrychlej kapitule zakonnej, aby zaaprobowała zlecenie.

Młodzieniec już miał przytaknąć, poczuł jednak, że ktoś ściska go za ramię i obcesowo ciągnie za sobą. Był to ojciec, który pożegnał się pierwszy, niezwykle sztywnym ukłonem.

– Jak sobie życzycie, Wasza Łaskawość.

Czcigodny Andrea odprowadził ich do trzech łuków fasady, pod które zaczęły zaglądać promienie słońca.

– Ostatnia kwestia – dodał. – Domagam się, aby to właśnie Gualtiero tymi samymi słowami opowiedział o szkicach moim współbraciom. Skoro umiał przekonać mnie, mam nadzieję, że potrafi zyskać jednakowy poklask wśród wspólnoty Pomposy.

Chłopiec ujrzał, jak owe słowa niemal się materializują i niczym sztylet kłują w plecy dumnego rodziciela. Przez chwilę lękał się jego gwałtownej reakcji, lecz uwagę obecnych zwróciło niespodziewane wydarzenie.

Otóż na karym koniu podązał właśnie ku nim jakiś mężczyzna. Miał na sobie czarny benedyktyński habit. Gualtiero odniósł jednak wrażenie, że to nie jest zakonnik. Dostrzegł przy jego stopach ostrogi i prawdopodobnie wystającą spod szat pochwę miecza.

Jechał za nim na mule młodzieńcy stajenny o powalanej twarzy, dość chudy i okutany w dwa razy za dużą na niego kapotę. Syn malarza wpatrywał się weń przez chwilę i zauważył coś dziwnego w kolorze jego oczu, oprócz nieoczekiwanej gracji w rysach, następnie ponownie wbił wzrok w jeźdźcę. Tamten właśnie zdjął kaptur, spod którego wyłoniło się szlachetne oblicze, do połowy przesłonięte potarganymi włosami i nieogoloną brodą.

Zeskoczywszy z siodła, stanął przed opatem i wytwornie się skłonił.

– Zwę się Maynard – oznajmił z francuską wymową. – Szukam mnicha ukrytego w tym klasztorze.

– Będziecie potrzebowali zrobić o wiele więcej, nie wystarczy zwykła prośba

– odparł Andrea – żebym zgodził się na spotkanie jakiegoś obcego z jednym z moich współbraci.

– Potrafię was przekonać, bez obawy – rzekł jeździec, świdrując go wzrokiem. – Lecz na osobności i po zapewnieniu przez was gościny.

Sigismondo przemierzył dziedziniec opactwa długim krokiem, wymachując z wściekłością w powietrzu zwojami szkiców, milczał jednak, dopóki nie dotarli do wozu. Gualtiero zdawał sobie sprawę, że cisza ta nie wróży nic dobrego. Ojciec był dostatecznie przebiegły, by unikać napadów złości tam, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć i usłyszeć.

Młodzieniec podążał za nim bez słowa. Chociaż był zmuszony ukrywać własne uczucia, wypowiedź opata wzbudziła w nim zbyt wielki zachwyt, by czuł lęk. Ponadto bardzo chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym wędrowcu, który zjawił się na koniu przed portalem Pomposy. Było w jego zachowaniu coś, co zrodziło w nim podziw. Może to z powodu dumnej postawy albo odwagi, przebijającej z każdego gestu.

Ledwie znaleźli się u celu, Sigismondo cisnął szkice w trawę i złapał syna za kołnierz.

– Ty łotrze! – wykrzyknął mu w twarz. – Przez ciebie wyszedłem na niezugłę! Właśnie ja, twój ojciec! Jak mogłeś do tego dopuścić?

Gualtiero próbował mu się wyrwać.

– Nie taki był mój zamiar – usprawiedliwiał się. – Nie chciałem wam zaszkodzić ani was ośmieszyć.

– Doprawdy? – Oczy mistrza malarskiego przypominały rozżarzone węgle. – A mnie się wydaje, że jest dokładnie odwrotnie! Okazałeś się nikczemnikiem i kłamcą.

Nie wierząc własnym uszom, chłopiec poczuł, jak ogarnia go oburzenie.

– To wasza, wyłącznie wasza wina! – odparł przez zaciśnięte zęby. – Gdybyście pokazali lepsze szkice, to wszystko by się nie wydarzyło. Wystarczyło zapytać mnie o radę...

– Cóż za pycha! – syknął Sigismondo i wymierzył mu niespodziewanie policzek, po którym młodzieniec aż się zachwiał.

Zaślepiiony żalem Gualtiero rzucił się do przodu i porwał na ojca. Natarł nań ze spuszczoną głową i popchnął na ścianę wozu. Z obu stron poleciały obelgi i ciosy, dopóki nie przerwał im głos Sapii.

– Wstyďte się! – zawołała niewiasta, wypadłszy z twarzą szkarłatną ze zgrozy. Skoczyła między mężczyzn, by ich rozdzielić, lecz mąż ją odepchnął.

– Nie ruszaj się z miejsca, niewiasto – burknął mężczyzna. – Nie wiesz, co zrobił ten łobuz!

– Nic nie zrobiłem – bronił się Gualtiero, ścierając strużkę krwi z dolnej wargi. Odetchnął głęboko, starając się zapanować nad gniewem. Po raz pierwszy zareagował tak gwałtownie i źle się czuł z myślą, że uczynił to w stosunku do ojca. Zniewaga rozjuszyła go, nie obelgi wszakże go zraniły, ale uzmysłowienie sobie

ojcowskiej zawiści. – Zwyzywał mnie od pyszałków – rzekł do matki – bo nie potrafi znieść, że mógłbym być lepszy od niego.

Sigismondo trząsał się z wściekłości. Najwyraźniej znów nabrał ochoty na rękoczyn, powstrzymał się jednak.

– Masz talent, synu, bez wątpienia – musiał przyznać. – Ale jesteś zbyt porywczy. Czego dowodzi twój dzisiejszy postępek.

Gualtiero pokręcił głową.

– Gdybyście wczoraj chociaż wspomnieli mi o swoich planach...

– Nie muszę ci o niczym wspominać! – odparował z wyrzutem mistrz malarski, nie bacząc na Sapię, która usiłowała go mitygować. – Masz być posłuszny i koniec!

Chłopiec wytrzymał jego wzrok, zastanawiając się nad jedyną rzeczą, która zdołałaby go zranić.

– Wykonam te szkice – oznajmił zdecydowanie – czy tego chcecie, czy nie.

Sigismondo uparcie wpatrywał się weń z wyższością.

– Uczynisz tak, bo przyrzekłem to opatowi. Lecz nie licz na moją pomoc.

Gualtiero machnął pogardliwie.

– Po prawdzie powinniście być ze mnie dumni. – Odwrócił się z twarzą zalaną łzami. – Tymczasem traktujecie mnie jak rywala.

Pomimo upomnień matki uciekł w poszukiwaniu odludnego miejsca, w którym mógłby dać upust cierpieniu.

Isabeau, córka wędrownego aktora, wykorzystwała pierwszą nadarzącą się sposobność, by rozpatrzeć się w okolicy opactwa. Kilka miesięcy wcześniej, przystając do Maynarda, nie spodziewała się, że będzie tak wiele podróżować, aczkolwiek w gruncie rzeczy do tego przywykła. Odkąd matka urodziła ją nad brzegiem Sekwany, przemierzyła piechotą i na grzbiecie muła każdą piędź ziemi od Île-de-France po Poitou; była wszędzie tam, gdzie zawiodła ją ojcowska profesja. Na placach zawsze potrzebowano akrobatów i mimów, choć po okresach świąt komediantów na nowo postrzegano jako obcych dziwaków, toteż dalej wiedli swój wędrowny żywot, zanim nie wpadli w tarapaty. Oto dlaczego Isabeau już od dziecka czuła się wygnana ze świata, ale zachowała głęboką nadzieję, że prędzej czy później zdoła zapaść gdzieś korzenie. Nie wyobrażała sobie, co to znaczy pozostać w jakimś miejscu na czas nieokreślony, lecz zazdrościła tym, którzy mogli sobie na to pozwolić. Już sama myśl o tym napełniała ją poczuciem bezpieczeństwa, ciepła, którego nigdy nie zaznała.

Nie rozumiała więc Maynarda. Człowiek ten nie podróżował z konieczności, ale z powodu tajemniczego uporu, który nigdy nie dawał mu wytchnienia. To kwestia zasad, wyjaśnił jej któregoś dnia. Przytaknęła, nie pojmując. Wątpiła, by poza koniecznością przetrwania istniały dostatecznie ważne powody, które zdołałyby skłonić kogoś do podjęcia wyczerpującej pielgrzymki. Może miłość, mówiła sobie; Isabeau była jednak za młoda, żeby jej doświadczyć. Albo lepiej: wiedziała, czym jest miłość do rodziców. Wszelako ojca zabrał jej przedwcześnie ogień Świętego Antoniego, matkę natomiast kupiec bławatny, obiecując dostatnie życie.

Nie darzyła nikogo żadnym uczuciem, dopóki nie natknęła się na Maynarda. Nie licząc paru dziwactw, mężczyzna ten był uprzejmy, troskliwy, a przede wszystkim potrafił wzbudzić szacunek. Wprawdzie z uporem nosił się jak mnich, w rzeczywistości niewątpliwie nie dało się o nim powiedzieć, że ma potulny charakter. Dziewczyna aż nadto wyraźnie dostrzegała jego niepokój, chociaż poza ich pierwszym spotkaniem nie widziała, żeby kiedykolwiek jeszcze sięgał po miecz. Dawał się on uchwycić zwłaszcza na postojach, kiedy siedział przy ogniu, czekając, aż zmorzy go sen. Wówczas rysy jeźdźca twardniały, twarz ciemniała pod wpływem tajemnego i wyniosłego gniewu.

Isabeau podejrzewała, że pobudki, jakimi kieruje się Maynard, wynikają właśnie z owego gniewu, a także z niemożności rozładowania go. Stąd musiała się zrodzić zawziętość, która pchała go coraz bardziej na południe, poza nieprzebyte góry, wzdłuż Drogi Lombardzkiej, dopóki nie skręcił na wschód, brzegiem wielkiej rzeki. Od tamtej pory zatrzymywali się w rozmaitych miastach Emilii, zapamiętali szukając jakiegoś zakonnika, którego długo nie mogli odnaleźć. W końcu Maynard

odkrył, że zaszył się on w jakimś opactwie na wschodzie, na porośniętej lasami i pokrytej bagnami *insula*, między rozgałęzionym ujściem Padu a morzem. *Insula Pomposiae*. Jak mu powiedziano, miał tam znaleźć to, czego szukał.

Właśnie w tym miejscu Isabeau krążyła po dziedzińcu, podczas gdy jej towarzysz podróży prowadził rozmowę z opatem. Nie wiedziała, czego chce od tego zakonnika, nigdy nie zdołała go nakłonić, aby jej to wyjawiał. Tymczasem polecono jej, by trzymała się z daleka.

Nie była to wszakże przechadzka dla rozrywki. Maynard powierzył jej zadanie rozpatrzenia się i zwrócenia uwagi na wszystko, co wyda jej się niezwykle bądź podejrzane. Mnich, którego szukali, nie należał do osób godnych zaufania, jeśli znalazłby się w potrzasku, zapewne spróbowałby ucieczki.

Promienie słońca zalewały opactwo, rozświetlając szeroką polanę, kończącą się po wschodniej stronie przed długą drogą, a także zbocza przed lasami i kanałami. Nie dostrzegłszy nic szczególnego poza przykrytym wozem stojącym na skraju ścieżki, Isabeau postanowiła ugasić pragnienie w studni, a gdy ochlapała sobie twarz, rozejrzała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

W tej samej chwili zobaczyła chłopca.

Chociaż znajdował się daleko, rozpoznała go natychmiast z powodu szczególnego sposobu, w jaki schylał głowę – tak jakby słuchał niesionej wiatrem melodii. Odkąd stanęła z nim twarzą w twarz, nie mogła o nim zapomnieć.

Następnie uwagę dziewczyny przykuł jego wzrok. Rzadko kiedy zdarzało jej się patrzeć w równie błyszczące oczy. Ostatnim razem były to oczy jej ojca, który po wykonaniu wyjątkowo trudnej akrobacji, pękając z dumy, przyjmował oklaski tłumu.

Chłopiec siedział na trawie, zwrócony plecami do opactwa, ścisnął ramionami kolana, na wpół zafrasowany, na wpół zadumany.

Isabeau odruchowo podeszła do niego i nie przywitawszy się, usiadła naprzeciwko.

Z początku młodzieniec jakby jej nie dostrzegał, po czym podniósł głowę lekko zaskoczony.

– Widziałem was dziś rano – rzekł – razem z wędrowcem na czarnym koniu.

Przytaknęła. W ciągu ostatnich miesięcy nauczyła się rozumieć język, jakim mówiono na tych ziemiach, nadal jednak miała trudności w wysławianiu się.

– Wziąłem was za chłopca – ciągnął młodzieniec.

Isabeau zerwała się na równe nogi oburzona.

– Głupiec z was! – wykrzyknęła, chcąc odejść.

– Zaczekajcie! – zawołał skruszony. – Wasze oczy...

Posławszy mu tajemnicze spojrzenie, dziewczynka obróciła się na pięcie i oddaliła się biegiem tam, skąd przyszła.

Wielebny Andrea nalał sobie wina z majolikowego dzbana.

– Obawiałem się, że chodzi właśnie o *tego* zakonnika – westchnął.

– To bardzo istotna kwestia – powtórzył półgłosem Maynard, przyglądając się ostrożnie dwudziestu współbraciom siedzącym naprzeciwko.

Znajdowali się w refektarzu, ogromnej sali o ścianach ozdobionych freskami, spośród których wyróżniały się Ostatnia Wieczerza, *deesis*¹⁰ i scena uczty opata z biskupem. Jeździec miał sposobność podziwiania ich z uwagą, chociaż bardziej uderzyło go umieszczone z boku malowidło, na którym widniał stojący przy pulpicie zakonnik recytujący Biblię. To samo działo się teraz w tej sali. W głębi pomieszczenia czyjś metaliczny, niemal pełen wrogości głos deklamował Drugi List do Koryntian Pawła Apostoła: „Aby zaś nie wynosił mnie zbyt wielki ogrom objawień, dany mi został oścień dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował – żebym się nie unosił pychą”¹¹.

Maynard zgodził się usiąść przy stole opata, aby oprócz wspólnego posilenia się zamienić z nim kilka słów na osobności. Zakonnicy z Pomposy zajmowali miejsca przy prostokątnych stołach, ustawionych w trzech rzędach w dostatecznej odległości, aby nikt ich nie usłyszał. Przyglądali im się w milczeniu, nie jedząc. Na ten widok ojciec Andrea wspomniawszy tylko o karze postu.

Nie żeby posiłek podany do stołu wielebnego ojca był obfity, skoro byli właśnie w okresie Wielkiego Postu. Stół zastawiony był po prostu bułkami i pieczonymi w żarze rybami. Maynard w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Na myśl, że wśród współbraci jest Facio di Malaspina, drżał z niecierpliwości, jednocześnie lękając się, że zostanie zdemaskowany. „Nieuzasadniony lęk”, stwierdził w duchu. W oczach ojca Facia, podobnie jak wszystkich w tej sali, był zwykłym wędrownym goszczącym przy stole opata.

– Nie łudźcie się, messer – powiedział cicho wielebny Andrea, zasłoniwszy usta, aby ukryć, że łamie regułę milczenia. – Będziecie musieli udzielić mi wielu wyjaśnień, zanim pozwolę wam porozmawiać z tym fratrem.

– Do usług – szepnął rycerz, zastosowawszy ten sam chwyt. Po czym wsłuchany w czytane słowa, zjadł rybę. Odezwał się dopiero po posiłku, gdy zakonnikom wolno było wstać i opuścić refektarz. – Przynajmniej mi go wskażcie – mruknął, wpatrując się kolejno w każdego zmierzającego ku wyjściu mnicha. – Żebym mógł go rozpoznać, w razie gdybym miał z nim do czynienia.

Zamiast spełnić jego prośbę, ojciec Andrea zadał mu pytanie:

– Do jakiego zakonu należycie?

Maynard śledził powolne opuszczanie refektarza przez braci z miną wilka patrzącego na uciekające owce. Następnie zanurzył palce w misce z wodą i obmył dłonie.

– Po prawdzie nie jestem człowiekiem Kościoła.
– Spodziewałem się tego – wykrzyknął opat, pochmurniejąc. – A habit, tonsura...

– Fortel, żeby nie zwracać na siebie uwagi.
– Ktoś depta wam po piętach?
– Zachowuję ostrożność, aby nikt nie widział, jak się przemieszczam, lecz nigdy nie można mieć pewności.

Wzrok wielbnego ojca stwardniał.

– Ufam, że nie ściągnęliście zagrożenia na moje opactwo...
– Jeśli postanowicie mnie wypędzić, nie będę was przeklinał – zastrzegł Maynard, tłumiąc rodzaje się rozgoryczenie. – Najpierw jednak zgódźcie się, bym wam wszystko powiedział.

Andrea siedział z rękami zaciśniętymi na krawędziach stołu, wyraźnie usiłując zachować spokój, zupełnie jakby znajdował się na okręcie, który może w każdej chwili zatonać. Wreszcie, nie bez namysłu, przychylił się do prośby.

– Historia ta zaczyna się jakieś piętnaście lat temu – oznajmił Rocheblanche, gdy tylko sala opustoszała – kiedy to Facio di Malaspina skradł trzy bardzo cenne przedmioty. Jeden już został odzyskany. Przybyłem tutaj, aby odnaleźć brakujące dwa i oddać je prawowitemu właścicielowi.

– O jakie przedmioty chodzi?
– Co do tego jestem zmuszony zachować milczenie.
– Przypominam wam, że mówicie o jednym z moich zakonników – ostrzegł opat. – O zakonniku, którego nie darzę szczególnym szacunkiem, wszelako oskarżenie go o kradzież przy braku dowodów można by uznać za kalumnię.

– To niebezpieczeństwo, które podejmuję z rozmysłem. – Maynard podziwiał nieugiętość tego mnicha. Jednocześnie zdążył już rozważyć wszelkie możliwe w tej rozmowie zwroty i był gotów na wszystko. – Niemniej – zaznaczył – gdyby się okazało, że wasz zakonnik jest w posiadaniu tego, czego szukam...

– Macie rację – był zmuszony przyznać opat. – Lecz jeśli zamierzacie zgłębić tę kwestię, będziecie musieli wyjawić mi więcej na temat poszukiwanych przedmiotów.

Rycerz miał nadzieję, że zdoła uniknąć podobnego żądania. Mimo woli pojął, że ma przed sobą człowieka zbyt upartego, by mógł trzymać go w całkowitej niewiedzy. Jeżeli liczy na to, że zdobędzie jego wsparcie i posunie naprzód swoje śledztwo, będzie musiał zdradzić część tajemnicy Mont-Fleur.

– Kielich i grot włóczni – wyjawiał z wahaniem. – Nie mogę powiedzieć nic więcej, proszę więc, byście nie nalegali i zachowali w tej kwestii powściągliwość.

Andrea świdrował go wzrokiem.

– A ludzie, którzy was ścigają?
– To zbiry, którym uciekłem przynajmniej dwa razy. – Maynard uczynił

nieokreślony ruch. – Nic więcej o nich nie wiem poza tym, że noszą na kłamrach od pasów herb kardynalski. – Zawahał się niezdecydowany, czy wyjawić resztę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowił pokazać opatowi pierścień z wizerunkiem lwa. – Rozpoznajecie go?

Ojciec Andrea przyjrzał się mu z ciekawością.

– Nie.

– Wobec tego wiecie tyle samo co ja – stwierdził, wpatrując się uważnie w oblicze zakonnika w nadziei, że go przekonał. Na widok jego zmarszczonych brwi pojął, że mu się udało.

– Doceniam wasze wysiłki – rzekł wreszcie ojciec Andrea – ale jednak to za mało, żebym mógł wam zaufać. W moich oczach jesteście nieznanym, który opowiada o kradzieżach i tajemniczych pościgach... Jakie mam prawo zezwolić wam na rozmowę z tym nieszczęsnym zakonnikiem?

– Przysięgam na honor...

– Na czyj honor? – przerwał mu opat, uderzając pięścią w stół.

Dostrzegłszy w tym gościu rozdrażnienie, Maynard uzmysłowił sobie, że musi uwierzytelnić swoje słowa czymś więcej niż tylko ogładą. Nie zwlekając zatem dłużej, zerwał się na równe nogi i się ujawnił:

– Na honor szlacheckiego rodu Rocheblanche'ów, linii z Reims, oddanej Chrystusowi i Świętemu Remigiuszowi – oznajmił z dumą. – Jak zdołaliście się przekonać, nie jestem zwykłym włóczęgą. Dorastałem, aby zostać rycerzem, i walczyłem z Anglikami pod wodzą Jego Królewskiej Mości Filipa VI Walezjusza.

– Władcy Francji? – Na twarzy wielebnego ojca odmalowało się zdumienie. Opat otworzył usta, aby zadać pytanie, wydobył się z nich wszakże jedynie bełkot. Musiał więc sformułować je na nowo: – Jesteście tutaj z jego woli?

– Przywiodło mnie tutaj poczucie obowiązku – odparł fałszywy mnich. – Niechcący zostałem wplątany w jakąś mroczną historię, być może spisek. Oto powód, dla którego ukrywam to, kim jestem.

– A niby co ma z tym wszystkim wspólnego przypuszczalna kradzież dokonana przez Facia?

– Więcej, niż możecie sobie wyobrazić. Nie wolno mi swobodnie się wypowiadać w tej kwestii, wiedzcie jednak, że moim zamiarem jest zdemaskowanie winnych, aby wymierzono im sprawiedliwość.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, ojciec Andrea ponownie zatopił w nim niewzruszone spojrzenie.

– Ale przecież twierdzicie, że nie działacie na zlecenie waszego suwerena...

– Kierują mną inne motywy.

– Może buta pod płaszczykiem cnoty?

„Opat wcale tak do końca się nie myli”, pomyślał Maynard. Po miesiącach

podróży nadal usilnie pragnął dowieść męstwa, niczym chart pędzący na zawołanie pana. Jednakże, jak już wyznał czcigodnemu Manessierowi, w jego sercu kłębiły się o wiele głębsze uczucia.

– Dawno temu dany mi został oścień dla ciała, żebym się nie unosił pychą – odparł z goryczą, nawiązując do zasłyszanego przed chwilą ustępu z Biblii.

– Macie na myśli znak od Boga? – dopytywał się wielebny ojciec.

– Raczej znak od Szatana – skwitował Rocheblanche. – Poważny błąd, który mam nadzieję odkupić, wypełniając tę misję. – Po raz pierwszy opat pokiwał głową, choć zbyt skwapliwie, by mogło to być zwyczajne przytaknięcie. – A wy, ojcze? – zapytał w zamian. – Co każe wam bronić z takim uporem zakonnika, którym pogardzacie?

Wielebny ojciec wydawał się nader poruszony tym pytaniem. Zastanawiał się w milczeniu, jego twarz zaś zdradzała poczucie winy, niemal gniew. Przemówił zbolalym głosem pokutnika:

– Ponieważ jest moim wrogiem – wyjął. – I podobnie jak wojownik, zamierzam pokonać go w pojedynku, nie licząc na szczególne względy.

– Teraz to w waszych słowach słyhać butę – zauważył uszczypliwie Maynard.

– Grzech konieczny do uzyskania łaski – odparował zagadkowo Andrea. Po czym rozłożył ręce na znak, że chce zakończyć rozmowę. – Cóż, messer, postanowiłem – oświadczył. – Otrzymacie swoją sposobność, ale nie teraz i na pewno nie w czasie mojej nieobecności. Jutro zwołam kapitułę, aby przedstawić kwestię, która leży mi na sercu, moim życzeniem zaś jest, aby do tej pory nie siać wrogości wśród braci. Po naradzie, przy zachowaniu należytych środków ostrożności, pozwolę wam wypytać ojca Facia di Malaspinę.

– Jestem wam wdzięczny – skłonił się Maynard.

– Tymczasem – ciągnął opat – zamieszkacie w domu dla wyjątkowych gości, wychodzącym na wirydarz; jest wygodny i strzeżony nocą przez łuczników.

Rycerz nie zdołał powstrzymać uśmiešku. Chociaż słowa opata były uprzejme, wzmianka o łucznikach stanowiła wyraźne ostrzeżenie, aby nie popełnił żadnej lekkomyślności.

– Ze względu na przybyłe wraz ze mną dziewczę...

– Niewiasty nie mają wstępu do żadnego z pomieszczeń w całym opactwie, chyba że jest ona waszą córką lub krewną.

Zanim Rocheblanche zdążył wyjaśnić, kątem oka dostrzegł jakiś ukradkowy ruch w głębi sali i zorientował się, że w drzwiach czai się, szpiegując, jakiś zakonnik. W jego wyglądzie było coś dziwnego, niemal monstrualnego. Ledwie zdał sobie sprawę, że został przyłapany, uciekł.

Rycerz ponownie zwrócił się do Andrei, który zdawał się niczego nie zauważać. Ukrywając zmieszanie, zdecydował się na kłamstwo.

- To nie jest moja córka – rzekł – ale siostra.
- W takim razie – stwierdził opat – uzyska pozwolenie zamieszkania z wami.

Deus in auditorium meum intende.

Głos dwudziestu zakonników niósł się po nawie niczym fala przyływu, oddech wiosłujących żeglarzy, którzy szykują się do zgłębienia nieznanego. Ojciec Andrea pozwolił swym myślom zatonać w owym monotonnym i majestatycznym dźwięku, aż jego dusza stopiła się z duszami współbraci. Jakaś jego część pozostała wszakże czujna w oczekiwaniu, aż *magister chori* zaintonuje dziewiąty psalm *ad modum cantici*. I nagle jego srebrzysty głos wzbił się pod arkadę apsydy.

Confitebor tibi, Domine, in toto corde meo, narrabo omnia mirabilia tua.

Harmonia dwudziestu głosów złączyła się z jego śpiewem, wibrując mu w piersi z taką mocą, że aż dosięgła najgłębszych zakamarków serca, gdzie skrywał marzenia i tajemnice. Gdzie miazdząca samotność najwyraźniej zastąpiła lęk przed Bogiem.

Wychwycił fałszywą nutę, płynąc niczym ryba w górę rzeki zalewających go dźwięków. Śpiewał teraz jednak z mniejszym natchnieniem, dręczyło go bowiem wspomnienie pewnego zdania. *Teraz to w waszych słowach słyhać butę*. Maynard de Rocheblanche nie powiedział tego, by mu sprawić przykrość, a mimo to zranił go bardziej, niż opat był gotów przyznać. Ponieważ niechący postawił go przed prawdą. Nazywając Facia di Malaspinę swoim wrogiem, Andrea uznał, że jest od niego lepszy; przepełniony pyszałkowatą dumą uwierzył, że stanowi wzór doskonałości. Popęłił więc grzech pychy.

Ut quid, Domine, stas a longe, abscondis te in opportunitatibus, in tribulatione?

Przejście do dziesiątego psalmu nastąpiło niemal niepostrzeżenie. Myśli kłębiły się jak w jakimś półśnie, który zmienność melodyki tylko pogłębiała. Opat nadal robił rachunek sumienia. Facio stanowił jedynie zwierciadło, w którym odbijały się jego ułomności. Niedbalstwo, hipokryzja, słabość charakteru... Nad wszystkim górowała tak wybujała ambicja, że dusiła dawny płomień wiary.

Przypisywanie podobnych win komuś innemu było błędem, podobnie jak wmawianie sobie, że zaraził nimi cały klasztor, szerząc zepsucie wśród mnichów.

Przyczyna owych zgryzot w końcu stała się dla niego jasna, lecz nie tylko dzięki słowom Maynarda. Poruszył go Gualtiero de' Bruni, popychając do szukania uśpionej gdzieś w głębi żarliwości. Zapał tego chłopca sprawił, że przeżył na nowo podobne chwile do tych, kiedy wstępował do klasztoru – czas, kiedy zdawało mu się, że za cienistymi arkadami słyszy trzepot anielskich skrzydeł.

Teraz zdawał sobie sprawę, jak nisko upadł. Narzucanie siłą swojej woli zbuntowanemu zakonnikowi z pewnością nie pomoże mu odnaleźć samego siebie. Przeciwnie, ostatecznie go pograży. Facio di Malaspina nie był bowiem wrogiem, którego należało zniszczyć, lecz współbratem, którego powinno się cierpliwie

upominać. Jak syna.

In Domino confido, quomodo dicitis animæ meæ: Transmigra in montem sicut passer.

Do rzeczywistości przywróciła go zmiana tonacji jedenastego psalmu, nakłaniając do przyjrzenia się ustawionym pod chórem świecom. Dziesiątki drżących światełek, wśród których Andrea przez długi czas dostrzegał wyłącznie jedno: siebie.

„Biedny głupcze!”, pomyślał z niesmakiem. Przecież jest tylko jednym z miriadów ogników rozsianych po firmamencie wiary. Chociaż pełni funkcję opata, stanowi maleńką cząstkę w mozaice istnień, które zamieszkiwały Pomposę. Nie może zatem przypisywać sobie każdej zasługi ani każdej winy z powodu podobnego splątania losów.

Jeśli naprawdę tak bardzo mu zależy na wprowadzeniu duchowej reformy, najpierw musi dokonać jej w sobie.

Jednakże w głębi tej odrodzonej nadziei nadal widział przepaść. Jak nigdy dotąd brak obecności Boga jawił się w jego sercu niczym niezgłębiona otchłań.

„Panie, czemuś mnie opuścił?”

Przez cały czas trwania pieśni *Kyrie eleison* Andrea musiał ukrywać łzy. Czynił tak aż do końcowych modłów.

Chóralne głosy ucichły, a członkowie *schola cantorum* stali się na powrót tymi, kim zawsze byli. Nędznymi śmiertelnikami.

Gdy umilkły śpiewy nony, Gualtiero postanowił wrócić do wozu. Wolałby poczekać jeszcze trochę, aż złość i żal miną, lecz umowa z opatem uniemożliwiła mu zbyt długą bezczynność. Pomyśl, który nosił w głowie, przewidywał wykonanie bardzo złożonego szkicu, co pochłonie go na wiele godzin. Znał zresztą tylko jeden sposób na rozwianie smutku: zatopienie się w pracy.

W nadziei, że ojciec nie zechce rzucać mu kłód pod nogi, podniósł się z posłania z trawy, na którym siedział, i ruszył w promieniach popołudniowego słońca. Ciągle jeszcze nie opuściła go myśl o francuskim dziewczęciu. Zrobiło mu się przykro, gdy odbiegła obrażona. Skądinąd słowa same wyrwały mu się z ust, zbyt nierozważne, aby zdołał je powstrzymać. Nigdy by nie przypuszczał, że pod umorusaną maską, jaką ujrzał tego ranka, może się kryć tak śliczna buzia.

A jeszcze te jej oczy!

Uwaga Gualtiera, wrażliwego na każdy odcień koloru, natychmiast skupiła się na owych niesamowitych tęczęwkach: jednej niebieskiej, drugiej zielonej. Nigdy dotąd nie zetknął się z niczym podobnym, toteż do tej pory nie potrafił się nadziwić, jak taka osobliwość nadawała dziewczynce uroczy i zarazem niepokojący wygląd. Bez wątplenia stanowiła odstępstwo od zasad obowiązujących w sztuce. Żaden mistrz malarski nie zgodziłby się namalować twarzy o dwóch różnych tęczęwkach, które można było uznać za dwuznaczność, o ile nie za

diabelską dwulicowość.

Niemniej jednak chłopiec chętnie znów zobaczyłby nieznajomą, aby przyjrzeć się po raz drugi jej oczom. Teraz bowiem wiedział, że nawet w dziwactwie może się zawierać piękno.

Dotarłszy do wozu, zastał tylko matkę. Właśnie sprzątała bałagan, jaki Sigismondo musiał zostawić po napadzie furii.

– Gdzie on się podziewa? – zapytał.

– Wiesz, jaki on jest. – Sapia posłała mu błądy uśmiech. – Poszedł ostudzić rozpaloną głowę.

Gualtiero przypomniał sobie o położonej niedaleko, na skraju *Insula Pomposiæ*, wiosce, znając zaś ojcowskie skłonności, domyślił się, że wyruszył na poszukiwanie gospody.

– Przykro mi, nie chciałem tego...

– Jeszcze nie znasz ojca – rzekła, próbując ukoić jego żal. – Wszystko mi opowiedział, wiesz? I wierz mi, jeśli mówię, że jest z ciebie dumny. Nie zapominaj jednak, ile musiał wycierpieć w przeszłości. Przez długi czas pracował dla chlebobawcy, który odbierał mu zasługi i zarobek. Teraz, gdy cieszy się niezależnością, chce pokazać za wszelką cenę, że jest godzien tytułu mistrza malarskiego.

– Nawet za cenę usunięcia w cień syna? – odparował młodzieniec.

Niewiasta pogładziła go po twarzy.

– Lęka się, że brak ci doświadczenia.

Gualtiero chwycił jej dłoń i zamknął w swoich, z miłością, ale także po to, żeby zachęcić, aby przestała upierać się przy swoim.

– Mnie się z kolei wydaje, że raduje go stawanie mi na drodze.

– Jesteś niesprawiedliwy – skarciła go Sapia. – Kto nauczył cię wszystkiego, co umiesz?

– To za mało. – Gualtiero zdjął ze sztalugi wykonany poprzedniego dnia portret i pokazał matce, aby mogła go podziwiać. – On chciałby mnie powstrzymać, rozumiecie? Nałożyć mi jarzmo jak wołu! Tylko że ja chcę przekroczyć granice, które on mi narzuca. Chcę dowieść, że mój wzrok sięga dalej, niż sobie wyobraża. Nie po to, żeby go upokorzyć, lecz żeby pomóc mu robić postępy w swoim fachu.

Sapia wpatrywała się przez chwilę w namalowany na desce obraz i uśmiechając się z podziwem, skinęła na znak, że pojmuje. W końcu wskazała na zwoje papieru rysunkowego rozłożone na pulpicie.

– W takim razie uczyn to – powiedziała z dumą. – Jeżeli nie słowami, daj mu to do zrozumienia poprzez swoją sztukę.

Maynard rozwiązał płaszcz i rzucił go niedbale na posłanie.

– I to ma być dom dla wyjątkowych gości? – burknął, rozglądając się dokoła.

– Ciekawe, jak wygląda reszta.

– Zdarzały się gorsze miejsca – odparła z roztargnieniem Isabeau.

Rycerz popatrzył na nią z wahaniem.

– Zauważyliście coś podejrzanego?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nic szczególnego.

Odnosił wrażenie, że bardzo dorosła od chwili, gdy ją spotkał. I choć nadal widział w niej przerażone dziecko, odgadywał bez trudu rysy precudnej niewiasty, którą miała się stać. Nieprzypadkowo umazał jej twarz węglem, zanim dotarli do opactwa. Wprawdzie Pomposa cieszyła się renomą świętego miejsca, obawiał się jednak, że dziewczynka może wzbudzić żądze jakiegoś nieczystego zakonnika. Skądinąd ona sama najwyraźniej nie pojmowała, że grozi jej podobne niebezpieczeństwo. Albo jeśli nawet zdawała sobie z tego sprawę, skrzętnie to ukrywała.

– Będziecie musieli zachować dużą ostrożność, dopóki tu pozostaniemy – ostrzegł po raz kolejny. – Przyrzekacie?

– Tak, messer.

Maynard zdjął pas z estokiem i sztyletem i zawiesił go z przeciągłym westchnieniem na tkwiącym w ścianie gwoździu.

– Jutro wreszcie będę mógł wypełnić moją misję – oznajmił zadowolony – potem wrócimy do Francji.

– A co będzie ze mną? – zapytała odruchowo Isabeau.

Usłyszawszy w jej głosie nutę rozpacz, ukląkł przed nią i wziął jej twarz w dłonie.

– Nie powinniście się frasować – rzekł troskliwie. – Powinniście pamiętać, jak obiecałem, że się wami zaopiekuję. Nie zamierzam złamać słowa.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

22 MARCA

Właśnie nadszedł kolejny list od Maynarda.

Po przeczytaniu siostra Eudeline umieściła go w małej szkatułce na skraju pulpitu i odmówiła za brata modlitwę, próbując odsunąć na bok lekkie rozczarowanie tym, że był tak oszczędny w szczegółach. Napisał tylko po to, by ją powiadomić, że nadal jest w dobrym zdrowiu i robi postępy w śledztwie, jednocześnie nie wdając się w wyjaśnienia tego, co odkrył w kwestii *Lapis exilii*.

Listy zawierały tak mało wskazówek, że nie znalazła w nich nawet nazw miejscowości, z których je wysłano. Na podstawie podpowiedzi osób je dostarczających wielebna matka zdołała wszakże stworzyć sobie mgliste wyobrażenie o szlaku, którym podążał jej brat. Pierwsze dwa dotarły, wędrując z rąk do rąk braci franciszkanów, z południowego zachodu. Następnie przyszła kolej na pewnego pielgrzyma, który przebywał przez jakiś czas w Chiusa di San Michele.

Za mało, by odgadnąć cel podróży Maynarda, nawet jeśli było jasne, że przekroczył koronę Alp. Eudeline martwiły nie tylko groźące mu niebezpieczeństwa, ale także jego stan ducha. Podczas ich ostatniego spotkania wydał jej się tak bardzo powściągliwy i posępny, że z trudem rozpoznała w nim żywiłowego młodzieńca z dawnych lat. Chociaż starał się to ukryć, siostra dostrzegła w nim głębokie poczucie winy, które sprawiało, że się przed nią zamknął.

Zresztą ona wcale nie była lepsza. Ciągle jeszcze czuła się tak mocno zraniona zadaniem jej przez ojca gwałtem, że nigdy się nie zastanawiała, jak brat przeżywał tę tragedię. Aby na powrót zapanować nad własnym losem, musiała zamknąć się w sobie i uciec przed wspomnieniem owych tragicznych dni. W ciągu miesięcy po pohańbieniu zabrakło miejsca na myśli o Maynardzie, a nawet na opłakiwanie matki. Eudeline została unicestwiona. Pozbawiona wrażliwości na świat. Niełatwo jej było się pogodzić z wewnętrznym spustoszeniem i dopiero gdy pojęła, co pośród gruzów zachowało się w nienaruszonym stanie, poczuła się dostatecznie silna, by podnieść głowę. Tylko że Eudeline, która wydostała się z tej ciemnej jaskini, nie była już takim beztróskim dziewczęciem jak kiedyś.

Teraz zaś, przypominając sobie tamtą noc, gdy brat przybył jej z pomocą, ujrzała z niespodziewaną jasnością wściekłość, jaka malowała się na jego obliczu,

kiedy usiłował wziąć ją w ramiona. Twarz Maynarda nie była po prostu ściągnięta, lecz wykrzywiona rozdzierającym bólem. Jak mogła sądzić, że to go nie zmieniło?

Przemknęły jej przez głowę pewne słowa z jego pierwszego listu: *...w nadziei, że uczyni mnie to lepszym człowiekiem. Człowiekiem, który pewnego dnia zdobędzie się na odwagę, aby wyznać Ci coś, czegom nigdy nie wyjawiał.*

Aby odsunąć troski, czym prędzej otwarła księgę główną. Zbliżał się świt, ona zaś musiała jeszcze uzupełnić liczby dotyczące rodzinnych posiadłości. Musiała odzyskać panowanie. Ukrycie się w świecie cyfr pozwoli jej odnaleźć spokój.

Spokój, który tego akurat dnia nie miał jednak nadejść.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, poleciła siostrze Claire je otworzyć, lecz po chwili przypomniała sobie, że koadiutorka jest nieobecna. Kiedy matka przełożona spostrzegła, że Claire po raz kolejny narobiła bałaganu, kazała jej się trzymać z dala aż do popołudnia i zastanowić się nad własnymi błędami.

Podniosła się zatem z za pulpitu i poszła otworzyć. Na widok infirmerki natychmiast ogarnęła ją pokusa, żeby zamknąć z powrotem drzwi.

– I cóż? – zapytała, już wyobrażając sobie, w czym rzecz.

– Vermandois – rzekła zakonnica. – Pyta o was.

– Myślałam, że wyraziłam się jasno, mówiąc, że nie chcę, by mi przeszkadzano z powodu podobnych kwestii.

– Proszę o wybaczenie, wielbna matko. Tym razem to coś innego.

Eudeline drgnęła.

– Czyżby mu się pogorszyło?

– Przeciwnie, wygląda na to, że odzyskał władzę w nogach.

– To... zdumiewające.

– Ma silny organizm. – Tkwiąca ciągle w progu infirmerka zawahała się, po czym mówiła dalej: – Tak czy inaczej, nie to skłoniło mnie do przyjścia tutaj.

Słyszac znaczący ton w jej głosie, matka przełożona niezwłocznie wpuściła ją do środka.

– Nie każcie mi dłużej siedzieć jak na szpilkach – zamknęła za nią drzwi.

– Wraca mu pamięć – oznajmiła zakonnica, przezornie mówiąc ciszej. – Twierdzi, że przypomina sobie waszego brata.

Siostra Claire była łatwowierna – Aleydis pojęła to od pierwszej chwili. Wiele mniszek zarzucało jej pychę, albowiem przeorysza wybrała ją na zakonnice do towarzystwa, w rzeczywistości była jednak tylko roztargniona i raczej zamknięta w sobie. Większość złych języków nie wiedziała, że należy do tych, które mają najwięcej obowiązków w klasztorze. Bycie koadiutorką oznaczało pomoc wielbnej matce w pełnieniu delikatnych i osobistych funkcji. Przede wszystkim w prowadzeniu porządku w jej archiwum.

Z tego też powodu siostra Claire jako jedyna zakonnica u Świętej Balsamii

posiadała drugi klucz do *domus particularis* siostry Eudeline. Zawsze trzymała go na widoku, zawieszony u szyi na sznurku. Gdyby Aleydis udało się go zdobyć, mogłaby poszperać wśród najgłębszych tajemnic przeoryszy w nadziei, że natknie się na coś, co okazałoby się przydatne dla kardynała.

Postanowiła działać po jutrzni, kiedy zakonnice zbierają się w skryptorium i aż do tercji przepisują przechowywane w klasztorze manuskrypty. Nie wszystkie wzywano do tego zadania. Biorąc pod uwagę umiejętności każdej z nich, wielebna matka wyznaczyła do sporządzania kodeksów tylko te najbystrzejsze i mające dobry wzrok. Pozostałe wypełniały ów czas haftowaniem, cerowaniem i sprzątaniem.

Chociaż Aleydis była nowicjuską, zabłysnęła tak bardzo, że natychmiast powierzono jej to fascynujące zadanie. Poruczono jej przepisywanie żywota Świętej Scholastyki, wydobytego z *Dialogów* Grzegorza Wielkiego; cierpliwie zabrała się do kopiowania strona po stronie, patrząc z zadowoleniem, jak jej własny rękopis stopniowo nabiera objętości. Eudeline wielokrotnie przystawała, aby ocenić jej dzieło, i kiwała z uznaniem głową. Prawdziwymi pochwałami zasypała ją dopiero na osobności, aby nie wzbudzić zawiści wśród zakonnice.

– Jesteście zdolni – wyraziła się. – Skrupulatni i dokładni jak mało kto.

Dla młodej niewiasty, której nikt nigdy nie pochwalił, słowa te były darem na wagę złota, tym cenniejszym, że wypowiedziała je osoba stanowiąca dla niej wzór.

Planując zatem oszustwo, poczuła wyrzuty sumienia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że musi pogodzić szybkość działania ze sztuką perswazji, bacząc, by nie zdradzić własnych zamiarów. Siostra Claire była łatwowierna, a nie głupia. Świadczyła o tym już sama umiejętność sporządzania kodeksów. Aleydis nie spuszczała jej z oka przez sporą część poranka, nie przestając przepisywać żywota Świętej Scholastyki i czekając na lepszą sposobność do podjęcia planowanych posunięć. Widząc, że tamta wstaje znad pulpitu, by napełnić pusty kałamarz, zrozumiała, że sposobność ta właśnie się pojawiła.

Odczekała, aż Bogu ducha winna koadiutorka ją minie, upuściła jej pod nogi gęsie pióro i schyliła się raptownie, aby je podnieść, wylewając na nią zawartość słoiczka.

– Matko Przenajświętsza, przepraszam! – wykrzyknęła natychmiast Aleydis.

– Cisza – syknęła siostra Claire, nie chcąc jeszcze bardziej przeszkadzać pracującym zakonnicom. Dłonie i habit miała całkowicie powalane czarną cieczą.

– Pozwólcie mi coś na to zaradzić – wyszeptwała nowicjuszka.

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła ją pod ramię i wyprowadziła ze skryptorium.

Widząc, co się wydarzyło, matka bibliotekarka bez sprzeciwu zezwoliła im się oddalić.

– Nie potrzebuję waszej pomocy... – dodała koadiutorka, ledwie znalazły się na zewnątrz.

– Co za nieszczęście! – zawołała Aleydis, udając, że nie usłyszała. – Musicie się przebrać – po czym skręciła w wąski korytarz. – Chodźcie tędy, chyba nie chcecie się pokazywać w takim stanie. Gdybyśmy się natknęły na wielebną matkę...

Dotarły do pomieszczenia przyległego do dormitorium już bez protestów ze strony siostry Claire. Aleydis poprosiła, by chwilę zaczekała, i podała jej żwawo miskę wody i czyste odzienie.

Podziękowawszy, koadiutorka zaczęła zdejmować sznurek, na którym wisiał klucz.

– Dajcie, ja to zrobię – powstrzymała ją nowicjuszka. – Macie tak brudne ręce, że możecie sobie pomazać twarz. – Ściągnęła jej sznurek z kluczem, następnie powyciągała szpilki podtrzymujące welon, rozwiązała podwikę i położyła wszystko na posadzce. Potem uklękła przed nią i zaczęła rozpinać habit.

– Teraz mogę już to zrobić sama – przerwała jej siostra Claire, oblawszy się szkarłatem.

Aleydis uśmiechnęła się z odrobiną złośliwości.

– Jak sobie życzycie.

Zanim się jednak podniosła, skorzystała ze sposobności i podmieniła klucz, który dopiero co położyła na posadzce, na mały przedmiot skrywany w rękawie.

Później obróciła się na pięcie i oddaliła szybkim krokiem, trzymając dłonie starannie złożone na podolku.

Przed wejściem do *valetudinarium* siostra Eudeline poleciła infirmerce, aby zostawiła ją samą. Niechętnie przekroczyła próg, mając nadzieję, że zdoła zapanować nad wzruszeniem. „To już bez znaczenia”, powiedziała sobie. Od tamtego krępującego wydarzenia minęło wiele miesięcy, teraz była pewna, że potrafi wszystkiemu stawić czoło z lodowatą obojętnością.

Ujrzała Roberta de Vermandois stojącego kilka kroków od posłania z dłońmi wspartymi o ścianę. Kolana drżały mu z wysiłku, lecz dumny uśmiech dowodził, że wcale go to nie martwi.

– Pani – przywitał ją z ogromnym zadowoleniem – z całego serca pragnąłem przyjąć was jak należy.

Zerkając na bliźnię nad prawą skronią, matka przełożona zastanawiała się, czy Pikardyjczyk ma na myśli złożenie jej hołdu, czy też pokazanie jej się w całej okazałości, z godnością.

– Rada jestem, widząc was w pełni sił, messer.

– Ja natomiast rad jestem, widząc *was*. Dawno już mnie nie odwiedzaliście i przyznaję, że tęskniłem za wami.

– Klasztorne życie obfituje w obowiązki bardziej, niż się wydaje – usprawiedliwiła się Eudeline, odrywając wzrok od jego zielonych oczu. Wiedziała, że Robert uparcie o nią dopytywał, lecz aż do teraz odmawiała spotkania z nim.

– Doszliście do siebie?

Pytanie to zbiło ją z tropu.

– To ja powinnam pytać o wasze samopoczucie – odparła, wpatrując się weń z zaciekawioną. – Co macie na myśli?

Dla Roberta Vermandois kwestia ta musiała być tak oczywista, że zatopił w niej pełne zawodu spojrzenie.

– Ostatnim razem, kiedy tu przyszliście, coś wami mocno wstrząsnęło – wyjaśnił. – Wielokrotnie pytałem infirmerkę, co was trapi, ale nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

Policzki matki przełożonej spłonęły lekkim rumieńcem.

– To już bez znaczenia – rzekła bardziej do siebie niż do szlachcica. Po czym uprzytomniła sobie, co ją tu sprowadziło. – Dotarła do mnie wieść, że odzyskaliście pamięć.

Uśmiech Roberta zgasł.

– Niestety, nie do końca. Teraz jednak nareszcie wiem, kim jestem, chociaż moje wspomnienia nadal spowija mgła.

– Również te dotyczące mego ukochanego brata?

– Maynard de Rocheblanche. – Vermandois wypowiedział to imię powoli, jakby chciał przywołać obraz człowieka, który je nosi. – Obudziłem się rano z jego

twarzą wyrytą w umyśle i z przekonaniem, że jest mi przyjacielem. Z miejsca obwieściłem to infirmerce, wiedziałem bowiem, że zależy wam na wiadomościach o nim. Przypominam sobie wszakże tylko jeden epizod, przykro mi... Siedzieliśmy naprzeciw siebie, pod namiotem, i rozmawialiśmy.

– O czym rozprawialiście?

– Nie wiem, pani. – Oderwawszy ostrożnie dłonie od ściany, szlachcic usiadł z powrotem na krawędzi posłania. – Pamiętam tylko, że graliśmy w szachy.

– Jesteście pewni? – zapytała wielebna matka w nadziei, że przywoła wspomnienia.

Robert wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby szukał w jej twarzy odpowiedzi.

– Maynard był ranny w nogę – oznajmił wreszcie.

Eudeline pomyślała o swym ostatnim spotkaniu z bratem. Widziała, że kuleje. Prawdopodobnie z powodu rany w kolanie, chociaż on to zlekceważył.

– To musi być niedawne wspomnienie – skwitowała.

– Dziwna rzecz – ciągnął Pikardyjczyk. – Widzę rozstawienie bierok na szachownicy, tak jakbym nadal miał je przed oczami... Zaszachowałem jego wieżę moim koniem. Właśnie wtedy powiedział mi coś... – przymknął powieki i złapał się za głowę.

Matka przełożona czekała, aż dokończy zdanie. Uzmysłowiwszy sobie jednak, że Vermandois może znów się pogрузić we mgłę niepamięci, podeszła bliżej i ścisnęła go za ramię.

– Myślicie, że powrót do gry pomógłby wam uchwycić to wspomnienie? – podsunęła nieoczekiwanie.

Robert położył dłoń na jej dłoni.

– Sam nie wiem, warto spróbować... W mojej sakwie znajdziecie bierki i szachownicę. – Po czym podniósł zdumiony wzrok. – Nie do wiary! Jeszcze przed chwilą nie zdawałem sobie nawet sprawy z posiadania sakwy.

– Widzicie? Robicie postępy.

Eudeline delikatnie odsunęła dłoń. Było tak, jakby tama w niej pękła. Nie odczuwała wszakże żadnego wzburzenia. Ani lęku. Miała jedynie przyjemne wrażenie ufności i nagle pojęła, że nie chce z niego zrezygnować. Przeszukała szaty mężczyzny, o których wypranie i staranne ułożenie u stóp posłania zatroszczyła się infirmerka. Z żalem stwierdziła jednak, że nie ma wśród nich żadnej sakwy.

– Jesteście pewni tego, co mówicie? – zapytała.

– W moim stanie niczego nie mogę być pewien – odparł. – Mimo to, pani, przysięgam...

– Nie fraszujcie się – uspokoiła go wielebna matka. – Mamy w klasztorze szachownicę.

Robert zapewne dostrzegł niespodziewane pragnienie, które wdarło się w jej myśli, gdyż zapytał niemal rozbawiony:

– Znacie tę grę?

– Tak, messer – odrzekła Eudeline, ożywiwszy się nieco. – I mam zamiar rzucić wam wyzwanie.

Aleydis nie mogła działać przed przerwą o późnym poranku, poprzedzającą wezwanie do refektarza. Czekala na tę chwilę w pogotowiu, obawiając się, że zaraz zjawi się przed nią siostra Claire i obwieści, iż odkryła oszustwo.

Wypełniwszy obowiązki pierwszej części dnia, w południe, o ile pozwalała na to pogoda, zakonnice zwykły zbierać się w wirydarzu, aby pogawędzić w promieniach słońca. Nowicjuszka nauczyła się doceniać owe krótkie chwile wesołości – uśmiechać się na wzmianki o współsiostrach, które przysypiały podczas jutrzni albo ciągle czuwały, nawet po komplecie, aby wypić ukradkiem kieliszek wina. Dowiedziała się w ten sposób, że każda niewiasta w klasztorze, niczym pospolita przedstawicielka gminu, przeżywała drobne zawiści bądź pragnienia. Właśnie to odkrycie, bardziej niż obyczaje i praktyki duchowe, ułatwiło jej udział w życiu wspólnoty. Nie minęło dużo czasu, a łączyła ją więź z najmłodszymi towarzyszkami; zdobyła nawet przydomek Hrabianka, co zawdzięczała nieco wyniosłemu sposobowi bycia i – jak przypuszczała – przynależności do tych najurodziwszych.

Wszelako żadna zakonnica nie wyobrażała sobie, że ona może być szpiegiem. Myśl ta raniła ją, przypominając nieustannie, że tak naprawdę nie jest częścią rodziny od Świętej Balsamii. Tylko Bóg wiedział. Bóg i kardynał. I pomimo wielu rozmaitych zadań, które Aleydis wypełniała z ochotą, aby wyróżnić się w oczach matki przełożonej, i tak nic nie zmieni tego, że udawała. Nie była w stanie myśleć o niczym innym, mijając krużganek i przemierzając ciasny korytarz wiodący do komnat siostry Eudeline. A potem górę wziął strach.

Ledwie znalazła się przed wejściem, obejrzała się, aby się upewnić, czy nikt jej nie widzi, i wyjęła z rękawa klucz. Pokonawszy ostatnie rozterki, włożyła go do zamka i przekręciła.

Wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Pomieszczenie było bardziej surowe, niż sądziła. Ani jednego kobierca czy cennego arrasu, ani jednego malowidła, żadnego złotego świecznika, który zdradzałby próżną naturę urzędującej tu osoby. Tylko dwie spartańskie izby: w pierwszej pełno półek z księgami i para pulpitów, druga umeblowana jak sypialnia. Styl życia siostry Eudeline zdecydowanie odbiegał od ostentacyjnego luksusu przeorysz wielkich klasztorów, które zwykły stroić się jak szlachcianki, przyjmować gości wysokiej rangi i umilać sobie czas, zajmując się pieskami i innymi zwierzętami domowymi.

Wszystko to nie mogło wynikać wyłącznie z wyznawanych poglądów ani ze

ścisłego przestrzegania reguły benedyktyńskiej. Aleydis podejrzewała, że za ową surowością kryje się głębsza i bardziej osobista przyczyna. Jednakże obawa, że w progu lada chwila może stanąć wielebna matka, nie pozwoliła jej na dłuższe zastanawianie się nad tym.

Porzuciła uginające się od kodeksów półki, wiedziała bowiem, gdzie szukać. Przeorysza musiała wypełniać większość obowiązków, siedząc przy pulpicie, słusznie więc można było przypuszczać, że to tam znajdują się najważniejsze dokumenty. Aleydis przepatrzyła obydwie pulpity. Na tym mniejszym, ustawionym w kącie, leżało kilka porzrzuconych byle jak pergaminów. Prawdopodobnie było to stanowisko siostry Claire.

Drugi pulpit, obszerniejszy, zajmował środek pomieszczenia. Padało nań światło z otwartego biforium w ścianie naprzeciw wejścia; widać było przez nie rząd drzew i szereg domów wschodniego przedmieścia. Zasłaniały je niemal w całości sterty papierów, z których każda miała prawie piędź długości. Dziewczyna zaglądała wszędzie, bacząc, aby odkładać każdą rzecz dokładnie tam, skąd ją wzięła. Były to w przeważającej części dokumenty dotyczące klasztornych posiadłości, listy od właścicieli ziemskich i pełnomocnictwa dla wysłanników, którzy zawiadywali ziemiami Świętej Balsamii w imieniu matki przełożonej.

Nic na temat Maynarda de Rocheblanche'a ani tym bardziej tajemniczego przedmiotu, zwanego przez kardynała *Lapis exilii*.

Wtem za oknem ściemniło się niespodziewanie, Aleydis wyjrzała na zewnątrz, gęsta warstwa chmur przesłoniła niebo. Czas szybko upływał, a ona ciągle stała w miejscu. Musiała się pospieszyć! Sposobność zakradnięcia się do komnat więcej się nie powtórzy. Zamierzała podłożyć prawdziwy klucz jeszcze po południu, zanim siostra Claire zdąży coś zauważyć.

Jeżeli nie uda jej się natrafić na nic użytecznego, sprawy przybiorą dla niej bardzo zły obrót. Nie skończy się na zwykłej karze. W ciągu ostatnich tygodni kardynał stał się zbyt niespokojny i rozsierdzony, aby przełknąć kolejny zawód. Rozkaże Marcusowi, aby obił ją kijem, była tego pewna. Do tej pory Aleydis znosiła jakoś batożenie i potrafiła ukrywać sińce i blizny pod habitem. Nie zdoła tego uczynić z połamanymi kośćmi.

Starła się zatem nie zważać na ukłucia rozpaczy i prosiła Boga, aby pozwolił jej znaleźć choć jedną wskazówkę. To niemożliwe, żeby Eudeline w ogóle nie wiedziała, co się dzieje z bratem. Bez wątpienia *musiała* gdzieś w izbie przechowywać coś, co do niego należy. Ale na pewno nie wśród pospolitych dokumentów ani na widoku, gdyż mogłaby to zobaczyć siostra Claire.

Przez chwilę koczyło ją, by przejrzeć księgi na półkach, ale jej uwagę przykuła mała drewniana szkatułka stojąca na krawędzi pulpitu. Z początku jej nie dostrzegła, znajdowała się bowiem za rzędem gęsich piór i kałamarzy. Aleydis wychyliła się do przodu i otworzyła ją pełna nadziei. Szkatułka zawierała trzy

zwoje pergaminu. Sięgnęła po jeden z nich.

Jeszcze zanim skończyła czytać pierwsze zdanie, zasłoniła dłonią usta, powstrzymując okrzyk zwycięstwa.

Znalazła to, czego szukała!

Dzwony na sekstę¹² przypomniały jej niespodzianie, że wkrótce zakonnice zgromadzą się w refektarzu na posiłek. Jeśli nie chce, by spostrzegły jej nieobecność, musi się uwijać. Lecz nie mogła przecież ukraść tych listów jak gdyby nigdy nic! Siostra Eudeline by się zorientowała i zaczęłaby zadawać sobie pytania... Musiała coś prędko wymyślić.

Właśnie wtedy uzmysłowiła sobie, że ma pod ręką wszystko, co potrzeba.

Usiadła przed pulpitem, wzięła arkusz bawełnianego papieru i zanurzyła pióro w kałamarzu.

Następnie jęła kopiować niestarannie treść listów.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

22 MARCA

Tamtej nocy Gualtiero nie zdołał ukończyć szkiców. Przysnął nad pulpitem, wsłuchując się w śpiewy godziny czytań dobiegające z opactwa; obudził się na jutrznię, gdy nad oparami szarej mgły wstał świt. W tym samym czasie Sigismondo powrócił do wozu i położył się obok żony. Oddychał nieregularnie, mamrocząc przez sen strzępki słów.

Chłopiec stłumił ziewnięcie, zapalił nową łożową świeczkę i zabrał się do kończenia rozpoczętych szkiców. Rysunki górnej ściany apsydy były już gotowe. Pozostała mu dolna ściana, którą podzielił na równe części, przewidziane na poszczególne malowidła. Starał się trzymać możliwie wiernie wskazówek opata, aczkolwiek kłębiące mu się nieustannie w głowie pomysły skłaniały go do wprowadzania zmian. Podążał za wyobraźnią, toteż jego kreska stawała się coraz szybsza i bardziej zdecydowana.

Gdy odłożył rysik i węgiel, słońce stało już wysoko. Czuł się tak bardzo zmęczony, że sam nie wiedział, czy ostateczny rezultat zadowala go, czy też nie. Zwrócił się więc do ojca w nadziei, że za pomocą tego wybiegu uda mu się uspokoić nastroje po kłótni z dnia poprzedniego.

– Możecie powiedzieć, co o tym sądzicie? – poprosił.

Sigismondo – który od pewnego czasu nie spuszczał go z oczu – podniósł się z posłania i zerknął na rysunki. Jego twarz zastygła ni to w uśmiechu, ni to w grymasie.

– Za dużo szczegółów – skwitował.

Obawiając się kolejnej sprzeczki, Gualtiero zrezygnował z dalszych pytań. Owa oschła odpowiedź była aż nadto wymowna: jeśli rodzic znalazłby prawdziwe uchybienia, nie zawahałby się mu ich wytknąć. Po prawdzie i tak brakowało mu czasu, aby nanieść ewentualne poprawki. Umowa z opatem była jasna: musi dostarczyć szkice w ciągu dnia. Postanowił zatem nie zwlekać.

Obmył twarz wodą z miski, zwinął rysunki i trzymając je pod pachą, zamierzał wyjść na zewnątrz.

– Co ty sobie wbiłeś do głowy? – zawołał Sigismondo. – Idziesz się układać w pojedynkę? Chełpić się, że jesteś mistrzem malarskim?

Młodzieniec obrócił się gwałtownie i dopiero teraz uzmysłowił sobie, że matka już nie śpi. Uspokoiwszy ją skinieniem, przemówił do ojca:

– Sądziłem, że ta kwestia przestała was ciekawić.

– Pomijając to, kto je sporządził, rysunki pochodzą z mojej pracowni – odparł opryskliwie mężczyzna, wskazując szkice. – Poza tym nie zamierzam stać z boku, kiedy mowa o zleceniu malowidła, które mi się należy.

– Macie słuszość – przyznał Gualtiero i grzecznie spuścił głowę. – Nie było moim zamiarem wysadzić was z siodła, jeśli to macie na myśli.

Zaskoczony tą wyważoną reakcją, Sigismondo musiał ugryźć się w język, by nie wypowiedzieć przekleństwa.

– Chodźmy więc – burknął niezdarnie.

Ojciec Andrea długo wpatrywał się w szkice, zanim wyraził swoje zdanie.

Przyjął ich w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, przed fasadą klasztoru w Pomposie. Gualtiero stał przed nim ze splecionymi dłońmi, nie mogąc się doczekać werdyktu. Po raz pierwszy podsuwał pomysł zleceniodawcy i nagle ogarnął go lęk, że rysunki nie odzwierciedlają słów, jakie wypowiedział minionego wieczoru. Może opat ich nie zrozumie albo wręcz wyśmieje? Stłumił potrzebę przestępowania z nogi na nogę, przyglądał się z ukosa Sigismondowi, dostrzegając na jego twarzy nieoczekiwany wyraz zadowolenia.

Gdy wielebny ojciec podniósł wzrok znad arkuszy, na jego napiętym obliczu malowała się powaga.

– Nie spodziewałem się tego – rzekł.

– Jeśli was rozczarowałem... – szepnął chłopiec gotów się pokajać.

Andrea uciszył go, kładąc palec na ustach.

– Nie spodziewałem się – powtórzył – że proste szkice mogą osiągnąć aż taką siłę wymowy.

– Wasza Łaskawość – oznajmił triumfalnie Sigismondo – nie miałem wątpliwości, że wam się spodobają.

„Zakłamanym komediantem”, pomyślał Gualtiero. Mile polechtany popatrzył na opata.

– Mam rozumieć – chciał się upewnić – że oznacza to waszą zgodę?

– Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym wam zacząć ozdabianie apsydy jeszcze dzisiaj – przyznał z zachwytem wielebny ojciec. – Lecz najpierw muszę przedstawić ten pomysł kapitule. I uczynię to za waszym pośrednictwem, synu.

– Skoro moje rysunki aż tak przypadły wam do gustu – podsunął młodzieniec – może wystarczy je pokazać współbraciom, niekoniecznie z moim udziałem?

Ojciec Andrea pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Pokażę je dopiero potem. Chcę, żebyście najpierw podbili serca zakonników z Pomposy, tak jak zrobiliście to z moim.

Jak zwykle posiedzenie kapituły na początku wiosny ojciec Andrea otworzył sprawozdaniem z rocznych wydatków *Insula Pomposiæ*. „Niezbýt roztropne posunięcie”, stwierdził w duchu. Zapewne mniej prostoduszny zarządca umieściłby tę przemowę na końcu, starając się przede wszystkim o uzyskanie aprobaty na wydatki na ozdobienie freskami apsydy. Tylko że opat nie zamierzał nikomu niczego narzucać, a tym bardziej nikogo zwodzić. Nade wszystko pragnął, by współbracia *zrozumieli* kierujące nim pobudki.

Zaczekał zatem, aż usiądą w ustawionych pod ścianami stallach, i ledwie poczuł na sobie ich wzrok, zachęcił do odmówienia *Ojczy nasz*, aby zainicjować zebranie z Bożą łaską. Właśnie wtedy dostrzegł na jednym z najdalszych miejsc ojca Facia, wykrzywionego w wyzywającym grymasie. Nakazał sobie go ignorować.

Po skończonej modlitwie wyszedł na środek i niewzruszony, z księgą główną w dłoni, jął wyliczać dochody z ostatniego roku: sto korców pszenicy; trzysta sorga, warzyw i innych płodów rolnych; trzysta bel lnu; osiemdziesiąt amfor wina. Na koniec przypomniał dochody z drewna i dziczyzny z lasów *Insula* oraz z dzierżawy kilku własności ziemskich, rozsianych między Emilią a łukiem alpejskim.

– Całość – rzekł – o wartości tysiąca pięciuset czterdziestu czterech florenów.

Po twarzach zakonników przemknął cień rozgoryczenia, za co opat z pewnością nie mógł ich winić. Kwota była nędzna, zważywszy, że dwie trzecie pójdą na opłacenie dziesięcin, narzuconych przez Kamerę Apostolską, a połowa pozostałej sumy już została wydana. Ponadto ojciec Andrea zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie wymienione przezeń dobra zamienią się w brzęczące monety. Ziarno służyło do wyżywienia służby i inwentarza, natomiast część wina, lnu i drewna przeznaczona była na potrzeby klasztoru.

Daleki od chęci zatajenia prawdy, obwieścił bez ogródek:

– Chyba to oczywiste, kochani współbracia, że bez pieniędzy opactwo popadłoby w niełaskę. Jednocześnie zbędne byłoby podsuwanie cięć w naszych wydatkach. Prowadzimy tak skromne życie, że nie możemy podejmować kolejnych wyrzeczeń. Dlatego też nie widzę innego rozwiązania niż prośba o zwolnienie z dziesięcin. – „Byłby to już czwarty rok z rzędu”, pomyślał, lecz nie miał wyboru. – Napiszę w tym celu do opata Świętego Sylwestra z Nonantoli, błagając, aby wstawił się za nami w Awinionie, jak czynił to wcześniej.

Po sali przebiegł głośny szmer, po czym liczne spojrzenia skupiły się na ojcu Faciu, który do tej pory słuchał w milczeniu.

– Niech wam się nie wydaje, że uciekanie się do takich wybiegów sprawia

mi przyjemność – dodał Andrea, czym prędzej zaprowadziwszy porządek. – Pomposa narodziła się wolna od władzy papieży. I chociaż nie podoba mi się jej uzależnienie od Awinionu, tak muszę przedstawiać sprawozdanie z jej dochodów. Żebrawnie o zwolnienie z dziesięcin hańbi nas, nie możemy wszakże nic zrobić, aby zimy stały się mniej srogie, a powodzie wywołane przez Pad powodowały mniej zniszczeń. Nic poza modlitwą.

Zauważył, że udało mu się uzyskać kilka gestów aprobaty, ale nie zadowolili się tym skromnym zwycięstwem. Nie zwołał współbraci wyłącznie po to, by zapoznać ich z rachunkami. *Mea culpa*, biczował się w duchu. *Mea maxima culpa*. Wreszcie zdobył się na odwagę, by się przed nimi otworzyć.

– Wszelako – wykrzyknął – modlitwy nie wystarczą! – Serce podyktowało mu, by runął na kolana.

Mnisi z kapituły zerwali się na równe nogi oniemiałi.

Ojciec Andrea nadal klęczał głęboko skruszony. Pozwolił, by upokorzenie i wstyd umartwiły jego przepelnioną pychą duszę, dopóki nie poczuł się wolny od pęt, co dawało mu zwodnicze przekonanie, że góruje nad wszystkimi innymi. „Jestem tylko człowiekiem”, pomyślał. „Człowiekiem naprzeciw innych ludzi”.

Czuł na sobie spojrzenia współbraci, zaczekał jednak cierpliwie, aż zapadnie cisza. Wreszcie przemówił:

– Skoro pycha Lucyfera stała się przyczyną wszelkiego zła na świecie, pycha Adama oddaliła nas od Bożej łaski. – Otarł łzy, które niepowstrzymanym strumieniem spływały mu po policzkach. W jego głowie kłębiły się miriady myśli. Pozostało mu wszakże do wypowiedzenia niewiele słów. – Cóż, moi bracia – oznajmił – korzę się tu przed wami, albowiem zgrzeszyłem pychą. Tak, pychą! Sądziłem, że stoję wyżej od was za sprawą noszonego przeze mnie tytułu, i w konsekwencji popełniłem mnóstwo błędów. Błędów, które wywarły wpływ na moje, a przede wszystkim wasze życie duchowe. *Miserere mei!* – wykrzyknął. – Proszę was po tysiącokroć o darowanie winy, po tysiącokroć o przebaczenie mi mojego szaleństwa! Nie domagam się jednak waszego współczucia, nie ofiarowując niczego jako przeciwwagi dla moich przewinień. Jestem tu także po to, by wam powiedzieć, że po latach Pan pozwolił mi nareszcie ujrzeć światło...

– Ależ doprawdy! – wysyczał jakiś głos ociekający nienawiścią. – Czyżby wyrzuty sumienia mogły nam pomóc w poradzeniu sobie z waszymi machlojkami?

Podniósłszy wzrok, Andrea ujrzał, jak Facio di Malaspina wstaje oburzony. Uśmiechnął się do niego z litością, pamiętając, że to jego duchowy brat, podobnie jak każdy na tej sali.

– Znajduję się w tym stanie, ponieważ miałem przepiękny sen – wyznał, nie zważając na zadane mu pytanie. – Sen, który niestety wypaczyła ambicja. Z początku pochodził od Boga, zapewniam was, aczkolwiek dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie był przeznaczony wyłącznie dla mnie, ale dla was wszystkich.

Gdyby udało nam się go zsiścić, Pomposa błyszczałaby jak za dawnych czasów, stając się źródłem światła dla całej ludzkości.

– Sprytna przesłanka, aby wydobyć od nas pozwolenie na jakieś czcze żądanie, jak przypuszczam – zaśmiał się szyderczo ojciec Facio.

Opat pokręcił przecząco głową.

– Nie żądanie, lecz prośbę. Proszę *was wszystkich* – rozejrzał się dokoła – abyście wyobrazili sobie, czym stałaby się Pomposa, gdyby znów zagościły w niej *decor, splendor i pulchritudo*, tak drogie dawnym ojcom naszego zakonu, podobnie jak papieżowi Benedyktowi XII. Kiedy udzielę wam odpowiedzi, pojmiecie, że nie ma w tym nic błahego. Mówię tu o dojściu do kontemplacji poprzez piękno. To samo piękno, do którego szukania Bóg codziennie nas zachęca, aby ulepszyć świat.

Zakonnicy wymieniali między sobą uwagi, a pełen pogardy Facio di Malaspina znów zaczął jątrzyć:

– Przypuszczam, że macie na myśli freski, których namalowanie zamierzacie zlecić.

Andrea zmierzył kalekę wzrokiem, w ogóle nie czując urazy.

– Owszem! – zawołał, podnosząc się wśród narastających pomruków. – Byłby to pierwszy krok ku głębokiej odnowie. Krok, który dzięki świętym obrazom poprowadziłby nas ku wielkiej reformie. Nie po to, by zaspokoić moją czy waszą próżność, ale by wspierać umiłowanie kultury, które od zawsze wyróżnia zakon benedyktynów. – Rozpostarł ramiona. – I zważcie, drodzy współbracia, nie ja podejmę decyzję. Wy to zrobicie! I począwszy od dnia dzisiejszego, często będę radził się was, abym mógł się kierować większą wnikliwością, nie popadając w zuchwalstwo decydowania za wszystkich.

Ledwie ojciec Andrea wymówił ostatnie słowo, spostrzegł, że musi zaczerpnąć tchu. Od lat nie przemawiał z takim uniesieniem, od lat nie próbował włożyć we własne słowa całego siebie. Wszelako zarazem żywił obawy, że jego wypowiedź była zbyt chaotyczna i za mało przekonująca. „Może powinienem coś dodać”, zastanawiał się.

Burza oklasków zaskoczyła go tak bardzo, że odegnał wszelkie złe myśli. Zakonnicy powstali z krzeseł zachwyceni i uderzali w dłonie niczym rozbawione dzieci. Andrea wpatrywał się w nich osłupiały, pewien, że natchnęła ich nie jego mowa, lecz ogień Ducha Świętego. Dopóki rumor nie ucichł, przymknął powieki, pozwalając, by przenikała go radość.

Z ciszy wyłonił się ponownie przepęlniony wrogością głos.

– Czyście wszyscy ogłupieli? – wybuchnął siny ze złości Facio. – Nie dajcie się usidlić jak wieśniacy na jarmarku! A może zamierzacie pogorszyć nasze i tak kiepskie położenie kolejnymi długami?

– Jeśli kapituła postanowi o wykonaniu fresku – odparł wojowniczo opat – zobowiązuję się od tej pory opłacać wynagrodzenie rzemieślników z moich

własnych dochodów, nie naruszając funduszy Pomposy. – Co rzekłszy, podszedł do portalu i otworzył drzwi. – A teraz oddaję głos młodemu artyście, który potrafił roztoczyć przede mną cudowną wizję. Wizję, która – mam nadzieję – zdoła podbić także wasze serca.

Gdy tylko Gualtiero przekroczył próg kapituły, otoczył go gwar mnichów. Poczł się tak, jakby na plecy spadł mu znieczeka ołowiany płaszcz, który sprawił, że stał się dziesięciokrotnie cięższy. Każdy krok w głąb pomieszczenia kosztował go olbrzymi wysiłek. Dojrzał, że wielebny Andrea wyciąga do niego dłoń. Czym prędzej się do niego zbliżył, ucałował pierścień i skłonił się głąboko przed audytorium.

Ogarnął go tak silny lęk, że upuścił swoje szkice, które niósł pod pachą. Poczzerwieniały ze wstydu, pospieszył zebrać je z podłogi, by nie poturlały się gdzieś daleko. Usłyszał drwiące śmiechy.

Zerknął na Sigismonda, który przyglądał mu się przez szparę w drzwiach, i odchrząknął.

– Proszę ojców o cierpliwość, nie przywykłem do wypowiedania się przed wielebnymi fratrami – oznajmił. Spostrzegłszy zaś, że zapada cisza, nabrał odwagi. – Jestem osobą przyzwyczajoną wyrażać się poprzez obrazy. I o tym wam opowiem, o obrazach.

Ktoś położył dłoń na jego ramieniu. Był to opat, który właśnie się oddalał, aby zająć miejsce wśród współbraci.

„Teraz naprawdę zostałem sam”, pomyślał Gualtiero. Omiótł spojrzeniem zakonników, którzy tak mocno świdrowali go wzrokiem, że poczuł się jak intruz. Wreszcie jego źrenice spoczęły na freskach zdobiących pomieszczenie i w jednej chwili skrępowanie opuściło go. Wówczas uzmysłowił sobie, że znajduje się we własnym świecie – wśród malowideł, które rozumie lepiej niż ktokolwiek z obecnych tu, i nareszcie poczuł, że może mówić swobodnie, czego najbardziej pragnął.

– W moich oczach ściany opactwa są jak karty księgi, na których można napisać wszystko – zaczął swobodnie. – A pierwszą stronę, tę, która ma przyciągać uwagę przekraczających próg, stanowi apsyda. Powinna oczarować wchodzących tak bardzo, aby zapomnieli o świecie zewnętrznym, oto dlaczego moim zamiarem byłoby przedstawienie na niej własnego wyobrażenia raju, tak aby postaci stały się czymś o wiele więcej niż zwykłymi obrazami. By były symbolem pobożności.

Gualtiero wpatrywał się przez chwilę w audytorium, dostrzegając narastającą ciekawość, która zachęciła go, by mówił dalej. Rozwinął pierwszy szkic i pokazał słuchaczom.

– Właśnie to miałem na myśli – obwieścił, wywołując okrzyki zdumienia. – Jak wielebni ojcowie zdołali zauważyć, rysunek przedstawia Chrystusa Pantokratora w otoczeniu korowodu błogosławionych, wśród których

namalowałbym świętych najbardziej czczonych w Pomposie. Dzięki takiemu zabiegowi otrzyma się kalendarz *in figura*, w którym zawarłby się cały rok liturgiczny, od dnia Świętego Sebastiana, dwudziestego stycznia, po dzień Świętego Apolinarego, dwudziestego lipca. Moim zdaniem owego *horologium* dopełniłaby postać Marii Dziewicy przy Chrystusie. Wyobrażam ją sobie w śnieżnobiałych królewskich szatach – *domina angelicata*. Ponadto nad tym korowodem narysowałem pływący w powietrzu szereg aniołów, którzy wpatrują się w Pana.

Trzymał szkic w górze, aby wszyscy mogli podziwiać to, co objaśniał słowami. Następnie, zatopiony w milczeniu zakonników, rozwinął kolejny zwój, wywołując jeszcze większe zdumienie.

– W dalszej części – ciągnął – odgrodziłbym sklepienie apsydy pionową listwą, aby oddzielić ją od dolnej ściany. Jak widzicie na rysunku, wewnątrz owej listwy znalazłyby się popiersia proroków. – Uznał, że aby wypaść bardziej przekonująco, powinien improwizować, wzorując się na tematyce fresków w sali. – Proroków mogłoby być dwunastu, tak jak przedstawieni na tych ścianach – po czym pewien, że się nie pomyli, wymienił ich imiona, pokazując po kolei: – Joel, Habakuk, Jeremiasz, Izajasz, Dawid, Mojżesz, Sofoniasz, Amos, Ozeasz, Daniel, Zachariasz i Jonasz.

Bracia pokiwali głowami, pozostając pod wrażeniem jego umiejętności rozpoznawania postaci biblijnych.

Zyskawszy pewność, że podbił ich serca, Gualtiero pokazał z dumą trzeci szkic.

– Ściana pod łukiem apsydy, za ołtarzem – wyjaśnił. – Jak możecie zauważyć, podzieliłbym ją na cztery strefy w formie nisz, w których znalazłby się czterej ewangeliści, każdy pochylony nad pulpitem, zajęty pisaniem własnej Ewangelii. A obok nich odpowiadające im wizerunki skrzydlatych tetramorfów, opisanych w wizjach proroka Ezechiela: anioł, lew, wół, orzeł.

Powiedziawszy to, ponownie się skłonił.

– To wszystko, wielbni ojcowie – jął zwijać z powrotem rysunki. – Bez względu na to, jaka będzie wasza decyzja, pozwólcie mi dodać, że jestem wielce zaszczycony, gdyż mogłem umilić wam czas, chociaż niezbyt kunsztownie.

Ojciec Andrea wstał i zwracając się ku współbraciom, otworzył ramiona, zachęcając, by każdy wyraził swoje zdanie.

Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, by domyślić się werdyktu.

Wychylając się z wnęki pozwalającej widzieć kapitułarz, Maynard śledził z zacięciem przemowę opata i z prawdziwym zdziwieniem wystąpienie młodego malarza. Rzadko jednak odrywał wzrok od zasłuchanych zakonników. Ukrywał się wśród nich Facio di Malaspina, którego on wkrótce będzie mógł o wszystko wypytać.

Wpatrywał się kolejno w braci, dopóki nie zorientował się, że jeden z nich dostrzegł jego obecność. Blady, z oczyma zwężonymi w szparki, siedział przygarbiony, a długie ramiona splótł na piersi. Maynard słyszał, jak kilkakrotnie podjudzał opata, chociaż ani razu nie udało mu się zbić go z tropu.

A teraz mnich ten mierzył wzrokiem właśnie jego.

Sprawiał wrażenie zaciekawionego, niemal zatroskanego.

Obserwując go, rycerz nagle poczuł ukłucie zwątpienia. *Jest moim wrogiem*, powiedział ojciec Andrea. „A jeżeli to on?”

Nie zdążył jeszcze dobrze rozważyć tej hipotezy, gdy dostrzegł w oczach zakonnika błysk podejrzliwości albo może prawdziwego, czystego strachu. Cokolwiek by to było, tamten niespodziewanie wstał, przepchnął się wśród pomruków zawodu i udał się szybkim krokiem w stronę wyjścia.

Zanim jego przygarbiona postać przekroczyła próg, Maynard odgadł, że został zdemaskowany.

Facio di Malaspina był rozsierdzony i zarazem wystraszony. Rozsierdzony, ponieważ musiał opuścić pokonany kapitułę, zanim dobiegła końca. Wystraszony, ponieważ nie wiedział, kim jest mężczyzna szpiegujący go z wnętrza. Albo lepiej, rozpoznał go. Był to francuski mnich, który przyjechał do Pomposy przed paroma dniami. Widział, jak spożywa posiłek przy stole opata, wątpił jednak, by był prawdziwym zakonnikiem. Dumna postawa i szerokie bary pasowały raczej do rycerza, podobnie jak wspaniałe kary koń, którego oddał pod opiekę stajennego opactwa. Ponadto krążyły słuchy, że nosi broń.

Onieśmiala go wszakże aura tajemniczości, jaka otaczała nieznanego. W opactwie nigdy nie zjawiał się posłaniec czy pielgrzym, o którym by nie wiadomo, kim jest ani skąd przybywa. Tymczasem o owym osobniku nic jeszcze nie było wiadomo, począwszy od imienia. I chociaż ojciec Facio nie miał istotnych powodów do obaw, zdołał znaleźć wytłumaczenie dla tylu tajemnic.

Po wielu latach ukrywania się umiał rozpoznać szpicla na pierwszy rzut oka. Wielu w przeszłości nań polowało. Niemal zawsze udawało mu się uciec, gdyż był bardziej podstępny. Teraz wszakże znużyła go nieustanna obawa przed zdemaskowaniem. W dodatku miał nieodparte wrażenie, że ów fałszywy mnich nie był najemnym zabójcą ani zwykłym siepaczem.

Przemierzył wirydarz ze spuszczoną głową, nieustannie oglądając się za siebie, aby się upewnić, czy tamten nie depcze mu po piętach. Każdy zakonnik na jego miejscu zażądałby od opata wyjaśnień, ale on nie mógł. Ojciec Andrea był do niego wrogo nastawiony i najwyraźniej miał konszachty z tym osobnikiem. Należało się zwrócić do innych władz: jedyne go człowieka, któremu Facio przysiągł dozgonną wierność.

„Muszę się wdrapać do gołębnika”, pomyślał. „Wysłać wiadomość”.

Niemal nie zauważył, że o mały włos nie zderzył się z kimś.

– Ale ki... – syknął i drgnął zaskoczony widokiem dziewczynki. Nie pojmował, kim jest to jasnowłose dziecko. Potem jednak przypomniał sobie, co słyszał z ust współbraci. Powiadano, że Francuz przybył do Pomposy w towarzystwie osobliwej panienki o różnobarwnych tęczówkach.

Zakonnik wpatrywał się w nią przez chwilę, zmuszając, by cofnęła się przerażona. Kusilo go, by chwycić ją za włosy i wypytać, powstrzymał się jednak. Najważniejsze było wysłanie wiadomości. Odepchnął ją więc na bok i popędził ku rozpadającej się wieżycze, która wznosiła się na obrzeżach dziedzińca.

Przekroczywszy próg, z trudem wspiał się po drewnianych schodach i dotarł zdyszany na piętro. Pograżone w półmroku pomieszczenie zajmowały dziesiątki klutek, z których dolatywało gruchanie i odór odchodów.

Ojciec Facio zbliżył się bez wahania do zniszczonej półki, na której znalazł

wszystko, czego potrzebował do pisania. Skreślił krótką wiadomość, otworzył jedną z klatek i przyczepił list do nóżki ptaka. Następnie trzymając w dłoniach gołębia, otworzył okno zwrócone na zachód i wypuścił go na zewnątrz. Trzepot skrzydeł zabrzmiał w jego uszach niczym *amen* na końcu modlitwy.

„Najważniejsze się dokonało”, pomyślał. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak poszukać dobrej kryjówki i cierpliwie czekać. Nie zdążył wszakże zawrócić ku drzwiom, gdy poczuł, że ktoś łapie go za szyję.

– Witajcie, ojczy – zawołał Rocheblanche, zaciskając palce na jego wyschniętym gardle. – Przynoszę wam wyrazy szacunku od opata z Mont-Fleur.

37

– Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Facio di Malaspina wymknął się w takim pośpiechu – przyznał opat, wyprowadzając Gualtiera z kapituły. – Wasze słowa musiały wprawić go w osłupienie. Podobnie zresztą jak wszystkich pozostałych.

– Zawstydzacie mnie – odrzekł młodzieniec, który nie lubił słuchać pochwał w obecności ojca. Przystanął na końcu wirydarza, nadal podekscytowany. Po jego przemowie rozległy się wręcz oklaski zakonników, a nawet kilka błogosławieństw. Lecz co istotniejsze, uzmysłowił sobie, że ma dar, o którego posiadanie nigdy by się nie podejrzewał: sztukę przekonywania. Z jednej strony radowało go to, z drugiej wszakże obawiał się, że doceniono go nie za sprawą talentu, ale dzięki skuteczności, z jaką się wysławiał. Pozostawiło mu to w ustach gorzki posmak, a także mgliste poczucie, że nie był zupełnie uczciwy.

Istniał wszelako inny powód, dla którego wolał nie pozwalać sobie na przejawy radości. Za pełną zadowolenia miną ojca Andrei dostrzegał w istocie głębokie znużenie, tak jakby ów człowiek zapłacił za zwycięstwo wysoką cenę. Skądinąd Gualtiero był wystarczająco bystry, aby się domyślić, że zamysł fresku wynika z wyższych dążeń opata.

Zorientowawszy się, że ojciec Andrea ciągle go wychwala, uśmiechnął się z rezerwą.

– Moi współbracia muszą jeszcze wyrazić jednogłośnie osąd – rzekł opat – ale zapewniam was, że byli oczarowani. – Po czym spoważniał i zwrócił się do Sigismonda: – Wasz syn ma zadatki, aby być kimś o wiele więcej niż prostym rzemieślnikiem.

Mistrz malarski wypiął pierś, jakby to jemu należało się uznanie.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – wykrzyknął, śmiejąc się bezwstydnie. – Jednakowoż... Kiedy poznamy werdykt zakonników?

– Muszę was prosić o cierpliwość. – Andrea wpatrzył się w klasztorną dzwonnice, spodziewając się usłyszeć bicie dzwonów. – Zbliża się wieczorna msza. Żegnam się, ale przyrzekam powiadomić was, gdy tylko zapadnie decyzja

kapituły.

Kłaniając się przed nim, Gualtiero złowił kątem oka jeszcze czyjąś obecność. Była to francuska dziewczynka. Krążyła wśród arkad wirydarza, ściskając w garści skraj szaty. Zaciekawiony przyjrzał się uważniej i dostrzegł jej pospieszny krok. Zmierzała do starego gołębnika, skąpanego w promieniach słońca, które stało nisko, bliskie zniknięcia za woalem mgły.

Przez chwilę pragnął podążyć za nią, lecz szorstki głos ojca polecił mu wrócić do wozu.

– Kielich i grot włóczni – powtórzył groźnie Maynard. – Wiem, że to wy je macie.

– Otóż nic nie wiecie... – Ułomny mnich usiłował wyswobodzić szyję z uścisku. – Z czego wnosicie, że to właśnie ja...

– Na dźwięk słów Mont-Fleur podskoczyliście, jakbyście zobaczyli diabła. – Cisnął go o ścianę, między cuchnące klatki z gołębiami. – To wystarczyło, żebym zrozumiał, że jesteście człowiekiem, którego od dawna szukam! Facio di Malaspina.

– Przeklęty... – wyrzeźił frater.

Rocheblanche lekko zwolnił uścisk, pozwalając mu oddychać.

– Opowiedzcie mi o kielichu i grocie włóczni – rozkazał.

Facio nabrał haust powietrza i spojrzał nań z wrogością.

– Nie wiecie, o czym mówicie... Czytam to z waszej twarzy.

– Wiem wystarczająco dużo.

– Może wystarczająco dużo, żeby rozpoznać człowieka... Ale z pewnością nie prawdę.

Daleki od przyznania mu racji rycerz popatrzył tylko pytająco.

– Wyłącznie człowiek świecki – wyjaśnił pogardliwie zakonnik – określiliby te święte cymelia w taki sposób, w jaki wy to zrobiliście. – Przez chwilę świdrował go wzrokiem, jakby chciał przeniknąć w głąb jego myśli, po czym dodał z fałszywą słodyczą: – Jeżeli pomożecie mi zostać opatem, wszystko wam powiem. Przyrzekam.

Słowa te wzbudziły w Maynardzie silną odrazę. W ciągu ostatnich miesięcy często zastanawiał się nad tajemnicą Mont-Fleur, wcale jednak nie miał zamiaru zdradzić wielebnego Andrei.

– Zaczynajcie mówić – cofnął dłoń.

Facio odsunął się od ściany i rozmasował szyję.

– Po co?

– Jeżeli zależy wam na życiu... – odparł Rocheblanche, lecz nie dokończył zdania.

– Zabilibyście sługę Bożego? – judził zakonnik, a po krótkim milczeniu roześmiał się pod nosem. – Moja śmierć źle by się wam przysłużyła, zapamiętajcie

to sobie. Tylko ja znam imię tego, kto strzeże owych relikwii.

– Skradliście je więc dla kogoś innego... – wywnioskował Francuz.

– Dla kogoś, kto rychło przybędzie mi na pomoc – zapewnił mnich, chyłkiem zerkając na okno.

– Czyżbyście chcieli mnie nastraszyć? – Maynard spojrział nań z okrutnym grymasem, jak zwykł czynić wobec wrogów na polu bitwy. Zmęczyło go cackanie się z tym indywiduum, chociaż czuł, że samą brutalną siłą go nie pokona. Postanowił zatem użyć fortelu. – Opat Andrea dał mi wolną rękę, abym zrobił z wami, co mi się spodoba – skłamał. – Powiedział to z ochotą, niemal z ulgą. Podkreślił swoje słowa błyskiem sztyletu, który właśnie dobył z pochwy. – Nadal zamierzacie bawić się w tajemnice?

Facio cofnął się instynktownie, zgrzytając zębami, po czym twarz zastygła mu w masce nienawiści i zawziętości. Na widok zbliżającej się broni zdecydował się mówić.

– *Jam jest Mistrz perfekcji, który przybył rozwiać twoje wątpliwości* – wyrecytował słabym głosem. – *Twoje i każdego, kto zechce przeczytać...*

Rycerz zmarszczył brwi.

– Stroicie sobie ze mnie żarty?

Mnich potrząsnął głową.

– Chyba nie powiecie, że ten cytat nic wam nie mówi.

– Cóż?

– Cóż, pochodzi z dzieła *Codex Millenarius* – oznajmił Facio z patosem, jakby powierzał mu niezgłębioną tajemnicę. – Księgi, którą przed dwustu laty kronikarz Godfryd z Monmouth wziął za Ewangelię Jezusa.

Maynard zadumał się nad tymi słowami, wahając się, czy powinien dać im wiarę.

Zakonnik wykorzystał jego niezdecydowanie i się odsunął. Zaczął krążyć wokół, ze zwieszonymi długimi ramionami, bacznie mu się przyglądając.

– Słusznie myślałem – powiedział z nutą złośliwości – opat Manessier niczego wam nie wyjawiał. Jak można go zresztą potępiać? Tylko wtajemniczeni znają *Codex Millenarius*, nieliczni zaś mogą się pochwalić, że go przeczytali. To na jego kartach widnieje wzmianka o kielichu i grocie włóczni. Owszem, właśnie o tych przedmiotach, których szukacie... A także o *Lapis exilii*.

Usłyszawszy tę nazwę, rycerz otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Widzieliście go, prawda? – zapytał mocno zaintrygowany. – Powiedziano mi, że byliście w krypcie Mont-Fleur.

– Mistyczny kamień – wyszeptał zakonnik, dumnie kiwając głową. – Kamień, który rozpała Feniksa, aby odrodził się z popiołów.

– Ciągłe mówicie zagadkami!

– Może dla was to zagadki, ale nie dla tego, kto wie...

– Albo może próbujecie mnie zwodzić kłamstwami. – Maynard postąpił krok naprzód i przystawił mu sztylet do piersi. – Przyznajcie się! Dla kogo skradliście relikwie z Mont-Fleur?

Zakonnik cofnął się ostrożnie ku wyjściu.

– Odkrycie tego nie zda wam się na nic, zapewniam was...

Francuz nacierał coraz mocniej, zdecydowany uzyskać odpowiedź.

– Zdradźcie mi jego imię! – naciskał, grożąc, że zada cios.

– Poznanie go w niczym wam nie pomoże...

– W takim razie wy też w niczym mi nie pomożecie!

Facio wbił wzrok w sztych, który zbliżał się coraz bardziej. Był zlany potem i blady jak płótno. Jego czarne źrenice wyglądały jak wyprane z wszelkich uczuć.

– Nie zdążyłem mu ich oddać, pojmujecie? – wyjął. – Mam na myśli relikwie... Wydarło mi je na torturach.

– *Kto* wam je wydarł?

W tej samej chwili próg gołębnika przekroczyła jakaś spowita w półmroku postać. Zanim Maynard rozpoznał w niej Isabeau, znajdujący się bliżej niej mnich chwycił ją za włosy i przyciągnął ku sobie.

– Cofnijcie się! – wrzasnął Facio. – Albo skręcę jej kark!

Rycerz patrzył, jak zakonnik ścisną dziewczynkę, zasłaniając się nią jak tarczą. Dostrzegł jej przerażenie.

– Jeśli tylko się ośmielicie... – Uniósł sztylet.

– Zabiję ją, przysięgam! – zagroził mnich. – Wycofał się powoli ku wyjściu, cały czas trzymając Isabeau. – Cofnijcie się! – krzyknął po raz ostatni.

Opuścił pomieszczenie i śmiejąc się nikczemnie, zatrzasnął kopniakiem drzwi.

Ogłuszony hukiem Maynard rzucił się ku drzwiom, wściekle rycząc. Chciał je otworzyć, lecz uzmysłowił sobie, że są zaryglowane.

– Łajdaku! – wysyczał, po czym jął uderzać w nie ramieniem. Po każdym ciosie oślepiał go błysk, gasnący wokół twarzy Eudeline. Tamtej młodej i bezbronnej Eudeline, zdanej na łaskę potwornego ojca. Tamtej Eudeline, której nie zdołał ocalić.

– Nie ważcie się jej skrzywdzić! – wrzasnął na całe gardło, gdy tymczasem świat wokół zawirował, zamieniając się w czarną czeluść. – Nie ważcie się!

Odpowiedziało mu jedynie skrzypienie drewna.

REIMS, VALETUDINARIUM KLASZTORU ŚWIĘTEJ BALSAMII

Siostra Eudeline patrzyła na ruch białego piona po szachownicy, a następnie przyjrzała się mężczyźnie, który go przesunął. Z pewnością o Robercie de Vermandois nie dało się powiedzieć, że jest piękny. Ciemnowłosa, o kwadratowej szczęce, siedział naprzeciw niej, trzymając ogromne dłonie splecione pod brodą. Sękaty dłonie, nawykłe bardziej do dzierżenia broni niż do okazywania serdeczności. Jego gesty, podobnie jak sposób, w jaki na nią patrzył, cechowała wszakże niekwestionowana wytworność – wojenna, niemal wyniosła gracja. Wielebna matka odkryła, że woli ją od nazbyt delikatnego zachowania niektórych szlachciców znanych w młodości.

Znajdowali się w *valetudinarium* u Świętej Balsamii; siedzieli przy stole, którego używano zazwyczaj do przeglądania ksiąg medycznych. Teraz zajmowała go stara szachownica z hebanu i kości słoniowej – jeden z nielicznych przedmiotów, jakie Eudeline zachowała z dawnego życia. Nabył ją dziadek ze strony matki podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej. Przeorysza podziwiała przez chwilę intarsje na jej brzegach w postaci arabesek, po czym jej wzrok ponownie spoczął na pikardyjskim baronie.

Rzuciła mu wyzwanie nie tylko po to, by pomóc przywrócić pamięć. Z jej strony był to pretekst, aby wystawić samą siebie na próbę przed nieznanym, zdolnym wprawić ją w zakłopotanie, o ile nie oczarować. I choć Robert nie zdawał sobie z tego sprawy, najwyraźniej coś go ku niej ciągnęło. Eudeline domyśliła się tego po nieustannych prośbach o spotkanie, a także po tonie jego głosu. Zdecydowana zachować obojętność, zajęła się grą, nie okazując uczuć.

Robert grał białymi i od samego początku przyjął strategię obronną, wzmacniając ustawienie bierek wieżami i końmi. Mimo to matka przełożona wykazała się taką przebiegłością w przesuwaniu gońców, że zbiła mu kilka najważniejszych figur i kilkakrotnie zaszachowała króla.

Vermandois nie miał pyszałkowatego usposobienia. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, którzy niechętnie godzą się z przewagą niewiasty, winszował sobie po każdym ruchu skinieniem głowy. Siostra Eudeline natomiast złorzeczyła w duchu, czując się narażona na ataki o wiele bardziej wyrafinowane od geometrycznych zasadzek szachownicy. Podejrzewała, że baron zaczął dostrzegać jej skrępowanie. Pełnego przekonania nabrała jednak dopiero wtedy, gdy dzięki złożonej kombinacji dwóch pionów z szarmanckim uśmiechem pozbawił ją gońca.

– Walczycie jak lwica – pochwalił ją mimo wszystko. – Ośmielacie się

wystawiać na większe niebezpieczeństwo, niżbym się spodziewał po zakonnicy.

– Nie dajcie się zwieść – odparowała czym prędzej wielebna matka. – Gry to czyste sztuczki. Święty Bonawentura ostrzega przed ich zdolnością do burzenia społecznego i religijnego porządku.

Pikardyjczyk pokręcił przecząco głową.

– A może właśnie dlatego obnażają naszą prawdziwą naturę? – Wpatrywał się w nią intensywnie, obracając w palcach zbitego gońca. – Zuchwałość, z jaką nacieracie na moje szeregi, jest waszą cechą, pani. To nie złudzenie. To wy, w całej czystości i prostocie, pozbawieni maski.

Matka przełożona zeszywniała. Gdy pojęła znienacka, jak głębokie może się stać ich porozumienie, przyszła jej na myśl *chanson* o pięknej Rozalindzie, uwiedzionej, a następnie oszukanej przez pewnego rycerza w czasie partii szachów.

– Twierdzenie, że można odkryć prawdę za pośrednictwem gry – oznajmiła niemal niegrzecznie – równałoby się błędowi, jaki popełnili Adam i Ewa. W istocie bowiem zgrzeszyli pychą wobec Boga dla rozkoszy.

Robertowi zabrakło przenikliwości, by wychwycić jej rozdrażnienie.

– Może Ewa umiała zręcznie grać w szachy – podsunął, błędząc myślami gdzie indziej. – Tak samo jak wy.

Na te słowa matka przełożona poderwała się na równe nogi, wywracając kilka bierek.

– Co macie czelność sugerować, messer?

Pikardyjczyk spojrział na nią oniemiały.

– Nic obraźliwego, pani.

On również wstał, po czym oparł się o krawędź stołu, próbując ją uspokoić.

Poczerwieniałej ze wzburzenia Eudeline zrobiło się tak gorąco, że zapragnęła zerwać welon i podwikę. Jak ten człowiek śmiał pozwalać sobie na taką poufałość? Przeszyła go pełnym nagany spojrzeniem i oświadczyła oschle:

– Dość się już zasiedzieliśmy. – Skinęła mu dłonią na pożegnanie. – Zdaje się, że pamięć wam nie wraca...

Vermandois chwycił ją za nadgarstek.

– Dlaczego się mnie lękacie?

Eudeline chciała instynktownie wyrwać rękę, lecz tego nie zrobiła. Napawała się uściskiem jego wielkiej, szorstkiej dłoni, czując, jak jej ciepło rozchodzi się aż pod skórę.

– Ja się was nie lękam – odrzekła, nienawykła do chowania się za długimi przemowami. – Nie pojmujecie? Właśnie w tym sęk... *Ja się was nie lękam!*

Robert otworzył usta, lecz się nie odezwał. Przyglądał się jej w osłupieniu, po chwili zaś opuścił wzrok ku szachownicy i jął wodzić po niej błędnymi oczami, niemal bez wyrazu, aż wreszcie najwyraźniej coś dostrzegł. Wówczas oczy mu rozbliły z ożywieniem, podążając za wewnętrznymi obrazami.

– Koniec partii... podróż... – wykrzyknął drżącym głosem.

– Co macie na myśli? – zapytała matka przełożona, przysuwając się odruchowo.

– Teraz sobie przypominam... Przypominam sobie! – Vermandois położył dłoń na szachownicy i chwycił kilka pionów. – Czekaliśmy, aż wasz ranny brat wróci do zdrowia, następnie przyłączyliśmy się do orszaku królewskiego. Tak, pamiętam... Maynard chciał wyruszyć do Reims, ale przedtem... Przedtem zdarzyło się coś dziwnego.

– Zasadzka zbirów?

– Nie, nie... Widzę karocę. Karocę, która przyniosła jeszcze bardziej zabójczą pułapkę. Nadal podążaliśmy z orszakiem Walezjusza, gdy nagle z karocy wychylił się jakiś mężczyzna i przyglądał się Maynardowi...

Zapomniawszy już o waśni, Eudeline posadziła go przy stole i czekała, aż zacznie mówić jaśniej. Jednakże kiedy jej cierpliwość się wyczerpała, rozgorączkowana przerwała milczenie:

– Jaki mężczyzna?

Wtedy Robert de Vermandois zmarszczył brwi i głosem ostrym jak cięcie sztyletu wypowiedział imię:

– Jego Wysokość Karol Luksemburski.

Aleydis nie mogła usiedzieć na miejscu. Chwila, gdy siostra Claire miała posłużyć się zawieszonym na szyi kluczem, zbliżała się coraz bardziej, nowicjusze nie udało się jednak jeszcze podmienić go na ten prawdziwy. Teraz, posiadając kopię listów Maynarda de Rocheblanche'a, nie mogła sobie pozwolić na popełnienie błędu. Jeżeli chciała, aby jej wtargnięcie do komnat matki przełożonej pozostało tajemnicą, musiała koniecznie zawiesić skradziony klucz z powrotem na szyi koadiutorki. W przeciwnym wypadku będzie to jej koniec.

Starła się zachować spokój, czekając na wieczorną przerwę w nadziei, że trafi jej się sposobność zbliżenia do siostry Claire. Już wiedziała, co ma zrobić. Pod pretekstem ponownego wyrażenia skruchy za poranny wypadek odciągnie ją na stronę i znajdzie sposób, by podmienić klucz. Tylko że gdy nadeszła chwila działania, przywołała ją akurat infirmerka.

Zastanawiając się nad powodem wezwania, dziewczyna udała się do *valetudinarium* z usilnym pragnieniem, by nie napotkać przeszkód w realizacji swoich planów.

Zakonnica wyglądała jej pod gołym niebem, już gotowa do wydawania poleceń.

– Musicie wyplenić chwasty z ogrodu – rzekła.

– Teraz? – zapytała zaskoczona nowicjuszka.

– Wolelibyście pracować, kiedy wam wygodnie? – odparła kąśliwie infirmerka, biorąc się pod boki.

– Proszę o wybaczenie, matko... Gdybym tylko mogła to zrobić później...

Mniszka pokręciła przecząco głową.

– Posłuszeństwo! – wykrzyknęła i obróciwszy się na pięcie, zostawiła ją samą.

Aleydis obrzuciła wzrokiem ogród i o mało nie zemdląła. Był cały porośnięty chwastami. Obowiązek ten zajmie jej czas aż do wieczora. Podumała, jak mogłaby się wyplątać z tych tarapatów, uzmysłowiła sobie jednak, że nie ma wyboru. Jedynym rozwiązaniem było jak najszybsze zabranie się do dzieła.

Nie namyślając się dłużej, pochyliła się nad grządkami i z wiadrem w garści jęła wyrywać pędy perzu, które z początkiem wiosny zaatakowały uprawy ziół leczniczych.

Od czasu do czasu infirmerka wyglądała na zewnątrz, aby sprawdzić, jakie robi postępy. Nie zdając sobie sprawy z powodów, dla których Aleydis wkłada w pracę tyle wysiłku, powinszowała jej w duchu sumiennosci.

Coraz bardziej wzburzona nowicjuszka pracowała ze spuszczoną głową, nie bacząc na poranione palce, dopóki nie wykonała zadania. Wówczas pognąła z obolałym grzbietem do wirydarza.

Na widok zakonnicy, ciągle jeszcze pogrążonych w rozmowie, odetchnęła z ulgą. Upewniwszy się, że klucz nadal tkwi w rękawie, spocona i z powalany mi ziemią dłońmi ruszyła na poszukiwanie koadiutorki.

W tej samej chwili siostra Claire usiłowała złym kluczem otworzyć komnaty matki przełożonej.

Siostra Eudeline opuściła *valetudinarium*, bijąc się z myślami. Nie dość, że paliła ją ciekawość wszystkiego, co dotyczyło *Lapis exilii* i misji Maynarda, to teraz doszła do tego jeszcze poważna osobistość: Karol Luksemburski. Robert nazwał go „Jego Wysokością”, a nie „Jego Królewską Mością”, utracił bowiem pamięć jeszcze przed koronacją człowieka, który znany był teraz w świecie jako Karol I Czeski, „król klechów”.

Skądinąd prawdziwy kłopot polegał na tym, że należało się dowiedzieć, czego taka osobistość chce od Maynarda. Pikardyjczyk nic sobie nie przypominał w tej materii poza skrywaną wrogością tego człowieka. Jednocześnie Eudeline wołała nie napomykać o zagadce *Lapis exilii*, a tym bardziej o misji, jakiej podjął się jej brat.

Pozwoliła zatem Robertowi de Vermandois odpocząć, a sama udała się do swoich komnat. Pragnęła zastanowić się w samotności i spróbować znaleźć, choćby nawet hipotetyczny, związek pomiędzy nielicznymi wskazówkami, jakimi dysponowała. Nie mogła odrzucić teorii spisku, którą na krótko przed wyjazdem wyjawiał jej Maynard. Spisku ukartowanego właśnie na szkodę szlachetnego ojca Karola.

Gdy dotarła na miejsce, ujrzała siostrę Claire stojącą przed drzwiami.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Klucz... – odparła z lekkim zakłopotaniem koadiutorka. – Nie otwiera...

Może zamek...

Rozdrażniona tym bełkotem matka przełożona doskoczyła do niej jednym susem.

– Można wiedzieć, co właściwie mówicie?

– Chciałam być przed wami, nadgonić zaległości w pracy... – odrzekła siostra Claire ze spuszczonym wzrokiem. – Ale zamek musiał się zaciąć... Nie daję rady...

Patrząc na nią z wyższością, siostra Eudeline wyjęła z kieszeni habitu własny klucz, włożyła do dziurki i zdecydowanym ruchem odsunęła rygiel.

– Tak jak się spodziewałam – mruknęła stanowczo. – Nic się nie zacięło.

Zakonnica oblała się szkarłatem

– Może – wydukała – to była tylko rdza...

– Albo może – powtórzyła niczym echo przeorysza – potrzebuję nowej koadiutorki. – I przewróciwszy oczami, skierowała się do swego obłożonego szpargałami pulpitu.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

Siedząc w nieruchomym wozie niedaleko opactwa Pomposy, Gualtiero i Sigismondo zdawali właśnie Sapii relację z przebiegu spotkania z kapitułą. Niewiasta wysłuchiwała z dumą opowieści syna, mistrz malarski doradził jej wszakże, by nie wpadała zbyt szybko w zachwyty.

– Za wcześniej na radość – przestrzegął, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– Opat ma nam dopiero dać znać o werdykcie zakonników – wyjaśnił młodzieniec.

– W takim razie będziemy się modlić do Pana – odparła Sapia, zaczynając szykować wieczerzę. Wyjęła z płóciennego worka kilka dzikich porów, ale odłożyła je na bok, po czym przejrzała ostatnie zapasy jada i postanowiła ugotować polentę z prosa. Napelniwszy wodą gliniane naczynie, zamierzała wyjść i postawić je na ogniu.

Właśnie wtedy usłyszeli krzyk.

– Co się stało? – poderwał się Sigismondo.

– To głos niewiasty – wykrzyknął z niepokojem Gualtiero.

Ojciec i syn wypadli na zewnątrz i w ostatniej chwili dostrzegli siwego konia, który gnał na złamanie karku w wieczornej mgle. Dosiadał go jakiś zakapturzony mnich, uwagę obu wszelako natychmiast przykuła dziewczynka przewieszona przez łąk głową w dół. Fikała nogami i darła się wniebogłose, próbując się uwolnić. Jeździec usiłował ją utrzymać lewą ręką, w prawej zaś ścisnął wodze. Najwyraźniej przychodziło mu to z trudem, gdyż musiał zwolnić, aby nie stracić równowagi.

W tej samej chwili Gualtiero rozpoznał dziewczynkę i nagle ogarnął go lęk. „To nie moja sprawa”, powiedział sobie w duchu, powstrzymując odruch pospieszenia jej z pomocą. Nie wiedział, co się dzieje, i nie mógł wykluczyć, że zakonnik postępuje w dobrej wierze. Instynkt podsuwał mu jednak, że jest inaczej, każąc mu się wstydzić, że przygląda się beczynnemu całej scenie. Widząc, że frater przystaje, zawahał się znowu na myśl o karze, jaka by go spotkała za wejście w paradę człowiekowi Kościoła. Po czym przemknął mu przez głowę obraz dziewczynki, jej dziwnych oczu, i w przypływie odwagi popędził do wierzchowca, aby chwycić go za wodze. Zwierzę się jednak spłoszyło i powaliło go na ziemię. Młodzieniec przeturlał się na bok, aby uniknąć stratowania kopytami, tymczasem zatrwożony Sigismondo ruszył mu na ratunek.

Odzyskawszy równowagę, mnich zmełł w ustach przekleństwo i spał konia. Zanim wszakże zdążył puścić się galopem, Gualtiero podniósł się i zdołał się

wczepić w jego nogę.

– Z jakiego powodu więzicie dziewczynkę? – zapytał, grożąc, że zwali go z siodła.

– Z drogi, chamie! – wyszczał zakonnik, siłując się z dziewczyną, która znów ją rozpaczliwie kopać. Chwiejąc się jednakże w strzemionach, musiał w końcu wypuścić zakładniczkę, jeśli nie chciał spaść z siodła. Po czym z wściekłym okrzykiem szarpnął wodze.

Siwy koń wierzgnął, obalając na ziemię ojca i syna, a potem zarżał i pogalopował ku drzewom.

– Oszalałeś, synu? – warknął mistrz malarski, dźwigając się obolały. – Gdyby nie ja, dałbyś się zabić!

Młodzieniec wykonał w pośpiechu przepaszający gest i podbiegł do dziewczynki.

– Nic wam nie jest?

Sprawiła wrażenie oszołomionej, być może uderzyła się w głowę. Odgarnął jej włosy z twarzy i położył głowę na kolanach, aby się upewnić, czy nie jest ranna. Isabeau powoli odzyskiwała czucie.

– Z ciekawości wdrapałam się do gołębnika... – wymamrotała, rozglądając się dokoła zagubiona. – Wszedł tamten mnich... potem Maynard...

Gualtiero pokręcił głową, nie był w stanie zrozumieć.

– Nie powinieneś być się wtrącać! – wpadł jej w słowo Sigismondo, besztając chłopca. – Co cię napadło? Wiesz, jakiej biedy mogłeś nam napytać?

Młodzieniec nie mógł nie przyznać mu racji. Działał instynktownie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Na widok dziewczynki wleczonej wbrew jej woli nie zdołał się jednak opanować. I chociaż nie potrafił pojąć dlaczego, miał wrażenie, że uczynił to nie tylko dla niej, ale także dla siebie. Odpędził tę myśl, usiłując jak najprędzej dociec, co powinien począć.

Wziąwszy ją w ramiona, rzekł do ojca:

– Pomogliście mi ją zanieść do opata?

O zmierzchu opary przeszły w gęstą mgłę, która przesłaniała wszystko. Maynard prowadził karego wierzchowca wśród drzew mających niczym zjawy, oświetlając sobie drogę pochodnią. Wtem u jego boku zmaterializowała się jakaś postać na koniu, wprawiając w drżenie języki ognia. Dopiero dźwięk głosu pozwolił mu rozpoznać ojca Andreę:

– Ojciec Facio nie porzucił *Insula Pomposiæ*, jestem tego pewien. Przepytaliśmy strażę na drodze pielgrzymiej i przepatrzyliśmy wszystkie miejsca, w których mógłby się przeprawić przez Pad.

– Przecież mówiliście – sprzeciwił się Francuz – że *Insula* posiada również port wychodzący w morze.

– Owszem, *Portus Abbatis* przy Latarni Morskiej. Ale żadnemu mnichowi

nie wolno wsiąść na statek bez mojego pozwolenia. Nie traćcie nadziei, messer, Facio nadal ukrywa się w lasach.

– Niemniej jednak – westchnął Maynard – w tej mgle nawet diabeł nie dałby rady go wyłować.

– Gdybyście tylko nie pozwolili mu uciec... – wypomniął mu Andrea. – Czyżbym się mylił, że kazałem wam poczekać, aż sam umożliwię wam rozmowę z nim?

Rocheblanche wzruszył ramionami.

– Musiałem działać natychmiast. Ten łajdak zobaczył mnie we wnętrzu i pewnie nabral podejrzeń. Podążenie za nim wydało mi się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. – Bezustannie wpatrzony w szarość w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu, ciągnął swą opowieść: – Widząc, że wychodzi z sali, opuściłem posterunek i udałem się do zakrystii, przemierzyłem nawę klasztorną i okrążyłem budowlę zewnętrzne, żeby przydybać go z zaskoczenia. Złapałem go, wierzcie mi! Gdyby tylko nie wtrąciła się Isabeau... – Na myśl o tym jego głos złagodniał. – Na szczęście jest cała i zdrowa.

– Podziękujcie Gualtierowi de' Bruniemu – przypomniał mu zakonnik. – Pospieszył jej na ratunek i odstawił do monasterium bez jednego zadrapania.

– Młodzieniec o niewątpliwej odwadze – stwierdził Maynard. – W dodatku bardzo roztropany, skoro potrafił powiedzieć, w jakim kierunku uciekł wasz zakonnik.

Spowity mgłą ojciec Andrea zaklął.

– Facio postąpił haniebnie. Wziąć dziewczynkę jako zakładniczkę...

O Panie!

Rycerz skinął potakująco głową i nagle przywołał z pamięci istotny szczegół.

– Możliwe, że przed moim przyjściem zdążył wysłać wiadomość.

– Wiadomość? – powtórzył opat z nutą niepokoju w głosie.

– Domyślcie się, do kogo mógł się zwrócić?

– Ojciec Facio ma potężnych przyjaciół w Ferrarze, u szlacheckiej rodziny Estów, chociaż nigdy nie prosił ich o pomoc, przynajmniej do tej pory... Zdaje się, żeście naprawdę go wystraszyli.

– Przeciwnie – mruknął Maynard. – To on wystraszył mnie.

– Dlaczego tak powiadacie?

– Albowiem mówił mi o rzeczach, których nie znam.

Bezpieczna w kwaterze monasterium Isabeau, czekając na powrót Maynarda, poddała się zmęczeniu i zapadła w sen. Mimo zagrożeń przeżytych w ciągu dnia miała spokojne sny, które umilała postać przybyłego jej na ratunek młodzieńca. Gualtieria. Teraz знаła jego imię; rozbrzmiewało w jej głowie pośród otulonych ciszą i świetlistych obrazów.

Leżąc bez czucia, z pewnością nie mogła przypuszczać, że w otaczającej ją

ciemności, rozświetlanej jedynie blaskiem świecy, czai się intruz.

Był to ojciec Facio. Zbliżył się do niej ukradkiem z zamiarem porwania jej po raz drugi. Żywił przekonanie, że dziewczyna może mu zdradzić przydatne wiadomości, nie mógł jednak pozwolić, żeby jej wrzaski przyciągnęły uwagę łuczników. Poza tym obawiał się, że Francuz może wrócić lada chwila. A chciał przetrząsnąć izbę w poszukiwaniu jakichś wskazówek. Zakonnik musiał koniecznie znaleźć coś więcej na temat swojego nowego wroga.

Przeszukawszy bez powodzenia jedyną skrzynię w tych murach, podszedł do zawieszanej na ścianie sakwy i przejrzał jej zawartość. Nie natrafił na nic istotnego, z wyjątkiem wielkiego złotego pierścienia.

Przypatrzył się pieczęci na oprawie, przyświecając sobie płomieniem... I o mało nie krzyknął z przerażenia.

„Srebrny lew!”, pomyślał, drżąc.

Nie widział go od lat, mimo to owładnęła nim trwoga. Już samo pytanie, skąd ów herb wziął się w Pomposie, wzbudziło w nim pragnienie ucieczki jak najdalej od tego miejsca. „Nie dostanie mnie”, rzekł sobie w duchu. „Już lepsza śmierć. Wszystko jest lepsze”.

Starając się odzyskać trzeźwość umysłu, wsunął pierścień do kieszeni coculli i ostrożnie wycofał się ku drzwiom, tak aby nie obudzić dziewczynki.

Nie czas teraz pielęgnować marzenie o pastorałe opata. Musi odsunąć na bok ambicje i znaleźć bezpieczną kryjówkę, pod skrzydłami potężnego sojusznika. Przeczynał, że wkrótce, już niebawem, będą się działy potworne rzeczy.

Znał bowiem człowieka, który posługiwał się tą pieczęcią. Jego wspomnienie wryło mu się w umysł, ale także w ciało, wraz z bólem, który doskwierał mu codziennie przy każdym ruchu zniekształconych kończyn.

Od czasu, kiedy torturował go pod murami Ferrary, upłynęło czternaście lat. A jeszcze teraz Facio drżał na dźwięk jego imienia.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII**22 MARCA, NOC**

Po komplecie, gdy tylko wszystkie zakonnice udały się do dormitorium, siostra Claire wyruszyła na poszukiwanie Aleydis. Znalazła ją w ogrodzie, chłodzącą poranione przez chwasty dłonie wodą ze studni.

Widząc, jak siostra Claire wyłania się z mroku, nowicjuszka aż podskoczyła.

Koadiutorka poprzestała na pokazaniu jej klucza, który nosiła zawieszony na szyi.

– Sądziście, że się nie zorientuję? – zapytała lodowatym tonem. – Że nie dojdę, iż to wy?

Po niespodziewanym pokrzyżowaniu wcześniejszych planów Aleydis przez resztę dnia czekała na tę chwilę, próbując wymyślić, jak powinna odpowiedzieć na podobne pytanie. Zareagowała z większym spokojem, niż się spodziewała, i kręcąc głową, udała, że nie pojmuje.

Siostra Claire zbyt mocno pragnęła zadośćuczynienia, by pozwolić sobie na takie traktowanie.

– Dlaczegoście to zrobili? Chcecie zająć moje miejsce? – wykrzyczała jej w twarz. Po czym zastygła w ciemnościach w bezruchu i nagle zaczęła łkać.

Nowicjuskę ogarnął szczery żal. W gruncie rzeczy ta biedna zakonnica mimowolnie padła ofiarą jej machinacji. Nie zasłużyła na to, by ją oszukano. Aleydis podeszła do niej, aby ją uspokoić, w nadziei, że wszystko da się załagodzić przeprosinami i paroma miłymi słowami.

Koadiutorka odepchnęła ją jednak szorstkim gestem.

– Dobrze wiem, że matka przełożona was lubi! – wysyczała z twarzą mokrą od łez. – Ale niech wam się nie wydaje, że... Jesteście niczym! Wy... – powtórzyła z odrazą. – Z tą swoją próżnością i przekonaniem o wyjątkowej urodzie... Hrabianka! Myślicie, że jestem ślepa? Myślicie, że inne nie śmieją się za waszymi plecami?

Aleydis spoglądała na nią z niedowierzaniem, głęboko zraniona tak wielką pogardą. Musiała powstrzymać odruch wściekłości i koniecznie znaleźć jakieś wyjście, zanim ktokolwiek je zobaczy.

– Nie unoście się, matko... – szepnęła, starając się ją uspokoić. – Zapewniam was, że...

– Milczcie! – zawołała siostra Claire. – Dzisiaj dzięki wam zostałam

upokorzona po raz kolejny... – Po czym, śmiejąc się ze złością, dodała: – O, ale po raz ostatni! Zawlokę was przed oblicze wielbnej matki, a wtedy będziecie zmuszeni wyznać prawdę.

Nowicjuszka chwyciła ją za rękę.

– Nie czyńcie tego... – rzekła błagalnie.

Zamiast odpowiedzi koadiutorka wymierzyła jej policzek.

Dziewczyna zareagowała odruchowo i popchnęła ją z całej siły na murek, który Claire miała za plecami. W klasztorным mroku usłyszała trzask łamanych kości.

Zdławiwszy rodzący się krzyk strachu, Aleydis pochylila się nad zakonnica i starała się ją ocucić. Zanim wszakże zdążyła się poplamieć spływającą jej po karku lepka ciecza, z ukłuciem skruchy uzmysłowiła sobie, że Claire nikomu już nie wyjawia jej tajemnicy. Co najwyżej siostrze śmierci.

CZEŚĆ TRZECIA

BIAŁY ORZEŁ



OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

26 MARCA

Stojąc na rusztowaniu za ołtarzem, Gualtiero i Sigismondo ostukiwali młotkami ozdobioną freskami lunetę apsydy. Tego samego dnia o brzasku wielebny Andrea przyszedł do ich wozu, aby ogłosić werdykt zakonników. Od tej chwili ojciec i syn nie mieli ani chwili wytchnienia.

Przede wszystkim musieli, nawet za cenę oszpecenia starych malowideł, uczynić ścianę szorstką. Młodzieniec cierpiał, dokonując podobnego spustoszenia, chociaż zdawał sobie sprawę, że należy stworzyć powierzchnię, która przyjmie zaprawę pod nowe freski. Dlatego też nieustannie kuł. Pragnął przystąpić jak najprędzej do kolejnej fazy, kiedy to z ojcem będą nakładać warstwę wyrównującej zaprawy podkładowej, *arriccio*, na której wykonuje się pierwszy szkic. Zrobią go w synopii, a gdy uzyskają aprobatę opata, pokryją powłoką tynku, który będzie podstawą prawdziwego fresku.

Po trwającej cały poranek ciężkiej pracy plecy paliły Gualtiera żywym ogniem i bolało go prawe ramię. Mimo wszystko nie zamierzał zwalniać. Chciał dostosować się do nieustającego rytmu Sigismonda, który zalewając się potem, ciągle uderzał zajadle w oblicze Pantokratora.

Mistrz malarski marszczył czoło i mrużył oczy, aby je chronić przed odpryskami tynku sypiącymi się od ciosów. Teraz jego twardy charakter ujawniał się bardziej niż kiedykolwiek, co podkreślały dodatkowo marsowa mina i kruczoczarna broda, pokryta białawym pyłem. Właśnie w takich chwilach chłopiec cenił go najbardziej – w chwilach pracowitego milczenia, kiedy rozpoznawał w nim własną pasję.

Sigismondo był człowiekiem wielu zalet. Sumienny i niestrudzony, szczycił się doświadczeniem zdobytym w rozmaitych miastach i pracowniach. Oddanie temu, czego nauczył się w młodości, nie pozwoliło mu wszakże wybiegać poza tradycję. Tego chłopiec nie potrafił znieść. Uznawał sztukę malarstwa za język, którego przeznaczeniem jest się rozwijać, a nie pozostawać uwięzionym przez niezmiennie zasady.

Triumf, jaki odniósł przed kapitułą mnichów, był tego doskonałym dowodem. Gualtiero ciągle nie mógł uwierzyć, że wkrótce wygląd apsydy Pomposy będzie owocem jego inwencji. Gdyby poprzestał na wypełnianiu poleceń ojca, tak by się nie stało. Myśli tej towarzyszyła odrobina żalu, uzmysławiał sobie

bowiem, że nie może dzielić radości z dumnym Sigismondem.

W jego głowie kłębiły się także spostrzeżenia dotyczące wielebnego Andrei. Zakonnik powiadomił ich o zgodzie kapituły zbyt chłodno i w zbyt wielkim pośpiechu, wzbudzając w nich podejrzenie, że nadal jest wzburzony wstrząsającymi wydarzeniami ostatnich dni. Gualtiero dowiedział się o nich zupełnie przypadkowo, odprowadzając francuską dziewczynę do monasterium. Powiedziano mu wówczas, że mnich, przed którym ją ocalił, zbiegł z opactwa.

Wtem dźwięki ojcowskiego młota ustały, a wtedy spostrzegł, że skuli cały kawałek ściany, aż do poziomu własnych kostek. Aby zwieńczyć dzieło, trzeba było zejść z rusztowania, przesunąć je i zająć się niższą częścią.

Sigismondo otarł czoło z uśmiechem zadowolenia.

– Wieczorem skończymy.

– Zatem jutro będziemy mogli nałożyć *arriccio* – oznajmił Gualtiero.

Ojciec skinął głową, usiadł na desce rusztowania i upił łyk z manierki.

– Co powiesz na odpoczynek? – zapytał. – Umieram z głodu.

– Ja też.

Śmiech mężczyzny przerwał atak kaszlu, wywołanego unoszącym się w powietrzu pyłem.

– Wobec tego leć i powiedz matce, żeby zrobiła nam coś do jedzenia – poklepał go po plecach.

Odwzajemniejszy gest, chłopiec zeskoczył z rusztowania i ruszył szybkim krokiem ku wyjściu.

„Właściwie to był piękny dzień”, pomyślał.

Przekroczywszy portal, Gualtiero, zdumiony, natknął się na orszak uzbrojonych jeźdźców stojących przed opactwem. Jego uwagę zwrócił natychmiast chorąży, który dzierżył godło przedstawiające białego orła na błękitnym polu. Takie same barwy widniały na wielu szatach i czapkach. Wyróżniał się wszakże wśród nich mężczyzna cały odziany na żółto, z wyjątkiem czerwonego szkaplerza, z którego zwisał długi, cienki kaptur.

Nie wiedząc, kim są ci ludzie, młodzieniec przemknął niepostrzeżenie do wozu, gdzie ujrzał Sapię stojącą na zewnątrz i obserwującą nowo przybyłych. Zdziwił go jej niespokojny, niemal zalekniiony wyraz twarzy. Nigdy dotąd jej takiej nie widział, nawet w najtrudniejszych chwilach – przez okamgnienie wydało mu się nawet, że ma przed sobą obcą niewiastę. Zanim zdołał poprosić ją o wyjaśnienia, zorientował się, że właśnie dzieje się coś niecodziennego.

Z jednej z budowli przylegających do wirydarza wyłoniło się czterech zakonników. Kroczył przed nimi pełen godności, niemal wrogo, wielebny Andrea, zupełnie jakby prowadził ich na bitwę. Zatrzymał się przed orszakiem i splótł ramiona na piersi, nie przywitawszy się.

– Nawet się nie skłonicie, ojcze? – przemówił do niego człowiek odziany na

zółto.

– Wasze konie brudzą mi odchodami dziedziniec – odparował opat – a wy domagacie się jeszcze, żebym się kłaniał?

Jeździec pozwolił sobie na piskliwy chichot.

– Gdybyście wiedzieli, do kogo się zwracacie, unikalibyście tak zuchwałych słów.

– Wystarczy, że znam panów, którzy wam towarzyszą – dodał Andrea, wskazując na mężczyznę u jego boku. – Maffeo da Brescia, naczelny dowódca milicji Ferrary, wraz z konetablami Gabriottem da Canossa i Niccolò de' Robertim. To posłańcy markiza Obizza III d'Este, którego zbyt lekko określa się mianem obrońcy tych ziem.

– Przybyliśmy tutaj nie tylko w imieniu Jego Wielmożności – oznajmił mężczyzna odziany na żółto – ale również Jego Ekscelencji biskupa Ferrary.

– Biskupa... – powtórzył ani trochę nieonieśmielony opat. – Jesteście zatem jego totumfackim?

– Jego widamem – uściślił tamten, pokazując wysadzany klejnotami krucyfiks, który wisiał mu u szyi. – Moje imię brzmi Superanzio Orsini, będziecie je już znali przy naszym następnym spotkaniu.

– Pomijając to, kim jesteście, władza biskupa tutaj nie sięga. Tym bardziej jego sług.

– Macie czelność uczyć mnie, co mogę, a czego nie mogę robić? – W głosie Superanzia brzmiały i kpina, i groźba. – Jak niedawno wspomniałem, przyjechałem do Pomposy w pewnej kwestii, która dotyczy zarówno biskupa, jak i markiza Obizza. – Zamilkł na chwilę. Po czym, mierząc zakonnik z wysokości siodła, obwieścił: – Podobno jeden z waszych mnichów zwrócił się do Jego Wielmożności, donosząc o paru nieprawidłowościach w zarządzaniu klasztorem.

– O jakim mnichu mówicie? – chciał wiedzieć Andrea, który uciszył współbraci za plecami.

– O ojcu Faciu di Malaspinie.

– Ojciec Facio zbiegł. Nie ma go tu od czterech dni.

– Właśnie przed czterema dniami wysłał wiadomość – powiedział widam. – Wiadomość nadaną gołębiem pocztowym, w której zarzuca wam marnotrawienie pieniędzy na freski.

– Marnotrawienie pieniędzy? – Wielebny ojciec zmarszczył brwi. – Może powinienem gromadzić bogactwa jak jakiś lichwiarz? Byłby to grzech porównywalny do chciwości.

– W czasach głodu rozrzutność jest równie srogim uczynkiem – upomniał go Superanzio, poważniejąc. – Zwłaszcza jeżeli jest się dłużnikiem Kamery Apostolskiej. A wy jesteście, mam rację? Znam wasze położenie.

Andrea spurpurowiał.

– Nawet gdyby tak było, w jakim stopniu dotyczy to biskupa Ferrary?

– Jego Eminencja może tylko wyrazić potępienie dla waszych postępów – wyjaśnił widam z oślizłym uśmiechem. – Lecz jako namiestnik papieski markiz Obizzo III d’Este ma wszelkie prawo do odzyskania długu. I wzięwszy pod uwagę okoliczności, postanowił odebrać go sobie z pieniędzy, które nieroztropnie chcieliście wydać na fresk.

– To śmieszne! Kwota, o której mówicie, jest tak niska, że nie pokryje nawet dziesiątej części zadłużenia...

– Niemniej jednak – przerwał mu Superanzio – zaczniecie od niej.

Opat zacisnął pięści, nie potrafiąc zachować spokoju.

– To nadużycie władzy! – sprzeciwił się. – Napiszę do biskupa Bolonii... Do samego Ojca Świętego...

– Piszcie sobie, do kogo wam się żywnie podoba, ojcze. Moim zadaniem było jedynie was ostrzec. – Co powiedziawszy, emisariusz biskupa obejrzał się na zbrojnych, którzy stali za jego plecami, szykując się do wyłuszczenia powodu ich obecności. – W tej chwili powinny was zaprzętać zupełnie inne zmartwienia. List ojca Facia w rzeczywistości nadmienia o waszym kolejnym zaniedbaniu. Podobno udzielacie schronienia ludziom, którzy są wrogami miasta Ferrary.

Opat zmierzył go wzrokiem pełnym zawodu.

– Pokładacie większą ufność w kalumniach rzucanych przez zbiegłego zakonnika niż w mojej osobie?

– Ja w nikim nie pokładam ufności, wierzcie mi. Jestem tu z ludźmi markiza Este po to, żeby wyjaśnić proste wypadki. Niemniej jako że w wiadomości od Facia nie figurują żadne imiona, proszę o pozwolenie na przeszukanie... – Superanzio Orsini nie dokończył zdania, nieoczekiwanie wbijając wzrok w wóz stojący nieopodal opactwa. Twarz mu posiniała, usta otwarły się ze zdumienia.

Gualtiero, który do tej pory przyglądał się temu z daleka, poczuł na sobie świdrujące spojrzenie tego mężczyzny; sądząc, że w jakiś sposób ściągnął na siebie jego uwagę, czym prędzej skinął przepraszająco. Zdał sobie jednak sprawę, że widam nie wpatruje się w niego, lecz w jego matkę.

Co jeszcze dziwniejsze, Sapia odwzajemniła jego spojrzenie. Widząc, że jest zakłopotana, a zarazem doskonale wie, co się dzieje, młodzieniec ścisnął jej dłoń.

– Matko, matko... – zawołał oszołomiony. – Zechcecie mi wytłumaczyć?

Zamiast odpowiedzi rozległ się pełen niedowierzania głos biskupiego emisariusza.

– Co *ona* tu robi? – wrzasnął odziany na żółto mężczyzna, zapominając o manierach. – Kapitanie Maffeo da Brescia – wysyczał, wskazując Sapię. – Natychmiast pojmać tę niewiastę!

Jego słowa pobudziły do czynu wszystkich obecnych niczym smagnięcie

bicza. Naczelnny dowódca szczechnął suchy rozkaz, po czym trzech jeźdźców puściło się pędem w kierunku wozu.

Cokolwiek się działo, działo się zbyt szybko, by Gualtiero zdołał to pojąć. Na widok trzech zbrojnych szarpiących wodze na jego oczach i zsiadających z wierzchowców stanął w obronie matki.

– Wyjaśnijcie mi, o co tu chodzi – błagał ze zgrozą.

Sapia, która zachowywała się, jakby straciła mowę, wpatrywała się weń tylko z rozpaczliwą miłością. Następnie przeniosła wzrok na zbrojnych i wymazała z twarzy wszelkie uczucia, zamieniając ją w nieprzeniknioną maskę. Chłopiec ponownie doznał wrażenia obcości i pokręcił głową, niezdolny zrozumieć. Tymczasem odepchnięto go na bok, ją zaś pojmano, a jeden ze zbrojnych zmusił go, by zastygł w bezruchu.

Niewiasta nie opierała się. Pozwoliła się zaciągnąć przed oblicze widama bez słowa skargi.

– Wy! – wyszczał jej prosto w twarz Superanzio, ledwie przed nim stanęła. – Myślałem, że nie żyjecie, a jednak... – Przyglądał się twarzy Sapii, gładząc się po policzku coraz bardziej wstrząśnięty. – Ale czy możliwe, że to naprawdę wy?

Ona nawet nie mrugnęła. Wyprostowana, z dłońmi złożonymi na podolku, czekała niewzruszona na decyzje mężczyzny. Natomiast Gualtiero obserwował ją oniemiały, zdumiony, że matka potrafi okazać tak chłodny spokój w podobnych okolicznościach. Obca mu była nawet jej postawa i sposób trzymania głowy, zupełnie jak u szlachcianki. Chłopiec nie zastanawiał się wszakże nad powodem tego. Był zbyt wzburzony, by trzeźwo rozumować. Bał się, ogarnęło go szalenie przerażenie, że mu ją zabiorą.

– Tak! – powiedział w końcu emisariusz biskupa. – To rzeczywiście wy, pani, nie mylę się – po czym zwrócił się do Maffea z Brescii, zaciskając pięść. – Kapitanie, posadźcie ją na koniu i pilnujcie. To z pewnością o tej żmii wspominał w liście Facio.

Na te słowa Gualtiero spróbował się wyswobodzić z silnego chwytu trzymającego go zbrojnego i krzyknął do opata:

– Ona nie popełniła żadnej zbrodni! Proszę was, wielebny ojcze, wstawcie się za nią!

Zanim jednak Andrea zdążył się odezwać, Superanzio Orsini wrzasnął rozdzierająco, niespodziewanie spadając z siodła prosto w końskie łajno. Ku powszechnemu zdziwieniu ukazał się nad nim Sigismondo, wymachując młotkiem, którego niedawno używał do ostukiwania ściany apsydy.

– Nie ważcie się jej tknąć! – ryknął mistrz malarski z pogardą i rozpaczą na twarzy. – Na Boga, to moja żona! Nie ośmielicie się... Nie ośmielicie się!

Gualtiero krzyknął coś do ojca, na próżno usiłując się uwolnić, tymczasem zbrojni skrępowali Sigismonda i zasypali gradem ciosów.

– Wielebny Andreo – zawołał znowu, nie wiedząc, do kogo innego mógłby się zwrócić – zaklinam was! – Po niespodziewanym kuksańcu w bok runął twarzą w trawę, po czym otrzymał uderzenie w kark.

Zanim stracił czucie, ujrzał, jak Superanzio Orsini wyciera się, jak może najdokładniej, z łajna i gotując się ze złości, dosiada konia.

W tej samej chwili emisariusz biskupa wskazał jego ojca.

– Kapitanie – rozkazał – pojmać także i tego!

Kiedy Gualtiero otworzył oczy, nie leżał już na ziemi, chociaż przez chwilę wydawało mu się, że czuje dotyk trawy na twarzy. Spoczywał na posłaniu w ciemnej izbie. Naprzeciwko siedziała jakaś zakapturzona postać. Usiłując się rozeznaczyć, kto to jest, młodzieniec wsparł się na łokciach i czekał, aż minie odrętwienie. Zanim to nastąpiło, dopadło go wspomnienie ostatnich wydarzeń.

- Co z matką? – zapytał, drżąc. – Co z ojcem?
- Nie turbujcie się, synku – nakazał mu zakonnik, kładąc dłoń na jego piersi.
- Dostaliście brzydki cios w głowę.

Gualtiero rozpoznał głos ojca Andrei.

- Odpowiedzcie, proszę. – Usiadł z trudem. – Co się z nimi stało?

Wielebny ojciec spuścił głowę.

- Pojmani.

Gualtiero poczuł, że pochłania go czarna topiel. Oczyma duszy ujrzał na nowo chwile schwymania Sapii i Sigismonda, pogrążając się w narastającej rozpacz. Coś w nim buntowało się na myśl, że to się wydarzyło naprawdę, gdyż nadal żywił nadzieję, że to tylko zły sen. Tymczasem smutny wzrok opata przywracał go do rzeczywistości.

„Teraz zostałem sam”. Młodzieniec uzmysłowił sobie, że nie wie, co czynić ani tym bardziej kogo poprosić o pomoc. Do tej pory nigdy nie musiał sam dbać o siebie. Teraz wszakże nie miał wyboru. Starał się więc opanować, lecz na wspomnienie matki w rękach zbrojnych nie zdołał powstrzymać łez. „Dlaczego?”, zapytał sam siebie. „Dlaczego ich pojmano?”

Gdy już miał zadać to pytanie opatowi, jęła go dręczyć jeszcze poważniejsza kwestia, toteż poczerwieniał z gniewu.

- Z jakiego powodu się nie wtrąciliście? – wysyczał z nagłym oburzeniem. – Przecież was błagałem... A wy nawet nie kiwnęliście palcem!

– Nie mogłem nic zrobić – tłumaczył się wielebny ojciec, skrywając twarz pod kapturem.

Gualtiero poderwał się i chwycił go za skraj habitu.

- Czy to nie wy twierdziliście, że biskup nie ma władzy nad Pomposą?
- Nadal tak twierdzą. – Zakonnik wyswobodził się z uścisku. – Jednakże co do markiza, jest inaczej.

– Do diabła z kruczkami! – Młodzieniec nie potrafił się uspokoić, czuł się zdradzony. Chociaż znał tego mnicha ledwie od kilku dni, łudził się, że zrodziła się między nimi więź wykraczająca poza zwykłe zlecenie wykonania fresku. Zresztą nie kto inny, tylko Andrea obdarzył go zaufaniem, pozwalając uwierzyć, że jest wyjątkowy. Żeby później, w największej potrzebie, odwrócić się do niego plecami niczym obcy. – Moi rodzice są niewinni – zawołał, spoglądając nań ponurym

wzrokiem. – A wy... Wy... Dopuszciliście, żeby wyruszyli na spotkanie nieprzychylnego losu.

– Zostałem zmuszony – odparł opat, nakazując mu gestem, by ściszył głos. – Widam rozpoznal w twojej matce wroga Ferrary.

– To niemożliwe.

– Tak czy inaczej, właśnie ta przyczyna uniemożliwiła mi jej obronę. Oskarżenie jest bardzo poważne. Przykro mi, synu. Naprawdę mi przykro.

Gualtiero nie wierzył własnym uszom. Wyglądało na to, że ojciec Andrea rzeczywiście żałuje, jego słowa były jednak pozbawione sensu.

– Dokąd ją zabiorą? – zapytał znienacka.

– Do Ferrary. Markiz Obizzo zdecyduje o jej losie w obecności Rady Mędrców. – Opat westchnął i położył mu dłoń na głowie. – Musicie być dzielni, reakcja widana była zbyt zdecydowana, żeby mógł się pomylić.

– Czyżbyście się upierali przy tym, że nie znam własnej matki? – wybuchnął młodzieniec, którego znów ogarnął gniew. – To była pomyłka. Orsini musiał ją wziąć za jakąś niewiastę, która jest do niej podobna. – Słyszając jednak z własnych ust te słowa, zdał sobie sprawę, że wcale nie jest ich taki pewny. W chwili pojmania Sapia zachowywała się tak obojętnie, jakby była kimś obcym. Myśl ta, nawet bardziej niż rozpacz, wzmagająca w nim poczucie zagubienia, niemal ograbienia z własnego życia. Sprawa matki nie była wszakże jego jedynym zmartwieniem.

– A ojciec? – zapytał po krótkim milczeniu. – Dlaczego on też?

– Dlatego, że się wtrącił, stawiając opór – wyjaśnił z goryczą opat. – Superanzio Orsini nie wybaczył mu upokorzenia, na jakie go naraził wasz ojciec.

Gualtiero zerknął nań spod oka.

– W jego obronie także nie udało się wam nic zrobić...

Znużony tymi zarzutami Andrea odsunął się od posłania Gualtiera i nakazał mu gestem, aby był cicho.

– Jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, to uratowanie *was* i tak było ogromnym wyczynem – oznajmił z wyższością. – Kiedy zemdlelicie, zbrojni chcieli was pojmać razem z ojcem. Użyłem całego swojego autorytetu, by przekonać dowódcę Maffea da Brescia, żeby puścił was wolno.

Słyszając te słowa, młodzieniec poczuł się jak niewdzięcznik. Wszelako było to ulotne wrażenie, gdyż przyćmiła je troska o rodziców.

– I co mogę teraz uczynić...

Wzrok zakonnika złagodniał.

– Zostaniecie tutaj, w domu gościnnym monasterium – rzekł, pochylając się nad nim. – Pozwolę wam tu mieszkać, dopóki nie poznamy dalszych wypadków. Tymczasem napiszę do biskupa Ferrary i poproszę o łaskę dla waszej matki i ojca. W gruncie rzeczy macie słuszość, ja też ponoszę winę.

– Wykorzystywanie was nie jest moim zamiarem, wielbny ojcze... – szepnął młodzieniec, wstając. – Jestem w rozpacz, to prawda, i sam nie wiem, jak mógłbym wam odpłacić za tyle starań.

– Znajdziemy sposób – uspokoił go z uśmiechem Andrea. – Teraz odpoczywajcie i módlcie się do Pana.

Po wielu dniach przetrząsania okolic opactwa Maynard postanowił zmienić strategię. Przecinająca *Insula Pomposiae* droga pielgrzymia była zbyt uczęszczana, by zdołał odnaleźć Facia. Prowadziła od Wenecji do Rawenny, mijając tak wiele wiosek, gospód i klasztorów, że nie sposób było wszystkie przeszukać. Poza tym istniały jeszcze drogi wodne. W przeciwieństwie do opata rycerz uważał, że brzegi Padu zapewniają mnóstwo możliwości niepostrzeżonej przeprawy. Nie wspominając o okolicznych bagnach – labiryncie, w którym łatwo było zgubić trop.

Jednocześnie Maynard dysponował wystarczającą liczbą szczegółów, aby przewidzieć posunięcia zbiega. Facio di Malaspina wydał mu się zbyt przebiegły, by mógł narazić się na schwywanie po drodze. Posłuży się każdym podstępem, szukając oparcia wśród przyjaciół, którzy mogą mu zagwarantować schronienie i bezpieczeństwo. Sam zaś dał jasno do zrozumienia, do jakiego rodzaju przyjaciół może się zwrócić: *do kogoś, kto wkrótce przybędzie mi z pomocą*. Zatem do potężnych osób, które ojciec Andrea rozpoznał bez wahania w szlacheckim rodzie Estów, osiadłym w Ferrarze.

Rocheblanche liczył, że dotrze do tego miasta w ciągu dnia. Opuścił opactwo wcześniej rano. Spiał karego i pogał na zachód ścieżkami wijącymi się między wysokimi pagórkami nad Padem. Podążał w tym kierunku, kiedy słońce stało wysoko, oświetlając ciągnące się wokół pola i lasy.

Nie wpadł jeszcze na pomysł, jak zbliżyć się do markiza Este, nie wzbudzając podejrzeń. Schwywanie jednego z jego protegowanych i wykręcenie się sianem to nie byle co, niemniej było za wcześnie, żeby się martwić. Gdy dotrze na miejsce, znajdzie sposób, żeby wykurzyć tego węża i odzyskać skradzione relikwie.

Tymczasem jego umysł zajmowały zupełnie inne troski. Maynard wątpił, by Facio był z nim szczery, wspominając o *Lapis exilii* oraz o *Codex Millenarius*. Jeśliby się jednak mylił, należałoby się zastanowić, czy księga ta może wyjaśnić zagadkę pergaminu, który doprowadził go do Mont-Fleur.

Zagadkę anioła ciskającego kamień do morza.

Przepowiednia ta go opętała. Za każdym razem, gdy sobie o niej przypominał, przeczuwał jakiś związek ze swoim snem o trzech jeźdźcach. Snem, który miał na polu śmierci na krótko przed wplątaniem się w poszukiwanie *Lapis exilii*. Uważał, że nie był to zbieg okoliczności.

Przekonanie to umocniło się właśnie w Mont-Fleur, kiedy Maynard usłyszał słowa Manessiera o trzech pierwszych wysłannikach znanych z Apokalipsy. Ich ogniste barwy stanowiły zapowiedź złych rządów, wojny i głodu. I choć stykał się wcześniej z podobnymi plagami, obawiał się, że odnalezienie *Lapis exilii* może

w pełni wyzwolić ich niszczycielską potęgę.

Otarł czoło, gdyż nagle zrobiło mu się gorąco. Południowe słońce stało się dokuczliwe z powodu niezdrowej wilgoci parującej z ziemi. Rycerz postanowił skierować się ku dzwonnicy wznoszącego się ponad osadą kościoła, aby poszukać studni, z której mógłby się napić.

W miarę jak się do niej zbliżał, jego oczom ukazywało się skupisko chat przycupniętych nad rzeką. Kościół stał w samym środku. Podjechał truchtem i zatrzymał się przed młodym księdzem, który właśnie kopał w ogrodzie.

– Wielebny ojciec – rzekł – poproszę o wodę, aby ugasić pragnienie.

Duchowny podniósł wzrok, ukazując twarz o pospolitych rysach, właściwych raczej wieśniakowi niż kapłanowi.

– Skąd przybywacie, nieznajomy?

– Z Pomposy – odparł Maynard, zsiadając z konia – i zmierzam do Ferrary. Potrafilibyście mi powiedzieć, czy to jeszcze daleko?

– To zależy od kroku waszego wierzchowca. – Odłożywszy motykę, ksiądz wytarł powalane dłonie w sutannę i wskazał ceber z wodą za swoimi plecami. – Teraz jesteście przy Caput Guari, jeszcze nie w połowie drogi, i... – ponownie spojrzął na Francuza i wpatrzył się szeroko otwartymi oczami w broń, którą dojrzał u jego pasa.

Rocheblanche, w którym jego reakcja wzbudziła podejrzenia, zachęcił go skinieniem głowy, by mówił dalej.

Duchowny zawahał się zakłopotany, skrywając niepokój.

– Otóż widzicie... – wyznał. – Bardzo niedawno w tym samym kościele zatrzymał się oddział konnych.

– I cóż? – chciał wiedzieć Maynard.

– Podążali w przeciwnym kierunku niż wy, z Ferrary do Pomposy. Właśnie dlatego się zdziwiłem.

Chociaż rycerz nie znał przyczyny owego nagłego zmieszania, domyślił się, że jest coś jeszcze. Uśmiechając się groźnie, wyciągnął rękę i nabrał warząchwią trochę wody z cebra.

– Czy bylibyście tak uprzejmi i wyjawili mi, co to za ludzie?

– Z rodzaju tych, którym nie zadaje się pytań – ociągał się kapłan.

– Mimo to twierdzicie, że wiecie, skąd przybyli.

– Po prostu rozpoznałem barwy ich szat...

– Jakie barwy?

– Biel i błękit. To byli zbrojni Estów.

Maynard upił łyk wody z warząchwi, nie spuszczać z niego wzroku.

– Czyżbyście po barwach odgadli także kierunek, w którym zmierzali?

– Któryemuś z nich musiało się coś wyrwać...

– A dlaczego tak was to przeraża?

Ksiądz przełknął ślinę i kilkakrotnie zamrugał. Jego twarz była złana potem.

– Powiedzieli, że jadą do Pomposy... – oznajmił wreszcie – żeby kogoś pojmać.

Wybuchnąwszy sztucznym śmiechem, Rocheblanche oddał mu warząchew i podniósł ceber, aby napić konia.

– Nawet gdybym był tym kimś, nie macie się czego obawiać.

Następnie skinął mu na pożegnanie i zwinnie wskoczył na wierzchowca.

Oddalając się, zastanowił się nad tym, czy Facio maczał palce w owym poruszeniu wśród zbrojnych. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że szukali właśnie jego – zbyt wysokie, by nie brać go pod uwagę.

Wówczas przypomniał sobie o Isabeau. Zostawił ją w opactwie, wierząc, że jest bezpieczna. Nawet nie myślał, co by się z nią stało, gdyby ludzie Estów odkryli, że przybyła do Pomposy akurat z kimś, kogo szukają.

„Pościg za Faciem będzie musiał zaczekać”, powiedział sobie.

Skierowawszy karego na wschód, szarpnął wodze i popędził z powrotem, aby jak najprędzej znaleźć się w miejscu, z którego wyruszył.

Zjawił się w opactwie tuż przed zmierzchem. Oddał konia w ręce stajennego i pognął do kwatery, w której zostawił dziewczynę. Zanim jednak zdołał tam dotrzeć, ojciec gwardian powiadomił go, że opat pilnie chce z nim mówić.

– Najpierw pragnę się upewnić, że moja siostra ma się dobrze – odparł zdyszany.

– Nie macie żadnego powodu, by się o nią martwić – uspokoił go zakonnik.

– Spotkacie się z nią później.

Wielebny Andrea zaszył się w ozdobionym łukami i kolumnami *palatium*, które wznosiło się naprzeciwko klasztoru. Do tej pory Maynard nie miał sposobności go zwiedzić. Przyjrzał się oświetlonemu pochodniami zewnętrznemu krużgankowi, nad którym znajdowała się wyższa kondygnacja, obfitująca w wielodzielne arkadowe okna. Starał się nie zastanawiać nad tym, czego chce od niego opat, spodziewał się bowiem, że sprawa dotyczy zajścia z udziałem zbrojnych Estów. Wystarczyło mu przeświadczenie, że nic mu nie grozi. W przeciwnym razie pojmano by go tuż po przybyciu na miejsce.

Dotarwszy do nabijanych ćwiekami drzwi portalu, zastukał w nie kołatką. Po trzecim uderzeniu wpuścił go posługacz i poprowadził w głąb westybulu, za którym oczom Rocheblanche'a ukazało się ciemne, obwieszane arrasami pomieszczenie. Jedyne źródło światła stanowiła świeca na stole.

W rogu izby nad otwartym pulpitem pochylał się widoczny nie bardziej niż cień ojciec Andrea. Skinąwszy Maynardowi na powitanie, szperał dalej, dopóki nie wyciągnął okazałego skórzanego worka, który wydawał wymowne dzwonięcie. Dopiero wtedy wstał i podszedł do stołu, gdzie czekało nań kilka opatrzonych pieczęciami listów.

– Czyżbyście gotowali się do ucieczki? – zapytał z przekąsem Francuz.

– Postanowiłem się z wami spotkać nie po to, byście ze mnie drwili – ostrzegł wielebny ojciec. – Gdzieście byli przez cały dzień?

Maynard wyczuł w jego głosie głęboką urazę, a gdy przez chwilę jego twarz oświetlał blask świecy, dostrzegł żłobiące mu czoło bruzdy.

– Szukałem ojca Facia, podobnie jak w ciągu poprzednich dni – odparł mgliście.

– Ojca Facia! – wykrzyknął zakonnik i cisnął workiem o stół. – Przez was ten niktzemnik postanowił sprowadzić nieszczęście na całe opactwo.

– Mówcie jaśniej, proszę.

– Wysłał wiadomość, tak jak przypuszczaliście. I właśnie tą wiadomością zwrócił uwagę panów Ferrary na Pomposę. – Andrea położył dłoń na worku, posępniejąc coraz bardziej. – Żeby uspokoić nastroje, będę musiał wysupłać więcej pieniędzy, niż mam.

Maynard popatrzył nań zakłopotany.

– Nie spodziewałem się, że to kwestia pieniędzy...

– To dopiero wstęp, messer. Pod pretekstem wyegzekwowania długu zbrojni markiza Obizza III d'Este przybyli tutaj w poszukiwaniu podejrzanych osób.

– Słyszałem coś o tym.

Opat pokiwał głową.

– Rzecz jasna, Facio di Malaspina zamierzał donieść na was władzom, skoro jednak nie znał waszego imienia... – Przerwawszy niespodziewanie, zgasił płomyk świecy i ruszył do wyjścia. – Lepiej ciągnąć tę rozmowę na zewnątrz, gdzie nasze słowa zginą na wietrze.

Rocheblanche zastygł w ciemnościach, targany wieloma przecuciami. Po chwili wahania udał się za opatem.

Andrea zamknął izbę na klucz, przekroczył próg i wyszedł w gwiazdzistą noc. Zaczekawszy, aż Francuz weźmie tkwiącą w murze pochodnię, zbliżył się do niego i podążył ku monasterium.

– Wiadomość od ojca Facia musiała brzmieć niezbyt jasno, czego skutkiem było poważne nieporozumienie – oznajmił. – Tak czy inaczej, sprawa jest bardzo złożona. Krótko mówiąc, messer, zamiast was pojmano kogoś innego.

Rycerz drgnął.

– Kogo?

– Rodziców Gualtieria de' Bruniego, młodego malarza.

– Z jakiego powodu?

Przed odpowiedzią opat przystanął i zapatrzył się w niebo. Jego twarz, widoczna w blasku płomienia, zdradzała silne rozdrażnienie.

– Chcecie prawdy? – zapytał przez zęby. – Cóż, nie znam jej. O ile wiem, nie istnieje powód, dla którego panowie Ferrary mieliby się obawiać tak skromnych

ludzi. Mimo to widam biskupa twierdzi co innego. Dostrzegł w żonie mistrza malarskiego zagrożenie.

– Zagrożenie... – Maynard był coraz bardziej zakłopotany. Z pewnością nie mógł powiedzieć, że martwi się o tych ludzi. Ledwie ich widział, nie wiedział nawet, jak się nazywają. Nie mógł jednak znieść, żeby ktokolwiek cierpiał z jego powodu. Ponadto znał młodego Gualtiera. Przysłuchiwał się jego przepelnionej pasją mowie przed kapitułą mnichów i pozostał pod tak ogromnym wrażeniem, że zapragnął jak najprędzej podziwiać fresk, który Gualtiero zamierzał namalować. – A chłopiec? – zapytał odruchowo.

– Jest tutaj – odrzekł Andrea. – W domu gościnnym.

– Co się z nim stanie?

Opat po raz pierwszy najwyraźniej złagodniał i posłał mu zagadkowy uśmiech.

– Mam wobec niego pewne plany.

Rycerz usiłował odgadnąć, co oznaczają słowa opata, zwłaszcza widząc jego tajemniczą minę.

– A powiedzcie, czy on zdaje sobie sprawę z nieporozumienia?

– Na pewno nie wie, że padł ofiarą intrygi, której źródłem jesteście wy, jeśli o to wam chodzi.

– Mam nadzieję, że będę mógł temu zaradzić...

– Już ja o to zadbam – wyjąwił Andrea, ruszając ku monasterium. – Napiszę do biskupa Ferrary i do markiza Obizza III d'Este.

Na dźwięk tych słów Maynard doznał olśnienia.

– Pozwólcie, abym to ja dostarczył wasze listy.

Opat zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– A to niby dlaczego?

– Moim zdaniem Facio di Malaspina prawdopodobnie szuka schronienia u markiza Este.

– Wcale tego nie wykluczam, aczkolwiek nie jestem w stanie potwierdzić z całą pewnością... Ale nawet gdyby tak było?

– Pod pretekstem dostarczenia listów mógłbym zbliżyć się do Estów i powęszyć... – szepnął bardziej poufnym tonem rycerz.

– Teraz pojmuje – oświadczył opat, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. – W istocie odnalezienie Facia mogłoby się okazać korzystne nie tylko dla was. Dopóki ten zakonnik pozostaje na wolności, dopóty będzie siał niezgodę i przedstawiał w fałszywym świetle moje działania. Niemniej... będziecie musieli odczekać kilka dni, zanim udacie się do Ferrary.

– Znana jest wam jakaś przeszkoda?

– O ile wiem, biskup nie będzie obecny w mieście przed Wielkim Piątkiem. Gdybyście mieli pokazać się wcześniej w okolicy, moglibyście wzbudzić

podejrzenia jego widama.

– To znaczy, ojczy, że muszę się wstrzymać – zgodził się Maynard.

Obaj mężczyźni oddalali się w mroku nocy, a Gualtiero nie przestawał szpiegować ich zza drzewa, bacząc, by się nie zdradzić. Dopiero gdy zniknęli w ciemnościach, wychynął z kryjówki i wrócił do należącego do jego rodziny wozu, porzuconego na skraju dziedzińca. Wśliznął się do niego ukradkiem, przez chwilę mając nadzieję, że ujrzy Sapię i Sigismonda pograżonych we śnie. Przywitały go natomiast znajome zapachy oraz cisza, od której krew ścięła mu się w żyłach.

Czekając, aż żal minie, zapalił lampkę oliwną i podszedł do sztalugi, na której nadal stał portret matki. Przyjrzał mu się w blasku płomienia, zżerany lękiem. Nigdy sobie nie wyobrażał, że mógłby się tak bać.

Nieporozumienie, rzekł do francuskiego wędrowca opat. *Intryga*.

Wprawdzie nie wiedział, co znaczą słowa wielebnego ojca, lecz zorientował się, że jego rodzice zapłacili za winy kogoś innego. Miał jednak przeświadczenie, że to nie jest takie proste. Przecież Superanzio Orsini nie domagał się pojmania pierwszej lepszej osoby, lecz jego matki. I nie uczynił tego dla zachcianki, a tym bardziej po to, by znaleźć kozła ofiarnego.

Uczynił to, albowiem spojrzawszy na nią, nabrał przekonania, że rozpoznaje wroga.

Gualtiero długo wpatrywał się w obraz, jakby chciał zadać mu pytanie. Wcale już nie był pewien, czy rozpoznaje twarz niewiasty, którą na nim przedstawił.

„Kim jesteś?“, zastanawiał się. „Kim naprawdę jesteś?“

Zanim płomień lampki oliwnej zgasł, zdjął deskę ze sztalugi, starannie owinał w płótno i zabrał ze sobą.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

27 MARCA

Siostra Claire zniknęła przed pięcioma dniami.

Eudeline kazała już przetrząsnąć cały klasztor od góry do dołu przynajmniej ze trzy razy, ale nie udało jej się odkryć, co się z Claire stało. Wszelki ślad po niej zaginął dwudziestego trzeciego marca, kiedy nie zjawiała się na jutrzni. Co jeszcze dziwniejsze, w jej celi pozostały rzeczy osobiste, w tym także płaszcz, który byłby jej potrzebny, gdyby wyszła na zewnątrz. Tylko jej brakowało.

Rozpłynęła się w powietrzu. Właśnie tymi słowy matka przełożona wyjaśniła, co się stało, dwóm *advocati*¹³ biskupa, przybyłym do Świętej Balsamii, aby wyjaśnić sprawę. Zapoznawszy się z faktami, mężczyźni wymieniali pełne zakłopotania spojrzenia. Wzruszyli ramionami, dając do zrozumienia, że w tego rodzaju przypadkach niewiele można zrobić. Z pewnością nie była to pierwsza niewiasta zaginiona w Reims. Ciągłe słyszało się o żonach, które uciekały od porywczym mężów, córkach, które odchodziły po kryjomu z obcymi, nierządnicach, które błądziły na skraju miasta... A teraz zakonnica, która zbiegła z klasztoru.

– Nie zbiegła – sprostowała Eudeline, bardziej z powodu dumy niż z przekonania. Nie mogła uwierzyć, żeby siostra Claire samowolnie się oddaliła. Była łagodna i posłuszna, poświęciła się życiu w prawdziwej pobożności.

Obaj urzędnicy wysłuchali jej nieufnie, niemal z rozbawieniem, aż jeden z nich skwitował:

– Może się zakochała.

„W takim głupcu jak wy?“, miała ochotę odpowiedzieć wielebna matka, która o mało nie wyszła z siebie ze złości. Tymczasem serdecznie pożegnała się z *advocati*, prosząc, aby przekazali wyrazy szacunku biskupowi wraz z podziękowaniami za to, że przysłał dwóch spośród swych najbardziej przenikliwych sług.

Następnie zaszyła się w ciszy dziedzińca, powracając do roztrząsania tego, co się wydarzyło, podczas gdy brzask opromieniał wszystko niczym oko Opatrzności.

Lęk o siostrę Claire przyćmiewał w niej nawet niepokój o brata i uczucia do Roberta de Vermandois. Była pewna, że Claire musiało się przytrafić coś, co ją przeraziło albo wzburzyło do tego stopnia, że opuściła klasztor. Nie dało się

wszakże ustalić co. Młodą koadiutorkę zawsze cechowała wrażliwość i pobudliwość, skłonność do czynienia z byle błahostki tragedii... Eudeline nie mogła się powstrzymać, by nie wspomnieć ich ostatniej rozmowy.

Doprowadziła ją do płaczu, srodze upomniawszy.

„Cóż za głupstwo”, pomyślała. Z pewnością nie był to pierwszy raz. Często zdarzało jej się dawać reprimendę siostrze Claire, szczególnie w okresie nader wyczerpanej pracy. Jednocześnie, jeśli chciała być całkowicie szczerą, musiała się zgodzić, że ostatnio robiła to z większą stanowczością, a niekiedy bez wyraźnego powodu.

Przyznanie się do tego wiele ją kosztowało, okazało się wszelako również oczyszczające – zmieniła się. Zamiast zachować pogodę ducha, zaczynała postępować jak zgorzkniała stara panna, która potrafi tylko wyładowywać własne niezadowolenie na bliźnich. „Biedna głupia”, rzekła do siebie. Dawno temu poprzysięgła sobie, że zrezygnuje z wszelkich uczuć, zamieni swe serce w lód i odgrodzi się od zamętu tego świata. I niech Bóg jej wybaczy, ale zapomniała o owej przysiędze w tej samej chwili, w której napotkała Roberta. Mężczyzna ten swoją szorstką galanterią uczynił w jej sercu wyłom, pozwalając jej odkryć na nowo niewiastę schowaną pod welonem. Kruchą niewiastę.

Oderwała wzrok od promieni słońca i targana niespodziewanym poczuciem winy jąła się zastanawiać, jak mocno zraniła Claire. Upokorzyła ją po raz kolejny.

„Jaką osobą się staję?” Eudeline nigdy nie uważała się za złego człowieka. Była ofiarą: kimś, kto ocalał po przeżytej tragedii, która codziennie budziła w niej na nowo strach. Po zaznaniu tak ogromnego cierpienia dbała wyłącznie o to, by bronić się przed następnym bólem, nie zdając sobie sprawy z tego, że sama zadaje go innym. Aż do tej chwili.

Dzwony na jutrznię zaskoczyły ją, uzmysławiając, że nie jest gotowa zmierzyć się ze spojrzzeniami zakonnic. Potrzebowała jeszcze odrobiny samotności. Miała zamiar usiąść gdzieś na osobności, udała się więc na skraj ogrodu, aby dokończyć rachunek sumienia. Ledwie się jednak zbliżyła do murku okalającego starą studnię, spostrzegła, że coś błyszczy w trawie.

Zaciekawiona, schyliła się, by to sprawdzić. Zanurzwszy palce w gęstwinę pnączy, wydobyła jakiś gładki, podłużny, delikatnie cyzelowany przedmiot.

Wieżę z kości słoniowej.

Eudeline zastanawiała się, w jaki sposób figura szachowa znalazła się przy nieużywanej studni. Było oczywiste, że leżała tu od jakiegoś czasu, skoro porosły ją pnącza. Do kogo może należeć? Oprócz niej żadna zakonnica od Świętej Balsamii nie miała szachownicy.

Przyklękła, by się upewnić, że w pobliżu nie ma innych bierek.

„Chyba postradałam rozum”, pomyślała tymczasem. „Jedną z moich zakonnic uznano za zaginioną, a ja grzebię w chwastach w poszukiwaniu

nieistniejącej szachownicy”.

Przez chwilę znów była beztroską dziewczynką, urządzającą wyprawy po skarby w ogrodzie rodzinnej siedziby. Nie zdoławszy natrafić na nic więcej, poczuła się niemądra, toteż wstała, aby nikt nie zaskoczył jej w tej pozycji. Otrzeпаła habit z trawy i już miała zaniechać dalszych poszukiwań, kiedy jej uwagę przykuła studnia. „Tylko tam jeszcze nie zaglądałam”, pomyślała. Przyjrzała się cembrowinie z szarych kamieni, wysokiej na jakieś dziesięć piędzi, następnie, zdjęta przecuciem, położyła dłonie na krawędziach i pochyliła się.

Studnia była głęboka i od lat wyschnięta, wcześniej rano słońce stało jeszcze zbyt nisko i nie zdołało oświetlić punktu, gdzie się kończyła. Zerkając do środka, Eudeline dostrzegła tylko jakąś ciemną masę. Wpatrywała się w nią bezustannie, czekając, aż słońce wzniesie się wyżej na niebie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wiele rzeczy spadło na dół w ciągu tych wszystkich lat. Ciemność powoli rzedła, aż stała się mozaiką cieni. Wystarczyło niewiele, by potrafiła rozróżnić zarysy dna i jakiś spory kształt pośrodku.

„Dziwne”, stwierdziła, wyteżając wzrok. W miarę jak światło stawało się intensywniejsze, kształt przed jej oczami rysował się coraz dokładniej, przybierając ludzką postać.

Tuż przed tym, nim do niej to dotarło, z głębiny uniosła się delikatna woń rozkładającego się ciała, wywołując w Eudeline nagłe przerażenie.

Matka przełożona krzyknęła, zdjęta grozą.

Gdy posługacz wynurzył się ze studni, potwierdził jej obawy ponurym skinieniem głowy. Było tam ciało siostry Claire.

Eudeline poleciła wyciągnąć je na linie i przenieść w zamknięte miejsce, z dala od spojrzeń zakonnic. Stojąc przed studnią, przyglądała się całej operacji nieporuszona, jakby wbito jej w serce dwa sztylety. Jeden przynosił smutek i ból, drugi potrzebę rozwikłania tej zagadki. Była tak wstrząśnięta, że nie zastanawiała się, jak przekazać tę wiadomość swoim podopiecznym. Przychodziły jej na myśl tylko puste słowa, niezdolne wyrazić żalu po stracie współsiostry.

Ciało zakonnicy podniesiono i położono na noszach. Było w stadium rozkładu, powalane błotem. Przeorysza wykonała milczący gest pożegnania i już miała odejść, lecz posługacz, wyłoniwszy się ze studni, przywołał ją i pokazał sakwę, którą znalazł pod zwłokami.

– Być może należała do koadiutorki – podsunął mężczyzna.

Eudeline wzięła ją i bez słowa ruszyła ku swej kwaterze. Przed zarządzeniem pochówku chciała znać orzeczenie infirmerki. Nie dlatego, żeby potrzebowała zdania medyka, aby ustalić przyczyny zgonu zakonnicy, która wpadła do studni, czuła jednak, że jest to winna siostrze Claire i również samej sobie. Matka przełożona pragnęła rozwiązać wszelkie wątpliwości na temat tego, czy śmierć nastąpiła w wyniku wypadku, gdyż w przeciwnym razie byłoby to targnięcie się na

własne życie. Czyli wieczne potępienie dla koadiutorki.

Gdy dotarła do swojej izby, rzuciła sakwę na pulpit i długo się w nią wpatrywała, niemal bojąc się tego, co w niej znajdzie. Natychmiast pojęła, że nie należy do niewiasty. Była zbyt obszerna, miała wojskowy krój. Wyglądała jak juki, które jeźdźcy przytraczają do siodeł.

Co to ma wspólnego z siostrą Claire?

Nie mogła dłużej zwlekać i otworzyła ją. Na widok zawartości oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

Szachownica i zestaw bierek.

Wydobyła je wszystkie i umieściła w porządku na pulpicie. Następnie wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła brakującą wieżę.

Jęła ponownie przetrząsać sakwę, aż nie znalazła metalowego pierścienia z pieczęcią. Widniał na niej herb szlachecki. Nie musiała mu się dokładnie przyglądać, by wiedzieć, do kogo należy.

Doskonale przypominała sobie słowa, które wypowiedział dotknięty zanikiem pamięci Vermandois.

W mojej sakwie znajdziecie bierki i szachownicę.

Eudeline właśnie je znalazła.

Teraz należało jeszcze ustalić, jak trafiły na dno studni wraz z ciałem zakonnicy.

– Została zabita – oznajmiła infirmerka.

Eudeline spojrzała na nią osłupiała, po czym przeniosła wzrok na ciało spoczywające na stole w *valetudinarium*. Rozebrano je, starannie umyto i pieczołowicie ułożono. Mimo to wydało jej się jeszcze bardziej makabryczne niż wtedy, gdy wyciągano je ze studni. Skóra nabrała zielonawej barwy, brzuch i szyja nabrzmiały, niemal się wydęły. Najgorsze jednak okazały się miejsca w zaawansowanym stadium rozkładu, między innymi twarz.

Przezwyćżywszy wstręt, wielebna matka pochyliła się nad tym, co pozostało z oblicza siostry Claire, lecz odór stęchlizny kazał jej się natychmiast cofnąć. „Spopielić”, pomyślała. „Gdybyśmy tylko mogli ją czym prędzej spopielić, uniknęlibyśmy najwyższego upokorzenia...” Przełknęła ślinę, by powstrzymać łzy, i niemal z niedowierzaniem zadumała się nad usłyszanymi przed chwilą słowami.

– Zabita, powiadacie... Skąd macie tę niezachwianą pewność?

– Obejrzałam uważnie zwłoki – stwierdziła lakonicznie zakonnica.

– Nie widzę jednak śladów noża.

– To nie było konieczne. – Nadal zachowując kamienny spokój, infirmerka podeszła do ciała z boku, chwyciła palcami za skronie i uniosła głowę. Pod kruczoczarnymi włosami, które koadiutorka zawsze bardzo krótko ścinała, u podstawy czaszki ziała rana. – Śmierć nastąpiła w wyniku obrażenia karku – wyjaśniła. – Kość została przedziurawiona, prawdopodobnie po uderzeniu o krawędź.

– To mógł być wypadek – podsunęła matka przełożona, usiłując mówić niewzruszonym tonem. – Może siostra Claire wpadła...

– W takim razie zauważyłabym ślady krwi na cembrowinie studni – odparła zakonnica z grymasem powątpiewania. – Nie sądzę, żeby odniosła taką ranę w wyniku upadku.

– Na czym opieracie swoje rozumowanie?

– To proste, wypytałam posługacza, który na wasze polecenie wydobył ją na powierzchnię. Wyjawił mi, że zastał dno studni wilgotne, pokryte błotem i suchymi liśćmi. Uważam, że gdyby w chwili upadku siostra Claire jeszcze żyła, ocalałaby.

– Nie można jednak wykluczyć, że na samym dnie, w ciemnościach, jest jakiś kamień, o który mogła uderzyć głową...

– Rzeczywiście, nie wykluczam tego. Ale nawet gdyby było tak, jak powiadacie, nie odniosłaby tego rodzaju obrażeń.

– A to dlaczego?

– Ponieważ siostra Claire nie upadła na plecy, lecz na prawy bok: w tej samej pozycji, w jakiej ją znaleziono. – Infirmerka delikatnie położyła głowę zmarłej, po czym wskazała obszar biodra i łopatki. – Potwierdzają to uszkodzenia

w tych miejscach. Gołym okiem nie da się tego zobaczyć, ale zdołałam wymacać złamania kości. Złamania spowodowane uderzeniem o ziemię, bez cienia wątpliwości.

– Wobec tego... Co wywołało śmierć?

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć – przyznała zakonnica. – Wszelako cokolwiek było przyczyną, powinno się okazać wcześniej. A skoro martwa zakonnica nie może sama się rzucić do studni...

Eudeline dreszcz przebiegł po krzyżu.

– Musiał to zrobić ktoś inny – dokończyła.

Infirmierka skinęła potakująco głową.

– Któż by inny jak nie sprawca jej śmierci?

Nader zdziwiona tym własnym nieoczekiwanym wnioskiem, matka przełożona poczuła narastającą osobliwą euforię. Możliwość, że w klasztorze czai się morderca, niepokoiła ją wprawdzie, aczkolwiek nie do tego stopnia, by napawać trwogą. Przeorysza była raczej ciekawa kto i dlaczego. Wszelako bardzo dobrze знаła swoje współsiostry i nie wierzyła, że któraś z nich byłaby zdolna do podobnych okrucieństw. Musi zacząć rozumować bardziej chłodno.

Zakończywszy rozmowę, położyła dłoń na ramieniu infirmierki, a następnie się oddaliła.

Robert de Vermandois szczotkował wierzchowca w stajni klasztoru Świętej Balsamii. Najwyraźniej wraz z odzyskaniem władzy w nogach powrócił mu utracony wigor. Stopniowo odzyskiwał także pamięć, chociaż nie okazała się ona w niczym przydatna dla matki przełożonej.

Pikardyjczyk otrzymał pozwolenie opuszczenia *valetudinarium* pod warunkiem, że będzie się trzymał miejsc rzadziej uczęszczanych przez siostry, czyli domu gościnnego i zagród dla zwierząt. Stał więc teraz przed swym białym koniem, który potrzasał grzywą szczęśliwy, że znów są razem.

Nim siostra Eudeline do niego przemówiła, przyglądała mu się z oddali, przyjemnie zaskoczona, zastając go przy pracy i w dobrym nastroju. Wprawdzie Robert miał tytuł barona, ale zachowywał się jak prosty człowiek. Głowę miał okręconą chustą, żeby ukryć bliznę na skroni; w nogawicach i lniano-bawełnianym dublecie wyglądał jak zwykły rzemieślnik. Uwagi bystrego obserwatora nie uszła jednak jego dumna postawa ani łagodność, z jaką traktował zwierzę.

Powróciwszy myślami do ostatnich nieszczęść, matka przełożona zbliżyła się chwiejnym krokiem.

– Znalazłam waszą szachownicę, messer.

Vermandois odwrócił się z uśmiechem, lecz na widok zboląlej miny niewiasty natychmiast spowaźniał.

– Była na dnie studni, razem z sakwą – ciągnęła Eudeline, spuszczać wzrok. – Pod martwym ciałem mojej koadiutorki.

Mężczyzna stał skamieniały ze zgrzeblem w dłoni.

– Pani... Nie pojmuję...

– Jeszcze nie ogłosiłam tej wiadomości – wyznała wielebna matka – istnieje wszakże możliwość, że w tych murach popełniono zbrodnię.

– W klasztorze benedyktynek... Jesteście pewni?

– Niestety, niczego nie jestem pewna.

Robert podszedł niepostrzeżenie i objął ją pocieszającym gestem. Eudeline zatętniała w uścisku owych wielkich ramion, czując się bezpieczna, odgradzona od całego świata, dopóki nie uzmysłowiła sobie, co się dzieje. Wyswobodziła się instynktownie.

– Usiądźcie. – Wskazał zydeł na skraju stajni. – Pobledliście.

Matka przełożona spełniła prośbę. Była wyczerpana, targają nią zbyt silne uczucia, by mogła się skrywać za maską układności. Zresztą czyż nie z tego właśnie powodu udała się do niego? Odnosiła wrażenie, że tylko przy Robercie może okazać słabość jak zwyczajna niewiasta. Pomyślała o biednej siostrze Claire i nagle utonęła w morzu rozpacz, nad którą udawało jej się zapanować aż do tej pory. Osunęła się na kolana i zaniósła się szlochem.

Vermandois nie miał odwagi zareagować.

– Jestem tutaj – powiedział tylko, stojąc obok niej. – Jestem tutaj z wami. – Zaczekał cierpliwie, aż Eudeline weźmie się w garść, i dopiero wówczas zapytał: – Zechcielibyście mi wytłumaczyć?

Wielebna matka niemal z wdzięcznością wyłuszczyła mu, co się wydarzyło.

REIMS, KOMNATA W OPACTWIE ŚWIĘTEGO REMIGIUSZA

W tym samym czasie Aleydis czekała, aż kardynał skończy czytać. Po pięciu dniach ukrywania bojaźni i wyrzutów sumienia przy nim mogła wreszcie przestać udawać. Siedziała naprzeciw niego z przekrwioną twarzą i z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, dręczona poczuciem obrzydzenia, od którego nie potrafiła się uwolnić. Do tej pory kłamstwo nie było dla niej aż tak trudne. Patrzyła na narastający niepokój o siostrę Claire, wraz ze współsiostrami nie szczędząc wysiłków w poszukiwaniach i pozornie dzieląc ich obawę. W tajemnicy zaś żywiła nadzieję, że żadnej z nich nie wpadnie do głowy zajrzeć do starej studni. Według niej było to najlepsze miejsce na ukrycie ciała. Gdyby wszystko poszło jak trzeba, upłynęłoby wiele lat, zanim ktoś zdołałby się zorientować, co leży na dnie.

Nie dbając o stan jej ducha, kardynał zakończył lekturę i wbił w nią wzrok.

– Jesteś pewna, że dobrze przepisałaś te listy?

– Tak, Wasza Łaskawość – odrzekła Aleydis. – Potrafię doskonale czytać i pisać.

– I nie znalazłaś ich więcej?

– Te, które właśnie przeczytaliście, to jedyne listy Maynarda do siostry.

– Winszuję ci – powiedział purpurat. – Tylko że wiadomości, które mi przyniosłaś, nie wystarczą, by go odnaleźć.

Dziewczyna przeraziła się, że znów spotka ją kara. Jeszcze dotkliwszy wszakże okazał się strach, iż każe jej szpiegować dalej. Po zniknięciu siostry Claire w klasztorze wszyscy nieustannie mieli się na baczności. Nie dałaby rady swobodnie się poruszać, tym bardziej wśliznąć do komnat matki przełożonej.

– Kwestię tę musi rozwiązać ktoś inny, w sposób bardziej bezwzględny – ciągnął kardynał, zaskakując ją. – To jasne, że wielebna Eudeline jest przebiegła w strzeżeniu tajemnic brata. Zbyt sprytna jak dla ciebie.

– Ale jedynie ja mogę...

Mężczyzna pokręcił głową.

– Istotne sprawy wymagają mojej obecności gdzie indziej i zmuszają do rychłego znalezienia jakiegoś rozwiązania. – Rzuciwszy okiem jeszcze raz na kopie listów Maynarda, postukał palcem w niektóre słowa. – Między wierszami można wychwycić wzmianki o *Lapis exilii*, nie ma wątpliwości. Rocheblanche pisze wręcz o miejscu wskazanym w zagadce... *Zagadce*, pojmujesz? Może i siostra Eudeline nie zna miejsca pobytu brata, lecz jego listy nareszcie pokazują, że ona również wie o pergaminie, za którym podążam.

Nowicjuszka gestem dała do zrozumienia, że nie pojmuje. W minionych

miesiącach mówiono jej tylko o absolutnej konieczności wykonania powierzonego zadania. Nie miała pojęcia o tym wszystkim, czego teraz słuchała od Jego Eminencji.

Kardynał był zbyt pochłonięty własnym rozumowaniem, żeby zwracać na nią uwagę.

– Nie ma już powodu, by się wahać – stwierdził nagle zniecierpliwiony. – Każe porwać przeoryszkę od Świętej Balsamii, żeby móc ją przepytac osobiście.

Aleydis drgnęła na te słowa.

– Ale jak to... – wyrwało jej się. – Kiedy...

– Dziś w nocy – oznajmił purpurat. – Polecę Marcusowi zakraść się do klasztoru i wprowadzić ją, kiedy cała wspólnota będzie pogrążona we śnie.

Niewiele brakowało, a dziewczyna padłaby na kolana i błagała Jego Eminencję, żeby zrezygnował z tego zamiaru. Powstrzymała się jednak, mówiąc sobie, że nie pozwoli na podobne bezprawie. Nie po tym, co spotkało siostrę Claire. Siostra Eudeline okazała jej dobroć, nie zasłużyła na przemoc ze strony kardynała.

– Widzę, żeś wzburzona – mruknął prałat, wyrrywając ją z zadumy.

– Nie, Wasza Łaskawość – zaprzeczyła Aleydis. – Jestem tylko zmęczona...

– W takim razie lepiej, żebyś odpoczęła. – Prałat złączył dłonie i splótł upierścienione palce. – Ponieważ to właśnie ty wpuścisz Marcusa po północy do klasztoru.

W niespodziewanym przypiływie mdłości Aleydis wybiegła na zewnątrz, powstrzymując wymioty, dopóki nie zmusiły jej jednak, by zgięła się wpół i opróżniła zawartość żołądka. Ulga trwała ledwie chwilę. Podniósłszy wzrok, ujrzała stojącego kilka kroków dalej Marcusa. Mężczyzna przyglądał się całej scenie, ściskając w rękach wodze.

– Jesteście trupio bladzi – stwierdził ze zwykłym sobie grubiaństwem.

– Nie wasza sprawa – odparowała nowicjuszka i otarła rękawem usta.

– Ale będzie, jeśli wasz stan okaże się przeszkodą w wypełnieniu nocnej misji.

Aleydis popatrzyła na niego zdumiona.

– A zatem wiecie?

– Jego Eminencja planuje to od tygodni – zachichotał. – Wystarczyło, że dał mi znak przez okno, bym zrozumiał.

– Tak czy inaczej, wątpię, żebyś stanęła na wysokości zadania...

– Wasza rola będzie prosta, chociaż najważniejsza. – Marcus włożył stopę w strzemię i podał jej rękę. – Teraz siadajcie na konia. Wytlumaczę wam wszystko po drodze.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

Minął dzień od czasu, gdy Gualtiero był świadkiem pojmania rodziców. Teraz chłopiec siedział na trawie plecami do opactwa. Wpatrywał się w pusty wóz na skraju drogi, jakby miał przed sobą wrak, pozostałości po czasie, który już nigdy nie wróci. Ojciec Andrea troszczył się o niego, jak tylko mógł, nadal nie potrafił mu wszakże nic powiedzieć na temat przeznaczenia, ku któremu wyruszyli Sigismondo i Sapia.

Oczekiwanie okazywało się rozdzierającą udręką, którą pogarszały dodatkowo słowa zasłyszane dwie noce wcześniej. Chętnie poprosiłby o wyjaśnienie ojca Andree, gdyby się nie obawiał, że wzbudzi jego podejrzenia albo wręcz zrobi sobie z niego wroga.

Wtem spostrzegł, że ktoś podsuwa mu kwiat.

Podniósł wzrok i rozpoznał francuską dziewczynę.

– *Pour vous* – oznajmiła.

Zaskoczony jej gestem, wziął dar i podziękował.

Dziewczynka ciągle stała, wpatrując się weń.

– Słyszałam, co was spotkało. Przykro mi – rzekła, wymawiając z łagodnym naciskiem „r”.

Młodzieniec obracał kwiat w palcach, niezdolny sklecić prostych zdań. Gnębiło go zbyt wiele trosk, by miał ochotę na rozmowę, chociaż był mile połączony jej towarzystwem. Przyjrzał się dziewczynie o zagadkowych oczach, zastanawiając się, czy zna tajemnice człowieka, z którym przybyła do Pomposy. „W gruncie rzeczy nie byłoby nic złego w tym, gdybym ją zapytał”, przeszła mu przez głowę myśl. Zanim zdążył ubrać ją w słowa, poczuł muśnięcie jej warg na policzku. Podniósł wzrok i dostrzegł uśmiech na jej twarzy.

– Mam na imię Isabeau.

Gualtiero dotknął miejsca, gdzie złożyła pocałunek. Przez chwilę czuł się wolny od wszelkich zmartwień, oczarowany niewidzialną nicią łączącą go z nieznaną. Po czym usłyszał szelest kroków w trawie.

W promieniach słońca zbliżał się jakiś mnich.

Rozpoznawszy opata, chłopiec zerwał się na równe nogi; z ukłuciem żalu uzmysłowił sobie jednak, że został sam. Isabeau uciekała właśnie ku drzewom okalającym dziedziniec.

– Ta dziewczynka jest bardziej płochliwa niż jelonek – zauważył ojciec Andrea, gdy się z nim zrównał.

Gualtiero skinął potakująco głową, natychmiast powracając do

rzeczywistości.

– Macie jakieś wieści o moich bliskich?

– Niestety, jeszcze nie.

Młodzieniec spuścił głowę, pograżając się w smutku.

– Przeszedłem do was z innego powodu – wyjawiał wielebny ojciec, usiłując wyrwać go z cierpienia. – Chciałbym zapytać was o zdanie w pewnej istotnej dla mnie kwestii – i położywszy mu dłoń na ramieniu, zachęcił, by udał się z nim do położonego naprzeciwko klasztoru *palatium*.

Gualtiero wolałby zostać sam ze swoim bólem, nie chcąc wszakże sprawiać przykrości opatowi, podążył za nim. Na wyjaśnienia będzie musiał zaczekać, aż znajdą się w cieniu krużganka.

Dopiero wówczas Andrea ponownie przemówił:

– Powiedzcie no, byliście kiedyś w skryptorium?

– Nigdy w życiu.

– W takim razie gotujcie się – odparł zakonnik z uśmiechem zdolnym wywołać zaciekawienie – albowiem zaraz zobaczycie coś, na co patrzyli tylko nieliczni.

Drugie piętro *palatium* podzielone było na dwa pomieszczenia: w pierwszym znajdowały się księgi, w drugim spisujący je mnisi. Ojciec Andrea poprowadził młodzieńca wśród jakichś dziesięciu pulpitów, uzmysławiając mu, że zaledwie połowę z nich zajmowali skrybowie. Uwagę Gualtiera zwróciły zarówno ich zapamiętała dokładność, jak i narzędzia używane do kopiowania kodeksów. Różnego kształtu pióra, kałamarze, rylce i drobne instrumenty wywołały w nim znajome i jednocześnie nowe wrażenie. Opat pozwolił mu podziwiać wszystko, następnie wskazał drzwi wiodące do drugiego pomieszczenia.

Za progiem jedyne źródło światła stanowiło biforium, nie wystarczało wszakże, by rozproszyć mrok i unoszący się w powietrzu pył. Ojciec Andrea przystanął przed rzędem szaf i otworzył jedną z nich, aby pokazać młodzieńcowi jej zawartość.

– Biblioteka Pomposy nie dorównuje wprawdzie tym z Bobbio czy Montecassino, lecz jest dostatecznie zaopatrzona, by wytrzymać porównanie z wieloma szanowanymi księgozbiorami.

– Musi liczyć kilka wieków – ocenił młodzieniec.

– Owszem – przytaknął wielebny ojciec. – Założył ją trzysta lat temu opat Hieronimus i od tamtej pory spotykały ją zmienne koleje losu. Trzysta lat! Potraficie sobie wyobrazić pasję i trud potrzebne do zgromadzenia takiego dziedzictwa? – Zamilkł na chwilę, jakby zamierzał skłonić go do zadumy nad własnymi słowami, po czym dodał z emfazą: – Te *armaria* strzegą najważniejszych tekstów chrześcijaństwa, począwszy od wielkich *doctores* Kościoła: Augustyna, Ambrożego, Girolama, Grzegorza Wielkiego, Tomasza z Akwinu... Stoicie przed

labiryntem zbudowanym z komentarzy biblijnych, trynitarnej dogmatyki Świętego Hilarego i Dydyma Aleksandryjskiego, z przykazań Fulgencjusza, Paschazjusza Radaberta, a nawet Nicetasa z Remezjany. Lecz baczcie, synu, nie mówimy tu wyłącznie o *scientia Ecclesiae*. – Ściszył głos, jakby zebrало mu się na zwierzenia. – Można tu nawet natrafić na *Historia magni Alexandri* Kwintusa Kurcjusza Rufusa, *Ab Urbe condita* Tytusa Liwiusza oraz na mądrość Seneki, Pawła Orozjusza i Eutropiusza.

– Pozwólcie mi wyrazić zachwyt – zawtórował mu Gualtiero. Chociaż wiele imion wymienionych przez opata było mu nieznanymi, nie dawała mu spokoju ciekawość, by poznać przyczynę, dla której się tu znalazł. – Dlaczego – ciągnął zatem – zadaliście sobie trud, żeby mnie tu przyprowadzić?

– Nie mogłem się doczekać już od naszej pierwszej rozmowy, by to uczynić – wyznał ojciec Andrea. – Ścisłej biorąc, od chwili, gdyście wspomnieli o związku między świętymi obrazami a kalendarzem liturgicznym. Zrobiliście to w sposób tak wyrazisty, że z mojej pamięci wyłoniły się ustępy *De ecclesiasticis officiis* Amalariusza z Metz.

– Jeśli twierdzicie, że zerkałem ukradkiem na karty owej księgi...

– Nie, synu – uspokoił go zakonnik. – Twierdzą jedynie, że jesteście zbyt bystrzy, aby poświęcić życie wyłącznie malarstwu. Zmarnowalibyście swe talenty.

Słyszając, jak umniejsza się wagę profesji, którą uznawał za najszlachetniejszą na świecie, Gualtiero uniósł się dumą.

– Bardzo szanuję wasze księgi, wielbny ojciec – odrzekł, jakby odpowiadał na obelgę – lecz sztuka obrazu wymaga więcej studiów, niż sobie wyobrażacie.

– Nie wątpię – zgodził się wcale nieurazony zakonnik. – Pomyślcie jednak, jakie obrazy zdolalibyście tworzyć, opierając się na naukach Świętego Augustyna czy Bedy Czcigodnego. Moglibyście wzbogacić wasze freski tak wyrafinowanymi symbolami, że wznieślibyście się wyżej niż każdy inny rzemieślnik.

– Pojmuję, co macie na myśli – zgodził się młodzieniec, pozwalając się opleść tym słowom. Po chwili zastanowienia wszakże sposepniał. – Zapominacie, że fresków, o których mówicie, nie będzie już można namalować. Nigdy.

Andrea się nie poddawał.

– Pojmanie waszej rodziny i floreny, które mi odbiorą, stanowią przeszkodę, to prawda. Jednakże wy wcale nie musicie zaniedbywać waszych zdolności.

Gualtiero wyczuł, że słowa te nie zostały wypowiedziane tylko po to, aby go pocieszyć.

– Co dokładnie macie na myśli?

Zakonnik oparł się o szafę i pozwolił sobie na krótkie milczenie.

– Przedwczoraj przyznaliście, że nie jesteście w stanie zapłacić mi za gościnę. Otóż mylicie się. Miałem sposobność podziwiać wasze rysunki i wasz geniusz, co przekonało mnie, że będziecie się nadawali do tego skryptorium.

– Ależ, wielbny ojciec... – wydukał zaskoczony chłopiec, cofając się.

– Ofiaruję wam dar, rozumiecie? – nalegał opat. – Zostało mi już niewiele współbraci zdolnych do sporządzania manuskryptów. Widzieliście skryptorium? Jest prawie puste! A wy... Wy...

– Nie posiadam dostatecznej wiedzy, żeby spisywać kodeksy – bronił się Gualtiero, niepewny, czy to, co usłyszał, bardziej mu schlebia, czy też przeraża. – Nie znam łaciny... W dodatku nie jestem mnichem.

– Nie będziecie musieli składać ślubów – wyjaśnił czym prędzej Andrea. – I wcale nie zamierzałem powierzyć wam zadania kopisty.

– W takim razie wybaczone, wielbny ojciec, ale nie pojmuję.

Przez chwilę Gualtiero sądził, że zasiał w opacie wątpliwość. Zakonnik wydobył jednak z szafy gruby wolumin i posłał mu tajemniczy uśmiech.

– Księgi nie składają się wyłącznie ze słów. – Otworzywszy tom, opat pokazał mu wspaniałe ilustracje na jego kartach, na marginesie tekstów. – A o ile mnie pamięć nie myli, od czasu, gdy skryptorium Pomposy gościło ostatniego miniaturzystę, minęły co najmniej cztery dziesięciolecia.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

27 MARCA, NOC

Aleydis stała skulona za zaryglowanym klasztorным portalem, czekając na znak Marcusa. Dotarła tu ukradkiem, gdy stara furtianka udała się do dormitorium. Tkwiła sama w ciemności i nie potrafiła podjąć decyzji. Z jednej strony nie mogła się doczekać przybycia zbrojnego, z drugiej zaś modliła się, by ta chwila nigdy nie nadeszła. W przeszłości potraktowałaby tę kwestię bez odrobiny wahania. Teraz wszakże stała się inną niewiastą. Wyrzuty z powodu siostry Claire bardzo jej ciążyły, toteż gdyby doszła jeszcze zdrada przeoryszy, doprawdy mogłaby już tego nie udźwignąć.

Po niesporach matka przełożona stanęła przed współsiostrami i obwieściła odnalezienie ciała koadiutorki. Zdjęta nagłą boleścią dziewczyna zdała sobie sprawę, że jej gra dobiega końca, dręczona zaś poczuciem winy, jęła szukać przeoryszy, aby wszystko jej wyznać. Stan ducha nie pozwolił jednak Eudeline na wysłuchanie nowicjuszeki.

Od tamtej pory Aleydis nieustannie myślała o Marcusie. Stawiła się przy furcie przed północą i zgodnie z umową czekała na znak.

Wprawdzie miała rozdarte serce, wszelako rozum nakazywał jej posłuszeństwo wobec kardynała. W końcu to człowiek, który wydobył ją z błota. A zresztą kimże jest jakaś tam przeorysza z Reims wobec purpurata z Awinionu! Prawdopodobnie Jego Eminencja działa w słusznym celu, o ile nie jest to jakaś święta misja, której zrozumienie umyka niewykształconej córce ludu.

Mimo to nowicjuszeki wiedziała, że stoi po złej stronie. Matka przełożona była dobrym, chociaż surowym człowiekiem. Przyjęła ją i chroniła, uczyła, czym jest uczciwość i przyzwoitość. Na jej przykładzie Aleydis pojęła, że niewiasta nie służy wyłącznie rozkoszy ani prokreacji, a życie poświęcone klasztorowi może być mniej jałowe niż to spędzone na łasce mężczyzny. „Nie chcę, żeby stała jej się krzywda”, rzekła sobie nagle, wierząc, że zdąży jeszcze powstrzymać to szaleństwo.

Poderwała się na jakiś ukradkowy dźwięk.

– Jesteście tam? – szepnął męski głos po drugiej stronie drzwi.

Aleydis nie odpowiedziała.

– Jesteście tam? – powtórzył pospiesznie, lekko zniecierpliwiony Marcus.

Dziewczyna wpatrywała się w rygiel, myśląc o tym, jak łatwo byłoby

wyciągnąć rękę i otworzyć. Wahała się jednak, co powinna zrobić, dopóki z jakiegoś zakamarka duszy nie wyłoniła się stara Aleydis i nie wyzwalała jej od głupich. „Za późno, żeby pójść inną drogą”, podsunęła jej z mroku. „Za późno, żeby stawać po stronie aniołów”.

Ponowne stukanie do drzwi przypomniało jej, że nie ma już czasu.

– Przeklęta suko! – wysyczał zbir. – Wiem, że tam jesteś!

Aleydis odsunęła się od furty, jakby się bała, że mężczyzna może ją zobaczyć. Wyobraziła sobie, jak klęczy w ciemności i dyszy przez zaciśnięte zęby. Po czym doleciał do niej odgłos jakiegoś metalowego przedmiotu skrobiącego drewnianą powierzchnię, toteż przebiegł ją dreszcz.

Zdecydował za nią strach.

Otworzywszy drzwi, spostrzegła bezlitosny, krzywy uśmiezek Marcusa.

Pomimo wyczerpania siostra Eudeline nie mogła zasnąć. Była wzburzona, nie potrafiła się uspokoić. W nieprzerwanym korowodzie obrazów skupionych w jej umyśle przeżywała na nowo chwile, jakie spędziła, stojąc nad ciałem siostry Claire, przy studni i na ambonie.

Niepokój rodził się wszakże z wątpliwości. Nie czuła się na siłach, by wykluczyć, że koadiutorka poniosła śmierć w wypadku. „Albo targnęła się na własne życie”, pomyślała. „Z mojego powodu”.

Przewróciła się na posłaniu, z twarzą zanurzoną w pierzastej poduszce. Lniany czepiec podtrzymujący włosy zdawał się nienaturalnie ścisnąć jej głowę, tak mocno, że wszystko wokół wirowało. Zamiast stawić opór, wycieńczona Eudeline poddała się temu wrażeniu i zapadła w drzemkę.

Przez chwilę widziała siostrę Claire nad studnią...

Przebudziła się gwałtownie, gdy czyjaś dłoń zatkała jej usta. Miała jednak wrażenie, jakby była pogrążona w złym śnie. Po raptownym wyostrzeniu zmysłów oprzytomniała i znalazła się w samym środku potworności, która pomimo wznoszonych przez nią modłów była rzeczywistością.

Mężczyzna pochylający się nad nią w ciemności.

Wykonała nierozważny ruch, aby się podnieść, lecz zmuszono ją, by nadal bezwładnie leżała. Podczas gdy w gardle zamarł jej krzyk, palce napastnika powędrowały bez przeszkód wśród fałd nocnej szaty i zatrzymały się na piersi.

– Teraz pójdziecie ze mną.

„Nie!”, pomyślała. Wyrывая się ze wszystkich sił, pochyliła się do przodu i rozorała twarz intruza. Jej paznokcie wbiły się w szorstkie policzki mężczyzny, jakby chciały ściągnąć przerażającą maskę, która wyłoniła się z przeszłości.

Mężczyzna zareagował gwałtownie, ciskając ją na ziemię.

Eudeline uderzyła się w głowę, lecz nie zwróciła uwagi na ból. Czym prędzej stanęła na czworakach i bez powodzenia spróbowała wrzasnąć, uzmysłowiła sobie jednak, że ze strachu straciła oddech.

Wyczołgała się z izby i dotarła do pracowni. Jak mogło jej się przydarzyć coś podobnego, i to właśnie *tutaj*? Zadała sobie to pytanie z wściekłością, przeklinając, że urodziła się niewiastą, niezdolną do dania odporu komuś, kto pogwałca jej intymność.

Zatrwożona odgłosem kroków za plecami, spojrzała ku wyjściu i przez chwilę przez czarną szparę w drzwiach dostrzegła nikły blask lampki oliwnej i dwoje szeroko otwartych oczu. „Te oczy...”, przemknęło jej przez głowę i natychmiast myśl ta przerodziła się w wołanie o pomoc.

Wtedy dłoń napastnika chwyciła ją za kark, zrywając lniany czepiec.

Kiedy jedwabiste włosy opadły jej kaskadą na plecy, spowił ją mrok.

Zmysły Eudeline przywróciło nocne powietrze.

Oprzytomniawszy, wypatrzyła znajomą sylwetę opactwa Świętego Remigiusza, a kiedy przypomniała sobie, co się stało, jęknęła z przerażenia. Zdała sobie wówczas sprawę, że ma zawiązane usta. Jechała na koniu, mając spętane ręce i nogi.

– Cicho – nakazał mężczyzna, który trzymał ją w siodle. Zakrył jej twarz płaszczem.

Pozwolono jej patrzeć dopiero po długim czasie, gdy wierzchowiec przystanął na przedmieściu składającym się z ruder i starych budowli. Upewniwszy się, że wokół nie ma nikogo, porywacz zarzucił ją sobie na plecy i zaniósł do czegoś, co wyglądało jak dawna wieża strażnicza.

Za progiem siostra Eudeline straciła wszelką orientację, dopóki ciemności stopniowo się nie rozproszyły. Wtedy dostrzegła mury ciasnego korytarza, w którego głębi migotał płomień. Następnie porywacz się zatrzymał i położył ją na boku na ziemi.

Kilka kroków dalej znajdował się jakiś mężczyzna. Dzierżył uniesioną nad głową pochodnię, twarz spowijał mu półmrok. Był wysoki i lekko przygarbiony, miał na sobie kapłańskie szaty.

– Wy jesteście siostra Eudeline de Rocheblanche?

Nie mogąc mówić, zakonnica tylko skinęła głową.

– Znajdujecie się tutaj z winy waszego brata.

Eudeline była tak bardzo zdumiona, że nie zauważyła, kiedy zdjęto jej knebel.

– Brata, który ma mnóstwo tajemnic – ciągnął mężczyzna z pochodnią.

Zakonnica usiłowała zapanować nad lękiem i oszołomieniem.

– Kimże jesteście, że ośmielacie się zastraszać matkę przełożoną w samym środku nocy?

– Lepiej, żebyście nadal tego nie wiedzieli, a opowiedzieli mi o zagadce, która wpadła w ręce waszego brata.

– Co do mojego nieulekłego brata, to jedna jedyna rzecz powinna was obchodzić – oznajmiła przeorysza, starając się sprawiać wrażenie pewnej siebie – mianowicie to, że wkrótce przybędzie mi z pomocą, aby ukarać was za tak nikczemny czyn.

– Pergamin nie należy do niego – ciągnął mężczyzna, nie bacząc na groźbę.

– Rocheblanche nie ma prawa do jego tajemnicy. Mogłoby się to stać przyczyną oskarżenia o herezję, pojmujecie? Zdradźcie, gdzie jest, a o wszystkim zapomnimy.

Zakonnica jęła się szarpać na lodowatej posadzce, nie mogąc znieść więzów. Mimo że czuła się bezsilna, dzięki owej potyczce słownej odzyskała zimną krew. Zrozumiała, czego od niej chcą. Zagadki *Lapis exilii*, skarbu strzeżonego w krypcie Mont-Fleur. Niemniej pułapka była o wiele groźniejsza niż zarzut herezji. Należało

bronić życia Maynarda.

– Twierdzicie, że mój brat nie ma prawa – odparowała z pogardą. – A wy jakie niby macie prawo do mej osoby? Gdybyście byli porządnym człowiekiem, prowadzilibyśmy tę rozmowę gdzie indziej i innym tonem.

Odpowiedział jej drwiący śmiech.

– Warto, żebyście wyjawili mi, co wiecie, jeśli zależy wam na ocaleniu.

Przy znacznym wysiłku wielebnej matce udało się podnieść do klęku. Miała potargane włosy, przemoczone szaty, teraz mogła wszakże przyjrzeć się dokładnie stojącej pod światło postaci.

– Doprawdy bardzo mało miałabym wam do powiedzenia... – Zadarła z wyższością podbródek. – Wierzcie mi jednak, messer, chętniej przywitam śmierć, niż sprzeniewierzę się własnej krwi.

– Może wydaje wam się, że nadal znajdujecie się w klasztorze, wielebna siostró – zakpił tajemniczy oprawca. – Tutaj nie możecie dyktować reguł, a tym bardziej zachowywać się z honorem. Może chowacie się za welonem zbyt długo, żeby zdać sobie z tego sprawę – nie przestając się śmiać, w pośpiechu skinął rozkazująco.

Eudeline podniesiono z posadzki i zmuszono, by odwróciła się ku mężczyźnie, który stał za jej plecami. W blasku pochodni mogła mu wreszcie spojrzeć w twarz.

– To wy! – krzyknęła i aż podskoczyła, rozpoznawszy indywiduum, które co tydzień zabierało Aleydis z klasztoru, aby zawieźć ją do spowiednika. Nie myliła się więc! To twarz tej dziewczyny dostrzegła za drzwiami swojej komnaty, zanim została uprowadzona.

– Owszem, ja! – szydził zbrojny i jednym ruchem zerwał jej nocną szatę.

– Nie! – zawołała zakonnica, znalazłszy się niespodziewanie naga pod lubieżnym wzrokiem Marcusa. – Nie!

– Wobec tego opowiedzcie mi o *Lapis exilii*! – rozkazał mężczyzna z pochodnią, przekrzykując ją. – Wiem, że słyszeliście o tej relikwii. Wiem!

Zakonnica próbowała wyrwać się zbirowi, który nadal wystawiał ją z rozbawieniem do światła pochodni. Miała wrażenie, że zaraz dopadnie ją niemal dziecięcy strach. Na chwilę przed poddaniem się rozpaczy poczuła coś w środku. Poza trwogą i wspomnieniem przemocy istniał maleńki płomyk, który palił się na dnie jej duszy. Eudeline zacisnęła pięści, zupełnie jakby mogła zgnieść go w palcach i zaznać jego ciepła. Był to płomień gniewu, dzika nienawiść w stosunku do podłej istoty, która kiedyś ją pohańbiła. Płomień, który latami tlił się w ciszy w oczekiwaniu na niemożliwą zemstę.

– Nic wam nie powiem! – wrzasnęła na całe gardło. – Niiic!

Mężczyzna nieco się cofnął, nie okazując zdziwienia. Przeciwnie, wydawał się zaciekawiony. Niewiasta wyraźnie to dostrzegła, tak jakby jakaś jej część, która

zachowała trzeźwość umysłu, przyglądała się obojętnie temu, co działo się wokół. Co do reszty, czuła się unicestwiona. Naga postać szamocząca się w ramionach Marcusa nie była już tą szlachetną Eudeline de Rocheblanche, a tym bardziej wielbłą matką przełożoną od Świętej Balsamii. Najwyraźniej wściekłość wzięła górę nad bojaźnią, nad rozumem i nad wszystkim innym, pozwalając, by oładnęło ją instynktowne wzburzenie.

– Pewnie myślicie, że przejmiecie mnie strachem? – syknął mężczyzna, otulony drżącą poświatą. – Wkrótce wasz rozpalony umysł się uspokoi, nie wątpcie. – Podeszedł bliżej i popatrzył jej uważnie w oczy. – A wtedy, wielbna matko przełożona, będziecie *szczęśliwi*, mogąc mnie zadowolić!

Siostra Eudeline dostrzegła wynurzającą się z mroku twarz wygłodniałego starca, o oczach rozświetlonych płomieniem i wargach ściągniętych w chorobliwym grymasie. Zdołała mu się przyjrzeć tylko przez chwilę. Mając przed oczyma obraz jego twarzy wykrzywionej w perwersyjnym uśmiechu, poczuła, jak wywlekają ją między ciasne mury wieży. W ciemnościach rozbrzmiewało skrzypienie zawiasów i szczęk łańcuchów.

Dwie postaci otulone płaszczami, ledwie widoczne w mroku nocy, opuściły starą wieżę.

– Dlaczego nie poddaliście jej torturom? – zapytał podejrzliwie Marcus. – Przecież zaczęłaby mówić.

– Wątpię – odparł kardynał, przy każdym kroku podpierając się kijem. – Teraz jest wzburzona, aż kipi z wściekłości. Poza tym to szlachcianka, przywykła do wydawania rozkazów. Nie poddałaby się tak łatwo.

Zbrojny pogładził się po policzkach, na których widniały ślady po paznokciach.

– Powiadacie? Gdybyście oddali ją w moje ręce... – po czym zarechotał sprośnie.

– To nie ten rodzaj niewiasty, wierzcie mi. W ten sposób tylko byście nią bardziej wstrząsnęli, a wtedy pograżałaby się w nieprzeniknionym milczeniu.

– Za to trzymając ją w zamknięciu...

– ...nagą, bez jadła i picia – dodał purpurat. – *Intra arctos muros*: metoda stosowana przez Inkwizycję dla zmiękczenia heretyków. Jutro w nocy będzie gotowa mówić, przekonacie się... A gdy tylko poznamy prawdę, będziemy mogli wreszcie wyruszyć w podróż.

– Ach, tak, ważna sprawa w Metz...

– Karol Czeski – rzekł kardynał. – W zamian za moją pomoc jest skłonny oddać mi grot włóczni.

Marcus pokiwał głową.

– Jednakże ta niewiasta... – podsunął, powracając do kwestii z pewnym niepokojem. – Rozpoznała mnie, pamiętajcie o tym. Gdyby wyszła na wolność...

Jego Eminencja przyjrzał mu się rozczarowany.

– To kobieta o niezaprzeczalnym uroku, przyznaję – uśmiechnął się złośliwie. – Lecz jej los już został przesądzony.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

28 MARCA O ZACHODZIE SŁOŃCA

Maynard opuścił stajnie monasterium, prowadząc osiodłanego karego. Nadal miał na sobie czarny habit, przystrzygł sobie wszakże brodę i podciął włosy, aby godnie wyglądać, gdy stanie przed obliczem panów Ferrary. Zatrzymał się na widok ojca Andrei.

– Doniesiono mi, że wyjeżdżacie – rzekł zakonnik, idąc mu naprzeciw.

– Za dwa dni będzie Wielki Piątek – wyjaśnił rycerz. – Jeśli to prawda, że biskup zawita do Ferrary, ledwie wystarczy mi czasu, by dotrzeć do miasta i znaleźć gościnę.

– Poszukajcie schronienia przy hospicjum Miłosierdzia Bożego, niedaleko kościoła Świętego Leonarda – doradził opat. – Leży w osadzie, której dał nazwę, za Wieżą Lwów. Znajduje się blisko miejsc, które macie odwiedzić.

– Zapamiętam.

– A oto listy, które musicie przekazać. – Wielebny ojciec wręczył mu dwa zapieczętowane zwoje. – Pierwszy do Jego Ekscelencji biskupa, drugi do markiza Obizza III. W obydwu, poza błaganiami o łaskę, domagam się wyjaśnień w sprawie pojmania rodziców Gualtieria de' Bruniego. – Zaczekał, aż Francuz umieści je w przytroczonej do siodła sakwie, po czym mruknął: – Poza tym...

– Mówcie bez wahania – zachęcił Rocheblanche, zaciekawiony jego rozterką.

Ojciec Andrea westchnął z goryczą.

– Skorzystałbym ze sposobności, żeby poprosić was o dostarczenie do Ferrary pierwszej raty długu, który nakazano mi spłacić.

– Wasze zaufanie to dla mnie zaszczyt.

– Powierzenie takiego zadania współbratu oznaczałoby wystawienie go na zasadzki rabusiów – usprawiedliwił się opat. – Natomiast łucznicy opactwa to najemnicy, którym nie oddałbym pod opiekę nawet garści denarów... a co dopiero dwustu florenów.

– Rad będę się wam przysłużyć – uspokoił go rycerz. – Na czyje ręce mam je złożyć?

Zakonnik odwiązał ciężką sakiewkę zawieszoną u sznura habitu i wręczył Maynardowi.

– Oddać do rąk własnych markiza Obizza III d'Este, wikariusza Ojca

Świętego.

– Tak się stanie. – Maynard przytroczył sakiewkę do pasa, blisko rękojeści sztyletu. – Ja także chciałbym was prosić o pewną grzeczność – wyznał. Wydobył z siodła długie płócienne zawiniątko i powierzył zakonnikowi. – Moje miecze. Za bardzo rzucają się w oczy, abym mógł je mieć przy sobie – wytłumaczył. – Estok jest mi bardzo drogi i nie chciałbym, żeby straże miejskie mi go odebrały.

Andrea odchylił materię, odsłaniając głowicę krótszego miecza, na której widniał herb Rocheblanche.

– Umieszczę je w klasztornej krypcie, będą czekały na wasz powrót.

Rycerz uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym spoważniał.

– Będziecie musieli zaopiekować się też Isabeau – dodał.

Opat udał, że nie pojmuje.

– Ufam jedynie wam – rzekł z naciskiem Maynard. – Czyhają na mnie sam nie wiem jak groźne pułapki, doskonale o tym wiecie. Zamiast ją narażać, byłbym rad, mając pewność, że jest bezpieczna, pod opieką dobrego człowieka.

Andrea zastanawiał się nad jego słowami, ściskając w dłoniach ciężki pakunek. Zgodził się bez oporu na przechowanie broni, wahał się jednak co do dziewczynki.

– Tak się stanie – powiedział w końcu, pokonawszy rozterki.

– Nie myślcie, że zamierzam wykorzystywać waszą życzliwość – sprostował rycerz. – Wrócę po nią, jak tylko będzie to możliwe, przysięgam. I potrafię się odwdzięczyć.

– Odnajdźcie Facia di Malaspinę – odparł opat. – Będzie to aż nadto właściwa zapłata.

Rocheblanche wskoczył na konia, lecz zanim spiął karego, dostrzegł jakąś nadbiegającą postać.

Młodego malarza.

– Zaczekajcie, messer! – zawołał chłopiec, pędząc ku niemu. Przystanął przed wierzchowcem i zgiął się wpół, usiłując odzyskać oddech. – Błagam, byście zgodzili się wziąć mnie ze sobą.

Rycerz popatrzył nań zdumiony, następnie przeniósł wzrok na ojca Andree.

– Synu – szepnął równie zmieszany zakonnik – o czym wy mówicie?

– Doceniam wasz pomysł, wielebny ojcze – rzekł, rumieniając się Gualtiero. – Nie mogę jednak zająć miejsca przy pulpicie Pomposy, dopóki nie poznam losu mych rodziców.

Opat położył mu dłoń na ramieniu, próbując delikatnie go odepchnąć.

– Tym już się zajmą inni.

– Wiem. – Wyswobodziwszy się, młodzieniec zwrócił się do rycerza. – Parę nocy temu szpiegowałem was. Nie napawa mnie to dumą, lecz słysząc, jak rozmawiacie o moich bliskich, nie mogłem się powstrzymać. Wspominaliście

o jakichś listach i podróży do Ferrary...

– Nie udaję się do Ferrary wyłącznie po to, by dostarczyć listy – sprostował zimno Maynard w nadziei, że skłoni go do rezygnacji.

Mimo to Gualtiero najwyraźniej podjął już decyzję.

– To także wiem – przyznał. – Nieporozumienie... Intryga... Z czymkolwiek mamy do czynienia, nie będę wam zawadzał. Moim jedynym zamiarem jest odkrycie, gdzie przetrzymują mojego ojca i matkę i z jakiego powodu.

– Narażając się na niebezpieczeństwo, że sami również zostanieieście pojmani? – wtrącił ojciec Andrea.

– Chętnie się na nie narażę – odparł młodzieniec, biorąc się pod boki.

– Synu... – nalegał mnich coraz bardziej rozdrażniony.

– Szkoda słów, ojcze. – Przyjrząwszy się Gualtierowi, Rocheblanche uzmysłowił sobie, że chłopiec za nic w świecie nie zmieni zdania. Przypomniawszy sobie pasję, z jaką przemawiał przed kapitułą, i bacznie obserwując malujący się na jego twarzy upór, nie dziwił się, że widzi na niej także odwagę. Rzecz jasna, instynktowną odwagę, która nie miała nic wspólnego z naturą wojownika. Mimo woli natychmiast poczuł dla niego życzliwość. – Chłopiec już postanowił. – Z dobrodusznym uśmiechem rzekł do młodzieńca: – Kompan mógłby się okazać przydatny, ale gdybyście mieli być mi ciężarem...

– Tak się nie stanie, messer – czym prędzej zapewnił Gualtiero.

Ojciec Andrea parsknął śmiechem, wznosząc oczy ku niebu.

– Zdaje się, że nie pozostaje mi nic innego, jak oddać was w opiekę Panu i doradzić obu, abyście podążali szlakami wodnymi – wykrzyknął. – Wsiądźcie na łódź przy Latarni i popłyńcie w górę Padu. W ciągu jednego dnia dotrzecie na miejsce.

Postępując według wskazówek ojca Andrei, rycerz wraz z chłopcem dotarł do *Portus Abbatias* przy ujściu Padu, gdzie zaczekali na łódź, która miała zabrać ich w głąb łądu. Otoczeni opustoszałą plażą porośniętą krzakami, przycupnęli za ozdobioną rybackimi sieciami chatą, aby ochronić się przed wiatrem. Za ich plecami ciągle płonął rozpalony minionej nocy ogień Latarni, jakby miał natchnąć odwagą zagubionych w nawałnicy żeglarzy.

Obaj wpatrywali się w fale przez pół dnia, dopóki nie pojawiła się płaskodenna barka, która miała popłynąć w górę rzeki. Wyposażona zarówno w żagle, jak i w wiosła, pokonywała pokaźne odległości, a oprócz ładunku soli zabierała też bydło i podróżnych. Gdy dobijała do brzegu, sternik oznajmił, że zmierza do Pawii, z postojem w Ferrarze.

Chociaż Maynard nie znosił podróży wodą, ledwie wsiadł na pokład, uzmysłowił sobie, jak nieroztropna przed kilkoma dniami była jego chęć pokonania całej drogi konno, nieuwzględniająca innej możliwości. Przywiązawszy karego do grotmasztu, oparł się o nadburcie i wraz z Gualtierem obserwował zmieniający się krajobraz, najeżony trzciniami i powykrzywianymi drzewami – od bagien do rozciągających się pól równo pooranych pługiem.

Wzgórza nad Padem były majestatyczne, a ich zieleniące się garby często zasłaniały widok. W takich chwilach chłopiec posępnie spuszczał głowę, śledząc bieg mulistej rzeki. Rocheblanche szanował jego milczenie do czasu, gdy spostrzegł w zaroślach gromadę ptaków o wyjątkowo długich nogach. Urzeczony ich wytwornym wyglądem, zwrócił mu na nie uwagę.

W odpowiedzi na jego gest Gualtiero rozpostarł ramiona, po czym wskazał krajobraz.

– W normalnych warunkach – rzekł – skorzystałbym z tego, żeby zapisać mój szkicownik rysunkami. Teraz jednak błędzę myślami gdzie indziej.

– Szkicownik? – powtórzył Francuz, rozpraszając jego zły nastrój.

– Służy mi do rysowania – wyjaśnił młodzieniec. – Zawsze go noszę.

– Zechcecie mi go pokazać?

– To proste szkice – ociągał się niemal z zakłopotaniem Gualtiero.

– Za późno na wymówki – nalegał Maynard z porozumiewawczą miną. – Zdażyliście rozbudzić moją ciekawość.

– W takim razie... – Młodzieniec otworzył przewieszoną przez ramię sakwę i wyjął drewnianą tabliczkę przymocowaną do stosu arkuszy papieru. Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym podał ją towarzyszowi podróży.

Rycerz był głęboko poruszony. Zawartość stanowiły rzeczywiście tylko szkice, za to wykonane z takim mistrzostwem, że od razu przykuwały uwagę. Na owych zwiniętych arkuszach znajdowało się wszystko: krajobrazy, zwierzęta,

zajęci pracą wieśniacy, okolone aureolami twarze, anioły o rozpostartych skrzydłach i szkice ludzkiego ciała. Każdy obrazek został wykonany z najwyższą starannością za pomocą węgla bądź, w rzadkich przypadkach, rozcieńzonego inkaustu nałożonego pędzelkiem. W miarę przeglądania Maynard czuł narastający podziw. Skoro była to ledwie znikoma część malarskiego świata Gualtieria de' Bruniego, ciekawe, jakie niezwykle wizje musiały zaludniać jego bujną wyobraźnię.

Zachwył Maynarda wzmógł się, gdy na marginesie arkusza dostrzegł portret opata Andrei, wierny, mimo że narysowany tylko kilkoma kreskami. W zmarszczonym czole i uniesionych brwiach uchwycony został zwykły dla mnicha wyraz zadumy, który Francuz już tak dobrze znał.

Przewróciwszy parę arkuszy, ujrzał kolejną znaną twarz.

– Isabeau – szepnął z odrobiną rozbawienia i uszczypliwości.

Młodzieniec nieznacznie drgnął, lecz się nie odezwał.

Rocheblanche udał, że nie widzi jego zakłopotania, i przeglądając dalej szkice, wybuchnął nagle śmiechem.

– A to mam być *ja*? – zapytał, pokazując wizerunek zakapturzonego, zarośniętego wędrowca. Otrzymałszy potwierdzające skinienie, przypatrzył się dokładniej rysunkowi, a wówczas zdał sobie sprawę, że nie ma powodu do radości. Wraz z wyglądem zewnętrznym młody malarz uchwycił wierniej niż zwierciadło jego o wiele bardziej tajemniczą i złożoną naturę, odmalowując skrytego i zahartowanego w bojach osobnika, którego zapał nikł pod grymasem smutnej nadziei. „*Tym* więc się stałem”, pomyślał rycerz.

– Nie zauważyłem, że mi się przyglądaliście – wyznał, skrywając gorycz.

– Nie było takiej potrzeby – oznajmił Gualtiero. – Potrafię zatrzymać w umyśle to, co widzę, aby następnie przelać na papier, kiedy nie mam tego już przed oczami.

– Artysta, który podąża za obrazami. – Maynard starał się pomiarkować, jak wiele wrażliwości drzemie w duszy skłonnej do tego rodzaju zajęć, i nagle sposepniał. – Może powinniście byli pójść za radą ojca Andrei.

– Umiem o siebie zadbać – sprzeciwił się chłopiec.

– Wątpię – powiedział rycerz, obrzucając wrogim spojrzeniem kilku marynarzy wpatrujących się w jego sakiewkę, czym z miejsca ostudził ich zapędy.

– Brak wam doświadczenia – wyjaśnił młodzieńcowi. – Doświadczenia kogoś, kto potrafi nie ufać bliźniemu. – Widząc, że tamten zaniemówił, po raz kolejny poczuł do niego serdeczność. – Wiecie przynajmniej, gdzie szukać? – dodał.

– Po dotarciu do Ferrary zamierzałem popytać na ulicy – odparł Gualtiero.

– I przyznać się przed obcymi, że zdążacie do zarządu więzień? – zapytał Rocheblanche, wykazując mu naiwność tego pomysłu. – Lepiej radzić sobie samemu, wierzcie mi. Miejsce, którego szukacie, z pewnością znajduje się na

rynku, tam gdzie sam będę musiał się udać.

Młodzieniec popatrzył nań z nadzieją.

– Czy to znaczy, że będę mógł dalej podróżować z wami?

Francuz puścił do niego oko.

– Tylko pod warunkiem, że nie będziecie mi zawadzać – po czym, jakby dla przypieczętowania paktu, zwrócił mu szkicownik.

Gualtiero podziękował mu ukłonem. Gdy chował rysunki do sakwy, w jej wnętrzu mignęło coś barwnego.

– A to? – zaciekawił się Maynard. – To nie jest szkic.

– W żadnym razie – stwierdził młodzieniec i pokazał mu zamalowaną deskę z portretem niewiasty. – To moja matka.

Nie dodawszy nic więcej, ponownie wsparł łokcie o nadburbcie i zapatrzył się w poruszającą się, pociemniałą już toń.

STARA WIEŻA STRAŻNICZA, PRZEDMIEŚCIE REIMS

28 MARCA O ZMIERZCHU

Siostra Eudeline straciła poczucie czasu. Naga, skulona w kącie dusznej celi, od wielu godzin wsłuchiwała się w dreptanie szczurów w ciemności. Myśl o tych plugawych stworzeniach jeszcze bardziej niż strach nie pozwalała jej zmrużyć oka, podczas gdy odór stęchlizny, wydzielany przez podłogę i ściany, budził w niej odpychające wrażenie brudu. Mimo to starała się zachować trzeźwość umysłu, pozostając w stanie nerwowego czuwania, jakby była opętana.

Nie wiedziała, kim są jej oprawcy. Rozpoznała wprawdzie zbira, który ją uprowadził, nic jednak nie wiedziała o mężczyźnie z pochodnią. W podeszłym wieku, lecz nadal pełen wigoru, wyglądał na duchownego. Wywnioskowała to zarówno ze sposobu wysławiania się, jak i z przenikliwej woni kadzidła, jaką przesiąknięte były jego szaty. Przede wszystkim zaś z groźby oskarżenia o herezję. Każdy inny człowiek rzuciłby innego rodzaju groźby. Tylko duchowny mógł przedkładać anatemę ponad śmierć, upadek i hańbę.

„Inkwizytor?”, przemknęło jej przez głowę, lecz zaraz pomyślała, że to mało prawdopodobne. Po soborze w Vienne drastycznie ograniczono nadużycia Inkwizycji. Ponadto w takim wypadku nie trzymano by jej w jakiejś rozwalonej budowli, ale w jednym z biskupich więzień.

Bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ma do czynienia z jednym z owych niebezpiecznych indywiduów, przed którymi uciekał Maynard. *Najemne zbiry*, oznajmił po tym, gdy opowiedział jej o zagadce *Lapis exilii*. Zagadka, której – nie wyjawwszy niczego więcej – najwyraźniej oddał się duszą i ciałem po opuszczeniu klasztoru Świętej Balsamii. „Kochany bracie, gdybyś tylko nie zataił przede mną tak wielu spraw...”, pomyślała z żalem matka przełożona.

Wtem przypomniała sobie, że coś jednak wie. Karol Luksemburski, król klechów: jedyny pewnik, jaki wyłonił się z rozproszonych wspomnień Roberta de Vermandois.

To znamienite imię skłoniło ją do wzięcia pod uwagę możliwości, że starzec z pochodnią jest na usługach monarchy. Skądinąd Karol Czeski cieszył się sławą człowieka podejrzanego. Związany podwójną nicią z wysokimi sferami kościelnymi, odznaczał się fanatyzmem religijnym, który znajdował ujście w nadmiernym upodobaniu do relikwii. Gdyby dowiedział się o istnieniu *Lapis exilii*, prawdopodobnie usilnie zapragnąłby go mieć...

„Nie”, zaprzeczyła myślom wielebna matka. Podobne spekulacje mogły ją sprowadzić na manowce. Zamiast gonić za mrzonkami, więcej zyskałaby, skupiając się na rzetelnych i pewnych wskazówkach. Nie dysponowała wszakże żadnym szczegółem... Poza związkiem z Aleydis.

Wtedy zrozumiała.

Nieznany dobroczyńca, posag wpłacony za nowicjat dziewczyny, cotygodniowa spowiedź... Wszystko spowijała mgiełka tajemnicy. Z początku przeorysza była zaciekawiona, potem odsunęła tę kwestię na bok, przytłoczona nadmiarem obowiązków, aż wreszcie zapomniała o niej. Teraz jednak pod wpływem podejrzenia poczuła się tak, jakby na szyi zacisnęła jej się pętla. Ależ była łatwowierna! Aleydis musiała zostać przysłana do klasztoru, aby szpiegować ją i Maynarda.

Uprzytomniwszy to sobie, zastanowiła się nad łatwością, z jaką Marcus zakradł się do jej *domus particularis*. „Wszedł po kryjomu, jakby...”

Przemknęło jej przez głowę wspomnienie siostry Claire skarżącej się, że nie może otworzyć zamka swoim kluczem. Akurat na dzień przed zniknięciem. Czyżby był to tylko przypadek? Matka przełożona zakryła twarz dłońmi, zatrwożona straszliwym podejrzeniem.

– Aleydis... Aleydis... – załkała. – Cóżes mi uczyniła...

Eudeline struchlała na odgłos kroków.

Uzmysłowiwszy sobie, że jest naga i bezbronna, przywarła do ściany. Nie zapomniała, z jak okrutną rozkoszą Marcus wystawił ją do światła pochodni, i na samą myśl, że będzie musiała znosić kolejne upokorzenia, zapragnęła mieć sztylet, którym odebrałaby sobie życie. „Bóg by to rozumiał”, uznała. W swym nieskończonym miłosierdziu może nawet by jej wybaczył.

Po szczęku rygła w progu ukazała się jakaś szara postać.

– Mój pan wkrótce tu będzie – zachichotał Marcus. – Ale mamy jeszcze czas...

Eudeline patrzyła, jak się zbliża, widziała w jego oczach błysk pożądania.

– Odsuńcie się!

– Jesteście piękni jak na zakonnicę – szepnął mężczyzna, chwytając ją za nadgarstki. – *Zbyt* piękni...

Poczuła narastającą zgrozę, ale uścisk zbira niespodziewanie omdlał, a jego zgniły oddech osłabł. Po czym Marcus runął na ziemię, zza jego pleców zaś wyłonił się jakiś cień.

Stojąc skamieniała przed nieznanym, zakonnica ujrzała lśniąco ostrze znikające w fałdach szkarłatnej tkaniny. Śledziła wzrokiem iskrę krzesiwa i język ognia. Wreszcie w świetle pochodni pojawiła się twarz o mauretańskich rysach i przenikliwych oczach.

Zanim Eudeline zdążyła się zastanowić, kto to jest, czyjaś dłoń o długich

palcach pomogła jej się podnieść. Wówczas przypomniała sobie, jak minionej jesieni na drodze do Reims o mało nie przejechał jej wóz zaprzężony w woły.

– Dobry samarytanin... – wyjąkała zmieszana.

– Chodźcie – rzekł mężczyzna, wyprowadzając ją z celi.

Cofnęła się, uprzytomniwszy sobie, w jakim jest stanie.

Wtedy mężczyzna skinął na znak, że pojmuje. Zdjął szkarłatny płaszcz, otulił ją nim i zawiązał pod brodą.

– Chodźcie – powtórzył z troską. – Wasz klasztor jest daleko.

Gdy tylko kardynał wkroczył do starej wieży, zorientował się, że coś musiało się stać. Cisza była niemal namacalna, podobnie jak mrok. Ani błysku lampki oliwnej, ani przywołującego go głosu.

Postąpił ostrożnie naprzód, wydobywszy spod szaty mizerykordię. Marcus uwiązał konia przed wejściem, nie mógł więc być daleko. Nie było się zatem czym martwić. Na rozkaz purpurata ów zbir, równie skuteczny w zadawaniu śmierci, jak gozdzien zaufania, wyprzedził go, chcąc zastraszyć niewiastę tak bardzo, by skłonna była do mówienia.

Mimo to kardynał nie dostrzegał żadnych znaków jego obecności.

„Gdzie jesteś?“, pomyślał, bacząc, by nie hałasować. Udał się do celi Eudeline z wycelowanym sztyletem, gotów zadać cios. Poruszał się ostrożnie w ciemnościach, jego wełniane trzewiki prawie nie wydawały żadnego odgłosu.

Kiedy jednak znalazł się przed drzwiami komórki, która powinna być zaryglowana, wzrok okazał się zbędny. Zapach krwi i ta sama głucha cisza wystarczyły, żeby wszystko stało się jasne.

Ogarnął go gniew, który podzielał jak strumień lodowatej wody. Poddał mu się w milczeniu, niemal rozkoszując się jego zawziętą siłą. Kardynał nie przywykł do okazywania uczuć, nawet w chwilach samotności. Powściągnął złość, wdychając powietrze przez zepsute zęby i szepcząc przekleństwa.

Spoczywający na podłodze kształt był zbyt masywny jak na trupa Eudeline de Rocheblanche.

Rozejrzał się dokoła, choć wiedział już, że jego wysiłki są daremne. Uznawszy za niemożliwe, by samotna i nieuzbrojona niewiasta zdołała pokonać Marcusa, stwierdził, że lepiej zniknąć.

WJAZD DO FERRARY, MOST PRZY BARBAKANIE

29 MARCA

Maynard i Gualtiero dotarli do celu z półdniowym opóźnieniem z powodu niespodziewanego wezbrania Padu, sprawiającego, że barka musiała dobić nocą do brzegu w porcie rzeczonym o nazwie Fiscalia. Nazajutrz rano, gdy wody się uspokoiły, popłynęli dalej bez przeszkód, aż ich oczom ukazały się najeżone palisadami brzegi, za którymi wznosiło się okolone murami miasto. Kapitan zarzucił kotwicę po drugiej stronie rzeki, po czym przystąpił do wyładowywania towarów i wysadzania podróżnych na ląd.

Opuściwszy pokład, obaj kompani minęli przedmieście skupione wokół kościoła pod wezwaniem Świętego Jerzego i wraz z innymi wędrowcami weszli na ruchomy most wzniesiony na barkach. Przemierzyli go, ostrożnie stąpając po rozkołysanych deskach, aż znaleźli się ponownie na stałym lądzie, przed bramą w fortyfikacjach Ferrary.

Przekroczywszy ją, Maynard jął się przedzierać przez labirynt dzielnic usianych kościołami, kamienicami i drewnianymi domami. Poradził Gualtierowi spieszne zapisanie w pamięci punktów orientacyjnych, aby się nie zgubić, i poprowadził karego, trzymając go za wodze, szeroką ulicą równoległą do murów. Potem skręcił na północ i przecinając coś, co wyglądało jak oset, poszedł wzdłuż fosy na skraju szlacheckiego przedmieścia. Pozostawiał za plecami coraz bardziej majestatyczne budowle z kamienia lub cegieł, poprzedzielane ogrodami warzywnymi i kwiatowymi oraz kanałami. Mijało ich tak wielu przechodniów z tak różnych warstw społecznych, że Maynard nakazał chłopcu, by posuwał się naprzód, nie budząc niepotrzebnie ciekawości.

Wtem spostrzegł, że pod stopami nie ma już ubitej ziemi, tylko bruk, po chwili zaś znalazł się przed ogromną katedrą. Ujrzał jej białą marmurową fasadę z portalem umieszczonym wśród arkad, podcieni i rzeźb, następnie drugie, wielkie wejście, otwarte na południowe skrzydło, zwrócone ku placowi. Wszędzie wokół wznosiły się imponujące, choć już nie tak wysokie i nie tak majestatyczne budowle. Spoglądając na herby pomiędzy blankami, Rocheblanche rozpoznał Pałac Mądrości, siedzibę sędziów i notariuszy, oraz Pałac Signorii.

Skinąwszy na Gualtiera, aby podążał za nim, przeciskał się przez gęstniejący tłum, który kierował się ku kilku kramom na obrzeżach placu. Posuwał się ze spuszczoną głową, trzymając karego za uzdę, nie spuszczając z oka straży

stojących na skraju dróg. Wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył gdzieś w pobliżu ułomnego Facia di Malaspinę, toteż rozważając taką możliwość, wołał zachowywać ostrożność.

– Prędko – rzekł – chodźmy dalej.

– A mówiliście, że gdy rozpozna się miejsce, w którym wymierza się sprawiedliwość... – zatrzymał go młodzieniec.

– Nie teraz. – Rycerz dał mu kuksańca, zmuszając, by szedł naprzód. – Zanim przystąpimy do działania, lepiej znaleźć kwaterę i zastanowić się, co dalej.

Przemieszczali się na północ, traktując jako drogowskaz wieżę strażniczą, której wierzchołek zdobiły dwa lwy w koronach. Znajdujący się pod nią mur otwierał się szeroko na kolejne osiedle.

– Jeśli dobrze pamiętam wskazówki ojca Andrei – powiedział Maynard – to musi być to miejsce. Rozpocznijmy od poszukania przytułku, o którym wspominał... – Zorientował się jednak, że Gualtiero jest pochłonięty widokiem wieży, na której wierzchołku dyndało czterech wisielców. Wyobrażając sobie, jaką przeżywa mękę, odciągnął jego uwagę od tego makabrycznego widowiska.

– Nie warto skupiać się na tym, co was nie dotyczy – upomniał go delikatnie.

Gdy przekroczyli mur, znaleźli się na przedmieściu, którego północną granicę stanowiło lustro wody, pozostałe zaś kościoły. Wkrótce przekonali się, że największy z nich, pod wezwaniem Świętego Leonarda, odpowiada opisowi opata z Pomposy. Na ulicy przed fasadą, pośród wyżłobionych przez wozy kolein i kałuż, ganiały się i okładały wzajemnie chmary obdartych dzieciaków.

Rocheblanche uwiązał konia do pierścienia w murze, polecił Gualtierowi, aby go popilnował, i zastukał do drzwi. Otworzył mu brat o osobliwym wyglądzie. Przypominający raczej członka zakonu wojskowego niż pospolitego mnicha, miał na sobie czarną szatę z błękitnym krzyżem w kształcie litery T wyszytym na sercu.

– To jest dom kanoników Świętego Antoniego – oznajmił frater z dobrodusznym gestem powitania. – Co was tu sprowadza?

Rycerz od razu rozpoznał francuską wymowę, nie zdołał wszakże dokładnie określić, skąd pochodzi.

– Szukam gościny – wyjaśnił – dla siebie i dla mego towarzysza podróży.

– Będziecie musieli zadowolić się tym, co jest.

– Nie mamy wysokich wymagań.

Zakonnik wzruszył ramionami.

– Nasze hospicjum Miłosierdzia Bożego – wskazał wiekowy gmach naprzeciw kościoła, po drugiej stronie ulicy – zapewnia schronienie jedynie dzieciom, które zostały bez rodzin, tak zwanym podrzutkom. Od kilku dni zajmują go wszakże przybyli z daleka zbrojni.

Maynard zrozumiał teraz, skąd wzięło się wokoło tak dużo dzieciaków. Dostrzegł też stojące przed budynkiem konie. Było ich z dziesięć, wszystkie

osiadłane i w czaprakach.

– Wystarczy nam izba, w której moglibyśmy odpocząć – rzekł, zastanawiając się, co robi Francuz w kościele położonym tak daleko na południe od Alp. Coraz bardziej zaciekawiony dodał, nie mogąc się powstrzymać: – Wybaczcie mi wścibstwo, ojcze... Ale skąd pochodzicie?

– Z Vienne – odparł kanonik z dumnym uśmiechem – podobnie jak spora część moich współbraci. Nasz zakon zagościł w tych murach jakieś sto lat temu i od tej pory cieszy się szacunkiem i poważaniem za sprawą oddania Antoniemu Wielkiemu i umiejętności uzdrawiania chorych na święty ogień.

– Vienne... – powtórzył rycerz, dla którego wymowa zakonnika nagle stała się jasna.

– Owszem, Vienne – powiedział z naciskiem zakonnik – i właśnie z tego powodu wspomniani przeze mnie zbrojni wybrali nasze hospicjum. Zdaje się, że wielu z nich szczyli się tym samym pochodzeniem.

Słyszając te słowa, Maynard przyjrzał się czaprakom stojących przed hospicjum koni i na kilku z nich rozpoznał szlachecki herb, którego dawno nie widział. Zanim zdążył sobie przypomnieć, do jakiego rodu należy, zauważył gromadę mężczyzn w rycerskich szatach, którzy akurat wychodzili z budynku. Mieli twarze obrosnięte gęstymi brodami, a ich płaszcze zdobiły herby krzyżowców. Najwyższy z nich, energiczny starzec o srebrzystosiwych włosach, najwyraźniej go spostrzegł i po chwili zmełł w ustach przekleństwo.

Rocheblanche drgnął.

– Nie może być! – wykrzyknął, owładnięty nagłym wrażeniem, że go zna.

Tamten podszedł szybkim krokiem i stanąwszy przed nim, chwycił go za kołnierz.

– Niech mnie diabli porwą – zawołał, zrywając mu z głowy kaptur – jeśli to nie Maynard de Rocheblanche!

Wprawiając Gaultiera w zakłopotanie, Maynard niespodziewanie wybuchnął śmiechem i zamknął nieznanego w przyjacielskim uścisku.

– Co tu robicie? – zapytał.

– Raczej, co wy tu robicie! – odparł mężczyzna o srebrzystosiwej czuprynie.
– Powracam z wyprawy do Lewantu.

Zanim Rocheblanche oddał się rozmowie, zwrócił się do młodego malarza, który nadal wpatrywał się w niego osłupiały:

– To jest Bastien des Baux, młodszy brat hrabiego Montescaglioso – wyjaśnił z emfazą. – Był moim nauczycielem fechtunku. – Zaczekawszy, aż Gaultiero da mu znak, że pojmuje, powrócił do pogawędki ze starym kompanem. – Sądziłem, że ciągle jesteście w Paryżu.

– Opuściłem go dla krzyża – odrzekł Bastien. – Udałem się do Smyrny, żeby przelać turecką krew.

Rycerz zauważył jego ogorzałą twarz i nową bliznę przecinającą kość jarzmową.

– Doszły mnie słuchy o wyprawie krzyżowej ogłoszonej przez papieża, nie wiedziałem jednak, że ktoś się stawiał.

– Królestwo Francji jest zbyt pochłonięte walką z Anglikami, żeby wieść mogła się rozejść, chociaż wyprawę poprowadził jego szlachetny syn. Humbert de la Tour-du-Pin, delfin Viennois.

– Mąż waszej wnuczki, o ile mnie pamięć nie myli.

Des Baux spochmurniał na chwilę.

– Poprzedzam jego powrót – wyjąwił wreszcie – aby sprawdzić, czy dotarły papieskie glejty, które pozwolą mu przejechać bez szwanku przez terytoria Wenecji, Genui i Mediolanu. Po dwudziestu dniach markiz Este ciągle twierdzi, że nie otrzymał wydanego dla niego listu żelaznego.

Słowa te podsunęły Maynardowi pewien plan.

– Znacie Obizza III?

– Tylko przelotnie – rozczarował go Bastien. – Ja i moi kompani mieliśmy do czynienia wyłącznie z zastępem jego urzędników. – Nagle coś go zaciekawiło, toteż wpatrując się w Maynarda baczniej, zmienił temat. – Ale opowiedzcie mi o sobie! Po tylu latach wystarczyło, że spojrzałem na sposób, w jaki chodzicie, a od razu was poznałem. Nadal trzymacie prawą dłoń na klamrze, gotową w każdej chwili chwycić za rękojęść sztyletu.

– Tak jak mnie nauczyliście – dodał rycerz, otwierając ramiona.

Bastien spoważniał.

– Mówcie, Rocheblanche. Co robicie tak daleko od domu, w dodatku w stroju mnicha?

Wprawdzie Maynard nie miał ochoty na zwierzenia, nie mógł się wszakże uchylić od odpowiedzi. Dzięki Bastienowi udoskonalił nie tylko sztukę władania mieczem, ale także zalety odwagi i szlachetności ducha, które w dzieciństwie zaszczepliła mu matka.

– Szukam pewnego człowieka – oznajmił.

– A co ma z tym wspólnego markiz Este?

– Nic takiego nie mówiłem – bronił się rycerz, ukrywając zaskoczenie.

– Doprawdy sędzicie, że możecie mnie zwodzić? – roześmiał się mistrz fechtunku i klepnął go pięścią w pierś. – Ciągłe jeszcze rozpoznaję sposób, w jaki unosicie brwi, zanim zamarkujecie cios. I wierzcie mi, wystarczyło mi jedno spojrzenie, by dostrzec ciekawość, jaką budzi w was markiz.

Rocheblanche omiół baczny wzrokiem zarówno współtowarzyszy Bastiena, którzy pozostali po drugiej stronie ulicy, jak i kanonika od Świętego Antoniego, nadal przyczajonego w drzwiach kościoła, aby się upewnić, że żaden z nich nie podsłuchuje.

– Żywię przekonanie – zdecydował się w końcu odpowiedzieć – że człowiek, o którym mówię, ukrywa się w otoczeniu markiza.

– Będzie trudno – skwitował Bastien. – O ile nie macie dobrego pretekstu, nie zdołacie dostać się na dwór.

– Muszę doręczyć wiadomość. Powinno wystarczyć, żeby spotkać się z...

Mistrz fechtunku pokręcił głową, krzywiąc się lekko z rozczarowaniem.

– Pokieruj was do kancelarii markiza, podobnie jak kiedyś mnie. Nie łudźcie się. Markiz Este rozmawia jedynie z wysoko urodzoną szlachtą.

Rycerz zamyślił się. Zdażył już nabrać obaw przed podobnymi trudnościami, uparcie wszakże nie dawał za wygraną. Skoro zwykły list nie pozwoli mu się zbliżyć do markiza, może zwrot części długu Pomposy okaże się wystarczająco ważnym powodem, aby dostać się na pałacowe komnaty i poszukać Facia di Malaspiny.

– Jednakowoż pewne rozwiązanie by się znalazło... – zaczął Bastien, wrywając go z zadumy.

– Czyli? – zapytał Maynard. Zamiast jednak skupić się na słowach mistrza fechtunku, nagle uzmysłowił sobie, że coś jest nie tak. Obejrzawszy się, zobaczył karego uwiązanego przy kościele i poczciwego ojca od Świętego Antoniego, który nadal stał w drzwiach. Wszędzie panował idealny spokój, a przecież... „Nieszczęsny głupiec!”, pomyślał, wyteżając wzrok ku ulicy wiodącej na plac, w poszukiwaniu znajomej sylwetki.

Gualtiero zniknął.

Naprawdę nie dał rady stać spokojnie, podczas gdy Maynard gawędził ze swym kompanem w tak zawilej francuszczyźnie, że nie sposób było zrozumieć choćby słowa. Gualtiero miał inne zmartwienia. Łatwo było mówić rycerzowi, że

należy zachować ostrożność i kierować się strategią. Ciekawe, jak by postąpił, gdyby to jego rodziców pojmał trzy dni wcześniej widam od biskupa! Nie żeby młodzieniec go przeklinał. Przeciwnie, uważał go za rozważnego i dzielnego mężczyznę. Teraz jednak liczyło się tylko to, żeby nie marnować cennego czasu. Myśl o matce i ojcu zamkniętych w ciemnej celi nie dawała mu spokoju, budząc poczucie winy, że do tej pory nie zdołał nic zrobić.

Korzystając z chwili nieuwagi Rocheblanche'a, opuścił przedmieście Świętego Leonarda i zawrócił lekko w stronę placu. Wielkość kamienic dawała mu przeświadczenie, że zarząd więzień ma swoją siedzibę właśnie tutaj.

Ledwie jednak znalazł się wewnątrz murów, zdał sobie sprawę, że okoliczności uległy zmianie. Tłum nadmiernie zgęstniał, uniemożliwiając mu poruszanie się. Gualtiero przedzierał się ostrożnie wśród narastających okrzyków, usiłując dotrzeć do jakiegoś miejsca, z którego mógłby obserwować budynki. Im mocniej wszakże się rozpychał, tym większe miał wrażenie, że ludzi przybywa. Cizba, niczym wezbrana rzeka, pociągnęła Gualtiera ku wschodniej części placu, gdzie tłum gromadził się właśnie, aby śpiewać pieśni i odmawiać modlitwy.

Młodzieniec nie wiedział, co się dzieje, dopóki z bocznego zaułka nie wyłoniła się procesja osobników odzianych w białe worki, okładających się biczami, różgami i kijami. Podążali za zakrwawionym Chrystusem na ogromnym krzyżu, po którego bokach szli dwaj mnisi wymachujący w powietrzu kadzielnicami. Na ich widok tłum wpadł w szaleńczy entuzjazm – rozległy się obłąkańcze wrzaski i wzmógł się zgiełk. Niektórzy zaczęli wręcz zadawać sobie ciosy, naśladując gesty idących w szeregu białych biczowników.

Bojąc się, że pochłonie go ta zbiorowa gorączka, młodzieniec usiłował się wycofać; dawał odpór trwodze i razem, które otrzymywał ze wszystkich stron. Gdy jednak tylko spróbował ruszyć pod prąd, odepchnięto go z taką mocą, że runął na jakiegoś mężczyznę w łachmanach i z zakrwawionymi plecami.

Od uderzenia zakręciło mu się w głowie; oszołomiony upadł na ziemię i został przygnieciony przez cizbę.

Zalany morzem kroków czarnym niczym noc.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

Minął dzień, odkąd Eudeline powróciła do klasztoru cała i zdrowa, otulona płaszczem swojego tajemniczego wybawcy. Nie potrafiła uwolnić się od wspomnienia dotyku owego szkarłatnego brokatu, który zapewnił jej poczucie bezpieczeństwa i zarazem przyniósł woń gorących i odległych miejsc. To niewiarygodne, jak zwykle wspomnienie nałożyło się na obrazy porwania i więzienia, sprawiając, że stały się niemal niegroźne. I niewiarygodne, jak po uspokojeniu współsióstr życie z łatwością powróciło w stare klasztorne tryby, mimo że kładły się na nie cieniem liczne niewiadome.

Poprzedniej nocy dobry samarytanin odprowadził ją do drzwi kościoła, nie odzywając się ani słowem, po czym rozpląnął się niczym zjawa. Wielebna matka nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Nie dość, że nie знаła jego imienia, to nie wiedziała też, dlaczego ów nieznajomy zabił i tak bardzo się dla niej narażał.

Wszelako w kryptach Świętej Balsamii czekały na odpowiedź istotniejsze kwestie. Zaciekawiona Eudeline zeszła po schodach do podziemi i z lampką oliwną w dłoni dotarła do niszy strzeżonej przez furtkę, którą kazała zabezpieczyć łańcuchem i kłódką.

Było to pierwsze polecenie, jakie wydała zaraz po powrocie do klasztoru.

Uwięzić Aleydis.

Dziewczyna siedziała skulona w kącie. Oczy miała podkrążone z braku snu, a ślady łez i rozpaczki ustąpiły miejsca grymasowi wyczerpania.

Na jej widok przeorysza nie poczuła ani odrobiny żalu. W ciągu dwóch ostatnich dni dowiedziała się o niej więcej niż przez pięć miesięcy nowicjatu. Za nic w świecie nie pozwoliłaby sobie na litość.

– Wiem, jak się czujecie – rzekła z lodowatą mściwością. – Niedawno sama się tak czułam.

Aleydis podniosła wzrok i wpatrzyła się w nią. Jak ofiara.

Eudeline ogarnęło przemożne pragnienie spoliczkowania jej.

– Nie chowajcie się w ciemnościach – ostrzegła ją. – Zeszłej nocy widziałam, jak czailiście się przed moją komnatą. – Po czym oświetliła ją lampką oliwną. – Czy to wy wpuściliście tego mężczyznę?

– Szczerze mówiąc, ja nie...

– Nie ważcie się kłamać! – wysyczała matka przełożona. – Od razu rozpoznałam tego oślizłego żołdaka! Wiem, kto to był, a co za tym idzie, wiem, że wy też jesteście w to zamieszani.

Dziewczyna odsunęła się od światła, niezdecydowana, co powiedzieć. Przez

chwilę mamrotała coś półgłosem, jakby rozmawiała z ukrytą w cieniu kompanką. Wreszcie z gestem rezygnacji zwróciła się do swej strażniczki:

– Nie chciałam, żeby wyrządzili wam krzywdę... – wyznała, składając ręce.
– Widzicie, ja... – po czym spuściła głowę i zaczęła łkać.

Niewzruszona jej łzami matka przełożona odwróciła wzrok.

– Zdradziliście mnie, Aleydis, ale teraz wszystko mi powiecie... Wszystko!
– Zaczekawszy, aż echo jej słów ucichnie, uklękła przed nią. – Ale najpierw musicie się przyznać do o wiele poważniejszej zbrodni.

– Nie mam już żadnego powodu, żeby cokolwiek przed wami zatajać – odparła Aleydis, ocierając policzki.

– Klucz – rzekła Eudeline.

– Jaki klucz?

– Ten, który otwiera drzwi do mego *domus particularis* – wyjaśniła matka przełożona, chociaż była przekonana, że nie ma takiej potrzeby. – Są tylko dwa takie klucze. Otóż dzisiaj znalazłam jeden schowany w waszych rzeczach. Ukradliście go siostrze Claire, prawda?

Aleydis potrzęsała głową. Jakby chciała odrzucić rzeczywistość.

Dla Eudeline było to aż nazbyt wystarczającym potwierdzeniem. Na myśl o ciele koadiutorki leżącym bezwładnie na dnie studni uderzyła się w pierś, rozdarła między gniewem a bólem żaloby.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że przyjmę do mego klasztoru osobę zepsutą do szpiku kości! – syknęła. – Nigdy bym nie przypuszczała, że będę musiała wymierzyć karę za podobną podłość!

– Nie taki miałam zamiar... – broniła się Aleydis, znowu płacząc. – To było nieszczęście... Wypadek...

Rozdrażniona tak wielkim uporem wielebna matka jęła się zastanawiać, kto kryje się pod tą maską.

– Kłamczucha z was.

Więźniarka poderwała się na równe nogi i uczepiła krat furtki.

– Nie pragnęłam śmierci siostry Claire! – krzyknęła z taką mocą, że Eudeline aż podskoczyła. – Gdybym mogła cofnąć czas, wszystko bym zmieniła... Ale nie mogę, Najświętsza Panienko! Nie mogę!

– Jak możecie sądzić, że wam uwierzę? – zapytała Eudeline. – Bądźcie przekłęci wy i wasze oszustwa! Nie przyszedłam tu po to, żeby się litować ani okazać łaskawość. Pragnę tylko poznać powód tego wszystkiego i będzie lepiej dla was, jeśli odpowiecie szczerze... – Patrzyła na nią jeszcze groźniejszym wzrokiem. – Bo inaczej przysięgam, oddam was biskupiemu katu.

– Tylko nie tortury! – jęknęła Aleydis, a jej twarz zmieniła się niczym wosk, który za chwilę stopnieje. Brwi, worki pod oczami, kąciki ust – wszystko opadło w wyrazie bezsilnego przerażenia.

– To on... – wyznała wreszcie. – On! Zmusił mnie, pojmujecie? Chciał wiedzieć...

Matka przełożona ścisnęła jej dłoń uczeptioną krat.

– Wasz dobroczyńca, jak przypuszczam. – Na myśl o mężczyźnie z pochodnią powstrzymała instynktowne drżenie. „Odwagi”, powiedziała sobie. – Zdradźcie, kto to jest, albo dotrzymam obietnicy.

– Uczynię to. – Dziewczyna przestała płakać, jej głos stał się spokojniejszy, wolny od szlochów. – Najpierw jednak chcę, żebyście zrozumieli.

– Niedorzeczna zachcianka. – Śmiech Eudeline był jak smagnięcie biczem. – Ode mnie otrzymacie wyłącznie pogardę.

Więźniarka gwałtownym gestem chwyciła ją za dłoń zaciśniętą na swojej, nakazując jej, by słuchała.

– Z początku wcale mnie nie obchodziliście! – wyznała przepełniona poczuciem winy. – W moich oczach byliście panienką, która wychowała się wśród wygod, podobnie jak wasze współsiostry. Kiedy się poznałyśmy, przyszedłam z ulicy, wiodłam tak nędzne życie, że nie potraficie sobie nawet tego wyobrazić, i zrobiłabym wszystko, byleby znaleźć się na waszym miejscu. Wszystko! Lecz potem... Potem coś się zmieniło. *Ja* się zmieniłam. Nie wiem, czy to za sprawą klasztornej dyscypliny, czy też waszego przykładu, ale w istocie nie jestem już tą samą osobą. Nauczyłam się was szanować do tego stopnia, że pragnę być taka jak wy... Proszę, uwierzcie mi! Moje wyrzuty sumienia są szczerze, a jeśli dacie mi sposobność udowodnienia tego...

Matka przełożona brutalnie wyrwała się z uścisku.

– Twierdzicie, żeście się zmienili, chociaż postąpiliście jak zła niewiasta.

– Przecież powiedziałam: on mnie zmusił!

– Mogliście odmówić... – *I przyść do mnie*, miała dodać wielebna matka, która nagle oniemiała, ogarnięta mieszaniną zdumienia i zakłopotania. Otóż Aleydis bez uprzedzenia odwróciła się do niej tyłem i rozebrała się zupełnie do naga.

Eudeline patrzyła na nią, nie potrafiąc pojąć tego zachowania, dopóki nie ujrzała jej pleców. Pokrywały je dziesiątki głębszych i płytszych blizn w kolorze od jaskrawej czerwieni po czerń. Niemal zapomniawszy o gniewie, nie mogła się powstrzymać i wyobraziła sobie ogrom cierpień i upokorzeń, jakich zaznała nieszczęsna Aleydis. Owe ślady świadczyły o tygodniach, może nawet miesiącach bólu znoszonego w milczeniu... Cofnęła się na myśl o zwyrodniałym szaleństwie tego, kto jej to uczynił.

Milczenie przerwała dziewczyna, nieruchoma i blada niczym oszpecona rzeźba.

– A teraz – oznajmiła – poznacie jego imię.

Nieco później Eudeline siedziała w domu gościnnym przy klasztorze Świętej

Balsamii przed Robertem de Vermandois. Rozmowa z Aleydis najwyraźniej wyssała z niej resztki energii, jakie pozostały jej po tak wielu wyczerpujących doświadczeniach. Zanim jednak mogła sobie pozwolić na odpoczynek, musiała dokończyć pewne ważne zadanie.

Wróciła do Roberta, wyluszczać powody, które skłoniły ją do zasięgnięcia porady. Miała mu właśnie przedstawić nader poufną i niebezpieczną prośbę. W imię szczególnej zażyłości, jaka się między nimi zrodziła, uważała go za jedyną osobę, która była w stanie zrozumieć jej obawy. Przynajmniej częściowo.

– Dopiero teraz z tym do mnie przychodzicie? – wykrzyknął Pikardyjczyk. – Więziono was przez cały dzień i nikt mi nie wspomniał o tym nawet słowem?

– Nikt nie wiedział – wyjaśniła, starając się nadać głosowi uspokajające brzmienie. – Tak czy inaczej, wszystko już minęło.

– Jakież to nikczemny łajdak wam to zrobił? – huknął rycerz, nie mogąc ochłonąć. – Powiedzcie mi tylko, a zamienię go w pokarm dla robactwa!

– Chcę was prosić o inną przysługę, messer. Jeśli się zgodzicie, będziecie musieli zachować powściągliwość i ostrożność.

– Mówcie jaśniej.

Wielebna matka rozważyła jeszcze, czy nie mądrzej byłoby zrezygnować i zmienić temat. Poczowała ukłucie wstydu, że wywiera wpływ na oczarowanego nią mężczyznę. Niemniej uzmysłowiła sobie, że już za późno, by zawrócić z tej drogi. Zresztą Roberta paliła ciekawość.

– Będziecie musieli wypytać o tego, kto kazał mnie uprowadzić – wyjawiała, starannie dobierając słowa. – To pewien kardynał, który od paru miesięcy gości w opactwie Świętego Remigiusza. Chcę znać każdy jego krok, imiona osób, z którymi się spotyka, i...

Wpatrywał się w nią ze źle skrywanym zdumieniem. Z pewnością nie spodziewał się tego rodzaju żądania, mimo że po wielu miesiącach bezczynności odczuwał ogromne pragnienie działania.

– Jeśli zdecyduję się wypytywać o tego prałata – rzekł, świdrując ją wzrokiem – będę musiał poznać naturę jego dociekliwości w stosunku do was.

– Obawiam się, że to nie może wyjść na jaw. – Chociaż Eudeline domyśliła się, że Robert nie rozumie, postanowiła trzymać język za zębami w kwestii *Lapis exilii* i tajemnic Maynarda. – To nie jest zachcianka, messer – dodała. – Gdybym złamała przysięgę milczenia, drogie mi osoby mogłyby stracić życie.

Vermandois skinął na znak, że pojmuje. Osłupienie ustąpiło miejsca czujności i wyrachowaniu.

– Działanie na oślep nie będzie dla mnie łatwe – stwierdził. – W jakim celu miałbym zasięgnąć języka o tym prałacie?

Matka przełożona wolałaby mu to wyjawić później, zdała sobie jednak sprawę, że jeśli chce zdobyć przychylność tego człowieka, musi mu zaufać.

Zmarszczyła czoło.

– Aby ustalić, jak i kiedy odplacić mu pięknym za nadobne.

Pikardyjczyk wpatrywał się w nią oszołomiony.

– Zatem zamierzacie... go porwać?

Wobec takiej reakcji była bliska rezygnacji z przedsięwzięcia. „Przeprós i powiedz, żeby o wszystkim zapomniał”, pomyślała w duchu, żałując, że uległa instynktowi. Przypomniawszy sobie wszakże, ile wycierpiała z rąk kardynała, odrzuciła wszelkie wahanie i przytaknęła stanowczo.

– Teraz jest dla was jasne, messer, dlaczego zwróciłam się do was, a nie do rzeczników biskupa?

Pokiwał głową.

– I cóż, uczynilibyście to?

Robert nie od razu odpowiedział. Wyglądało na to, że czuje pokusę, nawet jeśli w owej chwili milczenia uparcie świdrował ją podejrzliwym wzrokiem. Nie jestem głupcem, mówiły jego zielone oczy. Do waszych usług, lecz w pewnych granicach. Eudeline zdawała sobie sprawę, że prosi go o coś, co wykracza poza zwykłe odruchy rycerskości, odwołując się do zażyłości zbudowanej na niedomówieniach i niewypowiedzianych słowach. Zażyłości, która zależnie od jego decyzji albo się pogłębi, albo wygaśnie.

Wtem Robert pochylił się do przodu i chwycił ją za rękę.

– Śmiałość – szepnął. – Pamiętacie? – Markował przesuwanie pionów po szachownicy. – Już wtedy powiedziałem, że ją u was dostrzegam, chociaż naraziłem się na waszą niechęć. I oto znów pojawiła się lwica, gotowa wystawić konia przeciwko kardynałowi. – Uśmiechnął się z dumą, jakby chciał rzucić jej wyzwanie. – Proście o wiele, pani, nie przeczę. To, że kierujecie tę prośbę właśnie do mnie, stanowi zaszczyt.

– Zatem... Uczynicie to?

– Dla was tak.

Eudeline również się uśmiechnęła, ujęło ją bowiem męstwo bijące z tej mocnej i otwartej twarzy.

– Jeszcze jedno – dodała, powracając do swych planów. – Chciałabym, żebyście ruszyli też tropem innego człowieka. Pewnego Maura, którego imienia nie znam, nie wiem też, skąd pochodzi, przypuszczam jednak, że mieszka w tym mieście. Mogę wam tylko powiedzieć, że nosi się wytwornie, a lubuje się w jaskrawych szatach. Właśnie dzięki niemu jestem wolna.

– Nader dziwaczne żądanie – skwitował Vermandois, zmieszany. – Jak waszym zdaniem mam go wytropić?

Matka przełożona doskonale rozumiała jego obawy.

– Wątpię, żeby w Reims było wielu Saracenów – odparła mimo to. – Może pytając tam, gdzie trzeba...

Vermandois wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi spróbować, ale nie róbcie sobie wielkich nadziei.

– Pokładam w was ufność, messer.

– Co do waszego kardynała – ciągnął, wstając – zapomnieliście wyjawić mi jego imię.

– Jego Eminencja Bertrand du Pouget – odrzekła wielebna matka, przystępując do natarcia na wyimaginowanej szachownicy. – Kardynał San Marcello.

FERRARA, TAWERNA NA PRZEDMIEŚCIU ŚWIĘTEGO LEONARDA

Po słowach starego Bastiena des Baux Maynard milczał przez chwilę, wpatrując się przez okno w odcinek drogi przed kościołem Świętego Leonarda. Zaczęło już zmierzchać, a Gualtiero jeszcze nie dał znaku życia. Narastało w nim instynktowne pragnienie, by pójść go poszukać, wzmagając wyrzuty sumienia, że zamiast ruszyć za nim zaraz po jego zniknięciu, gawędził z mistrzem fechtunku. Wówczas jednak rozdrażnienie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Wystrzegajcie się Genuńczyków – przywołał go Bastien, krojąc cieniutki placek z ciecierzycy, który mu podano. – Wystrzegajcie się Wenecjan.

Wzrok rycerza poszybował w głąb gospody, stanowiącej idealne tło dla surowego oblicza starego rycerza. Twarze pochylone nad miskami i grających w kości – najwyraźniej wołał tych ludzi od kanoników z hospicjum Miłosierdzia Bożego, które wybrał jako kwaterę, było to bowiem jedyne miejsce w całej Ferrarze, gdzie mówiło się po francusku.

– Genuńczyków i Wenecjan, powiadacie? – powtórzył Maynard, podejmując temat rozmowy. – Myślałem, że udaliście się do Smyrny, aby zabijać Turków.

– Tak było, w istocie. *Exercitus christianorum contra turchos* – wykrzyknął Bastien. – Na pokładzie Sancta Crux Humberta de Viennois pokonałem miasto Zadar, dzikie skały podwodne Morei i wyspę Eubeę, po czym dobiłem do złowieszczej Mityleny. – Rozpromienił się z dumą. – Powinniście tam być, przyjacielu! Ponad dwa tysiące piechurów i setka jeźdźców na plaży przeciwko tureckiej hordzie barona Mitaometta. Wyszliśmy z tego zwycięsko tylko dzięki przewadze liczebnej, ale za cenę wielu zabitych.

Rocheblanche nie mógł się uwolnić od iskiej zazdrości.

– Bohaterowie, którzy wyruszyli na spotkanie zaszczytnej śmierci, dla *sacrum facere* – stwierdził, zgarniając z talerza porcję placka.

Bastien pokręcił głową.

– W śmierci nie ma zaszczytu. Nie było go także w naszym triumfie, skoro Viennois kazał stracić ponad stu więźniów jak podłych rzezimieszków.

– Byłem świadkiem dużo bardziej haniebnych czynów, wierzcie mi.

– Mówicie szczerze?

Rycerz westchnął ze smutkiem.

– Widziałem, jak Filip VI Walezjusz poddał Calais Anglikowi, żeby ocalić życie.

Bastien nie potrafił ukryć zdumienia.

– A ja widziałem, jak Humbert de Viennois błagał niewiernych o rozejm kilka miesięcy po Mitylenie. – Wykonał rozpaczliwy gest. – Nie powracamy do ojczyzny okryci chwałą.

– I pomyśleć, że niemal zacząłem wam zazdrościć... – wyznał Maynard. – Zawsze marzyłem, żeby wystawić się na próbę w walecznych wyczynach.

Mistrz fechtunku przytknął do ust kielich wina.

– Wbrew temu, co piszą Gracjan i Laurentius Hispanus, wojna jest Bogu niemiła – stwierdził i przełknął, krzywiąc się wybrednie. – I żeby nie było nieporozumień, nie wpoilem wam szacunku dla honoru i lojalności, abyście zostali rycerzem, lecz *mężczyzną*. Sami wybierajcie własne bitwy.

– I mówicie to wy, którzyście poszli za wiarołomcą?

Bastien otworzył szeroko oczy, powstrzymując przyływ wściekłości.

– Uczyniłem to, żeby bronić mojej wnuczki, Marie! – wysyczał, przyciągając spojrzenia kilku gości. – Marie des Baux, małżonki Humberta de Viennois, która wsiadła na pokład galery z woli swojego bezmyślnego męża! – Oparł łokcie na stole i spuścił głowę, aby ukryć rozgoryczenie. – Mimo to Bóg udaremnił moją interwencję. Marie zginęła na Rodos, w drodze powrotnej, złożona tajemniczą chorobą.

Rocheblanche żałował, że zbyt pochopnie osądził kompana. W przeszłości słyszał, jak tamten wypowiada się z czułością o wnuczce, wiedząc zaś, jaką udrękę wywołuje bezsilność wobec nieszczęść naszych bliskich, potrafił sobie doskonale wyobrazić zgryzotę nieustraszonego Bastiena des Baux. Odczekał, aż tamten pokona boleść, z szacunkiem odwracając wzrok, gdy ocierał oczy. Wreszcie pojawił się, że jego kompan chce ciągnąć rozmowę, uznał za stosowne zmienić temat, aby rozwiązać jego smutek.

– Wspomnieliście o możliwości spotkania Obizza III.

Wdzięczny za jego gest mistrz fechtunku przytknął.

– Wkrótce Humbert de Viennois przybędzie do Wenecji. Złoży wizytę Mastinowi della Scali z Werony i być może władcy Padwy, potem zaś uda się do Emilii. Wiem na pewno, że zamierza skorzystać z gościnności markiza Este, dlatego zażąda, aby jego świta dołączyła do niego w pałacu.

– Zatem wy także zostanieie przyjęci na dworze.

– I wy, o ile postanowicie mi towarzyszyć.

Maynard ocenił korzyści znalezienia się na dworze wraz z wasalami delfina Viennois. Mógłby szpiegować i zadawać pytania bez wzbudzania podejrzeń, bacząc jedynie na to, by nie dać się zdemaskować Faciowi di Malaspinie.

– Żeby wam zaszkodzić? – zapytał mimo to, natychmiast się jednak zmitygował. – Dziękuję, ale nie zamierzam wykorzystywać waszej dobroci aż do tego stopnia. Znam inny sposób, aby dotrzeć do celu, nie narażając nikogo

z przyjaciół na niebezpieczeństwo. – Przypomniawszy sobie nagle o Gualtierze, ponownie wyrżał na zewnątrz.

– Coś was niepokoi? – przemówił Bastien, wskazując okno.

– Chłopiec – wyszeptał rycerz. – Nie ma go już zbyt długo.

Po czym gwałtownie wstał i się pożegnał.

– Róbcie, jak uważacie, Rocheblanche – burknął mistrz fechtunku. – Jeżeli zmienicie zdanie, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Gualtiero doszedł do siebie na skraju drogi, powalany błotem i cały poobijany. Rozszalały tłum zniknął niczym kamfora, podobnie jak procesja biczowników w bieli. Podniósł się powoli, rozmasował plecy i obolałe kończyny, nie mogąc sobie przypomnieć, co się z nim działo po upadku pośrodku ciżby. Od tamtej chwili dzieliła go zupełna ciemność. Nadal był wstrząśnięty, tak że musiał kilkakrotnie odetchnąć, aby odegnać uczucie zagubienia.

W blasku zachodzącego słońca plac zdawał się tajemniczo rozplýwać, co podkreślała dodatkowo absolutna cisza. Zapanowawszy nad wzburzeniem, młodzieniec wpatrzył się w ów widok, urzeczoną proporcjami budowli i głębokim spokojem, który przynosił ukojenie.

Po czym przypomniał sobie powód, dla którego się tu znalazł.

„Naprzód”, pomyślał. „Nie czas na wahanie”. Miejsce, w którym więziono jego rodziców, nie powinno być daleko. Minał szybkim krokiem katedrę, wpatrując się uważnie we wznoszące się naprzeciwko pałace. Wejścia do najbliższego z nich, ozdobionego herbem komuny miejskiej, strzegło dwóch piechurów uzbrojonych w piki.

Gualtiero powitał ich ukłonem.

– Mogę o coś zapytać, panowie, szukam zarządu więzień.

– Nie macie gdzie przenocować? – zadrwił jeden z nich, śmiejąc się groźnie.

Chłopiec złożył ręce.

– Moim pragnieniem jest zasięgnąć języka o dwóch osobach, mężu i żonie...

– Jazda stąd, chamie! – przegonił go drugi żołnierz i zadał mu cios w pierś drzewcem piki.

Zaskoczony tak wielkim grubiaństwem, Gualtiero upadł na bruk, gdy tymczasem kpiny straży zapowiadały kolejne razy. On wszakże wcale nie zamierzał się poddać. „Wstawaj!”, rozkazał sobie w duchu, zdecydowany dowieść własnych racji.

Zanim jednak zdołał wprowadzić myśli w czyn, dostrzegł, że ktoś się niebezpiecznie zbliża. Na jego oczach piechurzy cofnęli się o krok i skłonili, po czym młodzieniec poczuł muśnięcie długiej szaty. Podniósłszy wzrok, ujrzał odzianego w habit męzczyznę, który wyciągał ku niemu dłoń.

– Chodźcie ze mną – powiedział Maynard i pomógł mu się podźwignąć. – Ja wam pomogę poszukać więzienia. I nie dać się zabić, nim nastanie świt.

Zarządca więzienia był chudym człowiekiem o podejrzliwej naturze; haczykowany nos i czarna szata nadawały mu wygląd kruka. Z początku w ogóle nie zamierzał pomóc dwójce nieznajomych, których miał przed sobą, toteż zasypał ich lawiną wymówek o późnej porze, przede wszystkim zaś o przeciążeniu pracą. Z jego słów wynikało, że w Ferrarze znajduje się mnóstwo więzień, rozproszonych po rozmaitych dzielnicach – w obecnych czasach to nader kłopotliwy urząd do sprawowania.

Przypomniawszy sobie o swych obowiązkach najwyraźniej dopiero po schowaniu do kieszeni kilku srebrnych bologninów i wyjaśnił, że do odnalezienia jakiegokolwiek osadzonego potrzeba rejestru, w którym zapisuje się codziennie imiona „nowych gości”. W zależności od wagi zbrodni złoczyńcy trafiają do określonej części miasta, oczywiście o ile nie są to rebelianci przeciw komunie, których wieszają w oknie Pałacu Mądrości.

Poklepał stos leżących na stole pergaminów i czekał, aż dowie się, kogo ma szukać.

– Sigismondo de’ Bruni i jego żona, Sapia – odparł niecierpliwie Gualtiero. – W ostatnich dniach zabrano ich chyba do Ferrary.

Zarządca otworzył rejestr na ostatniej stronie i w blasku świecy jął przesuwać wzrokiem po kolumnie imion, marszcząc haczykowany nos.

– Widzę imię mężczyzny, *Sigismondus pictor*, zanotowane dwudziestego szóstego marca – oznajmił po uważnej lekturze. – Ale nie ma niewiasty.

– To niemożliwe – wykrzyknął chłopiec. – Pojmano ich razem.

– Może źle zapisano – rzekł tamten, wzruszając ramionami. – Czasem zdarza się, że w pośpiechu uwięzionych kilku przestępców zapisuje się pod jednym hasłem.

– Moi rodzice nie są przestępcami – sprzeciwił się Gualtiero, którego Maynard natychmiast uciszył wzrokiem.

Zarządca więzień posłał mu tylko obojętne spojrzenie.

– Zgodnie z rejestrem – ciągnął tonem, który nie zapowiadał nic dobrego – malarza zamknięto w celi *Burgus superior*, przy zamku Tedalda.

– Moglibyście nas tam zaprowadzić? – zapytał Rocheblanche.

– Tak późno w nocy? – odparł mężczyzna.

– Oczywiście. – Rycerz wręczył mu kolejną monetę. – W nocy wasz czas jest bardziej cenny.

Burgus superior rozciągał się na południowy zachód od katedry, wzdłuż murów wzniesionych na brzegu Padu; leżały tam najstarsze dzielnice Ferrary. Z lampką oliwną w dłoni zarządca przeciskał się przez ciasne zaułki za starymi murami, torując sobie drogę wśród blankowanych dzwonnicy i zaryglowanych

kramów, aż dotarł do obszernego placu, na którym stał samotny kościół.

Rozejrzawszy się dokoła, Gualtiero spostrzegł, że stoi przed wałem obronnym, nad którym góruje zamek. Pomyślał, że być może jego rodzice przebywają w lochach...

– Tędy – przywołał go do rzeczywistości głos zarządcy, posuwającego się dalej wzdłuż brzegów *scorsuro*¹⁴, z którego unosił się obrzydliwy fetor. Na chwilę jego postać zniknęła pod kamiennym sklepieniem, po czym wyłoniła się znowu w bladym świetle, wpadającym przez okna budowli na skraju fortyfikacji.

– Czy to tu? – chciał wiedzieć Maynard, który wyprzedził chłopca.

W odpowiedzi mężczyzna postawił lampkę oliwną przed drzwiami i zastukał kołatką.

– Wejdźcie – zaprosił ich do środka, gdy tylko otworzył im strażnik.

Rycerz i młodzieniec podążyli za nim do izby oświetlonej pochodnią, pod którą wartownik z powrotem usiadł na stołku. Nie zwracając na niego uwagi, zarządca poszedł w róg pomieszczenia i otworzył wąż w podłodze.

– Zejdzie tylko jeden z was – oznajmił i ruszył na dół, trzymając w dłoni lampkę.

Porozumiawszy się wzrokiem z rycerzem, Gualtiero wystąpił naprzód. Starał się zapanować nad lękiem. Pod tą posadzką tkwią w zamknięciu, w ciemnym rynsztoku, jego rodzice. Nic to jednak. Odnalazł ich i dziękował za to Panu. Zaczekał, aż zarządca znajdzie się na dole, następnie udał się za nim, ledwie jednak postawił stopy na stopniach wjazdu, poczuł dolatujący z dołu odór – przenikliwy smród, mieszaninę zgnilizny i potu – dosyć dokładnie określający moralny i fizyczny rozkład tych, których tam więziono.

Usiłując nie zwracać na to uwagi, młodzieniec zszedł po schodach na duszny korytarz, który znacznie wykraczał poza wznoszącą się ponad nim powierzchnię. Kilka kroków dalej ujrzał zarządcę, który oświetlał zaryglowane wyjście.

– Sigismondo de' Bruni! – zawołał mężczyzna.

Chłopiec czym prędzej przysunął się bliżej i wbił wzrok w kratę judasza, za którą panował nieprzenikniony mrok. Z początku nic nie słyszał, potem wewnątrz coś runęło i ukazała się jakaś twarz.

– To ja, messer – oświadczył osadzony.

Gualtiero dostrzegł w jego rozszerzonych źrenicach tak obcą temperamentowi rodziciela uległość, że zwątpił, czy to rzeczywiście on. „A jednak”, pomyślał. „Ten głos...” Przyjrzał się dokładniej rysom twarzy i pozbył się wszelkiej niepewności.

– Ojczy!

– Synu! – odkrzyknął z nieoczekiwaną ulgą Sigismondo. – Chwała Świętemu Franciszkowi i Matce Boskiej! Dobrze się czujecie?

– Tak, ojczy, dobrze – odparł Gualtiero, nie mogąc powstrzymać łez. – Ale

wy i...

– Masz coś do jedzenia?

Młodzieniec popatrzył na niego osłupiały. Na usta cisnęło mu się tysiąc pytań, niewymownie pragnął go uściskać, pohamował się wszakże na widok tego błagalnego spojrzenia. Poszperał w sakwie i podał mu resztkę czarnego chleba, który zabrał w podróż.

Sigismondo wysunął dłoń przez judasza, chwycił chleb i na chwilę zniknął mu z oczu.

– Głodzą nas tutaj na śmierć... – rzekł w ciemnościach celi, przeżuając w pośpiechu.

Gualtiero czekał, aż ojciec zje ów nędzny posiłek. W końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, zapytał:

– A co z matką?

– Matka... – westchnął więzień, pojawiwszy się znów w judaszu. – Nie wiem...

– Co przez to rozumiecie? – wybuchnął chłopiec, czepiając się kraty.

– Odsuńcie się! – wtrącił kapitan, chwytając go za ramiona. – Co wam strzeliło do głowy?

Gualtiero powstrzymał odruch, by odpowiedzieć, i machnął przeproszająco ręką.

– Wybaczcie, wybaczcie! – zawołał czym prędzej, bał się bowiem, że zostanie przepędzony. Ledwie się wyswobodził, rzekł z powagą do rodziciela: – Przecież musisz coś wiedzieć! Co się z nią stało?

– Nie wiem – powtórzył Sigismondo i uderzył pięścią w drzwi. – Zabrali ją... zaraz za murami.

– Na czyj rozkaz?

– Superanzia Orsiniego.

– Wysłannika biskupa... – dodał w zadumie młodzieniec, zastanawiając się, dlaczego Sapia budzi w nim aż tak zawziętą ciekawość. Poszukał znowu twarzy ojca, ale wtedy zarządca więzień zasłonił mu sobą judasza. Przybrał zaciętą minę i najwyraźniej nagle zaczęło mu się tak bardzo spieszyć, że potarł dłonią rękojeść dągi, którą nosił u pasa.

– Rozmowa skończona – obwieścił zarządca i bezceremonialnie odsunął chłopca.

– Zaczekajcie... – zaprotestował Gualtiero, próbując zrozumieć powód tej zmiany zachowania. – Co będzie z moim ojcem?

– Skończona, powiedziałem! – oświadczył jeszcze bardziej szorstko mężczyzna. Teraz jego dłoń ścisnęła rękojeść broni na znak jawnej groźby.

Owładnięty gniewem młodzieniec był zmuszony się oddalić, gdy tymczasem w ciemnościach rozbrzmiewał pełen rozpaczony głos ojca.

– Gualtiero! – krzyczał Sigismondo. – Przynieś mi więcej chleba!

Znalazłszy się z powrotem na zewnątrz, Gualtiero i Maynard ruszyli ku dzielnicy Świętego Marka, podążając ulicą prowadzącą na plac. Uszli w milczeniu spory kawałek, aż wreszcie rycerz, zaniepokojony zgnębioną miną swego kompana, postanowił wypytać go, co się wydarzyło w podziemiach więzienia. Młodzieniec wszystko mu opowiedział, oplakując nędzne położenie ojca, przede wszystkim zaś smutny los, jaki spotkał matkę.

Starając się go pocieszyć, Rocheblanche poprosił, by zachował przytomność umysłu.

– Jesteście pewni, że zarządca więzień zaczął się zachowywać inaczej na wzmiankę o widamie biskupa?

– Tak – odparł chłopiec. – Ledwie padło imię Orsiniego, stał się opryskliwy. Zastanowiwszy się nad jego słowami, Maynard spochmurniał.

– Jutro wróćcie do Pomposy – rzekł poważnie, czym sprawił zawód Gualtierowi.

– Ani mi się śni!

– Pomyślcie rozsądnie, młody przyjacielu – upierał się Francuz. – Chwilowo nie możecie nic zrobić dla waszych bliskich. Poza tym, jak zamierzacie przeżyć w mieście bez pieniędzy i fachu? To ja sypnąłem groszem, żeby przekupić kapitana, owszem, z ukontentowaniem, ale jeżeli nie możecie liczyć na własne siły...

Młodzieniec spojrzał nań z zawziętością i przystanął na środku ulicy.

– Jesteście znakomici w udzielaniu rad! – wycelował w niego palec. – Szkoda, że parę dni temu słyszałem waszą rozmowę z opatem. Przypominacie sobie, messer? Żołnierze Estów przybyli do Pomposy, szukając *was*! To z waszej winy pojmano moich rodziców... A teraz macie jeszcze czelność narzucać mi, co powinienem zrobić?

– Macie rację i przykro mi z tego powodu – przyznał zgodnie Rocheblanche.

– Tak czy inaczej, moim obowiązkiem jest was ostrzec. Intryga zatacza szersze kręgi, niż potraficie sobie wyobrazić. Jeśli nie będziecie ostrożni, sami zostanieecie uwikłani.

– Ja już zostałem! – sprzeciwił się Gualtiero, chwytając go za kołnierz. – I nie mam innego wyjścia, jak narażać własne życie, dopóki jej nie odnajdę!

Poruszony tak wielką odwagą rycerz odsunął go delikatnie.

– Pozwólcie, że ja jej poszukam w waszym imieniu. Zamierzam dłużej zabawić w mieście – wyjaśnił i skinął na chłopca, by ruszył dalej. – Gdy dostanę się na dwór, spróbuję zasięgnąć języka o Orsinim i o waszej matce.

Twarz młodzieńca rozświetlił błysk nadziei.

– Naprawdę?

– Tylko to mogę zrobić dla zadośćuczynienia za nieszczęścia, jakie na was

sprowadziłem.

Szli przed siebie w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach. Kiedy minęli plac i udali się w kierunku przedmieścia Świętego Leonarda, wydawało się, że Gualtiero odzyskał spokój. Skrywany lęk nie przestawał go wszakże dręczyć aż do hospicjum Miłosierdzia Bożego.

– A co z moim ojcem? – odezwał się wreszcie, dając upust cierpieniu.

– Zadbam o to, żeby codziennie dostarczano mu jedło – zapewnił Maynard.

– A gdy tylko otrzymam wieść o jego uwolnieniu, natychmiast was powiadomię.

Od samego rana Wielki Piątek zapowiadał się jako trudny dzień.

Spędziwszy resztę nocy w hospicjum Miłosierdzia Bożego, Maynard znów musiał przekonywać Gualtiera, który po przebudzeniu nadal się upierał przy pozostaniu w mieście do czasu, aż dowie się czegoś o matce.

– Przysięgam na honor – zdołał mu obiecać rycerz. – Uczynię wszystko, żeby ją odnaleźć.

Bóg mu świadkiem, że mówił szczerze. Los chłopca naprawdę leżał mu na sercu, podobnie jak los Isabeau. Po latach przeżytych wśród pól bitewnych bliskość owych młodych kompanów zaczęła mu częściowo zapełniać pustkę, zrodzoną w cieniu gniewu i żalu. Pustkę, która aż do tej pory zdawała się pochłaniać wszystko, nawet miłość wycierpianą dla Eudeline.

Pokonując z powrotem tę samą drogę, którą szli poprzedniego dnia, Rocheblanche przystawał wielokrotnie, aby uzmysłwić Gualtierowi, jak nieroztropne byłoby z jego strony podejmowanie pochopnych kroków.

– Wysłuchajcie mnie, potrzeba cierpliwości i rozwagi – powtarzał w kółko, prowadząc go z narastającą troską ku ruchomemu mostowi przy barbakanie.

Młodzieniec opierał się aż do ostatniej chwili, chociaż nie mógł nie przyznać mu racji. Niepowodzenia minionego dnia najwyraźniej otworzyły mu oczy na wiele spraw. Rocheblanche po ponowieniu swojego zobowiązania zdołał go wreszcie nakłonić, aby wrócił do opactwa i czekał na wieści.

Gdy chłopiec postawił stopę na przeciwległym brzegu Padu, Rocheblanche udał się na plac, aby wprowadzić w życie pierwszą część planu.

*Livore eius sanati sumus*¹⁵.

Słowa liturgii pasyjnej odbijały się echem od murów pękającej w szwach katedry. Odziany w fioletowy ornat biskup wygłaszał z ambony wielkopiątkowe kazanie, przykuwając uwagę ludzi stłoczonych między ławkami, pod ścianami i w narteksie.

Maynard wraz ze sporą częścią wiernych wszedł przez południowy portal, ozdobiony rzeźbami przedstawiającymi miesiące, i ruszył dalej boczną nawą, nie bacząc na majestatyczność budowli. Miał nadzieję, że Jego Ekscelencja zamierza zabawić w Ferrarze wystarczająco długo, by udzielić mu posłuchania, skupił się więc na tym, co najpilniejsze: rodzinie markiza Este, która siedziała dumna jak paw w pierwszym rzędzie.

Rozpoznał Obizza III w wysokim i potężnym mężczyźnie, odzianym w błękitny kaftan z bufiastymi rękawami. Długie włosy i czarna broda upodabniały go do niektórych mastifów o smutnym spojrzeniu, gotowych kąsać przy byle utarczce. Towarzyszyło mu trzech chłopców, jeszcze gołowąsów – z pewnością byli to jego synowie – a miejsce za nim zajmowała rudowłosa dama

z niemowlęciem na ręku.

Oczywiście Rocheblanche nie miał zamiaru niepokoić markiza w czasie mszy, chciał tylko wyrobić sobie zdanie o osobniku, z którym miał pertraktować. Skorzystał też ze sposobności i przyjrzał się dokładnie jego świcie w poszukiwaniu znajomej twarzy. Był to wszelako próżny trud. Po ojcu Faciu di Malaspinie nie było ani śladu.

Po mszy rycerz szybko przemknął przez tłum, zamierzając stawić się przed pałacem, zanim zjawi się markiz. Miał przy sobie zarówno list od ojca Andrei, jak i dwieście florenów na pokrycie części długu Pomposy wobec Kamery Apostolskiej – pretekst, aby zostać przyjętym.

Przemierzywszy szybkim krokiem niewielką odległość dzielącą go od siedziby markiza, obwieścił strażom u wejścia, że chce porozmawiać z Jego Wielmożnością. Roztropnie nie wyjawiał całego imienia, przedstawiając się po prostu jako „brat Mainardo”, po czym powiedział, że przybywa z daleka, aby dostarczyć ważne dokumenty. To wystarczyło, żeby skierowano go do sali na drugim piętrze, gdzie kazano mu czekać.

„Nie było tak ciężko, jak twierdził Bastien des Baux”, pomyślał z lekkim zadowoleniem. Teraz musiał się tylko wykazać cierpliwością, aż Obizzo III nie wróci do pałacu.

Jednakże ku swemu ogromnemu zdziwieniu natychmiast został przywołany przez sługę, który zaprowadził go do niszy zajętej przez pięciu skrybów pochylonych nad stosami dokumentów.

– Co to za żarty? – zaprotestował. – Wyraźnie powiedziałem, że chcę mówić z markizem.

Jeden ze skrybów posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Więcej szacunku, messer! Znajdujecie się w *Cancelleria domini marchionis*. – I wycelowawszy weń gęsie pióro, oznajmił: – Jeśli musicie doręczyć listy, pieniądze czy cokolwiek innego, zakłócanie spokoju Jego Wielmożności nie będzie konieczne.

– Tam, skąd pochodzę, nie zwykło się zwracać do pospolitych *secretarii*.

– Jesteśmy notariuszami – sprostował mężczyzna – odpowiedzialnymi za sprawy urzędowe dworu. Skoro jednak przybyliście tutaj, aby okazać nam pogardę... – Chwycił ze stołu dzwonek i zadzwonił.

Zdezorientowany takim obrotem sprawy Rocheblanche usłyszał dobiegające z dołu kroki i ujrzał dwóch żołnierzy, którzy ukazali się w wejściu.

– I cóż, messer? – zapytał skryba z triumfalnym uśmiechem.

Oparłszy się pokusie, by odpowiedzieć tak, jak notariusz na to zasługiwał, rycerz musiał się poddać. Wcale nie pragnął się awanturować ani zdradzać swej obecności ojcu Faciowi, zanim go nie odnajdzie. Wykonał więc sztywny przeprasający gest i zdecydował się oddać floreny opata Pomposy, odebrał

pokwitowanie, następnie wręczył list z prośbą o wyjaśnienie powodów pojmania rodziców Gualtiera.

– Polecam się – dodał – aby potraktowano tę kwestię z największą troską. I wiedzcie, że jeśli nie otrzymam odpowiedzi, będę uparcie zwracał się do markiza Obizza, abym mógł rozmówić się z nim osobiście.

– Zostanie mu to przekazane – odparował urzędnik, odprawiając go z drwiącym uśmiechem.

Maynard opuścił pałac, ciągle nie mogąc uwierzyć w upokorzenie, jakiego doznał ze strony bezrozumnego notariusza. Jeżeli przymioty właśnie takiego rodzaju człowieka miały zastąpić cnoty lojalności i rycerskości, w najbliższych latach chrześcijaństwo czekał raczej marny los. Nie wpadłby zresztą w aż taką furję, gdyby dostrzegł możliwość, by prośba ojca Andrei dotarła do uszu markiza Este. Obawiał się jednak, że tak się nie stanie.

„Byłem łatwowierny i zarozumiały”, wyrzucał sobie. Na myśl o pewności siebie, z jaką tak niedawno przemawiał do Gualtiera, ze wstydu oblał się szkarłatem. „Trzeba opracować nową strategię”, rzekł w duchu. „Plan, który pozwoli szpiegować wewnątrz murów w poszukiwaniu tego, kto zdradził tajemnicę Mont-Fleur”.

Stojąc przed Wieżą Lwów, przypomniał sobie, że ma jeszcze jedno zadanie do wykonania w imieniu opata z Pomposy. List przeznaczony dla biskupa. Lepiej go natychmiast doręczyć.

Zawrócił do katedry – była pusta. Dostrzegł jedynie obecność sprzątającego wokół ołtarza posługacza, od którego dowiedział się, że prałat udał się wraz ze świtą do pałacu w dzielnicy Świętego Romana, obok placu.

Nadal czując upokorzenie z powodu tego, co zaszło w kancelarii markiza, Maynard ruszył ulicą wzdłuż wspaniałych budowli w poszukiwaniu wystawnych szat i chorągwi, które świadczyłyby o obecności biskupa.

Znalazł to, czego szukał, niedaleko parafii Świętego Romana, w pałacyku ozdobionym biskupim herbem.

W przeciwieństwie do niedostępnego markiza Este biskup Guido di Baisio zgodził się osobiście wysłuchać Maynarda i przyjął go w swoich komnatach. Rycerz zastał go siedzącego na wyściełanym poduszkami krześle z poręczami, otulonego w czarne szaty, które źle skrywały jego kanciaste, zdeformowane wiekiem kształty. Prałat nie sprawiał wszakże wrażenia starca, który się łatwo ugina. Przy każdym oddechu wydawał uparty, niemal wściekły świst, manifestując przywiązanie do życia, co nie jest niczym niezwykłym u kogoś posuniętego w latach.

– Przynoszę list od opata z Pomposy – oznajmił Francuz, kłaniając się.

– Pomposa... – powtórzył Jego Ekscelencja ze smutnym uśmiechem. –
Miejsce spokoju.

– Już nie, a to za sprawą przykrego incydentu.

– O jakim incydencie mówicie?

– O pojmaniu pewnej niewiasty – odparł Rocheblanche. – Niewiasty z ludu, którą wasz widam zapewne wziął za kogoś innego. Wraz z nią uwięziono także jej męża. To ludzie niegroźni.

Guido di Baisio skinął na znak, że rozumie, chociaż najwidoczniej ciekawiło go coś zupełnie innego.

– A opat? Co on ma z tym wspólnego?

– Jest do głębi poruszony. Los tej rodziny leży mu na sercu.

– Potwierdza to sławę, jaką cieszy się wielebny Andrea z Pomposy – stwierdził starzec z grymasem ubolewania. – Wszelako pojmania to sprawa władz świeckich.

Maynard wyczuł, że biskup próbuje go zbyć.

– Odwiedziłem już kancelarię markiza – wyjaśnił natychmiast, po czym dodał: – Jednak rozkaz wydał wasz zaufany człowiek, Wasza Ekscelencjo.

– Mówicie prawdę?

– Sam opat jest świadkiem.

Biskup rozparł się wygodniej na krześle i dumął przez chwilę. Spod malującego się na jego twarzy zaskoczenia wyzierał skrywany niepokój, zupełnie jakby prałat wypatrywał burzowych chmur na horyzoncie.

– Będziecie musieli dać mi trochę czasu – rzekł znienacka ochryplym głosem. – Rezydowanie w Bolonii skazuje mnie na zaniebdywanie... powiedzmy, drugorzędnych kwestii. Żywię nadzieję, że rozumiecie i potraficie to wytłumaczyć ojcu Andrei. – Na koniec wyciągnął rękę. – Oddajcie mi list, uczynię wszystko, co możliwe.

Złożywszy tę obietnicę, odprawił go.

Gdy biskup został sam, przeczytał list i długo, z rosnącym wzburzeniem,

zastanawiał się nad nim. W końcu postanowił wezwać Superanzia Orsiniego. Widam zjawił się natychmiast.

– Jakie są wasze rozkazy, Ekscelencjo? – zapytał widam, stając w służalczym ukłonie.

Guido di Baisio pochylił się na krześle i popatrzył nań niezdecydowany.

– Właśnie przedstawiono mi obraz wydarzeń odmienny od waszego.

Mężczyzna wykrzywił usta.

– Jakich wydarzeń?

– Dotyczących waszego postępu w Pomposie.

– Opat nie wywiązał się ze swych powinności wobec Kamery Apostolskiej – usprawiedliwił się widam, odwołując się do swojej wersji wydarzeń. – Jako wasz przedstawiciel uznałem po prostu za stosowne towarzyszyć...

Prałat uciszył go gestem ręki.

– Wiem, że w czasie mojej nieobecności lubicie sobie porządzić u boku Estów – wypomniał mu znudzony hierarcha. – Miałem na myśli *inną* kwestię.

– A, mówicie o pojmaniu.

– Owszem, o pojmaniu. Jesteście przekonani, że schwytałyście właściwą niewiastę?

Przed odpowiedzią Orsini rzucił badawcze spojrzenie na list zwinięty na kolanach biskupa.

– Bardziej niż przekonany, Ekscelencjo – zapewnił bez wahania. – Sama się przyznała.

Wargi Baisia rozchyliły się w pełnym cierpienia westchnieniu, zdolnym wyrazić powstrzymywane aż do tej pory zgryzoty.

– Jakiś człowiek przybył z Pomposy i zadawał pytania. Może to tylko błahostka, ale zrodziła się wątpliwość, czy opat nie wie przypadkiem, kim jest ta kobieta.

– Wykluczam to – uspokoił go widam. – Popełnione przez nią zbrodnie sięgają czasów sprzed nominacji wielebnego Andrei. A także waszej, Ekscelencjo, o ile mnie pamięć nie myli.

Starzec skinął potakująco głową.

– Wtedy byłem jeszcze biskupem Rimini. Ferrarę przydzielono mi dwa lata później.

– Ja z kolei już służyłem w diecezji w Ferrarze – odparł Superanzio Orsini, aby nadać większej powagi swoim słowom. – Doskonale pamiętam tę żmiję, podobnie jak wydarzenia, w które się wplątała. I wierzcie mi, Ekscelencjo, lepiej nie zdawać sobie z nich sprawy.

Prałat splótł ręce na brzuchu.

– Sugerujecie, żebym nie nadmieniał o tym opatowi?

Widam zakrył dłonią usta, krzywiąc się wymownie na znak milczenia.

– Ekscelencjo – szepnął – z pewnością nie potrzebujecie moich rad.

Siedzący na schodkach kościoła Świętego Leonarda Bastien des Baux rzeźbił właśnie w drewnie konika za pomocą noża z rękojeścią z kości słoniowej. Maynard zwrócił uwagę na zakrzywione ostrze, na którym wygrawerowano litery przypominające małe węże. Pamiątka ze Smyrny, jak przypuszczał, usiłując odpędzić przygnębienie. Opowiedział kompanowi o swych porażkach; zrobił to bardziej po to, by dać upust złości, niż prosić o radę, teraz zaś wpatrywał się weń w milczeniu, wsłuchując się w skrobanie klingi po posążku.

– Krótko mówiąc, poszło zgodnie z przewidywaniami – skwitował lakonicznie Bastien.

Rycerz przytaknął z goryczą.

– W moim życiu zostałem zrzucony z konia przez jeźdźców, raniony przez łuczników... ale nigdy uciszony przez notariusza.

– Nie można powiedzieć, żeby z biskupem poszło wam lepiej.

– Przynajmniej Jego Ekscelencja przyjął mnie osobiście. Zażądał, żebym oddał mu list.

– Uprzejma wymówka, żeby szybko się was pozbyć. – Mistrz fechtunku położył nóż na kolanach i obejrzał w popołudniowym słońcu własne dzieło. – Oczy... – mruknął.

– Co takiego? – zapytał Rocheblanche.

– Muszę je pogłębić – wyjaśnił siwowłosy mężczyzna i pokazał mu pysk konia. Po czym wrócił do rzeźbienia, które pozornie tak go pochłaniało, że niemal zapomniał o swym dawnym uczniu. Odezwał się ponownie, ciągle śledząc wzrokiem ruchy ostrza. – Czy teraz przyjmiecie moją pomoc?

Rycerz pokręcił głową.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji.

– Macie czas.

– Po prawdzie liczę na to, że odnajdę człowieka, którego szukam, przed przyjazdem Humberta de Viennois.

Mistrz fechtunku podniósł oczy, zaciekawiony stanowczym tonem, jakim zostały wypowiedziane te słowa.

– Zatem macie jakiś plan...

– Nie plan. – Maynard powrócił myślami do nikczemnego Facia di Malaspiny, zżerany pragnieniem, by go schwytać. Nie zyskał jeszcze pewności, czy tamten schronił się u markiza Este, chwilowo jednak nie miał lepszych teorii. – Zamierzam poobserwować w odosobnieniu, dopóki nie wpadnę na właściwy trop.

Bastien des Baux zdmuchnął z drewnianej rzeźby ostatnie strużyny drewna i przyjrzał jej się z zadowoleniem.

– Albo dopóki nie padniecie na ziemię z dwiema piędziami stali wbitymi

między żebra.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

23 KWIETNIA

– Arab – rzekł Vermandois, dając do zrozumienia, że ma nader niewiele do dodania. – Tak go zwa, ponieważ nikt nie zna jego prawdziwego imienia ani nie wie, skąd pochodzi.

Siostra Eudeline wpatrywała się weń urzeczona. Po blisko miesiącu milczenia niemal straciła nadzieję, że Robert zdobędzie jakieś wieści o jej tajemniczym wybawcy. Tymczasem tego poranka, po nocy spędzonej w zaułkach Reims, zawołał ją do domu gościnnego pod pretekstem rozegrania partii szachów.

– Jak wam się udało go odnaleźć? – zapytała z zachwytem.

– Nie odnalazłem go – sprostował Robert, przesuając wieżę – i nawet nie jestem pewien, czy to właśnie tego Maura szukacie. W każdym razie mężczyzna odpowiadający waszemu opisowi nie przemknął po okolicy niezauważony.

Wielebna matka nieznacznie drgnęła.

– To oznacza, że...

– Ukrywa się na tym przedmieściu. – Vermandois podniósł wzrok znad szachownicy, niemal zdumiony jej reakcją. – To było bezsporne od samego początku, pani. W noc ucieczki Maur odwiózł was do klasztoru, zatem wie, gdzie mieszkać. Zna was, być może od dawna was pilnuje. Takie przeświadczenie pozwoliło mi na rozpoczęcie poszukiwań od określonego punktu miasta, czyli od tego miejsca.

Eudeline uzmysłowiła sobie, że była łatwowierna. Wzruszenia minionych tygodni sprawiły, że stała się ślepa na coś tak oczywistego.

– Wiecie coś jeszcze na temat tego... Araba?

– To samotnik – przytaknął Robert. – Podobno kręci się w pobliżu rynku, zwłaszcza wśród kramów kupców korzennych. Jedna z miejskich straży twierdzi, że kilka nocy temu natknęła się na niego dosłownie kilka kroków od klasztoru i że go przepędziła.

Coraz bardziej pogrążona w zadumie matka przełożona odpowiedziała na ruch wieży zwykłym przesunięciem piona. Błysk w oczach przeciwnika kazał jej się domyślić, że popełniła błąd.

– Jednakże jeszcze bardziej wymyka się z rąk ten wasz kardynał z Awinionu – ciągnął Robert, odrywając ją od gry. – W opactwie Świętego Remigiusza nikt nie chce o nim mówić z wyjątkiem sług. Ukrywał się za tymi murami przez wiele

miesiące, aż ni stąd, ni zowąd postanowił wyjechać.

– Po mojej ucieczce, jak przypuszczam.

– Szczerze powiedziawszy, zdemaskowanie go sprawiło mi radość. – Za pomocą ruchu konia Vermandois skłonił ją do oddalenia królowej i zmusił do uczynienia wyłomu w obronie króla. – Dokładnie zasięgnąłem języka na temat Bertranda du Pougeta, a to, co odkryłem, wcale mi się nie spodobało. Zdaje się, że przed laty był sprzymierzeńcem Karola Luksemburskiego i jego ojca.

Eudeline przypomniała sobie mglistą opowieść Roberta o rozmowie Maynarda ze szlachetnym Karolem po klęsce pod Crécy.

– Wasze wspomnienie więc... – wyjąkała, usiłując pojąć zasięg intrygi, w którą została wplątana.

– Owszem, istnieje związek z waszym bratem. – Pikardyjczyk przeciął gońcem szachownicę, dając jej mata, po czym popatrzył na nią badawczo. – Związek, który przede mną zatailiście, teraz jednak twierdzę, że go znam.

Matka przełożona zerwała się na równe nogi.

– Przyrzekłam dochować tajemnicy – broniła się.

Zanim zdążyła się cofnąć, Robert stanął z nią twarzą w twarz.

– Sen z powiek spędzają mi nie wasze tajemnice. – Chwycił ją za nadgarstek, zmuszając, by spojrzała mu prosto w oczy. – Dręczy mnie lęk o wasze bezpieczeństwo, nie sądzicie chyba, że zdecydowałem się nadstawić głowy w tym przedsięwzięciu ze zwykłej uprzejmości? – Jego głos stał się głęboki, niemal nabrzmiały cierpieniem. – Uczyniłem to *dla was*, Eudeline! Dla sposobu, w jaki na mnie patrzycie, i dla tego nieustannego wahania, z jakim ważycie słowa w mojej obecności! Poczytujecie mnie aż za takiego głupca, że ukryliście przede mną także i to?

Starła się za wszelką cenę nie patrzeć w te zielone tęczęwki, które przybliżały się coraz bardziej, nie potrafiła się wszakże uwolnić. W tej chwili to już nie przeorysza Świętej Balsamii stała tu w zakonnym habicie, a tym bardziej nie dziewczynka udręczona brutalnością ojca. Była to po prostu Eudeline de Rocheblanche. Niewiasta.

– Uczyniłem to – mówił dalej Vermandois, którego dłonie delikatnie drżały – by coś z wami dzielić. Nawet jeśli tak mało, za mało, abym poczuł się zaspokojony.

I pochyliwszy się ku niej, pocałował ją.

Eudeline nigdy nie wyobrażała sobie, że może doświadczyć podobnych wzruszeń przy zwykłej styczności z mężczyzną. Zaskoczyło ją wszakże zatracenie się. I ciepło, które ją ogarnęło, dając pewność, że nawet modlitwa po latach chronienia się w ascezie nie zdołałaby wywołać tak głębokiego wzburzenia w jej duszy.

Chwilę później wyswobodziła się z jego objęć pod wpływem

instynktownego drgnienia. W progu stał ktoś i się im przyglądał.

Infirmerka.

– Wielebna matko... – powiedziała zakłopotana zakonnica. – Są wieści z krypt.

Poczerwieniała na twarzy przeorysza odsunęła się od Roberta i przybrała dumną postawę.

– I cóż? – zapytała niemal z krzykiem.

– Osadzona... Właśnie się dowiedziałam, że ukrywała przed nami coś ważnego.

METZ, PRZED BRAMĄ NIEMCÓW

23 KWIETNIA

– Jego Eminencja Bertrand du Pouget.

Kardynał, zapowiadany przez stojącą w wejściu straż, wkroczył do schowanej w murach komnaty u stóp wieży, za którą rozciągało się Księstwo Górnej Lotaryngii. Z początku odmówił spotkania z Karolem I Czeskim właśnie w Metz, przygranicznej twierdzy wrogiej Francuzom i wszechwładnym prałatom. Niespodziewana śmierć Marcusa nie tylko pozbawiła go najlepszego człowieka, ale stanowiła też surową naukę dotyczącą niebezpieczeństwa niedoceniaenia wrogów i ufania sprzymierzeńcom. Naukę, jaką dostał już w przeszłości, w Emilii i Romanii, chociaż przez lata bezczynności w Awinionie zdążył o niej zapomnieć. W rozprężeniu i gnuśności, martwiąc się jedynie upływem czasu, Bertrand nie wiedział już, co znaczy czuć się bezbronnym. Odkrycie na nowo, jakie to piekło, skłoniło go do pospiesznego opuszczenia Reims, nawet za cenę pozostawienia niedokończonych spraw z Eudeline de Rocheblanche. Możliwość, że po ucieczce matka przełożona wpadnie na jego trop, wykraczała poza zwykłe podejrzenie, a ponieważ chwilowo musiał pozostawać tajemniczym graczem, postanowił rzucić losowi wyzwanie i przyjął zaproszenie do Metz. Potajemne spotkanie z nowym królem Czech mogło się okazać dobrą sposobnością zarówno do zatarcia własnych śladów, jak i do wprowadzenia w życie drugiej części planu.

Ruszył w głąb surowego pomieszczenia, które ograniczały wykute w skale ściany oraz łukowe sklepienie, wzniesione z kamiennych bloków. W izbie znajdował się jedynie Karol Czeski, który siedział z boku, z dala od dymu pochodni.

Kardynał zbliżył się ostrożnie, próbując rozpoznać w nim wojowniczego młodzieńca, jakiego spotkał przed czternastu laty pod murami Ferrary. Uderzyło go, jak bardzo się zmienił. Wysokie czoło i wyłupiaste oczy świadczyły o zdominowanym przez fale urojeń usposobieniu, w którym najwyraźniej nie pozostał nawet ślad żarliwości Jana Ślepego. Bertrand zdawał sobie sprawę, że bardzo się przyczynił, aby doprowadzić go do takiego stanu. Trzymając się z daleka, przez lata wywierał nań wpływ, kazał go mieć na oku swoim szpicłom i za pomocą najsprytniejszej manipulacji nakłonił go, by zdradził własnego ojca. Przyglądał się właśnie człowiekowi, którego sam stworzył.

– Kiedy tak siedzicie w ciemnym kącie, z trudem was rozpoznaję, Wasza

Królewska Mość – przemówił.

Odpowiedział mu nerwowy chichot.

– Sami mnie nauczyliście, że należy wyciągać korzyści z cudzej ślepoty.

Było oczywiste, że ma na myśli swego szlchetnego ojca. Ledwie się dowiedział, że Jan Ślepy zamierza zdradzić tajemnicę *Lapis exilii*, kardynał uknuł przeciw niemu spisek i zmusił jego syna, aby przed ostatnim atakiem pod Crécy podał mu napój odbierający wzrok. Zyskał na tym jego spadkobierca na tronie, ale z pewnością nie prałat, który ciągle jeszcze nie zdołał przechwycić pergaminu z zagadką. Teraz udał oburzenie.

– Wygląda to, jakbyście zwracali się do potencjalnego wroga. Czyżbyście zapomnieli, że to wy zażądaliście tego spotkania?

Karol wpatrywał się weń wyniośle, dopóki rozsądek nie wziął góry nad dumą.

– Przyznaję – westchnął – potrzebuję waszej rady.

Nie pytając o pozwolenie, Bertrand du Pouget usiadł naprzeciw niego.

– Też tak sędzę, Wasza Wysokość – rzekł pojednawczo, mając na względzie treść listów, jakie od niego otrzymał. – Wprawdzie papież zgodził się na waszą koronację, lecz miasta Akwizgran i Kolonia nadal są wam nieprzychylnie, podobnie zresztą jak elektorzy Rzeszy.

– Wolą zawrzeć przymierze z heretykiem Ludwikiem Bawarskim, chociaż Ojciec Święty obrzucił go wieczną klątwą.

– Nie obwiniajcie innych za własne słabości – uciszył go kardynał, który znał upodobanie Karola do dysput religijnych. – Po prawdzie nie możecie rządzić, polegając wyłącznie na przyjaźni księcia Saksonii i arcybiskupa Moguncji. Oni są narzędziem Awinionu, niewystarczającym do umocnienia waszej władzy.

Suweren spojrzał nań z przyganą.

– Cóż miałbym uczynić, jeśli nie poprosić o wsparcie Kościoła?

– To dylemat, który da się łatwo rozwiązać – drażnił się z nim Bertrand. – Wszelako najpierw... – Jął przebiegać wzrokiem po izbie, przejawiając zniecierpliwienie. – Przynieśliście to, czego domagałem się w listach?

– Owszem, mam to. – Karol po raz pierwszy się zawahał. – Nie pojmuję jednak, Wasza Łaskawość. Przecież sami powierzyliście to mej opiece, ale skoro wątpicie, że w moich rękach jest bezpieczne...

Kardynał skinął na znak, że rozumie.

– Doskonale wiem, jaką wagę przywiązujecie do tego rodzaju przedmiotów, Wasza Królewska Mość. Znam waszą pobożność i oddanie wszystkiemu, co święte. Teraz wszakże chcę to z powrotem.

Monarcha zwlekał z odpowiedzią. Minęła chwila, zanim wykonując ostrożne i przemyślane ruchy, pochylił się w kącie nad ocienionym kawałkiem podłogi i podniósł prostokątne puzderko z intarsjowanego drewna. Położył je na kolanach

i pogładził z żalem jak ktoś, kto rozstaje się z czymś nad wyraz drogim.

– Proszę, oto jest.

Widok puzderka spowodował, że dla Bertranda du Pougeta wszystko inne w izbie przestało się liczyć, toteż chciwie wyciągnął po nie rękę. Ociąganie Karola wzmogło jeszcze jego niecierpliwość; poczuł zadowolenie dopiero wtedy, gdy mógł je przycisnąć do brzucha. Otworzył zameczek i podniósł wieczko, by w blasku pochodni podziwiać tajemną krzywiznę grotu włóczni. Chociaż nie widział go od owej dalekiej nocy w lesie Świętego Jerzego, doskonale zachował w pamięci jego obraz. Przedmiot, przez który przenikały metaliczne refleksy, miał takie samo czarne zabarwienie jak kielich, jakby jakaś mistyczna skaza – alchemiczne *nigredo* – naruszyła naturę jego materii. Wszelako Bertrand nie miał wątpliwości, że jak zapewniał zagadkowy *Codex Millenarius*, była to broń, która przebiła bok Chrystusa, uśmiercając jego ciało.

Z trudem wstrzymawszy się od dalszej obserwacji, skrył euforię pod nieprzeniknionym uśmiechem i zamknął puzderko.

– Znakomicie, Wasza Królewska Mość – przyznał. – Wróćmy teraz do tego, co leży wam na sercu.

Dostrzegłszy przyzwalające skinienie, prałat mówił dalej:

– Pewnie nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale szeregi waszych wrogów wcale nie są takie zwarte. Doszły mnie na przykład słuchy, że niektórzy elektorzy z rodu Wittelsbachów są gotowi z wami pertraktować, gdyby im nieco ponadskakiwano...

– Wittelsbachów? – powtórzył z niesmakiem Karol. – Według was powinienem się sprzymierzyć z rodem samego Bawarczyka?

Bertrand wymijająco uniósł brwi.

– Jak to się mówi, wziąć diabła za rogi.

Monarcha nie był wystarczająco bystry, by uchwycić ironię tych słów.

– Od lat wam dogadzam – wykrzyknął. – Pozwalałem, by wasze zbiry za mną chodziły, wspierałem wasze zamiary... po to, żeby usłyszeć coś takiego?

– Nie przybyłem tu, żeby zaspokajać wasze zachcianki – odparował w tym samym tonie kardynał – lecz po to, by przedstawić wam rozsądne rozwiązanie. Cóż, sire, czy wam się to podoba, czy nie, jest to jedyne dostępne wyjście. Musicie poszukać porozumienia z ekskomunikowanymi, nawet gdybyście mieli zrazić do siebie papieża.

Stłumiwszy wzgardę, Karol wbił weń wzrok dzikiego kota.

– Widzę, że sprawia wam to przyjemność – rzucił. – Nie próbujecie mnie aby wykorzystać przeciw papieżowi, który skazał was na hańbę?

Rozkoszując się ciętą ripostą, Bertrand ukrył swe prawdziwe uczucia pod maską układności.

– Klemens Szósty przeżyje hipotezę schizmy, czego nie mogę powiedzieć

o was, jeśli zrezygnujecie z okazania niezależności w oczach niemieckiej szlachty. – Po czym dodał bardziej przekonującym tonem: – W tej chwili przemawia do was nie awinioński purpurat, lecz wasz mentor. Ten, który jakiś czas temu malował przed wami perspektywę tronu cesarskiego. Czyżbyście o tym zapomnieli? Ja na pewno nie! Cóż, jeśli nadal marzycie o tym, aby ów sen się ziścił, będziecie musieli dowieść, że jesteście władcą *dla wszystkich*. Nawet dla kogoś, kto w tej chwili wam się sprzeciwia.

Król Czech długo rozważał te słowa, przepatrując co chwilę mroki izby, jakby obawiał się, że utajone lęki nabiorą kształtów.

– Chociaż żądacie, bym zaprzedał duszę Szatanowi, w waszych słowach jest więcej zdrowego rozsądku, niż się wydaje – przyznał zbolalym głosem. – Gdybym jednak poszedł tą drogą, naraziłbym się na niebezpieczeństwo...

– Nie, jeśli schronicie się w Pradze – zapewnił kardynał. – Kiedy znajdziecie się tam bezpieczni, ja już zadbam o to, aby dostarczyć wam listę osób, na które powinniście wpłynąć. Powysyłacie posłów, poskładacie obietnice, pozawieracie tajne przymierza... – Wstał i skłonił się lekko na pożegnanie. – Aż nadejdzie chwila, by narzucić swoją wolę, Wasza Królewska Mość.

Gdy podążał ku wyjściu, ściskając mocno pod pachą puzderko, wyobrażał sobie sieć posępnych myśli, które jęły kiełkować w głowie zgnębionego Karola. „W świecie intryg każdy musi snuć swoją”, stwierdził w duchu. Po czym pochłonęły go własne plany. Teraz, gdy kielich i grot włócznie trafiły w jego ręce, musiał zdobyć trzecią relikwię. Tę najważniejszą.

Wówczas nic go już nie powstrzyma w drodze na tron papieski.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ Z POMPOSY

24 KWIETNIA 1347 ROKU

Okaleczony nożem Chrystus Pantokrator przypominał mu Hioba, pokrytego wrzodami z woli Szatana. Wizja ojca Andrei miała swe źródło wyłącznie w doktrynie, nie wywoływała żadnych uczuć. I właśnie to nie dawało mu spokoju. Widok tak oszpeconej apsydy wzbudziłby żal nawet u ostatniego grubianina z tłącą się w nim choćby iskierką wiary. To była rzeź, niemal obelga! Mimo to opat doznał jedynie poczucia niespełnienia, nie dostrzegając nic innego jak tylko poobtłukiwany stary fresk, który miał pozostać w takim stanie na wieki wieków. Nie warto się buntować, w duchu szukając bojaźni Bożej, w nadziei, że owoładnie nim nagle oburzenie albo przynajmniej przeszyje go dreszcz, który dowiódłby, że nadal drzemie w nim boskie światło. Nie warto wręcz szukać żarliwości w celebrowaniu Paschy. Podobnie jak w poprzednich latach krew Baranka spłynęła strugami na czarną i jałową ziemię, na której nic nigdy nie zakiełkowało. Pozostawały jedynie owe brutalne ślady noża, niczym ostrzeżenie, jak daremne jest doszukiwanie się w wydarzeniach wyższego zamysłu, zainspirowanego łaską Ojca.

Wszelako Andrea nie mógł się pogodzić z myślą, że czuł się tak bliski punktu zwrotnego, po czym spadł w otchłań rezygnacji. W pewnej chwili naprawdę uwierzył, że pojawienie się Gualtieria de' Bruniego wraz z jego surowym geniuszem to znak od Pana, aby pokazać mu drogę ku reformie i wierze. W głębi serca nadal był o tym przekonany albo łudził się, że tak jest.

Po powrocie z Ferrary młodzieniec zgodził się wstąpić do skryptorium Pomposy i przyjąć obowiązki miniaturzysty, toteż od jakichś dwudziestu dni pracował niestrudzenie nad spisаныmi ręcznie kodeksami, udoskonalając technikę rysunku i operowanie kolorem. Uczynił tak ogromne postępy, że zdumiał pozostałych skrybów, którzy nierzadko porzucali swe pulpity, aby podziwiać jego kapitałę, *illuminature*¹⁶ na każdej stronie i monstrualne drolerie¹⁷ na marginesach tekstów. Nikt nie potrafił wyjaśnić, czy postaci te zrodziły się z natchnienia, czy z szaleństwa, ich niewątpliwy urok wzbudzał wszakże natychmiastowy podziw dla twórcy.

Opat nie wpadał łatwo w uniesienie. Doskonale wiedział, że Gualtiero przyjął to zajęcie wyłącznie w oczekiwaniu na wieści o rodzicach i że gdy tylko nadarzy się sposobność, opuści Pomposę, aby powrócić do dawnego życia tam, gdzie w swym mniemaniu je porzucił. Andrea miał mało czasu, aby skłonić go do

zmiany zdania i pokierować ku o wiele bardziej dumnemu przeznaczeniu niż zostanie prostym rzemieślnikiem. Przeznaczeniu, które dostrzegł, a w którym, mimo ostatnich rozczarowań, pokładał część własnych nadziei. „Ach, gdybyż młody de' Bruni mnie posłuchał!”, pomyślał. „Jakimże nadzwyczajnym zakonikiem by się stał”.

Jednakże otrzymana o poranku wiadomość zniweczyła jego plany. Pochodziła od Maynarda i była przeznaczona właśnie dla Gualtiera. Ojciec Andrea długo się zastanawiał, czy należy ją doręczyć chłopcu, zakłócając mu spokój, osiągnięty z takim trudem po pojmaniu rodziców. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to tylko pozorny spokój i że jego wahanie przed przekazaniem listu wynika wyłącznie z samolubnego pragnienia, aby zatrzymać go przy sobie, z dala od zgiełku świata.

Przekroczył próg skryptorium, mamrocząc *mea culpa*, i od razu podszedł do stołu chłopca.

Gualtiero, pochylony nad kopią *in folio De fructibus carnis et spiritus* Hugona od Świętego Wiktora, kończył właśnie rysunek drzewa starego Adama, symbolu grzechów głównych, zapoczątkowanych przez protoplastę rodu ludzkiego. Pracując wyobraźnią, przekształcił tradycyjny temat i zastąpił siedem owoców zepsutych przez grzech taką samą liczbą monstrualnych głów wiszących na gałęziach.

Niezdecydowany, czy owe obrazy budzą w nim podziw, czy też niesmak, opat pozdrowił chłopca, po czym wskazał postać Adama, leżącego na ziemi z wnętrznościami rozszarpanymi przez korzenie drzewa.

– Powiedźcie no, synu, znacie nasienie, z którego rodzi się ta zła roślina? – zapytał szeptem, aby nie przeszkadzać pozostałym kopistom.

Gualtiero przyjrzał się rysunkowi i pokręcił przecząco głową.

– Pycha – rzekł Andrea.

Chłopiec popatrzył nań z powątpiewaniem.

– Myślałem, że Adam splamił się winą obcowania z Ewą.

– Jak naucza Święty Ambroży, pożądlivość ciała była pierwszym krokiem do buntu umysłu – wyjaśnił opat, nie zorientowawszy się, że zaczął mówić głośniej. – To rozum, deklarując niezależność od praw boskich, popełnił nieszczęsny grzech, który skazał nas wszystkich na nędzny los śmiertelników. Grzech pychy! – Teraz zwracał się wyraźnie do wszystkich obecnych. Słowa wypłynęły mu z ust niczym obelga, przeznaczona zresztą głównie dla niego samego. – Głupcem jest ten, kto uważa, że potrafi się oprzeć sile przekonywania pychy, zważywszy, że nie istnieje żadna lubieżność ani rozwiązłość, które mogłyby stanąć w szranki z owym grzechem! Dla niej narażamy się na kłamstwo, przენiewierstwo, uleganie najniższym instynktom, byleby zaznać ulotnej rozkoszy... Im bardziej wszakże jesteśmy cnotliwi, tym trudniej ignorować jej

pochlebstwa.

Cisza, jaka zapadła, zmusiła go do milczenia, wprawiając w lekkie zakłopotanie. Cisza ta różniła się od zwykłej mnisiej *taciturnitas*. Była to raczej uwaga przypadkowego audytorium, urzeczona żarliwością kazania.

Andrea rozejrzał się dokoła i zatrzymał wzrok na zaciekawionych oczach Gaultiera.

– Chodźcie ze mną – powiedział. – Musimy omówić pewną nader palącą kwestię.

– Zatem dotrzymał słowa! – wykrzyknął młodzieniec, wpatrując się w list z nadzieją. – Messer Maynard napisał do mnie!

– Owszem – przytaknął opat, podążając wraz z nim przez dziedziniec aż do monasterium. – Jednakże za wcześnie na radość, synku. Z tych paru słów Rocheblanche’a nie wynika nic szczególnego.

– Twierdzi, że chce mnie pilnie widzieć, aby porozmawiać o ojcu i matce. To oczywiste, że coś odkrył.

– Na to by wyglądało. Wyzначył spotkanie na jutro w porze nieszpórów.

Gaultiero przeczytał ponownie ostatni wiersz tekstu.

– Przed klasztorem serwitów... – popatrzył pytająco na zakonnika. – Nie wiecie przypadkiem, gdzie to jest?

– Wytlumaczę wam. – Andrea uśmiechnął się łagodnie. Po czym zdjęty nagłą troską, zadumał się. – Jesteście pewni, że chcecie pójść? Zamiast was mógłbym posłać do Ferrary zaufanego sługę.

Chłopiec zmierzył go osłupiałym wzrokiem, gotów się obrazić.

– Ależ, wielobny ojcze... Przecież to moi rodzice!

Opat postarał się naprawić szybko swój błąd przepraszającym gorączkowym gestem ręki.

– Pozwólcie mi zatem przypomnieć, byście zachowali ostrożność. Jutro odbędą się uroczystości ku czci Świętego Jerzego, męczeńskiego patrona Ferrary. W mieście zapanuje rwetes.

– Nie frasujcie się, będę uważał.

Oczy Gaultiera błyszczały wszakże młodzieńczą zapalczywością.

Przycupnąwszy na wysokiej gałęzi jesionu, Isabeau przysłuchiwała się rozmowie opata Andrei z Gaultierem. Wdrapała się tak wysoko, aby podziwiać jaskółcze gniazdo, jak czyniła to tysiąc razy, chcąc naśladować akrobacje ojca, jednak gdy ujrzała, jak obaj podchodzą do drzewa, słusznie uznała, że należy zamilknąć i posłuchać.

Młody malarz podobał jej się. Chociaż nie był wysoki i potężny jak jakiś rycerz, miał niewinny i uprzejmy sposób bycia, który z miejsca ją oczarował. Poza tym teraz, gdy Maynard najwyraźniej ją opuścił, była szczęśliwa, że przynajmniej on powrócił do Pomposy. Nie żeby stanowił dla niej rzeczywiste towarzystwo.

Isabeau poprzestawała na szpiegowaniu go, podglądając ukradkiem jego zwyczaje i drobne codzienne gesty, które stopniowo wzbudzały w niej coś więcej niż zwykłą życzliwość.

Pomimo nalegań opata Gualtiero zrezygnował z pozostania w dormitorium i zamieszkał w należącym do jego rodziny wozie, gdzie spędzał noce, często nie mogąc zasnąć. Dziewczyna wymykała się o zmierzchu z przyznanej jej kwatery, po czym wielokrotnie się tam zapuszczała i przyglądała, jak w blasku świecy cień młodzieńca walczy ze swymi demonami, rysując i malując całymi godzinami, aż nie padał wyczerpany.

Isabeau oddałaby wszystko, byleby wejść do wnętrza wozu i oglądać obrazy Gualtiera, nigdy jednak nie ośmieliłaby się zakłócić owej zabarwionej rozpaczą samotności, którą tak dobrze знаła.

Kiedy więc usłyszała o rychłym wyjeździe młodzieńca, zawładnęło ją narastające poczucie rozdarcia.

Jak miałaby czekać całymi miesiącami, a może nawet latami, na powrót Maynarda, nie mając u boku młodego malarza, który dodawałby jej otuchy? Na myśl, że pozostanie sama w tym szarym klasztorze, wabiona jedynie przez dźwięk dzwonów, poczuła się zgubiona.

„Nie”, powiedziała sobie. „Nie dopuszczę, żeby on też odszedł”.

I wyciągnąwszy się na gałęzi niczym rozleniwiony kot, jęła układać plan.

FERRARA, BURGUS SUPERIOR

25 KWIETNIA

W południowym skwarze na zachodnim skraju miasta, gdzie wychodzące na Pad mury otwierały się strzeżoną bramą starego zamku Tedalda, na ozdobionym sztandarami i girlandami podwyższeniu gromadził się tłum wpływowych osobistości Ferrary. Obizzo III d'Este zajmował najważniejsze miejsce, otaczało go potomstwo, krewni i patrycjusze z dostojnych rodów, przybyłych z najbardziej kwitnących miast Emilii i Romanii. Znajdowali się wśród nich Taddeo de' Pepoli i Lodovico Gonzaga, panowie Bolonii i Mantui, którzy zjawili się jak zwykle, aby obejrzeć widowiskowe wyścigi palio, odbywające się co roku *in festo beati Georgi*. Honorowym gościem był wszakże Humbert de Viennois, który przybił do portu w Wenecji po wyczerpującej podróży wzdłuż wybrzeży Morei i Dalmacji. Jego niespodziewany przyjazd skłonił markiza do celebrowania święta patrona z większym przepychem – pragnął, aby dowódca krucjaty, wróciwszy do ojczyzny, mógł zaświadczyć o tym w siedzibie papieskiej w Awinionie.

Humbert przyjął zaproszenie, nie okazując zbytniego entuzjazmu, albowiem był bardzo znużony wyprawą i głęboko przeżył stratę żony. Siedział na podwyższeniu z nieobecny wyrazem twarzy, otoczony świtą. Był w niej Maynard, który dzięki pomocy wiernego Bastiena des Baux wśliznął się niepostrzeżenie do orszaku delfina.

Nadal odziany w czarny habit, ze sztyletem u pasa, Rocheblanche mógł uchodzić za jednego z wojujących mnichów, którzy powrócili ze Smyrny z francuskimi *milites*. Wprowadzony dwa dni wcześniej na dwór, cieszył się względną swobodą ruchów, toteż zaczął rozglądać się ukradkiem po pałacowych pomieszczeniach.

Ciażyło mu, że musiał poprosić o pomoc mistrza fechtunku, lecz po dwudziestu dniach spędzonych na węszeniu wokół placu i daremnych poszukiwaniach Facia di Malaspiny nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić. I od razu na tym skorzystał. Minionej nocy, krążąc po labiryntach pałacu markiza, spostrzegł jakiegoś ułomnego mnicha, wymykającego się w pośpiechu z pomieszczeń notarialnych. Śledzenie go na nic się nie zdało, gdyż ów wąż udał się na niższe piętra, na które goście nie mieli wstępu. Mimo to Maynard zyskał wreszcie pewność, że trafił we właściwe miejsce. Dopadnięcie go było już tylko kwestią czasu.

Udział w uroczystościach na cześć Świętego Jerzego oznaczał dla niego wkroczenie na kolejny obszar polowań, gdzie mógł łatwiej wytropić zdobycz. Na zajmowanym przez znamienitości podwyższeniu wśród dziesiątków osób znajdowało się w istocie sporo ludzi Kościoła, między innymi biskup Guido di Baisio, kanonicy z katedry i od Świętego Romana, augustianie od Matki Boskiej z Brodu oraz zakonnicy z zamku bizantyjskiego. Rocheblanche przypuszczał, że może się wśród nich ukrywać również Facio, korzystając więc z ogólnego zamieszania, wpatrywał się w tłum. Wzrok wszystkich skupiony był na odcinku ulicy łączącym wschodnią część miasta z bramą zamku Tedalda. W każdej chwili spodziewano się tam pojawienia jeźdźców na koniach, którzy ścigali się, by zdobyć złotą tkaninę. Była to najistotniejsza chwila uroczystości ku czci świętego patrona, obchodzonych w wielu punktach miasta przy hulankach, turniejach rycerskich, a także bójkach motłochu, jeżeli miał ochotę wziąć się za łby.

Na myśl o zamęcie panującym na przedmieściach Maynard mógł mieć tylko nadzieję, że Gualtiero dotrze jakoś w umówione miejsce. Z żalem zmuszony był go ciągnąć do Ferrary w taki dzień, lecz w minionym tygodniu dowiedział się o wydarzeniach tak doniosłej wagi, że nie mógł dłużej zwlekać. Chłopca czekała nader poważna próba, która miała na zawsze odmienić jego życie.

Wtem rycerz spostrzegł zbliżającą się do markiza Este przygarbioną postać, a stwierdziwszy, że wreszcie odnalazł tego, kogo szukał, odwrócił się, aby przyjrzeć się bacznie osobom z otoczenia dostojnego Obizza. Nauczył się rozpoznawać synów Aldovrandina, Niccolò i Uga, potomstwo z nieprawego łoża, zrodzone przez przepiękną damę siedzącą obok Jego Wielmożności, Lippę Ariosti. Zatrzymawszy na niewieście wzrok o chwilę za długo, Maynard napotkał jej spojrzenie i dostrzegł w nim porozumiewawczy, przebiegły uśmiech, co kazało mu, nie bez zakłopotania, popatrzeć gdzie indziej w poszukiwaniu podejrzanego cienia. Ten jednak zdążył się już rozpląnąć.

Rocheblanche zaklął przez zęby, pewien, że się nie mylił. Był przekonany, że to Facio! Czy to możliwe, że zniknął tak szybko? Powstrzymał odruch, by podejść do rodziny markiza, przestrzegając zasad, gdyż obawiał się zdradzenia własnych zamiarów. Zachował przeto czujność, rzucając tylko drapieżne spojrzenia na licznych mężczyzn obecnych na podwyższeniu, gdy tymczasem z tyłu dobiegał go głos Humberta de Viennois, budząc zniechęca uśpione lęki.

– Nadnaturalny rycerz, który pojawił się znikąd, niczym w jakiejś wizji – opowiadał właśnie delfin, zwrócony do siedzącego obok mężczyzny. – Ukazał się dwa lata temu na polu bitwy między Smyrną a Hagios Theologos wśród dwustu tysięcy chrześcijan, otoczonych przez Turków w liczbie sześć razy większej. Wszyscy widzieli, jak niespodziewanie rusza do natarcia na swym bielusińskim koniu. *Surgite, zagrzmiał, et viriliter ad pugnam mecum venite!* Poprowadziwszy zaś wiernych ku zwycięstwu, ów tajemniczy posłaniec zniknął w cudowny sposób,

niczym anioł Pański.

Na te słowa Maynard przypomniał sobie instynktownie pierwszego z trzech jeźdźców widzianych we śnie. Może był to Jowisz, który swą świetlistą smugą kreślił niepewny los, poprzedzając przybycie Marsa i Saturna... Albo może jeździec pierwszej pieczęci, apokaliptyczny mściciel, który według Świętego Jana miał się zmierzyć ze Złem podczas zbliżającego się Sądu Ostatecznego. Pokręcił głową wzburzony.

Coraz głośniejszy stukot kopyt kazał mu spojrzeć uważnie na ubitą drogę, przecinającą *Burgus superior*. Zza wytyczonego kamienicami zakrętu pędził naprzód we wściekłym galopie orszak wierzchowców, poganianych przez strzelających zaciekle wodzami młodzieńców. Wszyscy widzowie poderwali się z miejsc, wydając okrzyk radości. Do najbardziej rozgorączkowanych należeli markiz Obizzo, Pepoli i Gonzaga, którzy zagrzewali swoje konie, by zostały rywali daleko w tyle.

Ochłonawszy w okamgnieniu, Maynard jął się przyglądać dziesiątkom osób na podwyższeniu, aż ponownie wypatrzył podejrzaną postać, przemykającą między zasłaniającymi wyjście kotarami. Pozbył się wszelkich wątpliwości: to był Facio. „Ten przeklęty lis czekał na chwilę największego zamieszania, żeby się wymknąć niepostrzeżenie”, pomyślał.

Wykorzystując własną przewagę, rycerz przedarł się przez ciżbę i rzucił w pogoń.

„Tym razem nic mnie nie powstrzyma”, powiedział sobie w duchu.

Bacząc, by nikt go nie widział, podążał za Faciem uliczką wiodącą na północ od zamku Tedalda do miejsca przy murach znanego jako dzielnica Świętego Marka. Patrzył, jak tamten rozgląda się nieufnie, następnie wchodzi do ogrodu za kościołem. Gdyby nie ciekawość, dokąd się udał, rycerz już by go schwytał. Chęć dowiedzenia się, co sprawiło, że w końcu przestał się ukrywać, kazała mu cierpliwie czekać. Poszukał zatem kryjówki, z której mógłby śledzić rozwój wypadków.

Nie minęło wiele czasu, a ukazał się drugi osobnik. Jaskrawe szaty, twarz zbira – pozdrowił ułomnego mnicha zdawkowym machnięciem.

– Nie mogliście wybrać odpowiedniejszej chwili? – warknął mocno zdenerwowany Facio.

– Dopóki biskup jest w Ferrarze – usprawiedliwił się nieznajomy – muszę utrzymać w tajemnicy każdy mój ruch.

– Narażając przy tym mnie, bez wiedzy markiza.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Doskonale wiecie, że jesteście moim dłużnikiem.

– Spłaciłem dług wiele lat temu.

– Niektórych długów nigdy nie da się spłacić. Gdyby nie ja, zgnilibyście

w lochach poprzedniego biskupa. Czyżbyście zapomnieli?

Ojciec Facio zachichotał wzgardliwie.

– O ile pamiętam, pomogliście mi uciec za wysoką cenę. Byłem zmuszony wyznać wam moją najcenniejszą tajemnicę.

– Cóż, wiedza już mi nie wystarcza.

– To wasz kłopot.

– Raczej wasz niż mój – sprostował mężczyzna i z surową miną uderzył go palcem w pierś. – Powiedzcie, dlaczego uciekliście z Pomposy akurat teraz? Czyżby stare tajemnice wypłynęły na wierzch?

Facio di Malaspina cofnął się o krok.

– Zostawcie mnie w spokoju! – syknął zatrwożony. – Chroni mnie markiz.

– Ach, tak. Markiz... – roześmiało się drwiąco indywiduum, dając mu znak, żeby zaprzestał. – Podobno trzyma was w podziemiach pałacu razem ze szczurami. Wyobrażam sobie, że to dość poniżające dla kogoś, kto kiedyś zajmował wysoką pozycję. Pozycję, którą pewnego dnia może nawet zdołałby odzyskać...

– Do rzeczy, zwabiliście mnie tutaj, żeby kpić?

– Nic podobnego. Zastanawiałem się tylko, czy mielibyście ochotę na wymianę.

Po tych słowach, aby oddalić się od gromadki przechodniów, obaj rozmówcy zaszyli się głębiej w ogrodzie. Maynard musiał opuścić kryjówkę i niepostrzeżenie podejść bliżej, aby nie stracić dalszego ciągu rozmowy. Spora jej część pozostawała dla niego niejasna, ponadto nie wiedział, kim jest towarzysz Facia, co dodatkowo utrudniało sprawę. Niemniej jednak domyślał się powagi tej rozmowy. Przemknął na czworakach pod obrośniętym pnączami płotem i schował się za gęstym listowiem wierzby, wystarczająco blisko obu mężczyzn, by móc podsłuchiwać.

– Co dokładnie macie na myśli? – zapytał ojciec Facio.

– To, że mógłbym wam zwrócić opactwo w Pomposie – odparł tamten.

– Zadanie to wzięli na siebie inni.

– Wielebny Andrea znalazł się w dość niepewnym położeniu, wierzcie mi – padło stwierdzenie. – Jest niewypłacalny wobec Kamery Apostolskiej i być może to także współnik pewnej przestępczyni pojmanej w jego klasztorze. Wkrótce rozstanie się z pastorałem.

Wprawdzie perspektywa ta była kusząca dla zakonnika, ale ciągle miał wątpliwości.

– Nawet gdyby tak było, nie macie władzy koniecznej do powierzenia mi takiego stanowiska.

– I właśnie dlatego – odrzekł nieznajomy – poprosiłbym o pomoc pewnych znanych mi wysoko postawionych prałatów...

Facio di Malaspina rozejrzał się dokoła, budząc w Maynardzie obawę, czy

aby go nie spostrzegł. Natychmiast jednak z powrotem wbił coraz bardziej nieufny wzrok w swojego rozmówcę.

– W zamian za co?

– Już mówiłem, za wasz skarb. Zdaje się, że zwał go *Lapis exilii*...

Na dźwięk tych słów Rocheblanche'owi o mało nie wyrwał się okrzyk zdumienia. Zatem nie on jeden w Ferrarze znał tajemnicę Mont-Fleur! Powtórzył w myślach usłyszaną rozmowę, starając się poskładać fragmenty mozaiki.

– *Lapis exilii* – powiedział szybko zakonnik – nie znajduje się w moim posiadaniu.

– Spodziewam się jednak, że wiecie, gdzie jest – nie dawał za wygraną nieznanemu.

– Dajcie mi gwarancję, że dotrzycie obietnicy, a może wam to wyjawię.

– Nie w tej chwili. Lecz pokładajcie ufność, że potrafię was zadowolić po zachodzie słońca. Jeśli jesteście chętni, zaczekam na was w gospodzie w dzielnicy Gusmaria.

Rozmówcy pożegnali się i rozeszli w przeciwnych kierunkach.

Maynard już miał puścić się za ojcem Faciem, ale się powstrzymał. Jego głównym celem nie było przygwożdżenie tego węża, ale odkrycie, gdzie schowane zostały relikwie, które wykradł z Mont-Fleur, i co łączy go ze śmiercią Jana Ślepego. I oto wystarczy znaleźć się w umówionym miejscu o zachodzie słońca, aby dowiedzieć się tego bez wielkiego wysiłku.

Dzwony wzywające na nonę uzmysłowiły mu nagle kolejne zadanie. Późnym popołudniem miał się spotkać z Gualtierem de' Brunim.

Klasztor serwitów albo Sług Najświętszej Maryi Panny wznosił się w dzielnicy przy zamku Tedalda, w pobliżu bramy wychodzącej na Pad. Gualtiero zdołał go odszukać, nim rozległy się dzwony na jutrznię, teraz zaś z dala od tłumu odzyskiwał oddech, czekając, aż natknie się na Maynarda.

Dotarł do Ferrary, czując narastający ciężar. Było tak być może dlatego, że porzucił klasztorny spokój, do którego zdążył już przywyknąć. Praca w skryptorium pomogła mu znieść cierpienie rozłąki i zapanować nad gniewem spowodowanym niesprawiedliwościami, jakie dotknęły jego rodzinę. Odsunięcie się od świata na blisko miesiąc sprawiło jednak, że z trudem przyzwyczajał się teraz do ciszy: poszturchiwania i bezładne krzyki budziły w nim niemal odrazę. Uzmysłowił to sobie w *Portus Abbatis*, wchodząc na statek płynący ku brzegom miasta. W przeciwieństwie do poprzedniej przeprawy teraz pękał w szwach od pasażerów, którzy zmierzali w tym samym kierunku co on, nie mogąc się doczekać, by wziąć udział w uroczystościach na cześć Świętego Jerzego. Ich obcesowe i napastliwe zachowanie skłoniło go do wycofania się na rufę, w pobliże sternika.

Jeszcze gorsze okazało się zejście na ląd. Wędrując po przedmieściach, gdzie roiło się od ludzi, doświadczył takiej samej trwogi jak wtedy, gdy przygniótł go tłum podziwiający biczowników w bieli. Tylko paląca potrzeba dowiedzenia się czegoś o losie Sigismonda i Sapii dodawała mu sił do przepychania się wśród przechodniów.

Rozpoznawszy imponujący zamek Tedalda, z łatwością zorientował się, gdzie się znajduje, i wypatrzył klasztor serwitów. Ciągle wszakże zżerał go niepokój. Nie tylko z powodu motłochu, którego liczebność i rozwydrzenie najwyraźniej jęły narastać po zmierzchu. W istocie odkąd wszedł na statek do Ferrary, miał wrażenie, że ktoś go szpieguje. Wydawało mu się wręcz, że dostrzega na pokładzie jakąś chudą i przyczajoną postać, skrywającą się wśród reszty podróżnych, po czym znów ją zobaczył, przemierzając ulice miasta.

„To tylko zwidy”, powiedział w duchu, dodając sobie odwagi.

Siedział teraz przed portalem budowli, rozglądając się dokoła, a nad jego głową rozległy się metaliczne dźwięki dzwonów wzywających na jutrznię, sprawiając, że przycupnięte na dachach gołębie poderwały się do lotu.

Drgnął, czując czyjaś dłoń na ramieniu.

– Messer Maynard! – wykrzyknął Gualtiero, odwróciwszy się gwałtownie ku mężczyźnie w czerni, który pojawił się przy nim.

– Jesteście sami? – upewnił się rycerz.

– Tak.

– Chodźcie więc za mną, nie ma czasu do stracenia.

Chociaż ton Rocheblanche'a go zaniepokoił, młodzieniec posłusznie opuścił z nim bramę zamku Tedalda i pokonał krótki odcinek drogi na północ, złakniony jakichkolwiek wieści.

Maynard zdawał się w ponurym nastroju. Szedł szybkim krokiem, unikając ludzkiego wzroku.

– Wasza matka – przemówił wreszcie – nie przebywa już w Ferrarze.

– Co takiego? – wybuchnął Gualtiero. – Jesteście pewni?

Rycerz skinął potakująco głową.

– W ostatnich dniach miałem sposobność zasięgnąć języka. Podobno więziono ją na skraju *Burgus superior*, na zamku bizantyjskim, dopóki... – Po czym z żalem spuścił głowę.

– Dalej, mówcie! – przynaglił młodzieniec, zdjęty niewypowiedzianą boleścią.

– Zabrali ją do Awinionu.

Chłopiec wpatrywał się w rycerza oniemiały, następnie chwycił go za ramię, jakby chciał się upewnić, że nie jest zjawą.

– Do Awinionu?

– Wyjawił mi to urzędnik z dzielnicy Świętego Piotra. Za hojną zapłatę.

– Nie pojmuję... To niemożliwe! Jesteście pewni, że chodzi o nią?

– Nie ma wątpliwości, przyjacielu.

Gualtiero przytknął dłoń do piersi, przeszyty ukłuciem strachu. Awinion, siedziba papieży! Jak zdoła dotrzeć do niej aż tam, na tak nieznane ziemie szerokiego świata?

Jednocześnie w jego umyśle zrodziło się wszakże kolejne wstrząsające pytanie: dlaczego?

Maynard przystanął gwałtownie, wyciągając go z otchłani rozpacz.

– Później będziecie się martwić matką – nakazał stanowczo. – Wezwałem was tak pilnie do Ferrary jeszcze z innego powodu.

– Co macie na myśli, messer?

– Waszego ojca – oznajmił Rocheblanche, nie potrafiąc powstrzymać grymasu udręki. – Powieszą go jeszcze dzisiaj, po uroczystościach. Na Łące Szubienic.

EPILOG

MEMENTO MORI

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

Siostra Eudeline ponownie przesunęła palcem po wargach, niezdolna odczuwać wyrzuty sumienia. Doskonale wiedziała, że dla każdego spowiednika ów pocałunek oznaczałby śmierć grzechu. Ona jednak nie potrafiła mu się oprzeć i odwzajemniła go, owładnięta pragnieniem, by trwał jak najdłużej. Nie z powodu żądzy ani dlatego, że uległa pożądaniu swego adoratora, lecz po to, by zaznać słodocy, której nigdy przedtem nie doświadczyła. *Rozkosz, jakiej zasmakowałam, była tak silna, że nie mogłam jej zniecierpieć.* Teraz była w stanie pojąć bezwstydne słowa napisane przez Heloizę do Abelarda, chociaż tamta nie rzuciła się w wir namiętności, która splotła losy tej dwójki odważnych kochanków. Była także w stanie pojąć słowa Maynarda, któremu nie spodobało się, że wybrała habit. Mimo to matka przełożona twardo stała na stanowisku, że powinna dotrzymać ślubów. Pomijając uczucia do Roberta, żywiła przekonanie, że klasztor to dla niej jedyny możliwy wybór. Nie potrafiła już sobie wyobrazić siebie poza tymi murami, w świecie, w którym rządzą chaos i zamieszanie. Świecie, który dla niej oznaczałby prawdziwe zatracenie.

W klasztorze Świętej Balsamii odnalazła swój cel: chronić siebie i współsiostry przed zagrożeniami z zewnątrz. Bez względu na formę, jaką mogą przybrać.

Odsunęła na bok wszystkie te myśli i zeszła do krypty, zastanawiając się nad tym, co przekazała jej dzień wcześniej infirmerka. O tajemnicy Aleydis. Wstrząsnęło nią to niemal do głębi, powiększając brzemię wzruszeń, odczuwanych w czasie owych burzliwych dni.

Dotarła do zaryglowanej niszy i omiotła blaskiem świecy postać skuloną w półmroku za kratami.

– Powiadomiono mnie o waszym stanie – oznajmiła z kamiennym spokojem. Aleydis podniosła wzrok i spojrzała na nią ze swej jaskini cierpienia.

– W takim razie błagam was o pomoc... – załkała. – Wymioty... Mdłości... Nie dają mi spokoju...

– Pomogę wam – odrzekła ku jej zdumieniu matka przełożona, wyjmując z kieszeni kluczyk.

Osadzona drgnęła, słysząc zgrzyt zamka.

– Zatem jestem wolna?

– Nie zrozumcie opacznie moich intencji – ostrzegła Eudeline, otwierając wejście do celi. – Zadbam po prostu o wygodniejsze lokum dla was, przynajmniej do czasu aż...

– Nie wyzdrowieję?

Wielebna matka popatrzyła na nią zdziwiona.

– Infirmierka naprawdę nic wam nie powiedziała?

– Nic – odparła zagubiona Aleydis. – Zajrzała do mnie i sobie poszła, milcząc jak grób... Cóż, chociaż wy nie trzymajcie mnie w niepewności. Czy to coś bardzo poważnego?

– Mogłoby być – odrzekła lakonicznie Eudeline. I rozdarta między litością a pogardą, dała jej znak, by ruszyła za nią. – Jesteście brzemienni.

FERRARA, ŁĄKA SZUBIENIC

O ZMIERZCHU

Za kościołem serwitów brama strzeżona przez zamek Tedalda otwierała się na most na barkach wiodący na przeciwległy brzeg Padu, do przedmieścia Świętego Jakuba. Wody rzeki były czarne, podobnie jak pochód skulonych postaci posuwających się po deskach. Czwórka skazańców eskortowanych przez oddział zbrojnych. Ich jęki, którym towarzyszył plusk fal, zlewały się z gwarem tłumu zgromadzonego na brzegu, na skraju placu z szubienicą pośrodku.

Przedzierający się przez ciżbę Gualtiero wyciągał szyję, wpatrując się w twarze więźniów, dopóki nie znalazły się dostatecznie blisko, by w jednej z nich rozpoznać twarz ojca. Serce zamarło mu na chwilę. Brudny i zeszywniały ze strachu Sigismondo podążał ze związanymi rękami wśród razów wymierzanych przez zbrojnych.

Młodzieniec nie zapanował nad odruchem i podbiegł do niego, nadział się wszakże na stojących w szeregu braci w czerni, którzy niczym kruki czekali na skraju mostu na nadejście skazańców.

– *Congregatio mortis* – szepnął jeden z nich, dając mu do zrozumienia, że są tu po to, by ulżyć nieszczęśnikom.

– Mój ojciec jest niewinny! – odparł Gualtiero w nadziei, że wzbudzi w nim litość.

Frater wykrzywił się we współczującym grymasie, zdolnym zranić bardziej niż obelga. Jednakże oburzenie chłopca zniknęło na widok nadciągających mężczyzn, których zamyślano powiesić.

– To nieodwołalna decyzja – obwieścił mu Maynard, zanim się pożegnali. – Nie ma żadnego aktu łaski.

Nie mogąc pojąć tak ogromnej niesprawiedliwości w stosunku do swych rodziców, młodzieniec przyglądał się, jak procesja przybija do lądu. Bracia z kongregacji natychmiast otoczyli więźniów, udzielając błogosławieństw i skrapiając ich wodą święconą, po czym pozwolili im udać się na środek placu.

Korzystając z chwili, Gualtiero spróbował zbliżyć się do ojca, lecz zatrzymał go jeden ze zbrojnych.

Sigismondo jednak go dostrzegł.

– Synu mój – wrzasnął na całe gardło. – O, chwała Panu! Przynajmniej ty... Przynajmniej ty jesteś cały!

Żołnierz, w którym scena ta wzbudziła litość, pozwolił chłopcu się zbliżyć.

– Ojcie... – wyjąkał Gualtiero, stanąwszy przed rodzicielem. Niezdolny znaleźć słów, poddał się wzruszeniu i uściskał go mocno, a jego krzyk rozpaczony utonął w piersi Sigismonda.

Mistrz malarski usiłował się uśmiechnąć. Pokrywająca mu twarz maska brudu nosiła ślady łez.

– Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy... – wyznał potulnym głosem człowieka, który pogodził się z losem.

Nim zdążył dodać coś jeszcze, pociągnięto go do przodu. Młodzieniec musiał go puścić i patrzeć, jak wspina się na szafot pod jedną z czterech szubienic, odcinających się na pozbawionym gwiazd niebie. Niebie bez Boga i sprawiedliwości.

Ból był tak wielki, że przez chwilę wydawało mu się, iż traci zmysły. Lecz złość, oplatająca lęk niczym wąż, kazała mu wbić wzrok w kata, który zakładał stryczek na szyję mistrza malarskiego. Walcząc z niemal fizyczną torturą, Gualtiero podszedł do szafotu, aby wesprzeć rodziciela.

Właśnie wtedy usłyszał, jak Sigismondo wypowiada ostatnie zdanie. Zdanie pozbawione sensu:

– Ja nie jestem twoim ojcem.

Po czym usłyszał szarpnięcie sznura i zduszone spazmy skazańca.

Czując na przemian nieopisaną groźę i cierpienie, młodzieniec wpatrywał się w podrygujące w oszalałym tańcu nogi, wybałuszone oczy utkwione w pustkę i usta wykrzywione w groteskowym, nieludzkim grymasie, dopóki nie musiał spojrzeć gdzie indziej, wstrząśnięty bardziej, niż mógłby sobie wyobrazić.

Nie jestem twoim ojcem.

Ból nakładający się na inny ból. Pytania nakładające się na inne pytania.

Opadły go wszystkie siły, wzrok zaszedł mgłą, Gualtiero poczuł, że przewraca się na ziemię.

Pokonany. Wycieńczony. Czyjeś dłonie przebiły się jednak przez mrok, aby podeprzeć mu głowę.

Gualtiero podniósł powieki i ujrzał pochyloną nad sobą czyjąś ładną twarz.

Najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział.

O dwojgu dziwacznych tęczęwkach i wpatrzonych weń źrenicach.

FERRARA, DZIELNICA GUSMARIA

NOCĄ

Chociaż Maynard bardzo chciał, nie mógł towarzyszyć nieszczęsnemu Gualtierowi przy egzekucji ojca. Jeśli pragnął odkryć tajemnicę Facia di Malaspiny, w tym samym czasie musiał koniecznie być w innym miejscu. Przrzekłszy sobie, że odnajdzie chłopca, gdy tylko będzie to możliwe, prosił Boga, żeby dał mu siłę na zmierzenie się z tak tragicznymi okolicznościami.

Dzielnica Gusmaria leżała w południowej części Ferrary, przed bramą o tej samej nazwie. Przyświecając sobie pochodnią, Rocheblanche krążył po ulicach, aż natknął się na gospodę.

Rozpoznał ją wyłącznie dzięki staremu, przekrzywionemu szyldowi wiszącemu nad drzwiami. Zapadnięty dach i wałące się ściany pozwalały przypuszczać, że karczma od dawna nie przyjmuje gości. W pierwszym odruchu miał pójść dalej, uznając, że się pomylił. Pomyślał wszakże, że tak ważne spotkanie powinno się odbyć w strzeżonym i odosobnionym miejscu. A ta nora doskonale się nadawała.

Nie słysząc dobiegających z wnętrza hałasów, rycerz założył, że zjawił się za wcześnie, postanowił więc wejść do środka, aby znaleźć kryjówkę, która umożliwiłaby mu szpiegowanie. Zamierzał usłyszeć każde słowo, jakie zamienią ojciec Facio i jego tajemniczy kamrat, a potem wymknąć się cichaczem i schwytać mnicha. Choć miał przy sobie jedynie sztylet, niczego się nie obawiał.

Przytknął ucho do drzwi, aby się przekonać, czy wewnątrz jest naprawdę pusto, i dopiero wtedy przekroczył próg. Z ostrzem w dłoni rozejrzał się bacznie po dusznym pomieszczeniu i odrapanych ścianach. Natychmiast w jego nozdrza uderzył metaliczny zapach, ostrzegając nawykłe do niebezpieczeństwa zmysły.

Przeraziwszy się nagle, że przybył za późno, Maynard jął oświetlać pochodnią pomieszczenie, aby sprawdzić słuszność swego przeczucia, aż zobaczył coś odrażającego.

Z początku myślał, że to kukła, potem jednak uzmysłowił sobie, że widzi człowieka. Siedział w kącie izby przy jedynym stole. Ze zwisającymi długimi ramionami, z głową pochyloną do przodu, z brodą wspartą na blacie. Z półprzymkniętych ust wystawał język, o wiele dalej niż powinien. Wyciągnięto go siłą i przybito sztyletem do drewnianej powierzchni.

Przed śmiercią Facio di Malaspina musiał wiele wycierpieć.

Nie tracąc czujności, Rocheblanche zbliżył się do ciała i obejrzał je w blasku pochodni, aby lepiej zrozumieć, co się wydarzyło. Tymczasem jego myśli powędrowały ku nieznanemu, który wcześniej rozmawiał z zakonikiem. Nie wiedział, kim on jest ani jak do niego dotrzeć, przede wszystkim zaś nie miał pewności, czy zdołał wyciągnąć od mnicha tajemnice Mont-Fleur.

„Byłem głupcem”, wyrzucił sobie rycerz. „Powinienem był go przydybać, kiedy miałem sposobność”. Teraz należało zacząć wszystko od początku, w nadziei, że znajdzie jakiś ślad czy wskazówkę, które pozwolą mu wszcząć poszukiwania.

Zrazu na stole dostrzegł jedynie kałużę świeżej krwi spływającej z jego brzegów. Wszelako przyjrząwszy się dokładniej, zauważył wydrapane w drewnie słowa. Zapewne wycięto je tym samym sztyletem, którym posłużono się, by przebić kłamliwy język Facia, jakby drwiąc z tego, kto już się smażył w piekle. Albo z tego, kto właśnie w tej chwili na nie spogląda.

MONACHVS SVPERBVS

Niespodziewany odgłos kroków skierował uwagę rycerza ku wejściu, jego oczom ukazała się częściowo ukryta w ciemnościach, szpiegująca postać.

– Kto idzie? – zapytał Maynard.

Lecz zamiast odpowiedzieć, tajemniczy osobnik czym prędzej się wycofał i uciekł.

Rocheblanche natychmiast pognał za nim w noc niczym pies gończy.

NOTA OD AUTORA (TAJEMNICA OPOWIEŚCI)

Niniejsza powieść, pierwsza, zawiera kluczowe punkty odniesienia, które będę mógł wyjaśnić dopiero pod koniec sagi. Skoro zostało to już ustalone, mogę wyznać, że akcja *Opactwa stu grzechów* opiera się na szeroko udokumentowanych wydarzeniach, a także na wymyślonych przeze mnie. Do tych ostatnich zaliczają się losy rodzin Rocheblanche'ów i de' Brunich, podobnie jak Roberta de Vermandois, Aleydis, Superanzia Orsiniego i Bastiena des Baux. Starłem się jednak, aby zawsze zachować prawdopodobieństwo i coś, co określiłbym jako symulację pewnego stylu życia (zakonnego i świeckiego), należącego do minionej epoki. Na tym polegało moje główne zadanie. Dlatego też zacznę od wyjaśnienia wskazówek na temat upływu czasu znajdujących się w książce.

W średniowieczu wschód słońca zbiegał się z pierwszą z dwunastu godzin dziennych, po których następowało dwanaście godzin nocnych. Ich długość była przybliżona, w zależności od pory roku. Toteż o ile zimą dwanaście godzin ciemności wydawało się trwać dłużej niż dwanaście godzin światła, latem było odwrotnie. Skoro niemożliwy był pomiar czasu za pomocą tak podstawowych narzędzi, jak zegar słoneczny czy klepsydra, zwykle kierowano się liturgią godzin, która w kościołach i klasztorach wyznaczała chwile modlitwy: wezwanie (około trzeciej w nocy), jutrznię (przed świtem), prymę (o wschodzie słońca), tercję (około dziesiątej), sekstę (w południe), nonę (około trzeciej po południu), nieszpory (o zachodzie słońca) i kompletę (przed snem).

Jeśli chodzi o *consuetudines* monastycznego życia – choć odpowiadające nieistniejącemu klasztorowi Świętej Balsamii – zawsze posiłkowałem się regułą Świętego Benedykta, pozwalając sobie na odstępstwo od zwyczaju właściwego epoce w postaci młodego wieku przeoryszy Eudeline. Wprawdzie, począwszy od Bonifacego VIII, matką przełożoną mogła zostać wyłącznie zakonnica, która złożyła śluby i ukończyła trzydzieści lat, jednak zdarzało się, że ród i bogactwo zastępowały wiek, jak to było w przypadku córki hrabiego Suffolka, która według historyka Gabriela Le Brasa (*Institutions ecclésiastiques de la Chrétienté médiévale*, Paris 1976) została wybrana na przeoryszę, mając dwadzieścia dwa lata.

Przejdźmy do faktów i postaci historycznych. Bitwa pod Crécy – pierwsze wielkie starcie wojny stuletniej – usankcjonowała klęskę wojsk króla Filipa VI Walezjusza, zmuszonego pozostawić tam blisko cztery tysiące ludzi. Była to pierwsza potyczka przegrana przez francuską jazdę ze zwykłymi łucznikami, co położyło kres pewnej epoce i prawdopodobnie oznaczało również schyłek etosu rycerskiego. Wśród walecznych rycerzy poległych w tej ciężkiej batalii znalazł się Jan Ślepy (król Jan I Czeski), który stracił życie podczas ostatniego desperackiego natarcia. Jego ciało odnaleziono na polu walki następnego dnia po starciu. Dzięki

wiarygodnym źródłem wiemy, że nie mógł dobrze walczyć z powodu ślepoty, być może wywołanej podeszłym wiekiem, a być może trucizną. Jego związki z kardynałem legatem Bertrandem du Pougetem są także poświadczone historycznie. Sięgają one 1333 roku, kiedy prałat szukał sprzymierzeńca w czeskim monarsze (przybyłym do Italii, aby bronić Brescii przed Mediolanem i Weroną) w celu poddania Emilii i Romanii panowaniu Awinionu. Ferrara została oblężona i musiała odeprzeć wrogich żołnierzy, którzy wdarli się aż na rynek (w kwietniu 1333 roku). Następnie powstanie w Bolonii w marcu 1334 roku zmusiło legata do ucieczki do Francji. Tymczasem Jan Ślepy zaczął się układać z wysokimi władzami kościelnymi, aby zagwarantować swemu synowi, Karolowi, sukcesję na tronie.

Wiele wiadomości, które wykorzystuję, na temat Bertranda du Pougeta, wyniesionego do godności kardynalskiej z tytułem prezbitera San Marcello 17 grudnia 1316 roku, pochodzi z książki François Duchesne'a (*Histoire de tous les cardinaux françois de naissance*, Paris 1660, s. 419), gdzie znalazłem także herb z wizerunkiem lwa, różniący się od obecnego herbu kardynałów z San Marcello. Według licznych pogłosek na temat pokrewieństwa owego zakonnika z papieżem Janem XXII (twierdził tak między innymi Petrarca) był on nawet jego synem. Mówiąc o Bertrandzie, warto przypomnieć sobie jego „woltę” po stratach Ferrary w 1333 roku. Przed działaniami wojennymi, które pchnęły go do zajęcia Emilii i Romanii, istotnie wkroczył do miasta nad Padem z bullą wydaną w Awinionie 2 lipca 1329 roku, aby powierzyć markizom Estom (braciom Rinaldowi II, Obizzowi III i Niccolò) wikariat Ferrary. Było to po okresie ekskomuniki, która spowodowała ogłoszoną przez papieża „krucjatę” przeciwko nim z powodu ich heretyckich sympatii gibelinińskich.

Kolejną autentyczną postacią jest mnich Facio (któremu pozwoliłem sobie nadać fikcyjną drugą część imienia „di Malaspina”). Zarządzał on opactwem Pomposy od roku 1325 do czasu, gdy biskup Ferrary oskarżył go o sprzyjanie „heretyckim” wówczas esteńczykom, którzy już rok wcześniej, jak głosiła bulla papieska wysłana do arcybiskupa Rawenny, „zajęli klasztor w Pomposie, wraz ze wszystkimi willami, ziemiami, przychodami i zyskami. Podczas gdy jednych mnichów przepędzono, innych wtrącono do nędznego więzienia [...], pozostali niktzemni ludzie łupili i grabili [...] i oszukiwali na zbiórkach oraz datkach dla klasztoru” (Archivio Segreto Vaticano, *Instrumenta miscellanea*, s. 878). W roku 1329 Facio zrezygnował z funkcji opata, poniósłszy karę wymierzoną mu przez biskupa Ferrary Guida da Cappello.

Z kolei ojciec Andrea di Fano był opatem Pomposy w latach 1336–1361. Należy go uznać za promotora cyklu fresków biblijnych w opactwie – dzieła ukończonego w 1351 roku, jak zaświadcza inskrypcja w apsydzie, nad którą pojawia się sam Andrea, klęczący przed „Matką Boską Anielską”, przed mandorlą

z Chrystusem Pantokratozem. O ile jednak malowidła w apsydzie zawdzięczamy kunsztowi Vitalego da Bologna, niewiele wiadomo na temat współczesnego cyklu poświęconego Staremu i Nowemu Testamentowi, w tym Apokalipsie, umieszczonego na podłużnych ścianach nawy głównej. Część badaczy uważa, że ich autorami są rzemieślnicy ze szkoły Vitalego, pozostała część twierdzi, że – Andrea de' Bruni albo Andrea de' Bartoli. Nikt jeszcze jednoznacznie nie rozwiązał tej zagadki. Stąd pomysł napisania powieści poświęconej dziejom tajemniczego twórcy mistrzowskiego dzieła, przy czym w niniejszym, pierwszym tomie jest zaledwie ich początek.

Sława Pomposy, jako *monasterium in Italia primum* wznoszącego się w połowie drogi między benedyktyńskimi ośrodkami Montecassino i Cluny, rodzi się jednakże w XI wieku, splatając się z takimi postaciami jak Otton III, Święty Pier Damiani i wielki opat Guido z Pomposy, czczony jako święty. W owym okresie klasztor zamieszkiwało około stu mnichów, którzy żyli w dostatku, krzewiąc kulturę i święte pieśni (właśnie tam powstają teorie na temat śpiewu i zapisu neumatycznego muzyka Guida d'Arezzo). W każdym razie biblioteka musiała stanowić prawdziwe dziedzictwo opactwa. Po rozproszonym dziś księgozbiornie pozostał ślad w katalogu, sporządzonym przez kleryka Enrica w XI wieku. Po trzystu latach świetności Pomposa zaczęła się chylić ku upadkowi. Kryzys gospodarczy, o którym mowa w powieści, został historycznie poświadczony i udokumentowany w źródłach z epoki, starannie skopiowanych w drugiej połowie XVIII wieku przez benedyktyna z Montecassino, Placida Federiciego, w monumentalnym dziele, wydrukowanym jedynie częściowo (*Rerum Pomposianarum historia monumentis illustrata*, t. 1, Roma 1781), istniejącym w postaci rękopiśmiennego kodeksu (w którym tekst Federiciego opatrzony jest badaniami Sebastiana Marii Campitellego), przechowywanego w Archiwum Montecassino oraz pod postacią anastatycznej reprodukcji w Biblioteca Ariostea di Ferrara.

Kolejne specyficzne tło dla *Opactwa stu grzechów* stanowi Ferrara. Aby „zrekonstruować” ją na planie urbanistycznym, poza współczesną eseistyką czerpałem z lokalnej historiografii nowożytnej, zwłaszcza z pism Antenore Scalabriniego (*Memorie istoriche delle chiese di Ferrara e de' suoi borghi*, Ferrara 1773) oraz Antonia Frizziego (*Memorie per la storia di Ferrara*, t. 5, Ferrara 1809), nie pomijając dzieła *Chronica parva ferrariensis* Riccobalda da Ferrara (z XIV wieku) czy *Disegno in pianta della città di Ferrara*, nakreślonego przez architekta Bartolina da Novara, który od roku 1373 pracował dla Estów.

Co do planu urbanistycznego Ferrary, w jej obrębie znajdowało się już wtedy trzydzieści siedem kościołów, a okalały ją mury strzeżone przez osiemnaście wież z mniej więcej dziesięcioma bramami. Najstarsza część zabudowy rozciągała się pomiędzy dwoma zamkami: zamkiem bizantyjskim (*castrum byzantinum*) na

wschodzie, sięgającym czasów bizantyjskich, a zamkiem Tedalda na zachodzie (według tradycji przypisywanym Tedaldowi z Kanossy). O ile pierwszy wyznaczał szeroką przestrzeń miejską – w tym kościoły Świętego Piotra, San Salvatore i Świętego Grzegorza – wychodząc w kształcie podkowy na bramę Świętego Piotra, to po drugim nie ma już śladu (zburzono go w XVII wieku, aby zrobić miejsce pod budowę twierdzy papieskiej). Katedra, która od 1135 roku zastąpiła tę pierwszą, kościół podmiejski Świętego Jerzego, postawiony na przedmieściu o tej samej nazwie, wznosi się pomiędzy obydwoma zamkami. Po jej lewej stronie znajduje się plac (1273), a naprzeciw fasady Pałac Signorii (1283) i Pałac Mądrości (1326). „Zamek Esteński”, z którego będzie znana Ferrara, powstanie później, w 1385 roku.

W owym okresie istniały dwa mosty umożliwiające przekraczanie Padu (albo dawniej: *Padus*): most przy barbakanie (albo Świętego Jerzego) i most zamku Tedalda, obydwa położone po południowej stronie zabudowy, zwieszane na barkach, aby stawić czoło nieustannemu naporowi rzeki.

Urbanistyczny plan, który zrodził się z tych badań, nie dąży do absolutnej precyzji, a tym bardziej do wyczerpania tematu. Służy orientacji czytelnika, kreśląc główne punkty dość złożonego już wtedy miasta, podzielonego na cztery główne dzielnice (Matki Boskiej z Brodu, Świętego Romana, Świętego Mikołaja i zamku Tedalda) oraz mnóstwo przedmieść i zaułków, poprzecinanych labiryntem ulic i kanałów.

W odniesieniu do Ferrary warto dodać ponadto, że procesja biczowników w bieli, na którą natyka się Gualtiero, wywodzi się ze szpitala Matki Bożej, siedziby bractwa religijnego założonego w 1243 roku i zwykłego biczować się w okresie Wielkiego Piątku na pamiątkę Męki Chrystusa.

Na koniec wiadomości dotyczących Ferrary jeszcze słów kilka o tradycyjnych „gonitwach Palio”, modnych od pierwszych lat panowania Estów. Wzmianki o nich można znaleźć już w statutach miejskich z 1279 roku, z uściśleniem, że mają się odbywać w dniu patrona, Świętego Jerzego (25 kwietnia), oraz Matki Boskiej (połowa sierpnia). Konie ścigały się na via Grande, od *contrada della Pioppa* do zamku Tedalda. Nagrodę dla zwycięzców stanowiły: palio (tkanina) haftowane złotem, prosię i kogut.

Ostatnia informacja będzie o krucjacie do Smyrny, znakomicie opisanej w eseju K.K. Settona (*The Papacy and the Levant*, t. 1, Philadelphia 1976, s. 195–218). Humbert de Viennois był bez wątpienia gościem Obizza III d'Este w czasie podróży na wschód w październiku 1345 roku, kiedy w drodze do Ferrary towarzyszyli mu synowie Taddea de' Pepoli, pana Bolonii. Markiz przyjął go z „najwyższymi honorami” i nawet podarował trzy wspaniałe konie (*Chronicon Estense*, rok 1345). Nie jest pewne, czy delfin zabawił w Ferrarze, wracając z wyprawy, chociaż seria glejstów skreślonych 19 marca 1347 roku przez papieską

kancelarię miała mu zagwarantować bezpieczny przejazd przez terytoria, którymi zarządzili: doża wenecki Obizzo d'Este (Ferrara), Taddeo de' Pepoli (Bologna), Giovanni i Lucchino Visconti (Mediolan), Mastino della Scala (Werona) oraz wielu innych.

Jeśli chodzi o cudowne pojawienie się jeźdźca na białym koniu podczas bitwy między Smyrną a Hagios Theologos, wiadomość na ten temat podaje list wysłany w 1345 roku przez króla Hugona IV Cypryjskiego do Joanny I Sycylijskiej.

Pozostaje jeszcze kwestia *Lapis exilii* i tajemniczego *Codex Millenarius*. Mówiąc o nich teraz, zdradziłbym zbyt wiele szczegółów narracji i zepsułbym czytelnikom przyjemność odkrywania.

To zaś w zakresie fikcji oznaczałoby grzech śmiertelny.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję przede wszystkim profesorowi Ranieriemu Varese, wykładowcy na Wydziale Historii Sztuki i dyrektorowi Wydziału Nauk Historycznych na Uniwersytecie Ferrary, który znalazł czas i cierpliwość, aby odpowiedzieć na moje natrętne pytania na temat średniowiecznych technik malarskich. Jeśli w powieści pozostały jakieś błędy w tym względzie, jest to wyłącznie moja wina.

Niechaj moje podziękowania przyjmą: Raffaello Avanzini, mój wydawca; Alessandra Penna, moja wydawczyni; Roberta Oliva i Silvia Arienti, moje niezmordowane agentki. Ponadto dziękuję całej grupie Newton Compton za nieustające wsparcie i współpracę w ciągu ostatnich czterech lat.

Chciałbym podziękować również mojej rodzinie. Przede wszystkim mojej matce, Rosaurze, która potrafiła mi wpoić umiłowanie dokładności i szczegółów. Nie mogę się obejść bez jej rad do dzisiaj.

I na koniec dziękuję Giorgii – za to, że zawsze jest przy mnie i że codziennie daje mi kolejny powód, abym zacisnął zęby i walczył.

¹ Mizerykordia był to sztylet służący do dobijania rannych, którzy padli na polu bitwy. Jego długie, cienkie ostrze potrafiło się prześliznąć przez szczeliny w zbroi.

² *Valetudinarium* to pomieszczenie klasztorne, w którym goszczono i leczono chorych.

³ Apocalypsis Ioannis 18,21.

⁴ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekł. z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Pallottinum, Przegląd Reader's Digest, Warszawa–Poznań 2000, Ap 18,21.

⁵ W klasztorze *hortus* przeznaczony był na uprawę warzyw, a *herbaria* na uprawę ziół leczniczych.

⁶ „Mogliby o tym mówić ku naszej hańbie, wolę raczej umrzeć!” (*Pieśń o Rolandzie*, CXXVIII, przekł. Tadeusz Boy-Żeleński, oprac. Józef Bedier, Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct SA, Warszawa 1932, <http://wolnelektury.pl> [20.10.2016]).

⁷ *Pontate* były to etapy, na które dzielono fresk podczas pracy nad nim; określały przesunięcie rusztowania potrzebne do wykonania dzieła.

⁸ Pręt (tutaj odpowiadający dziesięciu stopom) według jednostek długości obowiązujących w tym okresie w Bolonii liczył około 3,8 m.

⁹ Skala Panów to wzgórze, na którym zbudowano pałac papieski w Awinionie; prace rozpoczęły się w 1334 roku.

¹⁰ *Deesis* to motyw z ikonografii chrześcijańskiej przedstawiający Chrystusa wśród modlących się świętych – najczęściej Matki Boskiej i Jana Chrzciciela – którzy proszą o łaskę dla zmarłych.

¹¹ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu...*, 2 Kor 12,7.

¹² Seksta odpowiada porze południa.

¹³ *Advocati*, zwani także *defensores*, byli to mandatariusze biskupów, pełniący rozmaite funkcje, do których zaliczały się też obowiązki z dziedziny kryminalnej.

¹⁴ *Scorsuro* (lub *scursurium*) – tak nazywano w Ferrarze drażone wzdłuż publicznych szlaków rowy odprowadzające wodę deszczową i ścieki do Padu.

¹⁵ „Lecz On był przebity za nasze grzechy” (*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu...*, Iz 53,5).

¹⁶ „Zaszczycie sztuki pod nowym nazwaniem, Co zważ w Paryżu: *illuminowaniem*” (Dante Alighieri, *Boska komedia*, cz. 2: *Czyścić*, XI, 80–81, przekł. Julian Korsak, Drukarnia Wilhelma Zukerkandla, Złoczów 1898, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/boska-komedia.pdf> [20.10.2016]). Odniesienie do rozświetlania średniowiecznej miniatury albo poprzez stosowanie błyszczących pigmentów, albo złota i srebra płatkowego.

¹⁷ Drolerie to małe groteskowe stwory o wielu głowach i zwierzęco-ludzkich kształtach, występujące w grecko-rzymskiej gliktyce i w malarstwie gotyckim, zwłaszcza w rękopiśmiennych miniaturach.

